

POPEŁNIŁAM BŁĄD,  
ALE MÓWIĄ, ŻE TO  
MORDERSTWO...

*Uzależniająca,  
wyrazista,  
z niesamowitymi  
zwrotami akcji.*

**B.A. PARIS**

# TA, KTÓRA ZAWINIĘŁA

JANE CORRY

ALBATROS

# **TA, KTÓRA ZAWINIĘŁA**

**JANE CORRY**

Z angielskiego przełożyła  
ANNA DOBRZAŃSKA

**ALBATROS**

Wydanie elektroniczne

MOCNY, BŁYSKOTLIWY, MISTERNIE SKONSTRUOWANY THRILLER PSYCHOLOGICZNY, KTÓRY ZACHWYCI FANÓW  
B.A. PARIS I JENNY BLACKHURST!

Moje życie nigdy nie było idealne. Jednak kiedy urodził się mój wnuk Josh, wiele spraw przestało mieć znaczenie. Ale o jednym nie mogę zapomnieć. Mężczyzna, któremu poświęciłam całe życie, ma romans. Choć powiedział, że to skończone, narastającej fali niepewności nie dało się już zatrzymać. Zraniona, swój wolny czas spędzałam z Joshem. Aż pewnego dnia, kiedy się nim opiekowałam, do męża zadzwoniła TA kobieta... Dosłownie na moment spuściłam Josha z oczu. Na jedną krótką chwilę...

WTEDY WYDARZENIA WYMKNĘŁY SIĘ SPOD KONTROLI. PRZESZŁOŚĆ PONOWNIE ZAPUKAŁA DO MOICH DRZWI.  
A KOSZMARY SPRZED LAT POWRÓCIŁY...

## JANE CORRY

Brytyjska powieściopisarka i dziennikarka. Jej artykuły regularnie ukazują się na łamach „Daily Telegraph” i „My Weekly Magazine”. Przez trzy lata pracowała w więzieniu dla mężczyzn o zaostrzonym rygorze, gdzie prowadziła warsztaty pisarskie dla osadzonych. Te doświadczenia posłużyły jej za inspirację do napisania pierwszego thrillera *Żona mojego męża*, który od razu przyniósł jej niebywały sukces. Jane Corry wykłada kreatywne pisanie w Oxfordzie. Jako profesjonalna pisarka doradza też studentom literatury angielskiej na Uniwersytecie Exeter. Jest autorką sześciu thrillerów psychologicznych, które regularnie trafiają na listy bestsellerów i sprzedały się w nakładzie ponad miliona egzemplarzy w 35 krajach.

Kolejna książka Jane Corry *The Lies We Tell* ukaże się w Wydawnictwie Albatros w 2022 roku.

[janecorryauthor.com](http://janecorryauthor.com)

*W serii ukazały się*

JENNY BLACKHURST  
Zanim pozwolę ci wejść  
Czarownice nie płoną  
Tak cię straciłam  
Noc, kiedy umarła  
Ktoś tu kłamie

JANE CORRY  
Ta, która zawiniła

TANA FRENCH  
Ściana sekretów. Wiem, kto go zabił  
Zdażyć przed zmrokiem  
Lustrzane odbicie  
Bez śladu  
Kolonja  
Ostatni intruz

ALEX MARWOOD  
Dziewczyny, które zabiły Chloe  
Zabójca z sąsiedztwa  
Najmroczniejszy sekret  
Zatruty ogród

B.A. PARIS  
Za zamkniętymi drzwiami  
Na skraju załamania  
Pozwól mi wrócić  
Dylemat  
Terapeutka  
Dublerka

(z CLARE MACKINTOSH, SOPHIE HANNAH i HOLLY BROWN)

MARISHA PESSL  
Nocny film

C.L. TAYLOR  
Teraz zaśniesz  
Zanim powróci strach  
Nieznajomi

Tytuł oryginału:  
I LOOKED AWAY

Copyright © Jane Corry 2019

The author has asserted his moral rights

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: David Werbrouck/Unsplash.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-745-1



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

# Spis treści:

Okladka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

CZĘŚĆ DRUGA

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

## CZĘŚĆ TRZECIA

57

58

59

60

61

62

63

Kilka słów od Jane

Podziękowania

Ta, która zawiniła: nauka kryjąca się za opowieścią

Literatura



*Pamięci mojej mamy: najcieplejszej  
i najlepszej ze wszystkich babć.*

*Dla mojego męża,  
dzieci i wnuków, a także dla mojego kręgu  
przezabawnych i niegrzecznych przyjaciółek,  
które są również świeżo upieczonymi babciami.*

*Wielkie uściski dla Doris, naszej  
ukochanej babci, która mieszkała z nami  
przez te wszystkie lata. Moja siostra i ja  
musiałyśmy zwracać się do niej po imieniu, bo  
uważała, że słowo „babcia” ją postarza.*

Nie powinienem iść za szybko.

Ale jeśli będę szedł zbyt wolno, stanę się ruchomym celem.

Każda kość w moim ciele boi się, że poczuję na ramieniu czyjąś dłoń. Że ktoś szarpnie mnie za rękę.

Mijają mnie samochody. Niektóre wloką się wzdłuż chodnika, jakby ich kierowcy czytali znaki drogowe. Ogarnia mnie przerażenie. A jeśli chcą czegoś innego?

Idę dalej. Kucam na mokrym chodniku.

– Proszę, pomóżcie mi – błagam. – Dajcie mi coś do zjedzenia.

Na razie mam pełny żołądek. Ale co będzie później?

Dorwiesz mnie na ulicy?

Ben Westwood, poeta i pisarz

*Poems from a Runaway*

„DAILY TELEGRAPH”

#### *DZIECKO GINIE W TRAGICZNYM WYPADKU*

Mały chłopiec zginął w zdarzeniu, które policja określiła mianem tragicznego wypadku. Nie ujawniono dalszych szczegółów.

# Prolog

*Ellie*  
*Oxfordshire*

Sobota, 17 sierpnia 2019. Data, która na zawsze wyryje się w moim sercu, choć teraz jeszcze o tym nie wiem. Teraz jest po prostu upalny letni dzień, dokładnie tak jak przepowiadały prognozy pogody. Roger i ja mamy przed sobą resztę życia. Tak powiedziała terapeutka dla par, zanim pożegnała się z nami. Zgodziłaś się dać mu kolejną szansę. Zacząć z czystym kontem. Nie oglądaj się za siebie.

Ale chociaż staram się postępować zgodnie z jej wskazówkami, nie potrafię ignorować niewidocznej blizny, którą noszę w sobie. Dokuczliwego bólu, który nie daje mi spokoju.

Robienie „czegoś” pomaga. Dlatego idę do miasteczka w swoich nowych turkusowych sandałkach ze złotymi ozdobami – z których jestem raczej zadowolona – żeby kupić nową tubkę mojego ulubionego „cudownego” kremu nawilżającego. Nigdy nie wygram konkursu na Wytworną Babcie, ale cieszy mnie, gdy ludzie mówią: „Co? Masz czteroletniego wnuka? Nie wyglądasz!”. W wieku czterdziestu dziewięciu lat w końcu poczułam się w swojej skórze tak dobrze, jak nigdy nie czułam się, będąc nieokrzesaną nastolatką. Mam rodzinę i własne zainteresowania, a także pracuję jako wolontariuszka w więzieniu. Dzięki temu nie narzekam na brak zajęć. I nie myślę o przeszłości.

– „Big Issue”<sup>2\*</sup> – odzywa się kobieta siedząca w kucki na chodniku przed drogerią Boots.

Ma taki sam pełen nadziei głos – choć bez akcentu – jaki słyszałam u innych bezdomnych, których widuję w tej okolicy. Regularnie kupowałam od niej czasopisma i wiem, że chociaż wydaje się opryskliwa, jest całkiem miła.

Zjawiała się na naszej ulicy jakieś półtora roku temu, w tych swoich hipisowskich fioletowych spodniach (takich, co to są szerokie w udach i zwężają się ku dołowi), ze srebrnymi i złotymi gwiazdami wytatuowanymi na szyi, w granatowej workowatej wiatrówce, z tunelami w uszach, ogoloną głową i ogorzałą od słońca twarzą, która mogłaby należeć do każdej kobiety po czterdziestce. Po tym, jak zobaczyłam ją kilka razy, zaczęłam dawać jej drobne na coś do jedzenia, które natychmiast znikaly w jednej z jej przepastnych kieszeni. „Dzięki”, rzucała zawsze i pocierała dłonie, jakby próbowała zetrzeć z nich jakiś niewidoczny brud pozostawiony przez pieniądze. Zauważyłam też, że nuci coś pod nosem, choć trudno było rozpoznać melodię.

Kiedyś zapytałam ją, od jak dawna jest bezdomna. „Raz jestem, a raz nie”, odparła wymijająco. Od tego czasu za każdym razem, gdy kupowałam od niej czasopismo, ucinałyśmy sobie krótką pogawędkę. Zdradziła mi nawet, że ma na imię Jo (choć sposób, w jaki to powiedziała, sugerował, że nie było to imię, które dano jej na chrzcie) i że w dzieciństwie „nie zwracała sobie głowy szkołą” („Chociaż w więzieniu czytałam na potęgę”, dodała). Byłam ciekawa, za co siedziała, ale wolałam nie pytać. Raz odbyłyśmy fascynującą rozmowę o tym, czy nowy rządowy program pomocy bezdomnym rzeczywiście pomaga ludziom żyjącym na ulicy.

Gdy zrobiło się zimno, tak bardzo się o nią martwiłam, że próbowałam nawet znaleźć dla niej jakieś lokum; nic z tego jednak nie wyszło. Może za bardzo się zaangażowałam, ale taką już mam naturę – lubię pomagać. To straszne, że w dzisiejszych czasach niektórzy ludzie nadal nie mają gdzie mieszkać ani co jeść. Jednak kilka miesięcy temu, kiedy ponownie zaczęłam podejrzewać Rogera, zobaczyłam, jak Jo, kompletnie pijana, wytacza się z pubu. Nie tyle wkurzyło mnie, że na to właśnie wydaje moje pieniądze, ile byłam wściekła, że dałam się oszukać. Oczywiście sama nie piję. Nie po tym, co przeszłam.

Przyznaję, że od tamtej pory starałam się jej unikać, czasami przechodziłam na drugą stronę, udając, że jej nie widzę. Jednak w ten upalny sierpniowy dzień z jakiegoś powodu czuję, że muszę się ją zatrzymać.

– Dzięki – mówi i zagląda do swojej brudnej dłoni.

Dałam jej dokładnie tyle, ile kosztuje czasopismo. Wygląda na rozczarowaną, przez co czuję się podle. Jest w tej chudej jak patyk łysej kobiecie z kwadratową szczęką coś, co sprawia, że wydaje się jednocześnie krucha i twarda. Odruchowo sięgam do torby po drobne.

I wtedy ją widzę. Carole.

Przez minutę stoję jak wryta, wpatrując się w kobietę, która omal nie zniszczyła mojej rodziny. Rzadko przeklinam, ale z radością posłałabym do diabła te zgrabne nogi w rajstopach o grubości dwudziestu den, bezwstydnie demonstrowane w kremowych szpilkach z paseczkami. Jej obcisła sukienka (dużo bardziej elegancka od moich džinsów) podkreśla wąską talię w taki sposób, że zastanawiam się, czy ta kobieta w ogóle cokolwiek je. Ja potrafię przytyć dwa kilogramy od samego patrzenia na czekoladę.

Ma odkryte ramiona – jest młodsza ode mnie i nie potrzebuje rękawów, żeby ukryć zwiotczałą skórę, którą nagle zauważyłam u siebie kilka lat temu. Moja rywalka ma długie ciemne włosy (nie proste i mysie jak moje), które niby naturalnie spływają jej na łopatki, ale wiem na pewno, że modeluje je w każdy czwartek. Dowiedziałam się o tym, bo jedna z moich przyjaciółek chodzi do tego samego fryzjera. To średniej wielkości miasteczko w hrabstwie Oxfordshire – dwadzieścia minut drogi od Oksfordu – gdzie wszyscy wszystkich znają.

Żałuję, że w ogóle zobaczyliśmy to miejsce. I ją.

Carole idzie główną ulicą prosto w moją stronę. Krok ma pewny, na jej ramieniu kołysze się granatowa torebka. Markowe okulary przeciwsłoneczne nasunęła na głowę, jak gdyby chciała się nimi pochwalić, a nie zrobić z nich jakiś użytek. Usta pomalowała koralowopomarańczową szminką. Ślady szminki w takim samym odcieniu znalazłam na koszuli Rogera tuż przed świętami Bożego Narodzenia. „Jest mój!”, zdawały się krzyzczeć.

Sama wybieram bezpieczniejsze odcienie. Bezbarwny błyszczak albo – na specjalne okazje – „błądą brzoskwinie”. Ale dokąd zaprowadziło mnie to całe bezpieczeństwo?

Na sam jej widok trzęsą mi się kolana. Wyciągam ręce, żeby się czegoś przytrzymać, i upuszczam portfel. Monety z brzękiem rozsypują się po chodniku. Co ona tu robi? Ostatnim razem, gdy przejeżdżałam obok jej uroczego domku z cegły i krzemienia, z kapryfolium rosnącym przy drzwiach, zobaczyłam tabliczkę z napisem SPRZEDANE. Roger przysięgał, że przeprowadziła się z powrotem do Londynu. A jednak tu jest i idzie prosto na mnie.

– To Carole – przyznał w końcu mój mąż, gdy w święta bez ogródek zapytałam go o szminkę. – Przykro mi, Ellie. To poważna sprawa. Wpłaciliśmy zaliczkę na mieszkanie w Clapham. – Zaraz potem jęknął, jakby go coś zabolalo. – Chodzi o to, że ja ją kocham.

Nie. Nie mógł mi tego zrobić. Nie pozwolę na to. Oczywiście, już wcześniej miał romanse, ale nigdy dotąd nie mówił o „miłości”. To słowo należało do nas. Jego rodziny.

Chwyciłam go za kłapy i przyciągnęłam do siebie. Mój mąż nadal chodził po domu w brązowych tweedowych marynarkach, zupełnie jak wtedy, gdy był wykładowcą.

– Jak możesz przekreślić dwadzieścia osiem lat małżeństwa? – wyszlochałam. – Myślałam, że zestarzejemy się razem. I co z dziećmi?

– Na litość boską, Ellie – odparł, odpychając mnie od siebie, jak gdyby nie był w stanie znieść mojego dotyku. – Dzieci są już dorosłe.

Ale dzieci, niezależnie od wieku, potrzebują rodziców. Wiem o tym najlepiej.

Strach przerodził się w złość.

– A Josh? – wycodziłam przez zaciśnięte zęby. – Naprawdę chcesz, żebyśmy powiedzieli mu, że jego dziadek zostawił nas dla innej kobiety? Co pomyśli o tobie, kiedy dorośnie?

Roger wzruszył ramionami.

– Będę przy nim. Carole lubi dzieci. Zawsze chciała mieć własne. Nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby przyjeżdżał do nas na weekendy.

– Nie możesz tego zrobić! Nie pozwolę ci!

Zrobił kolejny krok do tyłu i popatrzył na mnie, jakbym była kimś zupełnie obcym.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Ellie. Odkąd dowiedziałem się, co zrobiłaś, nie mogę patrzeć na ciebie tak jak dawniej. Nie jesteśmy za starzy, żeby zacząć wszystko od nowa. Dlatego... – Zawahał się. – Chcę rozwodu.

Mogłam zrobić tylko jedno. Lata temu obiecałam, że to się nie powtórzy. Ale trudno wyzbyć się starych przyzwyczajęń. Na szczęście miałam pod ręką kuchenne nożyczki.

– Na litość boską, Ellie! – wrzasnęła i chwycił ścierkę do naczyń, żeby zatamować krew ściekającą mi z nadgarstka. – Co z tobą?

Nagle przypomniałam sobie głos swojej macochy: „Co z tobą, Ellie?”.

Na samą myśl o tym przebiega mnie dreszcz.

Kiedy pozszywali mnie w Radcliffe, Roger oznajmił mi (ze smutkiem wymalowanym na twarzy), że chyba jednak miałam rację. Nie może opuścić rodziny. Zostanie. I tak, w końcu zgodzi się pójść na terapię dla par, jeśli przysięgnę, że nigdy więcej nie zrobię sobie krzywdy. Podobno powiedział o wszystkim Carole, a ona się z tym pogodziła.

– Proszę bardzo, kochana. – Głos sprzedawczyni „Big Issue” wrywa mnie z zamyślenia. Kobieta kuca u moich stóp, zbierając z chodnika rozsypane monety. – Są wszystkie, co do jednej.

Zakłopotana pochylałam się, żeby je wziąć, i w tej samej chwili kątem oka dostrzegam kremowe szpilki. Czuję przytłaczający zapach perfum. A zaraz potem słyszę nad głową głos Carole. Wystarczająco donośny, żebym nie uroniła ani słowa. Ma ten rodzaj dziewczęcego głosiku, który tak bardzo irytuje u kobiet w pewnym wieku, a za którym niektórzy mężczyźni wprost szaleją.

– Stwierdziłam, że powinnaś wiedzieć, że nadal się spotykamy – syczy.

Spoglądałam na nią, serce wali mi jak oszalałe.

– Roger chce, żebym była częścią rodziny. A przy okazji, czy twojemu wnukowi podoba się nowy domek do zabawy?

Skąd wiedziała? Roger kupił domek do naszego ogrodu jako prezent dla Josha. Musiał przypadkiem spaść na Carole i wspomnieć jej o tym. W ustach mam sucho. Czy to możliwe, że wybrali go razem?

Na myśl o tym robi mi się niedobrze. Może pracownicy sklepu uznali, że naprawdę jest babcią Josha...

– Daj mi święty spokój! Kłamiesz! – mówię drżącym głosem.

Przechyla głowę, jakby powątpiewała w moje słowa.

– Czyżby? Z tego, co słyszałam, to ty całe życie kłamiesz. Niektórzy mówią, że nie powinnaś opiekować się dziećmi...

Czyżby Roger jej to zdradził? A może dowiedziała się od kogoś innego? Może wyszukała informacje o mnie w internecie. Gdzieś przecież musi być jakiś ślad. Co bym zrobiła, gdyby prawda wyszła na jaw?

– Jak śmiesz – próbuję powiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle.

Zanim w końcu wyrzucam to z siebie, Carole znika w tłumie przechodniów.

– Wróciłam! – wołam.

Drżącymi rękami zamykam za sobą drzwi i ostrożnie odkładam klucze do stojącej na stoliku w przedpokoju niebiesko-białej porcelanowej miski, obok kluczy Rogera. Są przypięte do breloczka z napisem „Dziadek”, który nasza córka podarowała mu pod choinkę. Przez ostatni rok staliśmy się wyjątkowo czujni po tym, jak w okolicy doszło do serii włamań, a jeden z sąsiadów został napadnięty. Teraz jednak bardziej jestem zdenerwowana spotkaniem z Carole.

Zmuszam się, żeby mój głos brzmiał normalnie. Ale w ustach mam sucho ze strachu. Podchodzę do lodówki, by nalać sobie szklankę soku z czarnego bzu. Co roku latem robię go sama z kwiatów krzewów rosnących w naszym ogrodzie. Rabaty obsadzone roślinami wieloletnimi i rozległe trawniki były jednym z powodów, dla których kupiliśmy ten dom na przedmieściach. Jest w stylu epoki królowej Anny, ma jasnocytrynowy front, okna otwierane pionowo i urocze kominy. Jest tu także mały zagajnik, w którym posiałam maki i niezapominajki ku pamięci mojej mamy.

Człowiek nigdy nie jest za stary, żeby potrzebował matki.

Nawet po tylu latach wciąż zdarza mi się widywać jej śliczną, dobrotliwą twarz i czuję różny zapach jej delikatnej skóry. Czuję jej policzki tuż przy moim. Widzę w pamięci, jak kłęczę obok niej w jej ukochanym ogrodzie, który piele tak długo, aż robi się zmęczona i musi odpocząć. Wyobrażam sobie, jak razem wędrujemy wiejskimi ścieżkami. To ona nauczyła mnie nazw wszystkich krzewów i kwiatów polnych. Zrywałyśmy je, suszyłyśmy między stronicami *Encyklopedii Britannica dla dzieci* i opisywałyśmy, korzystając z mojego sfatygowanego zielnika.

Najbardziej lubiła niezapominajki. A ja trybulę leśną, zwaną również koronkami królowej Anny. Muskałam palcami delikatne białe kwiaty i płakałam, gdy rozpadały mi się w dłoniach.

„Nie płacz – mówiła mama. – Możesz zerwać inne”. To jedno z nielicznych wspomnień z mojego dzieciństwa, więc trzymam się go kurczowo, przerażona, że mogłabym je stracić. Ach, jakże kochałaby swoje wnuki. I jak bardzo uwielbiałaby Josha...

– Przyjdę za kilka minut! – woła z gabinetu Roger.

W kuchni na cały regulator gra radio, stacja BBC Radio 4, w której mówią właśnie, jak zrobić idealny suflet serowy. Nigdy nie wyłączam radia, nawet gdy wychodzę. Jego dźwięki działają na mnie uspokajająco z wyjątkiem wiadomości, ale te zawsze przyciszam. Dość mam własnych problemów.

W ceramicznym dwukomorowym zlewie myję ręce moim ulubionym mydłem lawendowym Neal's Yard i nastawiam czajnik na kuchence Aga. Myśli wirują mi w głowie. Czy powinnam powiedzieć

Rogerowi, że spotkałam na ulicy Carole, chociaż zapewnił mnie, że się wyniosła? Rozpaczliwie tego pragnę. Ale terapeutka mówiła, że powinnam skończyć z oskarżeniami. Mam zachowywać się tak, jak gdybym mu ufała. W zeszłym miesiącu, kiedy ni stąd, ni zowąd podarował mi srebrną bransoletkę, udałam nawet, że się cieszę. Naprawdę myślał, że prezent, który mi dał, bo czuł się winny, może cokolwiek naprawić?

„Tata zachował się paskudnie, ale jest mu przykro – powiedziała moja córka, kiedy wszystko się wydało. – Nie możesz mu wybaczyć? Nie chcę być częścią jednej z tych rodzin, w których dziadkowie nie odzywają się do siebie. W kółko słyszę od przyjaciół, ile to mamy szczęścia. Josh bardzo was kocha. Oboje”.

Josh. Mój powód, dla którego jeszcze się trzymam. Czasami nie mogę uwierzyć, że mój jedyny wnuk jest już z nami od czterech lat – prawie pięciu. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez niego. „Busiu!”, woła podekscytowany, gdy przyjeżdża do nas w odwiedziny. Mówił tak na mnie, kiedy był malutki, i tak już zostało.

Oficjalnie poniedziałek jest moim „dniem Josha”, bo wtedy opiekuję się nim, podczas gdy moja córka jest w pracy. Nieoficjalnie widzę go codziennie. Niech ktoś spróbuje mnie powstrzymać! Z chwilą, gdy wzięłam go w ramiona, poczułam się tak, jakbym zaraz miała się roztopić, a ogrom miłości, która na mnie spłynęła, kompletnie mnie zaskoczył. Śmiałem twierdzić, że była ona większa niż ta, którą czułam do własnych dzieci, kiedy przyszły na świat. Jak to w ogóle możliwe?

Z czasem kochałam go coraz bardziej. Nie ma na świecie niczego piękniejszego od mokrego buziaka, który składa na moim policzku, od miękkich, pulchnych i ciepłutkich dziecięcych ramionek, które zarzuca mi na szyję, i radości malującej się na jego twarzy, kiedy razem zdmuchujemy dmuchawce i robimy aniołki na śniegu, od skupienia, z jakim odczytuje litery na fiskach (M... A... M... A) albo piecze kruche czekoladowe ciasteczka, stojąc w naszej kuchni na specjalnym małym taborecie.

Ale jego ulubioną zabawką jest szwajcarska pozytywka, którą dostałam od mamy, stojące teraz na mojej toaletce. Kiedy mama zmarła, dzięki niej czułam, że nadal jest blisko mnie. To drewniane pudełeczko z wyrzeźbionym na wieczku kwiatem. Trzeba dwukrotnie przekręcić kluczyk, a następnie unieść wieczko. „Zamknij oczy”, mówię często do Josha. Natychmiast zaciska powieki z ufnością, na jaką stać tylko dzieci. W powietrzu rozlegają się dźwięki *Edelweiss*, tego słynnego utworu z filmu *Dźwięki muzyki*. „Otwórz”, mówię, a on wtedy spogląda z zachwytem.

„Czary, busiu!”, szepcze.

Dzięki wnuczkowi odzyskałam chęć do życia. Nie pozwolę, żeby Roger czy byle rozwódka pokroju Carole zniszczyli jego życie, tak jak moja macocha zniszczyła moje.

„Jeśli będziesz potrzebowała czasu, żeby wszystko przemyśleć, zawsze możesz przyjechać tutaj”, zapewnił mnie na Skypie mój syn, kiedy powiedziałam mu o ostatnim romansie Rogera. Mówiąc „tutaj”, miał na myśli Australię – najdalszy zakątek świata, gdzie mógł uciec od ojca, którego „łajdaczenie się”, jak to ujął, sprawiało, że „chciało mu się rzygać”. Ale myśl o tym, że miałabym tygodniami, może nawet miesiącami nie widywać mojego jedynego wnuka, była nie do zniesienia.

Nie do zniesienia jest też myśl, że miałabym dzielić się nim z inną kobietą. Miałabym pozwolić, żeby nazywał Carole „babcią”? Ona byłaby tą elegancką, wytworną babcią, a ja tą płochliwą i zaniebaną. Ona obsypywałaby go prezentami, żeby zdobyć jego serce, a ja patrzyłabym, jak zabiera go do zoo i na przedstawienia. Mógłby – aż krzywię się ze strachu – pokochać ją bardziej ode mnie.

– Cześć. – Mój mąż wychodzi z gabinetu i muska ustami moje wargi.

Staram się nie myśleć, że jeszcze niedawno te same usta całowały Carole. Że tymi rękami pieścił najbardziej intymne części jej ciała. Tym głosem mówił jej, że ją kocha. Może nadal ją kocha. Ale teraz to bez znaczenia, pod warunkiem że zostanie ze mną.

– Cześć. – Robię krok do tyłu, czując się jak drugoplanowa postać w sztuce.

Trzeba przyznać, że Roger mógłby grać główną rolę; nie tylko dlatego, że potrafi być taki przekonujący. Mój mąż jest przystojny. Mimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat nadal ma gęstą czuprynę i wciąż emanuje uroczą otwartością, którą latami czarował studentów. Ma potrzebę zwracania na siebie uwagi, połączonej z naturalnym darem rozśmieszania ludzi, choć zwykle zachowuje go dla innych, zamiast marnować na mnie. Metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu i wciąż atrakcyjne ciało, które świetnie prezentuje się w beżowych chinosach i rozpiętych pod szyją koszulach. Dziś jest za gorąco na tweedową marynarkę.

– Dobrze bawiłaś się w mieście? – pyta.

Omam nie łamię złożonej sobie obietnicy, że nie powiem mu o Carole, ale w porę gryzę się w język.

– Tak, dziękuję. – Nasza uprzejmość trąci sztucznością, jednak lepsze to niż ciągle kłótnie. – Co robiłaś? – pytam.

W normalnym związku byłoby to zupełnie zwyczajne pytanie, ale teraz wiem, że kiedy twoja druga połówka dopuszcza się zdrady, wszystko, co mówisz, co oglądasz w telewizji i o czym czytasz w gazetach, nabiera całkiem nowego znaczenia. Tak więc moje: „Co robiłaś?” może być odczytane jako: „Z kim się dzisiaj przespałaś?”.

– Majsterkowałam – odpowiada. – Nie podobało mi się okablowanie sprzętu stereo w gabinecie, dlatego kupiłem cieńsze kable, które mniej rzucają się w oczy.

Roger zawsze był praktyczny. Była to jedna z rzeczy, które ujęły mnie w nim, kiedy się poznaliśmy. Mając osiemnaście lat, myślałam naiwnie, że skoro potrafi wszystko naprawić, to może mnie też naprawi.

– Przyszli też nowi sąsiedzi powiedzieć, że przeprojektują swój ogród – dodaje. – Chcieli się upewnić, że nam nie przeszkadzają. Pogadaliśmy trochę. Zaprosili mnie na kawę, ale zadzwoniła Amy. Ma jakiś pilny termin i pytała, czy nie wzięlibyśmy Josha na kilka godzin.

Tak! Nagle cały dzień wydał mi się lepszy. Kiedy nasza córka oznajmiła, że razem z mężem postanowili wyprowadzić się z Londynu, żeby być bliżej nas, poczułam niewysłowioną radość i wdzięczność. Najwyraźniej doskonale wpisuję się w trend, który staje się coraz bardziej popularny. Mam swoją pracę, chociaż mówiąc szczerze, traktuję ją raczej jako hobby. Robienie mozaikowego stolika na charytatywne targi rękodziela trudno nazwać pracą na pełny etat. Kiedy więc dzieci potrzebują dodatkowej pary rąk – jak teraz w wakacje, zanim Josh pójdzie do „prawdziwej szkoły” – jestem do ich dyspozycji.

Jest coś wyjątkowego w dziecku twojego dziecka. To cud, że córka, którą urodziłam, sama ma teraz dziecko, które posiada również moje geny. To połączyło nas niewidzialną pepowiną.

Mój wnuk, Josh, nie tylko mnie kocha. On mi ufa. Uwielbia mnie – zamiast mówić mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić, tym protekcyjnym tonem, który z takim upodobaniem przybierają starsze dzieci. Nigdy mnie nie zdradzi, jak zrobił to (a może nadal robi) jego dziadek. Przede wszystkim jednak jest dla mnie nowym początkiem. Szansą na to, że tym razem wszystko będzie jak trzeba. Że nie powtórzę koszmarnych błędów z przeszłości.

Zmuszam się, by wyrzucić Carole z głowy, i zaczynam planować dzień. Zjemy we trójkę lunch, więc Roger i ja nie będziemy musieli silić się na uprzejmą rozmowę. Dla Josha mam butelkę soku bez



cukru i jakichkolwiek dodatków, przy czym obstaje moja córka, a mój mąż wypije kieliszek wytrawnego białego wina. Ja pozostanę przy wodzie gazowanej z plasterkiem cytryny. Później będziemy się bawić w ogrodzie. Idealnie.

I nagle Roger wszystko psuje.

– Opuść sobie lunch, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wolałbym pomajsterkować przy okablowaniu.

– Dobrze – mówię powoli, mając w głowie radę terapeutki.

Zajmij się czymś. Emerytura bywa stresująca, jeśli człowiek nie ma co robić.

Roger bierze mnie za rękę i ściska ją, jakby liczył, że dodam mu otuchy. Przez ułamek sekundy znów widzę te długie włosy i nogi. Ja również ściskam jego rękę, ale czuję, że gdzieś w środku niewidoczna rana zaczyna palić mnie żywym ogniem.

Słyszę trzaśnięcie drzwi samochodu na zewnątrz. Małe stópki biegną ścieżką w stronę domu. A zaraz potem rozlega się stukot kołatki i głos mojej córki:

– Josh! Zaczekaj na mamę!

Wnuczek wpada mi w ramiona. Ma na sobie czerwoną koszulkę, którą kupiłam mu w zeszłym tygodniu. Jęku! Robi się taki ciężki, że niedługo go nie podniosę, ale teraz wdycham jego zapach. Jeśli potrzebuję dowodu, że słusznie postąpiłam, nie rozbijając naszej małej rodziny, jest nim Josh.

– Rzucaj, busiu! Rzucaj!

Pewnego dnia mój wnuk będzie grał w reprezentacji Anglii w krykieta. Wiem to! Ma dryg do piłki.

– Za wysoko!

Znowu próbuję.

Łup! Josh wali piłkę plastikowym kijem do krykieta, który przywieźliśmy mu z krótkich wiosennych wakacji na wyspach Scilly, gdzie próbowaliśmy zacząć wszystko od nowa.

– Świetnie!

– Jeszcze. Jeszcze!

Patrzę w niebo. Słońce skryło się za chmurami. Zrobiło się parno, powietrze jest nieruchome, jakby zbierało się na burzę.

– Jeszcze raz!

Piłka szybuje w górę i leci nad moją głową w kierunku domu.

– Ścigajmy się, busiu!

Zostaję w tyle i pozwalam mu wygrać. Przez drzwi balkonowe gabinetu dostrzegam Rogera. Jest w nim coś, co nawet z tej odległości wydaje się dziwne. Krąży po pokoju, z telefonem przy uchu, i wymachuje wolną ręką, jakby się z kimś kłócił. Czy nie mówił, że chce zmienić kable?

Paskudny chłód pełnie mi po plecach niczym wąż. „Nadal się spotykamy”.

– Mam piłkę, busiu!

Nie chcę kłócić się z mężem przy wnuku.

– Sprawdź, jak daleko potrafisz ją odbić, skarbie. Zaraz wrócę.

Podchodzę bliżej do domu. Roger stoi odwrócony do mnie plecami. Zaraz potem staje bokiem. Łzy ściekają mu po policzkach i chociaż nie słyszę, co mówi, wiem, że rozmawia z Carole. Wciąż za nią tęskni. Zostawi nas. Moje postanowienie, żeby przymykać oko na pewne rzeczy, momentalnie znika.

Wściekle szarpnię za klamkę. Drzwi są zamknięte. Słyszac hałas, Roger się wzdryga. Na jego twarzy maluje się poczucie winy. Stara się je ukryć, ale jest już za późno.

Mówi coś, czego nie słyszę, i macha ręką na znak, że to pilna rozmowa. Nie wątpię.

– Otwieraj, draniu! – wrzeszczę (powinam dodać, że rzadko używam podobnych słów).

On jednak odwraca się do mnie plecami!

Znowu szarpnię za klamkę. Tym razem tak mocno, że prawie ją wrywam. Niechętnie – a przynajmniej tak to wygląda – Roger chowa telefon do kieszeni i otwiera drzwi.

– To była ona, tak? – Wpadam do środka i żądam wyjaśnień.

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz, o czym, do cholery, mówię. Pokaż mi telefon.

Zasłania kieszeń ręką.

– Nie. Proszę.

Za późno. Przyskakuję do niego i wyciągam telefon z kieszeni jego spodni. Gorączkowo przeglądam listę połączeń, ale Roger wrywa mi aparat. Odbieram mu go. A on znów wyszarpuje mi go z rąk. Twarz ma czerwoną, wzrok przerażony.

– Carole była z tobą, kiedy wybierałeś ten cholerny domek, co?! – wrzeszczę. – No dalej, przyznaj się!

Waha się. Przez sekundę. Jednak to wystarczy.

– To nie było tak... – bąka niepewnie.

– Ty draniu! – krzyczę. – Jesteś nic niewart. Wszystko spieprzyłeś. To koniec. Bądź sobie z tą swoją dziwką. Proszę bardzo! Ale nie myśl, że będziesz miał też rodzinę. Prędeż umrę, niż pozwolę, żeby bawiła się w babcię.

I nagle sobie przypominam. Josh. Gdzie on jest? O Boże. Jak mogłam spuścić go z oczu? Cholerny Roger. Ale przerażające uczucie, od którego włoski na karku stają mi dęba, mówi mi, że to także moja wina.

Trawnik jest pusty. Panika ściska mnie w gardle, aż nie mogę oddychać. Staram się o tym nie myśleć, gdy co sił biegnę do ogrodu. Jest bezpieczny dla dzieci, prawda? Po narodzinach Joshua wzmocniliśmy płot odgradzający nas od sąsiadów. Furtka, zamknięta na kłódkę, jest za wysoka, by mógł przez nią przejść na ulicę. Nie ma go na drewnianej zjeżdżalni, którą kupiliśmy mu na czwarte urodziny. Może jest w domku do zabawy? Podbiegam tam i zaglądam do środka. Widzę stolik, krzeselko i pomalowaną do połowy kolorowanke. Nic więcej. Tak samo w altanie.

Zegar na wieży kościoła wybija godzinę.

I nagle serce zamiera mi w piersi. Dla wielu ludzi to tylko takie powiedzenie. Ale ja naprawdę czuję, jakby serce przestało mi bić, kiedy zaglądam za domek i widzę wyłamany fragment płotu. Jak to możliwe? Sprawdzaliśmy go nie dalej jak w zeszłym tygodniu. A jednak w płocie ziele dziura. Wystarczająco duża, żeby przecisnęło się przez nią dziecko...

Raniąc sobie ręce do krwi, szarpnię strzaskane drewno i nie bacząc na ból, wchodzę do ogrodu obok.

I nagle przypominam sobie, co mówił Roger. „Przyszli też nowi sąsiedzi powiedziec, że przeprojektowują swój ogród”...

W ogrodzie jest staw. Duży, ze stojącą pośrodku wymyślną fontanną.

Na powierzchni wody unosi się czerwona koszulka.

.....

\* Brytyjskie czasopismo sprzedawane na ulicach przez ludzi bezdomnych, dzięki czemu mają szansę na legalny zarobek.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

Przed wypadkiem



*Niezapominajka (Myosotis sylvatica)*

*Niebieski kwiat leśny.*

*Historia mówi, że dawno, dawno temu para  
kochanków urządziła piknik na klifie. Dziewczyna  
zobaczyła śliczny niebieski kwiatek rosnący na  
skraju urwiska. „Jaki on piękny!”, zawołała.*

*Młodzieniec natychmiast skoczył na nogi  
i pobiegł, żeby go dla niej zerwać, ale stracił  
równowagę i upadł. „Nie zapomnij mnie!”,  
zdażył jeszcze krzyknąć, lecąc w dół  
na spotkanie śmierci.*

*To przypomnienie – jeśli bytoby nam ono  
potrzebne – że miłość potrafi zabijać.*

# 1

## *Ellie*

*Więzienie Longwaite, Oxfordshire  
Cztery miesiące później*

Rozglądam się po swojej celi. Jest pusta, nie licząc stolika z plastikowym blatem, twardego krzesła, kartonowego pudełka na moje rzeczy, muszli klozetowej i dwóch wąskich łóżek. Poduszka, która leży na moim, jest nowa i twarda jak kamień. Każda jest twarda, kiedy zaczynasz odsiadkę. „Specjalnie tak robią, żeby człowiek nie zmrużył cholernego oka”, poinformowała mnie moja współwięźniarka.

Teraz jej tu nie ma. Leżę więc na plecach i pozwalam myślom płynąć swobodnie. Przez całe życie starałam się zapomnieć o przeszłości. Ale może najwyższy czas stawić czoła faktom.

Od tego może zależeć moja wolność.

Kiedy wracam wspomnieniami do dzieciństwa – tej części sprzed wypadku – moją uwagę zwracają drobne rzeczy. Głupie, niemal banalne zdarzenia. Dopiero później uświadomiłam sobie, że były one zapowiedzią nadchodzących koszmarów.

Weźmy na przykład gotowane jajka. Kiedy pierwszy raz pokazałam Joshowi, jak obierać je ze skorupki, usłyszałam w głowie głos mojej matki, tak wyraźny, jak gdyby stała tuż obok w naszej kuchni, na zielonych przedmieściach północnego Londynu.

– Delikatnie stukasz w nie łyżeczką – tłumaczyła mi. – A potem bierzesz nóż i ostrożnie ścinasz górę.

– Ale czy jajka to nie boli? – zapytałam.

Objęła mnie z czułością. Wciąż czuję ten uścisk.

– Głuptasku! To nie człowiek. Jesteś taka wrażliwa, Ellie. I co ja mam z tobą zrobić?

Głos miała ciepły, życzliwy. Niewiele pozostało mi wspomnień związanych z moją mamą, ale nie pamiętam, żeby się złościła. Oprócz tego jednego razu.

Rodzice kupili mi lalkę. Musiały być moje urodziny albo Boże Narodzenie, bo w tamtym czasie dzieci dostawały prezenty tylko na specjalne okazje. Lalka była piękna, miała porcelanową twarz i żółte kręcone włosy. Kiedy ją obracałam, mówiła „mama”, tak wzruszająco, że nie chciałam wypuszczać jej z objęć.

– Szkoda, że nie jest prawdziwa – powiedziałam. – Nie możesz mieć dziecka jak mamusie moich koleżanek?

– Nie – odparła i spojrzała na mnie z przyganą, jakbym zachowała się bardzo niegrzecznie. – Nie mogę.

Zaraz potem złapała śliczną niebieską miseczkę, którą tak lubiła, i cisnęła nią o ścianę. Przez chwilę stała wpatrzona w leżące na podłodze skorupy. A potem bez słowa wyszła z pokoju.

Uklękałam, żeby pozbierać kawałki porcelany, i rozplakałam się.

– To nic – uspokajał mnie tata, pomagając mi sprzątać odłamki. – Mama musi się na chwilę położyć. Kiedy odpocznie, poczuje się lepiej. A teraz zostaw to, bo jeszcze się skaleczysz.

Bruzdy na jego czole przypominały mi coś, co nazywa się teksturą falistą, w którą pakował różne rzeczy.

– Przepraszam, Ellie – powiedziała mama, kiedy w końcu do nas wróciła. – Byłam zmęczona. Czasami w takich chwilach coś we mnie pęka.

Nawet teraz słyszę w głowie swoje dziecięce myśli. Pęknięte znaczyło połamane. Pękały gałązki, kiedy się na nie nadepnęło. Czy to oznaczało, że moja mama też się połamie? Potłucze jak ta śliczna niebieska miseczka? Może stąd są te linie na chodnikach: bo ktoś próbował je rozbić? Mama powiedziała mi kiedyś, że następowanie na linie między płytami przynosi pecha. I że musimy je omijać, żeby nic nam się nie stało. Ale nie możemy nikomu o tym mówić, aby ludzie nie pomyśleli, że jesteśmy niemądre.

Zaczęłam mieć koszmary.

– Ćśśś – szeptał tata, kiedy przychodził mnie uspokajać, bo mama znów nie czuła się dobrze. – Już w porządku.

Wiedziałam, że kłamie, ponieważ jego czoło znowu przypominało teksturę falistą. Niedługo potem mama była już tak zmęczona, że nie mogła odprowadzać mnie do szkoły. Dlatego odprowadzał mnie tata. Miał długie nogi i prawie biegłam, żeby dotrzeć do niego, ale spieszyliśmy się, dlatego że musiał jeszcze wrócić i otworzyć sklep papierniczy. Sklep był w rodzinie mamy od lat i po śmierci dziadka przejął go mój tata. Pewnego razu zatrzymaliśmy się przy drzewie, którego pień był w środku pusty.

– Zajrzyj tam – powiedział tata z nutą zachwytu w głosie. – Widzisz grzyby, które rosną na dnie? Nie dotykaj ich. Mogą być trujące.

A jednak chciałam to zrobić. Może były zaczarowane i mogłyby wyleczyć mamę ze zmęczenia?

Czasami, kiedy tata musiał opiekować się mamą, ze szkoły odbierała mnie nasza sąsiadka, panna Greenway. Pachniała talkiem i miała ładne żółte włosy, jak dziewczyna na butelce mojego szamponu. Pytała mnie, czy chcę skorzystać z „ubikacji”, nie z „toalety”, a gdy raz wzięła mnie do siebie na kolację, zauważyłam, że trzyma nóż i widelec w sposób, który moja mama określała mianem „pospolicie”, cokolwiek to znaczyło.

„To żaden kłopot”, powtarzała mojemu tacie, odprowadzając mnie do domu. Od razu biegłam do pograżonego w mroku pokoju mamy, z zasłonami w niebieskie pasy, i opowiadałam jej, jak minął mi dzień. Czasami słuchała, kiedy mówiłam o swojej nowej najlepszej przyjaciółce – często się zmieniały – ale zwykle odwracała się, przesuwając poduszkę, jak gdyby ją to irytowało, i kazała mi „przyjść później”.

Na szóste urodziny rodzice nie zorganizowali dla mnie przyjęcia, bo mama „nie czuła się dobrze”.

– A ty nie możesz się tym zająć? – spytałam tatę.

Uśmiechnął się blade.

– W tej sytuacji byłoby to nie na miejscu.

Co miał na myśli?

Później, kiedy nowi przyjaciele pytali mnie, od jak dawna moja mama choruje, nie potrafiłam odpowiedzieć. Czasami wydawało mi się, że od miesiący. Czasami, że od lat. Pamiętam, że minęły kolejne święta, bo pierwszy raz w życiu nie dostałam nic pod choinkę.

– Jesteś już dużą dziewczynką – powiedział tata.

A co to miało do rzeczy?

Pewnego dnia zamiast taty odebrała mnie ze szkoły panna Greenway. Zauważyłam, że oczy ma zaczerwienione, jakby ktoś zamalował białka czerwoną kredką. Tym razem nie pachniała talkiem.

– Twój tata prosił, żebyś przyszła na trochę do nas – oznajmiła.

– Dlaczego? – nie przestawałam pytać, gdy trzymając mnie za rękę, prowadziła mnie do swojego domu.

Zamiast odpowiedzieć, tylko mocniej ścisnęła moją dłoń.

Nie lubiłam domu panny Greenway. Był taki duży jak nasz, ale ciemniejszy, bo „prąd kosztuje”. Mieszkała ze swoją matką, panią Greenway, która zawsze, kiedy coś powiedziałam, krzyczała: „Mów głośniej!”. W łazience na półce pod oknem stał odświeżacz powietrza z namalowanymi na butelce różowo-białymi kwiatkami. Z ciekawości psiknęłam nim i kichnęłam, gdy w powietrze uniośł się wonny obłoczek. Szybko wybiegłam z łazienki i zatrasnęłam drzwi w obawie, że narobię sobie kłopotów.

Tym razem na kolację była zapiekanka pasterska.

– Twój tata mówił, że to twoje ulubione danie – rzuciła sąsiadka, stawiając przede mną talerz.

Ziemniaki na wierzchu były grudkowate, ale zjadłam je, bo nie chciałam być nieuprzejma.

– Smakuje ci, skarbie? – spytała panna Greenway. Miała wysoki, piskliwy głos. Brzmiał jak pomiauukiwanie kociąt, które nasza nauczycielka w zeszłym roku przyniosła do szkoły, w razie gdyby któreś z dzieci chciało wziąć jedno do domu. (Ja nie mogłam, bo „i bez tego dość mieliśmy kłopotów”). – Jesteś pewna, że nie chcesz dokładki? Zobacz, przygotowałam też galaretkę, chociaż jeszcze nie stężała. – Panna Greenway wyraźnie się zasmuciła. – Chyba nie bardzo potrafisz gotować dla dzieci.

Galaretka w niczym nie przypominała tych robionych przez mamę, z kawałkami mandarynek w środku, ale zjadłam ją grzecznie, tak jak zapiekankę.

Po kolacji usiadłyśmy w pokoju, który panna Greenway nazywała „salonem”. Zastanawiałam się, gdzie w takim razie jest pokój dzienny.

– Mama i ja zwykle czytamy po kolacji – powiedziałam.

– Nie mamy w domu żadnych książek dla dzieci, ale jeśli chcesz, możesz przejrzeć to. – Wręczyła mi magazyn. – To najnowszy numer „Woman’s Realm”. Zobacz, na okładce jest zdjęcie księcia Karola. Najwyższy czas, żeby się ożenił, nie sądzisz?

Na szczęście nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi. Usiadła na kanapie i podwinęła nogi pod siebie, podczas gdy ja kartkowałam czasopismo. Nigdy nie widziałam, żeby mama czytała coś takiego. Tata zawsze mówił, że „siedzi z nosem w książce”.

Na kominku stał złożony zegar. Słyszałam jego głośne miarowe tykanie. Matka panny Greenway, która siedziała w fotelu przy kominku i robiła na drutach, co rusz na niego zerkała.

– Kiedy to dziecko pójdzie w końcu do domu? – zapytała, jakby mnie tam nie było.

Sama się nad tym zastanawiałam.



– Mamo! Musimy zaczekać na jej ojca. – Panna Greenway poklepała siedzisko kanapy. – Czas włączyć telewizor. Chcesz obejrzeć z nami wiadomości?

W jej ustach słowo „wiadomości” zabrzmiało jak „jadą ości”. U nas w domu słuchaliśmy radia.

Na ekranie pojawił się bardzo poważny mężczyzna, mówiący o wojnie, która wybuchła w miejscu o nazwie Wi Et Nam. Pokazywali też straszne zdjęcia okaleczonych dzieci.

– Mów głośniej – fuknęła stara pani Greenway, wymachując laską w stronę telewizora. – Nic nie rozumiem.

– Mówiłam ci, mamo. – Głos panny Greenway był teraz inny. Ostrzejszy. – Musisz iść na badanie słuchu.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi. Panna Greenway zerwała się z kanapy, jakby tylko na to czekała. Zauważyłam, że jej matka spojrzała na mnie ze współczuciem. Zaraz potem usłyszałam głos taty.

Był cichy. Niski. Zbliżał się.

– Ellie?

Mówił nie do mnie, lecz do rdzawoczerwonych zawijasów na dywanie.

– Mama chce cię zobaczyć.

Raz-dwa włożyłam kurtkę.

– Już jej lepiej? – spytałam.

Panna Greenway zakasłała.

– Co powiedział? – wrzasnęła staruszka. – Umarła już?

– Mamo! – Panna Greenway odwróciła się do mojego taty. – Tak mi przykro.

– Umarła? – powtórzyłam. To słowo miało paskudny posmak. – Nie rozumiem.

– Twoja mama chce się pożegnać – wyjaśnił tata.

Głos miał skrzekliwy, jakby w gardle utknęła mu żaba (choć wiedziałam, że to niemożliwe). Jego dłoń w rękawiczce trzymała mnie mocno, kiedy szliśmy podjazdem w stronę naszego domu.

To wszystko było bez sensu.

– Dokąd wyjeżdża? Dlaczego nie możemy jechać razem z nią? I dlaczego mama panny Greenway zapytała, czy już umarła?

Palce taty zacisnęły się jeszcze mocniej. Zabolało, ale nawet nie pisnęłam.

W naszym domu paliły się wszystkie światła. Zupełnie jakbyśmy szykowali się do przyjęcia, tyle że poza nami nie było tu nikogo, oprócz kobiety, której nigdy wcześniej nie widziałam na oczy. Miała na sobie fartuch pielęgniarki, taki sam jak ten, który trzymałam w pudle z kostiumami.

– Pana żona chce ją zobaczyć – powiedziała, chwytając mnie za rękę i ciągnąc po schodach. – Szybko. Zanim będzie za późno.

Wepchnęła mnie do sypialni rodziców. Meble były takie same. Toaletka pod oknem z widokiem na jesion. Wysoka drewniana szafa z sękami, które wyglądały jak twarze (jeden przypominał głowę lwa). Miękkie różowe kapcie mamy, stojące przy łóżku.

Ale wpatrzona w sufit położyła twarz nie należąca do mojej mamy. Podobnie jak chuda pierś, z której przy każdym oddechu wydobywały się dziwne dźwięki. Do kogo należały te czarne, wpatrujące się we mnie oczy? I chude ramię, które uniosło się, a zaraz potem opadło na koldrę?

– Podejdz – wychrypiała. – Połóż się obok mnie.

Kiedy byłam mała, uwielbiałam w niedzielę rano wdrapywać się do łóżka rodziców. Graliśmy w rozmaite gry i opowiadaliśmy sobie różne historie. Aż pewnego dnia tata uznał, że jestem już za duża, i wszystko się skończyło.

Przez jakiś czas brakowało mi tego. Teraz jednak przerażała mnie myśl, że mam się położyć obok tej wychudłej żółtej postaci, która udawała moją mamę.

– Co zrobiłaś z moją mamą? – jęknęłam.

– To nic, Ellie – szepnął tata. – Twoja mama wygląda inaczej, ale w środku jest taka sama. Zrób, o co cię prosi, i połóż się przy niej. Chce cię tylko przytulić.

Zmusiłam się, żeby to zrobić. Pościel wydawała się mokra. Dłoń matki zaczęła głaskać mnie po ręce. Była twarda i koścista.

– Pocałuj mnie, Ellie – wymruczała poząłkła istota.

Siedzący na skraju łóżka tata zachęcił mnie skinieniem głowy. Pochyliłam się nad nią i przytknęłam usta do jej prawego policzka. Był taki zimny.

– Jeszcze raz – wyszeptała.

Nie! Odrzuciłam koldrę i uciekłam. Z ust tej istoty wydobył się szloch, jak gdybym ją skrzywdziła.

– Wracaj tu, Ellie! – zawołał za mną tata.

Zbiegłam po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz, minęłam pielęgniarkę i popędziłam na dwór, w stronę powykręcanej jabłoni o chropowatej korze, gdzie zwykle czytałam. Trzęsłam się tak bardzo, że gałąź, na której siedziałam, również zaczęła się trząść. Łapczywie chwytałam powietrze.

– Ellie?

Tata wyszedł tylnymi drzwiami i zmierzał w moją stronę. Stanął pod drzewem i wyciągnął ręce. Myślałam, że będzie zły, ale jego skąpana w blasku księżycy twarz była gładka, jak wyprasowana żelazkiem.

– Możesz zejść. Już po wszystkich.

*Stoi nade mną z pasem w dłoni.*

*– Jesteś niegrzeczną dziewczynką. Kim jesteś?*

*– Niegrzeczną dziewczynką – powtarzam.*

*– Zupełnie jak twoja matka.*

*Zaciskam usta.*

*– No dalej! – wrzeszczy mój ojciec. – Powiedz to!*

*Ale ja nie zamierzam nic mówić.*

*Kiedy pas opada w dół, mam wrażenie, że skóra mi płonie.*

## 2

*Jo*  
*Bristol*

– Słyszysz mnie pani?

Zrywam się ze snu. Potrzebuję chwili, żeby oprzytomnieć. Rzucił się na mnie, w oczach miał obłąd. Jego ręce na mojej szyi. Paznokcie wbijające się w skórę...

To nie dzieje się naprawdę, powtarzam sobie. Gość, który gapi się na mnie z góry, nie jest człowiekiem z mojego koszmaru. Chociaż on też nie wygląda zbyt przyjaźnie.

– Czas wysiadać. Jesteśmy na miejscu.

Przecieram oczy, oszołomiona ze zmęczenia i gwałtownego wyrwania ze snu. Gdzie ja jestem? Przez minutę wydaje mi się, że to gliniarz, ale potem uświadamiam sobie, że to uniform kierowcy autobusu. Mimo to jestem przerażona. I nie wiem dlaczego.

– Dobrze już, dobrze – mówię.

Podnoszę się i idę między rzędami siedzeń w stronę drzwi. Nie mogę przestać się trząść.

Na zewnątrz widzę tablicę. WITAMY NA DWORCU AUTOBUSOWYM W BRISTOLU. Oddycham z ulgą. Nigdy nie byłem w Bristolu, ale wiem, że jest większy od poprzedniego miejsca. Będzie tu więcej ludzi, więcej miejsc, w których można się przespać i ukryć. I więcej policjantów, ale oni nie przejmują się takimi jak ja, dopóki nie sprawiamy kłopotów. Dość mają pracy. Tak więc przy odrobinie szczęścia nikt mnie nie zauważy.

Prostuję się i sięgam po stos „Big Issue”. Kierowca zasłania ręką nos. Tak, wiem, że śmierdę. Może powinien spróbować, jak to jest nie mieć dachu nad głową i żyć na ulicy. To pewnie jeden z tych, którym się wydaje, że chcemy tak żyć. Chociaż jest w tym ziarno prawdy.

– Niechże się pani ruszy – ponagla mnie. – Niektórzy mają domy, do których chcieliby wrócić.

To musi być przyjemne. Chciałabym, żeby gdzieś ktoś na mnie czekał. Gdzieś, gdzie mogłabym zamknąć oczy i przespać kilka dni.

Potężny brodaty facet chwyta mnie za ramię, kiedy wyskakuję z autobusu. Zamieram.

– Zabierz ode mnie łapy – syczę.

– Chciałem tylko pomóc ci wysiąść, skarbie. Uważaj. Upuściłaś kilka numerów.

O nie. Ktoś zdążył już nadepnąć na ten na samej górze. I ten pod nim. Teraz ich już nie sprzedam.

– Pomogę ci. – Patrzę na ziemię, gdy brodacze zbiera magazyny. – A więc sprzedajesz „Big Issue”? – pyta wścibsko.

Zaczynam drżeć. Zostaw je, upominam się w myślach. Pryskaj stąd, zanim dalej będzie cię wypytywał.

Zanurzam się w tłum i przechodzę przez ulicę tuż przed nadjeżdżającym autobusem. Kierowca trąbi na mnie, ale udaje mi się przebiec. Kluje mnie w piersi. Idę pospiesznie jedną ulicą, potem drugą, gdzie niemal potykam się o leżącą na chodniku potłuczoną butelkę. Na dźwięk syreny wzdygam się przerażona. Oglądam się za siebie, jakbym bała się, że ktoś mnie śledzi. Jakaś kobieta piorunuje mnie wzrokiem. Ma bladą twarz i zapadnięte oczy. Serce wali mi jak szalone. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to manekin na wystawie sklepowej.

Bransoletka na mojej ręce zsunęła się tak nisko, że wystaje spod rękawa. Podciągam ją, żeby nie było jej widać. Myślę o numerach „Big Issue”, które musiałam zostawić. Co za strata. Sporo na nie wydałam. Nie wszyscy wiedzą, że najpierw trzeba za nie zapłacić.

Jestem teraz na innej ulicy, z graffiti na ścianach i szeregiem obskurnych sklepów, z których większość jest zabita deskami. „Skup i sprzedaż biżuterii”, głosi jeden z szyldów. W środku pali się światło.

Ze ladą dzieciak z kolczykiem rozmiarów ogromnej miętówki wbija wzrok w iPada.

– Ile za to dostanę? – pytam nerwowo.

Zerka na mnie.

– Musiałbym ją obejrzeć.

Podciągnęłam bransoletkę tak wysoko, że teraz ledwie daję radę ją zdjąć.

Wstrzymuję oddech, gdy chłopak obraca ją w palcach, ogląda grawerunek po wewnętrznej stronie i waży ją w dłoni.

– Trzydzieści funciaków – mówi w końcu.

– Masz mnie za idiotkę? – warczę. Staram się, by mój głos zabrzmiał pewniej, niż się naprawdę czuję. – To srebro. Jest warta dużo więcej.

Dzieciak mruży oczy.

– Skąd ją masz?

– Dostałam w prezencie.

– Taaa, jasne.

W ustach mam sucho.

– Nie kłamie. Jest moja i mogę z nią zrobić, co chcę.

Ze późno żałuję, że w ogóle tu przyszedłam. A jeśli zadzwoni po gliny?

– I nie chcesz jej zatrzymać na pamiątkę? – Głos chłopaka ocieka sarkazmem. Nachyla się w moją stronę. Skórę ma szorstką, z bliznami po trądziku, a oddech cuchnący jak u psa. – Posłuchaj, skarbie. Każdy, kto tu przychodzi, próbuje mi wcisnąć podobną historyjkę. Muszę być ostrożny. Dam ci najwyżej pięćdziesiąt. Rozumiesz?

Nie mam wyboru.

– W gotówce – mówię słabym głosem.

Wręcza mi pieniądze tak szybko, że od razu wiem, że powinnam była zażądać więcej, i natychmiast wypycha mnie za drzwi. Odwracam się, by powiedzieć, że zmieniłam zdanie, ale na drzwiach pojawia się tabliczka z napisem „Zamknięte”, a światło w środku gaśnie. Drań, potrafił zwęszyć okazję.

Mijając grupkę dzieciaków na chodniku, muskam palcami banknoty w prawej kieszeni. Przez jakiś czas idę przed siebie, nie wiedząc, gdzie właściwie jestem. Przenikliwy wiatr wgrza mi się w kości. Niektóre ulice są bardziej eleganckie od innych. Na jednej niemal wszystkie okna są pozabijane

deskami i wszędzie stoją kubły na śmieci. Przy innej wybudowano duże wytworne domy, przed którymi parkują ekskluzywne samochody.

Widzę neon sklepu całodobowego. Świetnie. Kupuję paczkę bibulek papierosowych Rizla, tytoń i kilka innych rzeczy. Po wyjściu co rusz oglądam się za siebie, tak na wszelki wypadek.

Robi się zimno, zupełnie jakby lato skończyło się z dnia na dzień. Staram się nie myśleć o zimie i o tym, jak ją przetrwam. Mijając drogerię Boots, przypominam sobie Oxfordshire i kobiety, które mi pomogły. Jedna szczególnie zapadła mi w pamięć. Zastanawiam się, co teraz robi. Wyobrażam sobie, jak siedzi z mężem przy stole. Pewnie ugotowała coś wymyślnego, a może zabrał ją do jakiejś eleganckiej restauracji. Może obejrzą coś w telewizji. A później weźmie długą kąpiel z mnóstwem pachnących dodatków i przytuli głowę do miękkiej poduszki. Chcę być taka jak ona. Ale ona i ja? Nie mamy ze sobą nic wspólnego. I nigdy nie będziemy miały.

Mijam kiosk z wiszącym na zewnątrz plakatem.

POLOWANIE NA MORDERCZYNIĘ Z OXFORDSHIRE.

Dostaję gęsiej skórki. Przez sekundę twarz wydaje się znajoma, ale nie potrafię powiedzieć, gdzie ją widziałam.

Kręcę głowę i idę dalej, wciąż myśląc o plakacie.

W pewnej chwili widzę reklamę hostelu. Może jednak jestem szczęściarą. Pchnięciem otwieram drzwi. To niezła nora z brudną białą farbą łuszczącą się ze ścian.

– Mamy komplet – rzuca młoda dziewczyna zza obdrapanego biurka. W języku ma srebrny kolczyk. – Przykro mi.

– Ile za pokój?

– Dwadzieścia, ale mówiłam już, że mamy komplet.

Przywdziewam maskę starej kobiety.

– Proszę, skarbie. Zmarłam, a na dworze jest niebezpiecznie. Chwilę temu ktoś próbował mnie napaść.

Nie jest to prawda, ale mogłaby być.

Dziewczyna się waha.

Chwytam okazję.

– Na pewno macie coś wolnego – mówię błagalnie. – Schówek na szczotki. Cokolwiek. – Łzy napływają mi do oczu.

– Dobrze – rzuca niechętnie. – Może pani spać w naszym zapasowym pokoju. Na końcu korytarza jest wspólna toaleta. Śniadanie nie jest wliczone w cenę.

Prowadzi mnie do pomieszczenia wielkości celi więziennej, bez okna, z wąskim i twardym łóżkiem. Ale przynajmniej mam dach nad głową.

Powinno spać jak zabita, ale całą noc przewracam się z boku na bok, analizując wszystko i próbując zdecydować, co zrobić. Kiedy w końcu udaje mi się zasnąć, znowu śni mi się ten człowiek. „Przeostań!”, próbuję krzyknąć, lecz z moich ust nie wydobywa się żadne słowo. Jego ręce zaciskają się na mojej szyi z taką siłą, że krew tryska mi z ust. Ciało mam sztywne z przerażenia.

Budzi mnie walenie do drzwi.

– Zamknij się! – ryczy ktoś. – Wszystkich pobudzisz.

Nie mogę już zasnąć, więc pakuję rzeczy do torby i wychodzę. Im bardziej zatłoczone miejsce, tym lepiej. Podążając za znakami, kieruję się do „Centrum”. Lawirując w tłumie ludzi spieszących do pracy, oczy mam szeroko otwarte. Nie jestem sama. Dopiero gdy ktoś znajdzie się w takiej sytuacji, uświadamia sobie, ile osób spędza życie, ciągle się ukrywając.

Wystarczy spojrzeć na postać, która kuli się pod szarym kocem, z psem leżącym obok na chodniku. Jaka jest historia tego człowieka? Postać siada. Przeciąga się. Ziewa. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to kobieta.

Siadam obok niej. Patrzy na moją ogoloną głowę. Zakrwawiony policzek. Sama też nie jest piękna z tymi sterczącymi na wszystkie strony włosami.

– Spierdalaj – warczy. – To moje miejsce.

Jej pies, z zawiązaną na szyi żółtą poplamioną chustką, wydaje gardłowy pomruk. Dobra. Zrozumiałam.

Odchodzę pospiesznie, wsuwając rękę do kieszeni, żeby upewnić się, czy nadal mam pieniądze ze sprzedaży bransoletki.

Mijam stragan. Pięć funtów za czapkę! To dużo, ale potrzebuję czegoś na głowę – czuję się obnażona, jakby wszyscy się na mnie gapili. Ostrożnie wytłuskuję banknot, tak żeby gość na stoisku nie dostrzegł pozostałych. Chwilę później naciągam czapkę na czoło i oglądam się za siebie. Nadal nic.

Muszę znaleźć zajęcie na najbliższe godziny. To jest najdziwniejsze w życiu na ulicy. Jest nudne, a zarazem przerażające.

A jednak daje okazję, żeby zobaczyć rzeczy, na które żyjący w ciągłym biegu człowiek nie zwróciłby uwagi. Jak choćby tamta dziewczyna siedząca obok starszej kobiety w ogródku przed kawiarnią. Ma siedemnaście, osiemnaście lat, a głaszcze matkę po włosach, jakby ta była małym dzieckiem. Kiedyś widziałam parę, która urządziła sobie piknik na trawie w parku, choć oboje wyglądali na pokłóconych. W pewnej chwili na kocu przysiadł ptaszek. Chłopak rzucił mu okruszek, a dziewczyna klasnęła w dłonie, jakby zrobił magiczną sztuczkę. Potem wszystko między nimi było już dobrze.

Na minutę zatrzymuję się przy parku z posągami i przyglądam parze, która chichocząc, robi sobie selfie. Młodzieńcza miłość! Rozczula mnie i jednocześnie złości. Mam ochotę podejść do nich i powiedzieć, żeby o nią dbali, bo nigdy więcej nie znajdą drugiej takiej. Bo jeśli tego nie zrobią, ktoś lub coś roztrzaska ją na tysiąc drobnych kawałków.

Idę dalej i schodzę przejściem podziemnym do kamiennego kręgu, gdzie dzieciaki przyjeżdżają na rowerach i palą pety. Jeden drugiemu mówi, że spotkają się później w „Krakowni”. Mam złe przeczucie co do tego miejsca. Dlatego spuszczam wzrok i idę kolejnym przejściem, gdzie pod ścianą leży poduszka, jakby czekała na powrót właściciela.

Kiedy wychodzę na ulicę, zaczyna padać, ale – i tu los się do mnie uśmiecha – stoję naprzeciw kościoła z kamiennym krzyżem na szczycie dachu.

Kiedyś wierzyłam w takie rzeczy, teraz już nie wierzę. Siadam w jednej z bocznych ławek i obserwuję turystów płacących funciaka za świeczkę. Od czasu do czasu ktoś przypadkiem upuści banknot, a wtedy szybko go podnoszę. Pierwszy raz od wielu dni jestem spokojna. Czuję, że opadają mi powieki.

Budzi mnie burczenie w brzuchu. To kolejna rzecz, której uczy życie na ulicy. Człowiek rozumie różnicę między jedzeniem z głodu a jedzeniem z nudów. Widzieliście kiedyś otyłego bezdomnego? Nie sądzę.

Gość na ulicy sprzedaje pączki. Mam ochotę na coś słodkiego. Sięgam do prawej kieszeni i oblewa mnie zimny pot. Gdzie są moje pieniądze? Ktoś w kościele musiał mnie okraść, kiedy spałam. Idiotka ze mnie!

Biegnę z powrotem, przepychając się przez popołudniowe tłumy. Ale kościół jest pusty.

I co ja teraz zrobię? Nie mam pieniędzy na hostel, a nie mogę pójść do noclegowni. Idę przed siebie, aż zaczynają boleć mnie stopy. Z głodu burczy mi w brzuchu, ale idę dalej, bo nie wiem, co innego miałabym robić. Nad moją głową pikuje mewa. Ciężarówka z piskiem opon pokonuje ogromne rondo. Plakaty przed teatrem namawiają mnie na kupno biletu, choć to nie miejsce dla takich jak ja. Pod murem siedzi mężczyzna – ma przed sobą odwrócony kapelusz, na pieniądze. Obok niego leży spleśniały bochenek chleba. Mijam sklep; wystawiona przed nim tablica nawołuje: „Czas na ciastko!”. Chyba śnisz, myślę.

Docieram do rzeki. To pewnie jakaś przystań. W dole pode mną kołyszą się łódki. Patrzę na wodę. Jak by to było wskoczyć do niej i nigdy więcej się nie wynurzyć?

– Nie rób tego – odzywa się zza moich pleców łagodny głos, w którym słyszę irlandzki akcent. – Nie warto.

Odwracam się błyskawicznie. To młody mężczyzna z kartonem, na którym widnieje napis: „Bezdomny i głodny”.

Zwykle stronię od innych, ale po tym wszystkim, co mnie spotkało, wypalam bez zastanowienia:

– Nie mam dokąd pójść. – Pociągam nosem. – Okradli mnie.

Patrzy na mnie współczująco, jakby znał to uczucie.

– Kiepska sprawa – mówi i wyciąga rękę na powitanie. – A przy okazji, mam na imię Paul.

Prawdziwy dżentelmen! Zęby ma zdumiewająco białe i równe. A więc nie jest palaczem ani ćpunem. Zauważam, że rękaw koszuli ma podarty.

– Dokąd idziesz? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Nie masz gdzie spać?

Kręcę głową.

– Ściemnia się. Lepiej, żebyś nie była tu sama. Może pójdziesz ze mną?

– Ha! Nie jestem taka głupia.

– No co ty? – Śmieje się, jakbym powiedziała coś zabawnego. – Mogłabyś być moją matką. Pomogę ci znaleźć miejsce na nocleg.

Waham się. Zimno mi i mam pusty żołądek. Chłopak nie wydaje się niebezpieczny, więc chwilę później podążam za nim chodnikiem wzdłuż rzeki i bocznymi uliczkami.

– Dokąd idziemy?

– Do miejsca o nazwie Stokes Croft. Będzie ci tam dobrze. Wszyscy się tam bujamy.

W okolicy jest mnóstwo pretensjonalnych sklepów, z których wylewa się hałaśliwa muzyka. Ich ściany pokrywa kolorowe graffiti; starannie wykonane obrazki i wyblakłe wiadomości w stylu „Pieprzyć brexit”, napisane czerwoną, niebieską i białą farbą. W końcu docieramy do dużego budynku fabryki z zabitymi oknami, jakby był kompletnie opuszczony, i mnóstwem znaków informujących o zakazie wstępu.

– Z tyłu – podpowiada chłopak. Jest tam wybite okno. – Przeciśnij się do środka. Tylko uważaj na odłamki szkła.



Nie jest to łatwe, ale w końcu mi się udaje.

Prostuję się. Chłopak stoi tuż obok. Nagle rozkłada ramiona, jakby prezentował mi jakiś pałac.

– Witaj u nas – mówi.

### 3

#### *Ellie*

Tu, w więzieniu, śmierć jest częścią naszego życia. Nie mówię o mordercach, a przynajmniej nie o tych, którzy przyznali się do winy. Mam na myśli wewnętrzną śmierć z braku świeżego powietrza, zapachu kwiatów w ogrodzie i objąć ludzi, których kochamy.

Ale przecież nie zasługuję na nic więcej.

Mój tata i ja mieliśmy zobaczyć mamę w miejscu zwanym „zakładem pogrzebowym”. To właśnie tam zabrano ją po tym, jak „odeszła”. Nie bardzo wiedziałam, co to znaczy, ale czułam, że powinnam wiedzieć, więc wołałam nie pytać.

– Dlaczego nie mogła zostać w swoim łóżku, w domu? – spytałam zamiast tego.

Musiałam dwukrotnie powtórzyć pytanie, zanim tata odpowiedział. Może nie miał siły mówić, bo od dawna nic nie jadł, chociaż ludzie dzwoniли do drzwi i przynosili nam zapiekanki z jagnięciną, szarlotki i coś dziwnego o nazwie „fon du”. „Musisz jeść, żeby mieć siłę myśleć”, powtarzała zawsze mama.

– Przedsiębiorca pogrzebowy zadba o to, żeby ładnie wyglądała – odparł w końcu.

– Kto to jest przedsiębiorca pogrzebowy?

– To ktoś, kto... kto opiekuje się takimi ludźmi jak twoja mama.

– Ale przecież mamusia wygląda ładnie – oburzyłam się. – Zawsze jej to powtarzasz. – Mówiłam prawdę. Mama miała miękkie ciemne włosy, a jej skóra pachniała różami. Nagle przypomniałam sobie kolor jej twarzy, kiedy widziałam ją ostatni raz, i coś ścisnęło mnie w piersi, jakby ktoś założył na nią gumkę recepturkę i zaciskał ją coraz mocniej. – Nie obchodzą mnie te żółte plamy. Chcę ją tylko zobaczyć.

– Biedna owieczka – mruknęła panna Greenway, która przyszła pomóc nam „ogarnąć trochę dom”.

Ale tata wyglądał przez okno z taką miną, jakby spodziewał się, że zaraz zobaczy mamę idącą ścieżką w stronę drzwi.

Teraz, kiedy o tym myślę, żałuję, że zabrał mnie, żebym zobaczyła ciało mamy. Czy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo to na mnie wpłynie? W tamtych czasach dzieci rzadko uczestniczyły w pogrzebach, nawet jeśli był to pogrzeb kogoś z rodziców. Ale pomimo tego, co wydarzyło się później, wierzę, że mój tata był dobrym człowiekiem. Przypuszczał pewnie, że pomoże mi to oswoić się ze śmiercią.

Cokolwiek nim kierowało, szczegóły tamtego strasznego dnia na dobre wryły mi się w pamięć. Nawet po tylu latach, siedząc teraz w celi, w kółko je sobie przypominam.

Z zewnątrz zakład pogrzebowy wyglądał jak zamknięty sklep. W książkach, które czytałam, „zakład” był niewielkim pomieszczeniem. Ten wyglądał zupełnie jak dom, z białymi zasłonami w oknie i wazonem z białymi plastikowymi kwiatami, stojącym na stole obok dużego złotego krzyża. Ubrany na czarno mężczyzna zaprowadził nas na tyły domu. Dookoła panowała taka cisza, że słyszałam własny oddech.

Mama miała zamknięte oczy. Jej twarz nie była już żółta. Była biała i lśniąca.

– Co stało się z jej brodą?! – zawołałam.

Miała inny kształt: długi i spiczasty, jak moja twarz w lustrze w wesołym miasteczku, do którego raz zabrali mnie rodzice.

– To mięśnie, skarbie – wyjaśnił człowiek w czerni. – Wiotczącą po śmierci.

– Ale mama nie mogła umrzeć! – wrzasnęłam. – Ona tylko odeszła. Sam tak mówiłeś, tatusiu.

Prawda?

Uczepiłam się ojcowskiego ramienia i rozpaczliwie szarpnęłam go za rękaw.

– Powiedz jej, żeby się obudziła, tatusiu. POWIEDZ JEJ!

Jego głos brzmiał, jakby wyciskano go z niemal pustej tubki pasty do zębów.

– Nie mogę, Ellie. Jej ciało jest zepsute.

– To je napraw – wykrztusiłam przez łzy.

Czy nie naprawił zepsutego bojlera, tak że znowu zaczął działać? Mama zawsze mówiła, że tata „zna się na rzeczy”. Naprawił nawet wieczko mojej pozytywki, kiedy urwało się z zawiasów.

– Czasami, kochanie, ludzi nie da się naprawić. – Po twarzy taty płynęły łzy. Ich widok mnie przerażał. Dorośli nie powinni płakać. To też mówiła mama. – Może to nie był dobry pomysł. – Wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę drzwi.

– Czy ona umarła przeze mnie? – Głos miałam cichy, jakby należał do kogoś innego.

Byliśmy na ulicy i szliśmy w stronę samochodu. Nie mogłam przestać się trząść. Zupełnie jakby jakiś potwór zawładnął moim ciałem i potrząsał nim, tak jak mama i ja potrząsałyśmy galaretką. Nawet zęby mi szczykały.

– Nie! Oczywiście, że nie przez ciebie. Co też w ogóle przyszło ci do głowy, Ellie? – Obok nas z rykiem przejechał motocykl i tata wziął mnie na ręce, żeby bezpiecznie przenieść na drugą stronę ulicy.

– Zdenerwowałam ją – odparłam szeptem.

– Jak to?

– Tamtego dnia, kiedy zapytałam, dlaczego nie może mieć więcej dzieci, a ona rozbila niebieską miseczkę.

– Nie. To nie miało z tym nic wspólnego, Ellie. Mama była chora. Lekarze nie mogli jej pomóc.

– Ale chciała mieć dziecko, prawda?

– Tak. – Pokiwał głową. – Oboje chcieliśmy, żebyś miała braciszka albo siostrzyczkę. Ale się nie udało.

Nie powiedziałam nic więcej, bo nie chciałam go bardziej denerwować. Jednak w głębi duszy znałam prawdę. Zraniłam mamę, mówiąc o tym. Potem zaczęła chorować. I umarła. To musiała być moja wina.

Lata później zobaczyłam na wystawie czarno-białych fotografii w National Gallery pochodzący z czasów edwardiańskich portret dziewczynki w żałobnej sukience. Włosy miała odgarnięte z czoła

czarną aksamitną opaską. Oczy smutne i łagodne. Usta wykrzywione w podkówkę. Roztaczała wokół siebie aurę smutnej rezygnacji. Od razu wiedziałam, co czuła.

Kiedy tak stałam i patrzyłam na to zdjęcie, potrącana przez innych miłośników sztuki, przypominałam sobie pogrzeb mamy. Zobaczyłam siebie, jak stoję nad otwartym grobem, obok tatę ubranego w długi szary płaszcz. W ręce trzymam wczesnego żonkila z naszego ogrodu. Na znak taty wrzucam go do grobu na wieko trumny.

- Dlaczego mama musi tam być? – spytałam wtedy.
- Co powiedziała? – wrzasnęła matka panny Greenway.
- Ćśśś – burknął ktoś.

Po pogrzebie ludzie przyszedli do nas do domu. Była wśród nich matka pewnego chłopca, Petera Gordona, która przyjaźniła się z moją mamą. Ja i Peter bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy młodszy, a później poszliśmy do tej samej szkoły, chociaż teraz rzadko ze sobą rozmawialiśmy. Wszyscy głaskali mnie po głowie. Ktoś obcy mnie przytulił. Czy byłoby dla mnie tacy mili, gdyby wiedzieli, że zdenerwowałam mamę tak bardzo, że w końcu umarła?

Po pogrzebie mamy wszystko się zmieniło. Tata wrócił do pracy, więc panna Greenway odprowadzała mnie do szkoły. „To żaden kłopot, Nigel – zapewniała tatę. – Mówiłam ci już wcześniej. I tak nie mam nic innego do roboty”.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówiła do niego po imieniu.

Panna Greenway wydawała się zdenerwowana w mojej obecności, a gdy przechodziłyśmy przez ulicę, tak mocno ścisnęła mnie za rękę, że niemal sprawiała mi ból. „Jesteś pod moją opieką – powtarzała. – Muszę odstawić cię do domu w jednym kawałku, bo inaczej twój tata nigdy by mi nie wybaczył”.

Wiele mówiła (mama mawiała, że nasza sąsiadka „papie jak najęta”). Zadawała też mnóstwo pytań, na przykład kto jest moim ulubionym aktorem albo co najbardziej lubi jeść mój tata. Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na to pierwsze, ale pamiętałam, że mama często robiła danie, które nazywała „ropuchą w dziurce”. Na samą myśl o tym łzy napłynęły mi do oczu. Tak bardzo za nią tęskniłam.

Pewnego dnia zaczęłam przeskakiwać przez linie między płytami chodnikowymi. Głos mamy powiedział mi, że jeśli nie będę tego robić, mój tata może umrzeć – zupełnie tak jak ona. „Uważaj – ostrzegła mnie panna Greenway. – Bo upadniesz i zrobisz sobie krzywdę”.

Ale ja nie mogłam przestać.

Po szkole szłam z panną Greenway do jej domu, gdzie czekałam, aż tata wróci z pracy.

Z początku nie lubiłam tego, bo jej pomarszczona stara matka pachniała słodkimi perfumami, od których łaskotało mnie w nosie. A kiedy nikt nie patrzył, pokazywała mi język i śmiała się. Raz była głucha, a raz nie. Czasami mówiła cicho, a czasami bardzo głośno. „Mówię ci! – krzyczała do panny Greenway, aż dzwoniło mi w uszach. – Nic dobrego z tego nie wyniknie!”.

Nie wiedziałam, co ma na myśli, ale przestałam zadawać pytania, bo i tak nikt mi nie odpowiadał.

Po nocach dręczyły mnie koszmary i z niewyspania miałam cienie pod oczami.

– Pańska córka potrzebuje więcej świeżego powietrza – orzekł lekarz, do którego tata zabrał mnie w pewien sobotni ranek.

Zbliżało się lato. Trawa pachniała inaczej i zaczęły śpiewać ptaki. Gdy ich słuchałam, przypominałam sobie, jak mama gwizdała różne melodie.

– Jedziemy na wakacje – oznajmił tata.

Raz pojechaliśmy z rodzicami nad morze, do miejscowości o nazwie Devon. Zbudowaliśmy zamek z piasku, z prawdziwymi papierowymi flagami. Teraz jednak nie jechaliśmy na plażę. To była „wycieczka edukacyjna”, podczas której mieliśmy zwiedzić rzymską willę nieopodal Newcastle.

– Posłuchaj, Ellie – powiedział tata. – Rzymianie byli tacy mądrzy, że mieli podziemne ogrzewanie. Mnie jednak zachwyciły mozaiki.

– Tworzyli obrazki z tłuczonego szkła i ceramiki – wyjaśnił tata, zauważając moje zainteresowanie. Znowu pomyślałam o niebieskiej miseczce, którą potłukła mama.

– Chciałabym zrobić coś takiego.

Uśmiechnął się, jakbym powiedziała coś głupiego.

– To nie takie proste.

– Ale gdyby złożyć z powrotem rzeczy, które się potłukły, może znowu by działały? – Poczułam lekkość w sercu, jakby przeniknął do niego promień nadziei.

Tata przestał się uśmiechać.

– Może – odrzekł i przytulił mnie na chwilę. – Pocieszna jesteś.

Kiedy tydzień później wróciliśmy do domu, było już prawie ciemno, ale w oknach naszego domu paliło się światło, a gdy otworzyliśmy drzwi, z kuchni doleciał nas smakowity zapach. Na stole leżała karteczka z napisem: „Kolacja w piekarniku”.

– To bardzo uprzejme ze strony panny Greenway – powiedział tata. – Ropucha w dziurce. Moje ulubione danie!

Później, kiedy skończyliśmy jeść, poszedł jej podziękować. Nie było go tak długo, że zaczęłam się martwić. A jeśli coś mu się stało, tak jak mamie?

Kiedy w końcu wrócił, przytulił mnie i długo nie wypuszczał z objęć. Zobaczyłam, że w oczach ma łzy.

– Co się stało, tatusiu? – spytałam.

Uśmiechnął się, tak jak uśmiechają się dorośli, kiedy udają, że wszystko jest dobrze, chociaż to nieprawda.

– Nic, Ellie. Przysięgam.

Chociaż bardzo tęskniliśmy za mamą, było nam razem dobrze. A przynajmniej tak myślałam. Uwielbiałam siedzieć wieczorami u jego stóp, kiedy przy kominku czytaliśmy książki z biblioteki. Czasami mówił z pamięci wiersze. Jego ulubionym poetą był John Masefield. Ach, jakże uwielbiałam jego opisy morza! Mogłam bez końca słuchać głosu taty.

Graliśmy w chińczyka i w karty, chociaż raz, gdy wyciągnęłam talię do gry w Szczęśliwą Rodzinę i położyłam na dywanie, pokręcił głową.

– Nie sądzę, Ellie. Raczej nie.

Bez słowa schowałam karty. Próbowałam mu to wynagrodzić. Zaproponowałam, żebyśmy zagrali w warcaby, i pozwoliłam mu wygrać.

Tata zawsze pilnował, żebym odrabiała pracę domową i pakowała tornister na następny dzień. Zawsze też dawał mi pieniądze na lunch. Ja pomagałam mu przygotowywać kanapki do sklepu, tak jak robiła to mama.

– Zgrana z nas drużyna, prawda? – powiedział kiedyś. – Mama byłaby z ciebie dumna.

Pospiesznie odwrócił głowę, ale zdążyłam zauważyć, że oczy miał szkliste od łez. Spróbowałam go rozśmieszyć dowcipem, który usłyszałam w szkole.

– Jak najłatwiej zabić strusia?

– Nie wiem, Ellie – odparł łamiącym się głosem, choć usiłował nad sobą zapanować.

– Przestraszyć go na betonie.

I chociaż sama nie rozumiałam, co w tym śmiesznego (nie przyznałam się do tego w szkole, bo inne dzieci powiedziałyby, że jestem głupia), tata się uśmiechnął. I znowu wszystko było dobrze.

Jesienią zbieraliśmy w parku kasztany i pokazałam mu, jak mama nauczyła mnie robić z nich małe ludziki z zapałkami zamiast rąk i nóg. Poprosiłam go nawet, żebyśmy ugotowali coś razem – coś innego, co zawsze robiłam z mamą. Znaleźliśmy jej starą książkę kucharską z jednym z jej ulubionych przepisów. „Specjalne makaroniki mamy”, napisała z boku. Ale kiedy ubiliśmy białka, piana opadła.

– To nic – powiedział radośnie tata. – Kupimy je.

Tylko że to nie było to samo.

– Co zrobimy w święta, Ellie? – zapytał, kiedy na wystawach sklepowych pojawiły się bożonarodzeniowe dekoracje. Nie wyobrażałam sobie świąt bez mamy. – Jeśli chcesz, możemy pojechać do Szkocji, do twojej ciotki. Zapraszała nas.

Nie przepadałam za siostrą mojego taty. Kiedy przyjeżdżała w odwiedziny, powtarzała mamie, że jestem „zbyt dojrzała jak na swój wiek”, cokolwiek to miało znaczyć.

– Wolalabym, żebyśmy zostali w domu. Tylko we dwoje.

Kiedy więc panna Greenway zaprosiła nas, żebyśmy spędzili pierwszy dzień świąt z nią i jej starą matką, spodziewałam się, że tata odmówi. Tymczasem on powiedział, że to bardzo miłe z jej strony i że zastanawialiśmy się, co będziemy robić.

– Niegrzecznie byłoby odmówić – wyjaśnił mi później.

Oznajmił, że musimy się ładnie ubrać. Włożyłam więc granatową aksamitną sukienkę, z której powoli wyrastałam, i pasującą do niej opaskę. Tata włożył swoje najlepsze szare spodnie i golf. Panna Greenway powitała nas w drzwiach, jeszcze zanim zdążyliśmy zapukać. Miała na sobie krótką czerwoną wzorzystą sukienkę, która odsłaniała jej kolana.

– Ooo! Czekoladki! – ucieszyła się, kiedy wręczyłam jej bombonierkę, jak kazał mi tata. – Nie trzeba było. I prezenty! Rozpieszczacie nas.

– Ależ skąd – odparł mój tata. – Jestem ci bardzo wdzięczny za troskę, jaką okazujesz Ellie.

Mówiąc to, szturchnął mnie dyskretnie.

– Tak – powiedziałam szybko, przypominając sobie o dobrych manierach. – Dziękuję.

Weszliśmy do salonu, gdzie starszuszka siedziała w fotelu, robiąc na drutach.

– Widzę, że przyprowadził dziecko – zwróciła się do córki, jakby nie było nas w pokoju. – Udajemy szczęśliwe rodziny, tak?

Panna Greenway oblała się rumieńcem.

– Nie przejmujcie się mamą – szepnęła. – Jest trochę zrzędliva, zwłaszcza po drzemce.

Ale po lunchu, kiedy tata przysnął w fotelu podczas przemówienia królowej, a panna Greenway poszła na górę się odświeżyć, ja wymknęłam się do kuchni. Stara pani Greenway zmywała naczynia. Szyję miała pomarszczoną jak skóra żółwia.

– Mogę pani pomóc? – spytałam uprzejmie.

W odpowiedzi pokazała mi język.

– To bardzo niegrzeczne – powiedziałam.

– Nie bądź głupia, dziewczyno. Próbuję cię tylko rozweselić i rozśmieszyć.

A ja powtórzyłam coś, co usłyszałam kiedyś, jak mama mówiła do taty:

– Okazuje to pani w ciekawy sposób.

Wzruszyła ramionami.

– Może masz rację. – Zaraz potem podała mi ściereczkę z nadrukiem „Pozdrowienia z Lyme Regis”. – Niech tak będzie. A teraz powiedz mi, co wy, młodzi, lubicie robić w tych czasach? – Wzrok miała zamglony. – Kiedy byłam w twoim wieku, jeździliśmy na łyżwach po stawie...

Od tego czasu lubiłam przychodzić z panną Greenway do jej domu, bo mogłam siedzieć z jej mamą, która opowiadała mi różne historie. Zawsze miała przy fotelu duży słoik cukierków toffi.

– Nigdy ich nie jadłaś?! – wykrzyknęła ze zdumieniem, kiedy powiedziałam, że mama nie pozwalała mi jeść słodczy, bo od nich psują się zęby. – W takim razie nie wiesz, co to życie, skarbie. No już, spróbuj.

Były słodkie i pyszne. Gdy jeden przykleił mi się do podniebienia, mama panny Greenway pokazała mi, jak odkleić go palcem.

Latem następnego roku, kiedy miałam osiem i pół roku, tata pewnego dnia wszedł do mojego pokoju.

– Chciałabyś mieć nową mamę? – zapytał.

Gdybym była młodsza, pomyślałabym, że naprawili moją prawdziwą mamę, ale teraz wiedziałam, że to niemożliwe.

– Co masz na myśli?

Twarz mu poczerwieniała, jakby spiekł się na słońcu.

– Poprosiłem pannę Greenway, żeby została moją żoną. Pokocha cię tak bardzo jak ja. Sądzisz, że ty też mogłabyś ją pokochać?

Pomyślałam o tym, jak nasza sąsiadka trzymała mnie za rękę, odprowadzając do szkoły i z powrotem. Jak piekła ze mną ciastka w kształcie motyli i pomagała mi odrabiać lekcje. O tym, że tata wydawał się szczęśliwszy, kiedy była w pobliżu. Chciałam zrobić mu przyjemność. A poza tym, bałam się, że jeśli go zdenerwuję, to umrze, tak jak mama.

– Tak – potwierdziłam. – Oczywiście.

Przytulił mnie mocno.

– Teraz już wszystko będzie dobrze, Ellie.

Uwierzyłam mu.

Frajerka.



*Hiacyntowiec zwyczajny*

*(Hyacinthoides non-scripta)*

*Według zielarzy zapobiega koszmarom.*

*Jednak hiacyntowce są silnie trujące. Niektórzy*

*twierdzą, że człowiek, który włoży wianek*

*z hiacyntowców, będzie mówił wyłącznie prawdę.*



## 4

### *Jo*

Idę za tym kolesiem, Paulem. Przechodzimy przez jedno puste pomieszczenie i drugie. Zaczynam się denerwować. Zimno tu jak w psiarni. „U nas”, powiedział, ale nie widzę nikogo innego. I wtedy się zatrzymujemy. Dostrzegam kobietę – może nieco młodszą ode mnie – siedzącą obok wózka sklepowego pełnego ubrań i koców, jakby woziła ze sobą cały swój ziemski dobytek. Głowa opadła jej na piersi. Wydaje się, że śpi, chociaż prawą rękę trzyma na brudnym kółku wózka, jak gdyby obawiała się, że ktoś może jej go ukraść. Obok kobiety siedzi w kucki kilku mężczyzn, którzy piją alkohol. Dookoła wala się mnóstwo pustych butelek. Jeden z nich wygląda, jakby chciał się na mnie rzucić. Mierzy mnie wzrokiem, który mówi: „I co się, kurwa, gapisz?”.

Gdzieś z kąta dobiega szczekanie psa i chwilę później zauważam kobietę ze sterczącymi włosami, którą spotkałam rano.

– To ty – warczy.

Całą rękę ma wytatuowaną niebiesko-czerwonymi serduszkami, które nachodzą aż na szyję.

– Żadnych kłótni, drogie panie – mówi mój wybawiciel. – Słuchajcie wszyscy, to jest Jo. Czy ktoś może dać jej coś do jedzenia?

Nikt się nie rusza.

– Na litość boską, okażcie choć trochę gościnności. – Paul wrywa bułkę z rąk Sterczących Włosów.

– Wal się! To moje! – wyje kobieta.

Paul rozrywa bułkę na pół.

– Miło jest się dzielić. Przecież wiesz.

Wręcza mi połówkę, a ja odrywam kawałki i wpycham sobie do ust.

– Ledwie dla nas wystarcza – syczy kobieta.

– Gdzie twoje maniery? Daj pani szansę.

Od dawna nikt nie nazywał mnie „panią”.

Chłopak znów na mnie patrzy.

– Nowa na ulicy?

– Nie, ale pierwszy raz w Bristolu.

– Faj – rzuca jakaś damulka z wytwornym akcentem. – Nie lubię, kiedy ludzie mówią z pełnymi ustami.

– Przepraszam. – Niechętnie przełykam ostatni kęs bułki. – Wcześniej spałam w stajniach, dzięki organizacji pomagającej bezdomnym. Rozmawiali z radnymi o tym, żeby znaleźć dla mnie normalny dom, ale się nie udało.

– A przedtem?

Miałam nadzieję, że nie zapyta. Opowiadam nieco łagodniejszą wersję prawdy.

– Trochę siedziałam – wyznaję. – Nic poważnego. Za dilerkę i drobną kradzież. Ale przyzwyczaiłam się do dachu nad głową i regularnych posiłków. Po wyjściu nie jest łatwo, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Jasne, że wiem. To nie w porządku. Powinni byli ci pomóc, kiedy wyszłaś. Pam powie ci to samo. Wskazuje damulkowatą krowę, która ochrzaniła mnie za mówienie z pełnymi ustami.

– Zanim ją przymknęli, była adwokatką. Co to było, oszustwo?

– Pierdol się, Paul.

Mówi, jakby miała to gdzieś.

– A kiedy wyszła, nie miała dokąd pójść. Buchnęła kilka rzeczy, żeby mieć na prochy, i znowu poszła siedzieć. Teraz cieszy się wolnością... dopóki znów jej nie złapią. Jak to nazywasz, Pam?

Kobieta prycha pogardliwie.

– Powolne staczanie się.

Chłopak parska śmiechem.

– Oto cała Pam. Nigdy nie użyje jednego słowa, kiedy może użyć trzech. Stuprocentowa prawniczka. To jej sposób, żeby powiedzieć ci, że upadłaś na samo dno. – Wręcza mi karton, który ma służyć za materac, i trochę gazet. – Masz. Na noc wsadź kilka pod sweter, a resztę połóż na twarz. Zdziwisz się, jak ci będzie ciepło.

– Dzięki – mówię, ale wciąż nie mogę oderwać oczu od tych wszystkich koców piętujących się w wózku sklepowym.

– Nawet nie myśl, żeby buchnąć któryś z nich – uprzedza mnie Paul. – Ona wydrapie ci oczy. Zamiast tego lepiej się napij. – Podaje mi butelkę wódki. – Rozgrzeje cię.

I rzeczywiście, niedługo potem czuję w żyłach ciepło.

– Puść ją w obieg – rzuca siedzący obok facet.

Jest ubrany w prążkowany garnitur, jakby pracował w biurze, ale brzegi nogawek są postrzępione.

Do pomieszczenia wchodzi kobieta z mnóstwem srebrnych kółeczek w brwiach. Niesie naręczę kartonowych pudełek.

– Patrzcie, co zostawili dla nas przy pizzerii!

Robi się zamieszanie. Ludzie tłoczą się wokół niej, wpychają sobie do ust kawałki pizzy. Nawet kobieta od wózka budzi się i dołącza do reszty.

– Zostawcie coś dla nas! – krzyczy jakiś mężczyzna i łokciem odpycha mnie na bok.

Jedzenie znika, zanim zdążę podejść.

Ślina napływa mi do ust. Niemal czuję na języku smak topionego sera i pomidorów skropionych oliwą.

– Ej! – wrzeszczy ten sam mężczyzna. – Ta suka skitrała dla siebie dodatkowy kawałek. Patrzcie, ukryła go pod swetrem.

– Wcale nie – fuka kobieta od wózka.

Widzę błysk metalu.

– Dość! – grzmi Paul.

Jedną ręką wyrывa szczyryk z dłoni tamtego, a drugą sięga do kieszeni swetra kobiety i wyjmuję kawałek pizzy. Ciska go na podłogę i miażdży butem. NIE! Mam ochotę rzucić się na resztki i zdrapać je z podłogi, ale nie chcę wyjść na beczelną.

– Jeśli będziecie zachowywać się jak dzieci, będziecie traktowani jak dzieci – mówi.

Na chwilę zapada cisza. W końcu kobieta ze sterczącymi włosami zaczyna śpiewać *It's a Long Way to Tipperary*.

Wszyscy inni śpiewają razem z nią, a ja tylko siedzę, klaszczę i kołyszę się na boki. Objam się o gościa w garniturze, ale on najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Łapię się na tym, że chichoczę jak podlotek. Śpiew przybiera na sile i stajemy w kole, splatając ramiona.

– Zamknijcie się! – ryczy mój irlandzki przyjaciel. – Chcecie, żeby gliny tu wpadły i nas przepędziły?

Ale oni nie słuchają. Ktoś zaczyna śpiewać od początku. To nasza piosenka.

Uwalniam ręce i zatykam uszy.

– Przeście! – krzyczę. – PRZESTAŃCIE!

Oddech mam płytki.

– Co, do cholery, w ciebie wstąpiło? – pyta kobieta ze sterczącymi włosami.

– Nie słyszeliście, co powiedział? – mówię. – Jeśli się nie zamkniecie, wywalą nas stąd.

– Za kogo ty się masz? – bełkocze ta od wózka. – Czemu tak pocierasz ręce i nucisz pod nosem? Cholernie mnie to wkurza.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Zostaw ją! – krzyczy Paul.

Trzeba przyznać, że ma kawał głosu. Wszyscy rozpierzchają się na swoje dawne miejsca. Kładę się na kartonie i podciągam nogi pod brodę. Niektórzy tulą się do siebie, żeby było im cieplej. Ja jestem sama. Ale to nic. Przywykłam do tego.

Nie ma innego wyjścia.

## 5

### *Ellie*

Na ślubie taty byłem dziewczynką sypiącą kwiatki. Miałam na sobie śliczną jasnorożową sukienkę, którą panna Greenway uszyła z czegoś, co nazywała „wykrojem krawieckim”, i trzymałam bukietek kremowych róż. Wszyscy na mnie patrzyli, przez co czułam się całkiem dorosła. Niedługo miałam skończyć dziewięć lat! To miały być moje drugie urodziny od śmierci mamy. Czasami myślałam, że może wcale nie umarła, tylko wyjechała na jakiś czas. Teraz wiem, że w ten sposób mój umysł próbował chronić mnie przed prawdą.

Jako dorosła kobieta rozumiem, dlaczego ojciec postanowił powtórnie się ożenić niespełna dwa lata po śmierci mamy. Jestem pewna, że poniekąd zrobił to, żeby stworzyć dla mnie dom. No i chyba czuł się samotny. W końcu miał dopiero około czterdziestu pięciu lat. Ale w tamtym czasie czułam się zagubiona. Panna Greenway bardzo różniła się od mojej mamy. I nie chodziło tylko o jasne włosy czy dźwięczny głos ani o to, jak trzymała mojego tatę za rękę – jakby w bezustannej obawie, że mogłaby spaść z klifu. Nie chodziło nawet o sposób, w jaki zaczęła zmieniać głos, tak że podczas ceremonii jej „tak” zabrzmiało bardziej jak „taak”. Nie, problem polegał na tym, że nie była moją mamą.

Pewnego dnia wszyscy mieliśmy trafić do nieba. Tego uczyli nas w szkole. Kiedy więc widziałam, jak przy ołtarzu tata całuje pannę Greenway w usta, zastanawiałam się, co powie moja mama, kiedy i my tam trafimy. Wszystko to było takie pogmatwane...

Kiedy wyszliśmy z kościoła, uważałam, żeby omijać linie na chodniku. „Widzisz – zwróciłam się do głosu mamy w mojej głowie – nie zapomniałam”.

Po ślubie odbyło się przyjęcie w dużym hotelu, gdzie kelnerzy otwierali przede mną drzwi, jakbym była dorosła! Byli wujek i ciocia ze strony taty, ale nie było nikogo ze strony mamy. Siedzieliśmy przy stole na końcu sali i jedliśmy danie o nazwie „koko wan”, a potem pyszny deser czekoladowy.

– Teraz będziesz musiała mówić do mnie „mamo” – powiedziała nowa żona mojego taty i mnie przytuliła.

Jej policzek dotykał mojego. Był miękki i obwisły i nie pachniał jak policzek mojej mamy.

Naprawdę? Spojrzałam pytająco na tatę.

– Sheila ma rację – przyznał, choć w jego głosie pobrzmiewała niepewność.

Nadal trudno było mi myśleć o panie Greenway jak o „Sheili”, a co dopiero „mamie”. Ale nie chciałam sprawiać kłopotów. Musiałam być grzeczną dziewczynką, która nie zrobi ani nie powie nic, co mogłoby kogoś urazić.

– He, he! – Siedząca z nami przy stole stara pani Greenway zarechotała. – Też mi matka!

– Mamo – upomniwała ją panna Greenway. Dwie czerwone plamy wykwitły jej na policzkach. – Spróbuj się opanować. Nie masz przypadkiem dość szampana?

– Bzdura. Nalałam trochę dla dziewczynki. Proszę, Ellie. Napij się. Nie co dzień człowiek dostaje nową matkę.

– Właściwie, Eileen – odezwał się tata – wolałbym, żeby moja córka nie piła alkoholu. Jest za młoda.

– To lepiej, żeby korzystała z życia, prawda? – Staruszka pokręciła głową. – Albo zanim się obejrzy, będzie za stara, jak moja córka. Wierzcie mi lub nie, ale nie sądziłam, że znajdzie sobie męża. Mimo wszystko szybko się uwinęła. Prawda, Sheila?

O co chodziło z tym uwinięciem się?

– Myślę, że wszyscy powinniśmy trochę ochłonąć – powiedział tata. Miał twarz, którą moja mama nazywała „ściągniętą”. To zwykle znaczyło, że był z czegoś niezadowolony. – Cudownie, jest już jedzenie.

– Najwyższy czas! Konam z głodu. I to ma być pięciogwiazdkowy hotel? Zawsze uważałam, że to miejsce jest zbyt nadęte. Trochę jak moja córka, która udaje wytworną, żeby nie narobić wstydu swojemu nowemu mężowi.

– Mamo! Dość tego.

– Mimo to nie pogardzę dodatką weselnego tortu. – Po tych słowach staruszka zaczęła w pośpiechu zjadać drugi kawałek, jakby się bała, że ktoś go jej zabierze.

– Przepraszam, Ellie – szepnęła panna Greenway, wyglądając swoją długą białą suknię. – Mama jest odrobinę za bardzo podekscytowana i opowiada głupoty.

– To nic – odparłam z zakłopotaniem.

– Mówiłam szczerze, moja droga. Naprawdę chcę, żebyś nazywała mnie „mamą”. Zawsze pragnęłam mieć taką córeczkę jak ty. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Myślę, że za długo zwlekałam z założeniem rodziny. – Mocno ścisnęła mnie za rękę. Zabolalo, ale nie cofnęłam dłoni. – Jestem taka szczęśliwa.

Sheila zamieszkała z nami, podobnie jak pani Greenway.

– Dlaczego nie może zostać w swoim domu? – spytałam.

– Bo nie czuje się na tyle dobrze, żeby twoja mama mogła zostawić ją samą – odparł tata.

Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie, że miał na myśli Sheilę.

– Twoja mama poważnie podchodzi do swoich obowiązków – dodał. – To jedna z rzeczy, które w niej lubię.

Mówił tak, jakby moja prawdziwa mama tego nie robiła. Poczułam się urażona w jej imieniu.

– Jakich obowiązków? – zapytałam.

Tata przestąpił z nogi na nogę.

– Na przykład... hm, opiekowania się ludźmi, którzy są od niej zależni.

Jak pani Greenway? Moim zdaniem pani Greenway nie była zależna od nikogo. Miała na piętze własny salon, gdzie całymi dniami grał głośno telewizor. Oglądała zabawne programy, takie jak *The David Nixon Show* (dzięki któremu wierzyłam, że magia naprawdę istnieje!), a nie te poważne, jak *Tomorrow's World* czy wiadomości, które lubił tata. Czasami kuciałam za drzwiami i słuchałam jej telewizora. Wolałam to, niż siedzieć z tatą i Sheilą, którzy przytulali się i szepotali do siebie, aż w końcu mówili mi, że czas iść do łóżka.

Właśnie to robiłam pewnego wieczoru, kiedy staruszka otworzyła nagle drzwi i mnie przyłapała.

– Równie dobrze możesz wejść – mruknęła. – Na co czekasz?

Od tej pory stało się to naszym zwyczajem. Przysiadaliśmy obok niej na małej kanapie z poduszkami ozdobionymi wizerunkami toreadorów. Z dumą oświadczyła mi, że kupiła je w Hiszpanii, gdzie była na wczasach. Mówiła też rzeczy, których nie rozumiałam.

– Uwważaj na moją córkę. Zgrywa słodką i milutką. Ale jak nie będziesz robiła tego, co chce, naskoczy na ciebie i...

Urwała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– I co?

– Nic, dziecino. – Poklepała mnie po ręce. – Zapomnij, że to powiedziałam.

W tamtym czasie nie przywiązywałam większej wagi do naszych rozmów. Tata mówił, że pani Greenway „fantazjuje”. Poza tym mama, jak próbowałam nazywać nową żonę taty (słowo „mamusia” nie przeszłoby mi przez gardło), była dla mnie naprawdę miła. Kupowała mi nowe ubrania – najbardziej lubiłam śliczną czerwoną sukienkę w białe kropki. Często dawała mi też słodycze, na przykład batoniki czekoladowe z kawałkami owoców i orzechami, i mnie przytulała.

Czasami w nocy, kiedy się modliłam, ogarniało mnie poczucie winy.

– Panie Boże, proszę, powiedz mamusi, że zawsze będę kochała ją najbardziej.

Miałam tylko nadzieję, że dotarły do niej te wiadomości.

(Pewnego dnia, kiedy pozwolono nam wejść do więziennej kaplicy, odmówiłam tę samą modlitwę).

W weekendy, gdy tata był w domu, wyjeżdżaliśmy na rodzinne przejażdżki. To znaczyło, że pani Greenway i ja siedziałyśmy z tyłu, jedząc toffi, które wyjmowała z kieszeni i podawała mi ukradkiem, a moja nowa mama siedziała na fotelu pasażera obok mojego taty – kierowcy.

Od czasu do czasu chodziliśmy na spacer do lasu i wtedy zrywałałam kwiaty. Później wkładałam je między stronicę *Encyklopedii dla dzieci*, tak jak nauczyła mnie moja prawdziwa mama. Następnie, tak jak kiedyś, klejałam je do albumu i sprawdzałam ich nazwy w moim zielniku. Pod koniec lata i jesienią moja prawdziwa mama i ja zbierałyśmy jeżyny i gotowałyśmy je w wielkim rondlu, a ja patrzyłam zafascynowana, jak precedzała je przez muslinową ściereczkę przywiązaną do nóg odwróconego taboretu. Ale kiedy spytałam nową mamę, czy mogłybyśmy tak zrobić, wybuchła śmiechem, jakbym powiedziała coś bardzo głupiego.

– Nie należę do kobiet, które robią dzemy – odparła.

O dziwo, teraz, kiedy z nami zamieszkała, nie piekła już ciast. Skończyły się ciasteczka w kształcie motyli, zapiekanki pasterskie i ropuchy w dziurce. Zamiast tego jedliśmy paluszki rybne Captain Birdseye i nowy deser o nazwie Mrożona Rolada, bo tak było „prościej”.

Czasami, w słoneczne dni, szliśmy do pubu, gdzie mój tata i nowa mama wchodzili na drinka, a pani Greenway i ja siedziałyśmy w ogródku, pijąc lemoniadę i zajadając frytki.

– Niedługo to się skończy – oznajmiła w pewien weekend staruszka, wskazując palcem moją nową mamę, kiedy ta, uczepona ramienia mojego taty, wchodziła do pubu.

– Dlaczego?

Podobnie jak pani Greenway przeżuwała ostatnią frytkę. Obie stwierdziłyśmy, że chętnie zjadłybyśmy jeszcze, ale żadna z nas nie miała pieniędzy.

– Dlatego, że jest przy nadziei.

– Nadziei na co?

– Och, moja droga. Nieważne. Wkrótce się dowiesz.

Tego wieczoru przy kolacji, zanim tata wrócił do domu, moja nowa mama piąty raz z rzędu podała paluszki rybne.

– Przepraszam – powiedziałam, rozgrzebując jednego widelcem. – Mam ich dość.

Myślałam, że powie, żebym się nie martwiła i że zamiast tego zrobi mi coś innego. Ale ona spojrziała na mnie z dezaprobatą.

– W takim razie, młoda damo, pójdiesz spać bez kolacji. Podczas wojny nie mieliśmy takich przysmaków. Możesz uważać się za szczęściarę.

Tej nocy, kiedy za oknem wyl zimowy wiatr, tata jak zawsze przyszedł utulić mnie do snu.

– Chciałem ci coś powiedzieć.

– Chodzi o paluszki rybne? – zapytałam nerwowo.

– Nie. Dlaczego? A co z paluszkami?

– Nieważne – odparłam pośpiesznie.

Znowu spróbowałam. Kiedy mieszkaliśmy sami, często graliśmy w zgadywanki. Tata powtarzał, że jestem „bystrą dziewczynką”.

– Chodzi o to, że jest przy nadziei?

Tata wyglądał na zaskoczonego.

– Wiesz o tym?

– Pani Greenway mi powiedziała. Ale nie wyjaśniła, co to znaczy. Ma nadzieję, że dostanie prezent?

Uśmiechnął się.

– W pewnym sensie tak! Spodziewa się dziecka, Ellie. Będziesz miała braciszka albo siostrzyczkę. Czy to nie wspaniałe?

Wyskoczyłam z łóżka i objęłam go za szyję. W końcu będę miała się z kim bawić. I będę mogła w tym domu rozmawiać z kimś, kto nie jest starszy ode mnie. Będę jak inne dziewczynki w szkole.

– Dziękuję, tatusiu! Dziękuję.

Dopiero później, gdy odmawiałam modlitwę, zrobiło mi się smutno. Moja prawdziwa mama tak bardzo pragnęła dziecka.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz – szepnęłam w mrok. – Nadal ciebie kocham najbardziej. Przysięgam z ręką na sercu.

*Kiedy przychodzę do szkoły, krew dalej leci mi z nosa. Kilka tygodni temu przyszłam z siniakami na ręce, a gdy nauczycielka zapytała, co mi się stało, odparłam, że przewróciłam się w parku. Dziś mówię, że podrapał mnie kot, chociaż nie wolno nam trzymać zwierząt w domu.*

*Mówią, że muszę zadzwonić do jakiegoś pracownika opieki społecznej.*

*To miła pani o imieniu Jill. Zostaje wywołana z sali, żeby z nią porozmawiać. Mówię jej o innych rzeczach, które robi mi tata, i o tym, że mama nie próbuje go powstrzymać, bo się go boi.*

*Pani Jill zapewnia mnie, że teraz jestem bezpieczna. Nie muszę się już martwić, bo nikt nigdy więcej nie zrobi mi krzywdy.*

*Może to znaczy, że dostanę podwieczorek. Nie mogę spać w nocy, kiedy jestem głodna.*



## 6

### Jo

– Jo?

Nie widzę twarzy, ale skądś znam ten głos.

Otwieram usta, żeby krzyknąć: „Pomocy”, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Silne ręce zawiązują mi wokół szyi coś długiego i szorstkiego i mocno zaciskają. Nie mogę złapać tchu. A więc to koniec, myślę. Czuję się prawie spokojna. Czyli tak wygląda śmierć.

I nagle coś dźga mnie w żebra.

– Zamknij się, paniusiu. Niektórzy próbują spać.

Otwieram oczy i zalewa mnie fala ulgi. To tylko ten sam stary koszmar. „To nie dzieje się naprawdę – powtarzam sobie w kółko. – To nie dzieje się naprawdę”.

Ale moje ciało nie ma takiej pewności. Nie przestaje drżeć, chociaż sama nie wiem czemu. Zupełnie jakby mój umysł wiedział coś, czego nie wie reszta mnie.

Nie zasnę już, bo mój koc z gazet jest mokry od rosy. Podchodzę do wybitych okien fabryki, przeciągam się i patrzę w niebo. Przecinają je różowe smugi. Może i jestem w samym centrum dużego miasta, ale w tej chwili słyszę tylko przejeżdżający nieopodal samochód albo motocykl.

I nagle rozlega się ryk syreny. Wracam pędem na swój kartonowy materac, zwijam się w kłębek, usiłując opanować drżenie, i leżę tak do czasu, aż inni zaczynają się wiercić na posłaniach.

– Przez te twoje koszmary budziłaś nas całą noc – mruczy dzieciak z zielonymi włosami.

Ciarki przebiegają mi po plecach.

– Co mówiłam? – pytam.

– Nie wiem. Bełkotałaś coś.

– Przestańcie się klócić – odzywa się drobna, przypominająca ptaka kobieta, której wcześniej nie zauważyłam. Palcami przeczesuje pasma długich włosów. – Nie mogę się doczekać, żeby się stąd wynieść. Już niedługo. Jestem na liście. Niedługo znajdą coś dla mnie.

– Powtarzasz to od miesięcy – prycha mężczyzna w garniturze.

Paul stoi nade mną. Dziś wydaje się inny.

– Zbieraj się, Jo – rzuca ostro. – Czas iść.

– Dokąd?

– Zaczniemy od toalet na dworcu autobusowym. Kosztują dwadzieścia pensów. Umyjesz się przed pracą.

– Ale ja nie mam pracy. Kiedyś sprzedawałam „Big Issue”...

– Zapomnij o tym – przerywa mi ładna dziewczyna o śniadej cerze. – Już i tak jest ich za dużo.

Paul otacza ją ramieniem.

– Faduma woli wykorzystywać swój urok, prawda, skarbie? Umaluj się trochę. Grzeczna dziewczynka. Może poduczyłabyś Jo?

Dziewczyna patrzy na mnie z pogardą.

– Chyba zgłupiałeś. Faceci nie chcą starych bab z obwisłymi cyckami.

– Tylko nie... – zaczynam.

Mój irlandzki przyjaciel staje między nami.

– Nie zrozum źle Fadumy. Taka już jest.

– Nie jestem dziwką – rzucam.

Paul mruży oczy.

– A ja nie jestem alfonsem. Masz tupet, że to mówisz po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. – Grozi mi palcem. – Faduma by się nie sprzedawała, prawda?

– Nie ma, kurwa, mowy – syczy dziewczyna. – Ale nie trzeba dotykać ludzi, żeby nakłonić ich do płacenia.

Nie rozumiem.

– Może wydaje się jędzowata, ale wierz mi lub nie, Faduma potrafi być czarująca. Wykorzystuje swój wygląd, żeby zmiękczać ludzkie serca. – Paul mówi to, jakby był jej właścicielem. – Prosi przechodniów, żeby dali jej funciaka na „autobus do pracy”. Wystarczy, że codziennie znajdzie się kilku jeleni.

Sprytne.

Taksuje mnie wzrokiem.

– Ale ty lepiej zajmij się starym dobrym żebraniem. Ludzie dadzą ci pieniądze, bo będziesz im przypominała ich matki, tak jak mnie przypominasz moją. Musisz tylko znaleźć sobie miejsce niedaleko autobusów i wystawić tabliczkę. Masz. Zrobiłem ją dla ciebie.

Nie ma mowy, żebym to zrobiła. Ci wszyscy ludzie...

Wręcza mi kartonową tabliczkę, na której tłustymi drukowanymi literami jest napisane: **EMERYTKA. GŁODNA I BEZDOMNA. PROSZĘ, POMÓŻ!**

Paul uśmiecha się szeroko, zadowolony z siebie.

– Z tym wiekiem to był strzał. Zgadłem?

– Nie, kurwa, nie zgadłeś! Nie jestem taka stara.

– Och, wybacz. W takim razie lepiej to zmieńmy. Nie lubię kłamać.

Kobieta ze sterczącymi włosami i psem parska pogardliwie.

– Poważnie, Paul? – rzuca.

– Dość tego. Wierzę w nią. – Dotyka mojego ramienia, jakbyśmy znowu się kumpłowali. – Dawno już nie było z nami dojrzałej babeczki. One zawsze potrafią wzbudzić litość. – Znów na mnie patrzy. – Dobra, oto zasady, Jo. Nie zdejmuj czapki. Ogolona głowa nie wzbudza zaufania. Kiedy ktoś da ci jedzenie, możesz trochę zjeść, ale większość musisz przynieść tutaj, żebyśmy mogli się nim podzielić. Wszystkie pieniądze trafiają tutaj. Tak działamy. Nie próbuj niczego schować. Będziemy cię sprawdzać. – Poklepuje mnie po plecach. – A teraz zmykaj. I pamiętaj, żeby się najpierw umyć. Nikt do ciebie nie podejdzie, jak będziesz cuchnęła.

Zeszytniała z zimna i głodu, włokę się w stronę dworca autobusowego, co rusz oglądając się przez ramię. Nie wiem, co robić. Czuję się bezpieczniej, gdy mam przy sobie kogoś takiego jak Paul, ale nie chcę żebrać. Serce wali mi jak szalone, gdy zauważam wysokiego mężczyznę, który za mną idzie. Na

szczęście w pewnym momencie skręca w inną stronę. Jest wczesny ranek i niebo nadal ma odcień ciemnego różu. Tłumy ludzi wysiadają z autobusów albo pędzą po chodnikach, wszyscy wyszykowani do pracy. Ileż ja bym oddała za dobrą posadkę w ciepłym biurze. Wracam do miejsca, gdzie wczoraj wieczorem wysiadłam z autobusu.

Jakaś kobieta próbuje wepchnąć do autobusu wózek z rozwrzeszczanym dzieckiem.

– Pomóc ci, skarbie? – pytam, ale ignoruje mnie, jakby w ogóle mnie tam nie było.

Przemykam z pochyloną głową. Mijam stragan z kawą i rogalikami. Ślina napływa mi do ust. Na ścianie widnieje napis: ZAKAZ WYZYSKU I HANDLU LUDŹMI.

W końcu znajduję toalety. Strasznie chce mi się sikać. Rano nie mogłam się zmusić, żeby kucnąć w kącie, jak pozostali. Razem ze mną do toalety wchodzi napuszona paniusia w eleganckiej granatowej garsonce. Zerka na mnie z ukosa, jakby pytała: „A ty tu czego?”

Dobrze jest posiedzieć chwilę samej na prawdziwym sedesie. W końcu idę do jednej z umywalk. Gorąca woda! Ależ cudownie! Ochlapuję twarz, wyciskam na dłoń trochę mydła, rozprowadzam na głowie, zmywam ją i splukuję. Bosko.

– Przepraszam – odzywa się paniusia. – Ale chyba nie powinna pani tego robić.

Za późno. Już zrobiłam. Zdejmuję kurtkę i koszulkę, którą mam pod spodem, wyciskam mydło na dłoń i myję się pod pachami.

Dziewczyna przy umywalce obok odsuwa się ode mnie. Wsuwam głowę pod suszarkę – może i nie mam włosów, ale to przyjemne uczucie – ubieram się i wchodzę do jednej z kabin. Może posiedzę tam przez kilka godzin i wymyślę, co robić. Nie ma mowy, żebym zebrała, tak jak chce tego Paul. Tabliczkę, którą mi dał, wyrzuciłam do kosza.

Po jakimś czasie słyszę niezadowolone głosy.

– Jedna z kabin jest cały czas zajęta.

Ktoś wali do drzwi.

– Proszę się pospieszyć!

Siedzę cicho. Mija godzina, może dwie, a ja przysypiam w ciepłej kabinie.

I nagle się zaczyna.

Pod drzwiami pojawiają się czarne wyglansowane buty. Ktoś znowu wali do drzwi. Zaczynam się trząść.

– Wszystko w porządku?

Słyszę dźwięk, jakby ktoś klękał na podłodze.

Zaraz potem widzę ramię w czarnym mundurze.

To policja!

– Lepiej wyważmy drzwi i zobaczymy, czy nic jej nie jest.

Nic nie wymyślę. Będę musiała otworzyć.

– Nic mi nie jest – mówię. Naciągam czapkę i otwieram drzwi. – Mam biegunkę, to wszystko.

Policjantka patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Czyżby? A ja mam wrażenie, że ukrywa się pani przed czymś albo przed kimś.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Po co ta agresja?

– Nie jestem agresywna – mówię i zaciskam pięści.

– Jak się pani nazywa?

– Do czego pani moje nazwisko? Nic nie zrobiłam.

Gapi się na mnie, jakby już gdzieś mnie widziała.

– Chyba pojedziemy na komisariat i sprawdzimy pani tożsamość. Proszę za mną.

Ludzie stoją w kolejce i gapią się na nas. Gardło mam ściśnięte z przerażenia. Muszę się stąd wydostać.

– Puśćcie ją – odzywa się jakaś kobieta. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że należy do grupy Paula. – Dajcie jej spokój. Przecież mówi, że nic nie zrobiła.

Do jej głosu dołączają inne. Robi się zamieszanie. Policjantka traci pewność siebie. Widząc to, wykorzystuję okazję i rzucam się do ucieczki. Przebiegam na drugą stronę głównej ulicy. Mijam kafejkę i biurowce. Przede mną jest park. Właśnie tego mi trzeba. Może tam się ukryję.

Nie pytajcie mnie dlaczego, ale jestem pewna, że od tego zależy moje życie.



*Głóg jednoszyjkowy (Crataegus monogyna)*

Od dawna kojarzony z płodnością.

W pierwszy dzień maja młode kobiety zrywały

kwitnące gałązki i trzymały je przy sobie,

żeby zwrócić na siebie uwagę przyszłych mężów.

Znany również jako drzewo ochronne, dające

ośłonę w czasie burz.

## 7

### Ellie

Czas płynie tu powoli. Każda odmierzona minuta wyrwa się ku wolności – albo i nie. Wielu dorosłych tak ma, nie tylko ci, którzy siedzą w więzieniu. Ale kiedy jesteś dzieckiem, czas płynie inaczej. Patrząc wstecz, mam wrażenie, że niekiedy moje życie zbijało się w małe, intensywne fragmenty, jak wtedy, gdy zmarła moja mama. Kiedy indziej czas gnał jak szalony, jak wówczas, gdy moja nowa mama była w ciąży. Dziecko potrzebuje dziewięciu miesięcy, żeby urosnąć, ale w tamtym czasie miałam poczucie, jakby wszystko wydarzyło się w ciągu kilku tygodni. Dopiero gdy byłam starsza, uświadomiłam sobie, że Sheila musiała już być w ciąży, kiedy brali ślub.

Ku mojej radości mogłam pomagać nowej mamie w przygotowaniach do przyjścia dzidziusia na świat. Pierwszy raz, odkąd się pobrali, pozwolono mi wejść do ich sypialni. Stara drewniana szafa zniknęła, a na jej miejscu stała nowa, z przesuwными lustrzanymi drzwiami. Śliczna wiktoriańska toaletka mamy została usunięta, a razem z nią wszystkie zdjęcia i bibeloty. Zamiast niej pojawił się pasujący do szafy biały stolik z lustrem, które odchylało się w przód i w tył. (W więzieniu nie możemy mieć luster, żeby odłamkami nie zrobić krzywdy komuś albo sobie).

Ale rzeczą, która najbardziej przyciągała moją uwagę, było nowe, wielkie łóżko przykryte rdzawoczerwoną narzutą z czegoś, co mój tata nazywał „pluszem”. Dziwnie było myśleć, że tata co noc kładzie się w tym łóżku z kobietą, która nie jest moją mamą. Była tu także komoda i reklamówki pełne malutkich ubrań dla dziecka. Moim zadaniem było poukładać je w szufladach.

– Dziękuję, Ellie – powiedziała Sheila. – Świetnie się spisałaś.

Zaraz potem wyjęła je i poukładała na nowo. Kiedy skończyła, wyglądały tak samo, ale ona wydawała się szczęśliwsza.

– Nie wkurza cię, że będą mieli dziecko? – spytała jedna z moich koleżanek w szkole.

– Dlaczego miałoby mnie wkurzać?

– Bo to znaczy, że to robili. – Zachichotała.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiesz? – wtrąciła ze śmiechem inna dziewczyna.

Nie chciałam wyjść na idiotkę, więc udałam, że już załapuję.

– A, to – rzuciłam bez troski. – Jasne, że wiem.

Ale nie wiedziałam.

Aż pewnego dnia na lekcji biologii nauczycielka oznajmiła, że będziemy się uczyć o „rozmnażaniu”. W klasie rozległy się śmiechy.

– Twój tata i nowa mama wiedzą wszystko na ten temat – szepnęła moja koleżanka, którą powoli przestawałam lubić.

Wszyscy usiedliśmy przed dużym ekranem, oświetlonym tak, że czuliśmy się niemal jak w kinie. Kiedyś w soboty tata zabierał mnie na popołudniowy seans do kina Odeon, ale nie byliśmy tam od wieków. Teraz na ekranie w klasie pojawił się duży rysunek czegoś, co wyglądało jak cebulka. Dawno temu, kiedy jeszcze moja prawdziwa mama czuła się dobrze, jesienią sadziłyśmy cebulki, z których wiosną wyrastały zielone kielki.

– To macica – powiedziała nauczycielka. – Znajduje się w kobiecym brzuchu.

Następnie na ekranie pojawiło się zdjęcie małej rybki, którą pani nazwała „plemnikiem”.

– Produkują je mężczyźni. Wiele plemników wpływa do pochwy, ale tylko jeden zapładnia jajeczko. To znaczy, że tworzy się nowe życie. Tak powstają dzieci.

W klasie rozległy się chichoty. Nic z tego nie rozumiałam. Musiałam zapytać.

– W jaki sposób te rybki dostają się do macicy?

Niektóre dziewczynki miały miny, jakby też nie wiedziały, ale moja koleżanka szturchnęła mnie w żebra.

– Tak się dzieje, kiedy mężczyzna i kobieta uprawiają seks, głupia – syknęła. – Tak jak twój tata. Moja mama mówi, że to ohydne, że zrobił to tak szybko po śmierci twojej mamy.

Czy tak było? Dlaczego?

Tego wieczoru poszłam na górę do pani Greenway i powtórzyłam jej tę rozmowę. Miałam nadzieję, że powie mi, że moja koleżanka jest głupia. Tymczasem ona milczała przez kilka minut, chociaż w telewizji leciał jej ulubiony serial *Coronation Street* (odcinek, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Zawsze oglądała albo to, albo *Crossroads*. Nie mogłam zdecydować, który serial lubię bardziej).

– Niektórzy mogą mówić, że twój tata za szybko znalazł sobie nową żonę – odezwała się w końcu. – Ale minęły prawie dwa lata, a poza tym był samotny. Mężczyźni nie radzą sobie z samotnością. Potrzebował kobiety, żeby się tobą opiekowała. Moja córka też potrzebowała męża. Jej zegar biologiczny tykał. A ona rozpaczliwie chciała mieć dziecko.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówiła tak dużo takim poważnym tonem; zwykle, rozmawiając ze mną, rechotała ze śmiechu.

Po chwili westchnęła.

– Myślała, że jest już za późno, aby miała własne dziecko. Dlatego nie była dość ostrożna.

– Jak to?

– Nic, nic. – Pokręciła głową. – Nie słuchaj mnie. Twój ojciec ma rację. Powinam trzymać język za zębami. A teraz co powiesz na to, żebyśmy coś zjadły?

Wstała i podeszła do lśniącego złotego stolika na kółkach, gdzie trzymała filiżanki, czajniczek do herbaty i śliczną puszkę na ciastka ze zdjęciem kotka na wieczku. Otworzyła ją z trudem.

– Cholerny artretyzm – mruknęła.

– Pomóc pani?

– Dziękuję. Dobra z ciebie dziewczynka. – Kiedy zajadałyśmy herbatniki w czekoladzie, poklepała mnie po ręce. – Tkwimy w tym razem, ty i ja. Miejmy nadzieję, że jak dziecko się urodzi, wszystko będzie dobrze.

– A dlaczego miałoby być inaczej? – spytałam, gdy wróciłyśmy na kanapę, żeby pooglądać telewizję.

– Zobaczysz, wszystko się zmieni.

– Nie rozumiem.

Znów poklepała mnie po ręce.

– Nawet gdybyś rozumiała, żadna z nas nie mogłaby nic zrobić. Tylko nie mów nic ojcu, bo obie narobimy sobie kłopotów. A teraz ćśś. Reklamy się skończyły. Przecież nie chcemy niczego przegapić, prawda?

Przytuliłam się do niej. Jej obecność sprawiała, że czułam się lepiej, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko znowu miało się zmienić wraz z narodzinami dziecka.

– Mogę nazywać panią babcią? – spytałam nagle. – Zawsze chciałam mieć babcię, jak inne dziewczynki w szkole. Moje babcie i dziadkowie umarli, zanim się urodziłam.

Twarz jej poczerwieniała i przez chwilę myślałam, że ją uraziłam. Zaraz jednak uśmiechnęła się i otoczyła mnie ramieniem.

– Ależ oczywiście – odrzekła. Jej oczy zaszkliły się od łez. – Będzie mi bardzo miło. Lepiej im powiedzmy. – Zachichotała. – Ciekawe, co na to moja córka! Pewnie pomyśli, że zmówiliśmy się przeciwko niej.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Cieszyłam się, bo dzień później miałam urodziny. Zanim wszystko się zmieniło, uwielbiałam bożonarodzeniowe światełka i to, że wszyscy wydawali się szczęśliwi, jakby razem ze mną celebrowali ten wyjątkowy dzień. Mama mówiła, że byłam najlepszym prezentem świątecznym, jaki mogła sobie wyobrazić.

Od jej śmierci tata i ja nie mieliśmy choinki. Ale tym razem w domu pojawiło się wysokie drzewko, a pod nim mnóstwo prezentów.

– Nie są tak wielkie jak paczka w brzuchu mojej córki – wydyszała babcia Greenway, kiedy podnosiłyśmy prezenty i potrząsałyśmy nimi, próbując zgadnąć, co jest w środku. – Mówią, że urodzi za jakieś dwa tygodnie.

– Jak wyjmą dzidziusia? – zapytałam.

Posłała mi ostre spojrzenie.

– Na twoim miejscu nie pytałabym o to. Tylko się wystraszysz. – Zadrżała. – Gdyby ktoś mi powiedział, jak to naprawdę wygląda, nie pozwoliłabym się dotknąć żadnemu mężczyźnie.

– Jak to?

Machnęła ręką.

– Nieważne. Może puścisz mi melodię z tej twojej pozytywki?

Dawniej w Wigilię chodziliśmy do kościoła na mszę dla dzieci połączoną ze śpiewaniem kolęd. Wszyscy dostawali drobne prezenty. Raz dostałam małego aniołka z jedwabiu, do powieszenia na choince. Nie wiem, co się z nim stało. Wiele rzeczy zniknęło po tym, jak moja nowa mama postanowiła „trochę posprzątać”.

– Musimy iść? – jęknęła, kiedy tata zaproponował, żebyśmy poszli na mszę. – Bolą mnie plecy.

– Nie, jeśli nie chcesz, skarbie.

– Ale zawsze chodzimy – wybuchłam. – Proszę.

Tata się zawahał.

– Mógłbym pójść z nią sam, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Rozmawiał z moją nową mamą, jak gdyby nie było mnie w pokoju.

– Proszę bardzo. – Wzruszyła ramionami.



To było piękne nabożeństwo. Siedzieliśmy obok Petera Gordona i jego rodziców i śpiewaliśmy ulubioną kolędę mojej prawdziwej mamy, *W żłobie leży*. Po mszy pani Gordon uściśliła mnie mocno, a Peter życzył mi „wesołych świąt”. Był wyraźnie skępowany, jakby wiedział, że przede mną wyjątkowo trudny czas. Wiele osób głaskało mnie po głowie. Ktoś powiedział tacie, że „życzy mu wszystkiego dobrego”. Kiedy wracaliśmy do domu, tata mocno trzymał mnie za rękę.

– Wiem, że nie było nam łatwo, Ellie. Ale teraz wszystko będzie dobrze.

Kiedy jednak zbliżyliśmy się do domu, nagle puścił się biegiem.

– Co się dzieje, tatusiu? – zawołałam. – Poczekaj!

Przed domem stała karetka, a moją nową mamę wynosili na noszach.

– Zaczęło się – jęknęła. – Mówiłam, żebyś mnie nie zostawiał.

To nie była prawda! Powiedziała, że możemy iść.

– Kochanie... Przepraszam. Nie martw się. Jestem tu. Pojadę z tobą.

– Czy ja też mogę jechać? – zapytałam błagalnie.

Tata był zmartwiony. Na pewno będę mu potrzebna.

– Nie. – Ku mojemu przerażeniu poprowadził mnie w stronę domu, jakby nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. – Wracaj do środka, Ellie. Pani Greenway zajmie się tobą.

– Przez ciebie stanęłam na linii między płytami! – pisałam.

– O czym ty mówisz? Po prostu wejdź do środka, dobrze?

W dzień Bożego Narodzenia babcia Greenway i ja nie wiedziałyśmy, jak upiec indyka, więc zjadłyśmy plasterki szynki, które znalazłyśmy w lodówce. Obie tęsknym wzrokiem spoglądałyśmy na prezenty pod choinką.

– Lepiej nie otwierajmy ich, dopóki oni nie wrócą – powiedziała.

Zgodziłam się, chociaż korciło mnie, żeby zobaczyć, co jest w środku. Siedziałyśmy do późna i oglądałyśmy film *To wspaniałe życie*. Byłam tak zmęczona, że zasnęłam, oparta o ramię babci Greenway. Kiedy się obudziłam, obejmowała mnie. Było mi ciepło i wygodnie. Proszę, niech moja nowa mama nie wraca zbyt szybko, pomyślałam i zaraz poczułam wyrzuty sumienia z powodu tej nieżyczliwej myśli.

Następnego dnia zerwałam się skoro świt. Miałam dziewięć lat. Nie osiem, jak wczoraj!

– Dziś są moje urodziny – powiedziałam do babci Greenway.

– Tak, skarbie – odrzekła.

Ale ja nie widziałam żadnych prezentów. Może tata będzie miał je ze sobą, jak wróci ze szpitala.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało – mruknęła pod nosem babcia Greenway.

Poczułam się jak samolub, że myślę o swoich urodzinach, kiedy moja nowa mama jest w szpitalu. Razem z babcią Greenway zjadłyśmy na śniadanie gotowane jajka. Żółtka były strasznie twarde, ale chciałam być grzeczna i zjadłam wszystko. W końcu wrócił tata. Wydawał się zmęczony, lecz się uśmiechał.

– Masz braciszka! – oznajmił.

Nigdy nie widziałam taty tak szczęśliwego. Nawet kiedy żyła moja prawdziwa mama.

Zaczęłam skakać z radości. Braciszek! Będę się nim opiekowała i bawiła się z nim. Ja będę kochała jego, a on mnie.

– Kiedy mogę go zobaczyć? – spytałam i mocno przytuliłam się do taty.

– Jeśli chcesz, pojedziemy po lunchu.

Odczytałam godziny. Babcia Greenway i ja siedziałyśmy na tylnym siedzeniu i trzymałyśmy się za ręce. Od czasu do czasu ścisnęła moją dłoń, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie przejmuj się”.

Ale czym miałam się przejmować?

Moja nowa mama była sama w całym pokoju. Siedziała w łóżku, trzymając w ramionach biały kocyk.

– Podejdz i przywitaj się z braciszkiem – powiedział tata.

Na palcach podeszłam do łóżka. Był taki malutki! I miał taką śmieszna buzię. Czerwoną i pomarszczoną.

Nowa mama patrzyła na niego, zupełnie mnie ignorując.

– Chciałabyś go potrzymać, Ellie? – zapytał tata.

Naprawdę? Nigdy dotąd nie trzymałam dzidziusia.

– Usiądź na krześle obok łóżka i spleć ręce, o tak. – Pokazał mi. Ostrożnie to zrobiłam. – Właśnie tak.

Moja nowa mama się zawahała.

– Daj spokój, skarbie – zwrócił się do niej tata. – To ważne, żeby między maluszkiem a Ellie wytworzyła się więź.

W końcu położyła maleńki tobolek w moich ramionach. Poczułam ciężar miłości i odpowiedzialności tak wielki, że prawie nie mogłam oddychać.

– Cześć – wyszeptalam. – Jestem twoją starszą siostrą i już zawsze będę cię kochała.

Nagle się poruszył, a mnie zadrżały ręce.

– Łap go, Nigel! – rozległ się krzyk.

Tata mnie przytrzymał, a moja nowa mama wyrwała mi z objąć tobolek.

– Mogłaś go upuścić, ty głupia dziewczyno.

Rozpłakałam się.

– Przepraszam. Nie chciałam.

– Już dobrze – powiedział uspokajająco tata.

Ale na widok wściekłości malującej się na twarzy nowej mamy przeszył mnie strach. Zaraz potem mój młodszy braciszek wybuchnął płaczem, zupełnie jakby on też był na mnie zły.

– Chodź. – Babcia Greenway otoczyła mnie ramieniem. – Zostawmy ich samych. I tak nigdy nie przepadałam za dziećmi. Moim zdaniem nie są ani trochę interesujące. Zamów nam taksówkę do domu, dobrze?

Ostatnie zdanie było skierowane do taty.

– To nic, Ellie – powiedział. – Mama jest zmęczona. Kiedy wróci do domu, wszystko będzie jak dawniej.

– Dziękuję za dzidziusia – wyszeptalam. – To najlepszy prezent urodzinowy, jaki mogłam dostać.

Jego twarz się zmieniła.

– Oczywiście – rzekł cicho i pogłaskał mnie po głowie. – Kończysz dziś dziewięć lat. Jak mogłem zapomnieć? Przepraszam, Ellie. Wkrótce ci to wynagrodzę.

## 8

### Jo

Na kilka godzin zaszywam się w parku, ale zaczyna padać. Kryję się pod drzewami, jednak wciąż moknę. Żyjąc na ulicy, człowiek musi uważać. Zimą zapalenie płuc potrafi zabić. Dlatego wracam do miasta i wchodzę do centrum handlowego. Cały czas jestem czujna. Pierwsze, co widzę, to sklep z telefonami komórkowymi. Świetnie. Idę tam i udaję, że oglądam telefony w gablotkach.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta młody chłopak.

– Tak. Potrzebuję telefonu na kartę.

Oczywiście nie stać mnie na żaden telefon, ale udaję zainteresowaną, podczas gdy chłopak opowiada mi o różnych modelach. Stoję plecami do wejścia, spodziewając się, że lada chwila ktoś zajdzie mnie od tyłu i poklepie w ramię.

Ale nic takiego się nie dzieje.

– Dzięki – rzucam w końcu. – Zastanowię się.

– Strata czasu – słyszę, jak mruczy, kiedy wychodzę.

Mam to gdzieś. Droga wolna. Przy odrobinie szczęścia policjantka znalazła inną ofiarę. Ale i tak wolę nie ryzykować. Nadjeżdża autobus. Wskakuję przez drzwi wyjściowe, chociaż nie mam biletu ani pieniędzy, żeby go kupić. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Przejżdżam kilka przystanków i wysiadam.

W moją stronę idzie grupa uczniów trajkoczących w obcym języku. Nauczyciele próbują nad nimi zapanować. Wsuwam się między dzieciaki, łokciami torując sobie drogę. Kiedy wynurzam się z tej gromady, zerkam do tyłu. Nikogo nie widzę. Biegnę w dół ulicy, wpadam w boczną uliczkę, przebiegam na drugą stronę i znowu wychodzę na główną ulicę. Zatrzymuję się, żeby złapać oddech.

Myślę, że jestem już bezpieczna. Strasznie chce mi się jeść. Widzę gościa w garniturze, który je frytki z papierowej torebki, a potem resztę, pewnie z połowę, ciska do kosza. Rzucam się w tamtą stronę, ale uprzedza mnie jakaś kobieta. Z tyłu wygląda elegancko w szykownym czerwonym płaszczu. Nagle odwraca się i widzę jej twarz – jest wymizerowana. Patrzy na mnie rozpaczliwym wzrokiem.

– Proszę bardzo – mówi i wyciąga do mnie torebkę. – Weź kilka.

– Dzięki – bąkam.

– Nie aż tyle – syczy i odchodzi, tuląc torebkę do piersi.

Chce mi się płakać. Idę dalej i rozgrzebuję zawartość każdego napotkanego kosza. Mam szczęście – znajduję rozciapianego banana i połowę batonika Yorkie z widocznymi śladami zębów.

Docieram do tego wielkiego budynku z ogromnymi filarami i napisem: MUZEUM MIEJSKIE I GALERIA SZTUKI. WSTĘP WOLNY.

Ignorując stanowisko, gdzie przyjmują datki, przechodzę przez kilka pomieszczeń i znajduję najspokojniejszą salę. Siadam na ławce naprzeciw obrazu przedstawiającego dzieci bawiące się nad brzegiem rzeki. Artysta namalował go, rysując zamiast linii mnóstwo kropek. Niezłe. Nagle

uświadamiam sobie, że ktoś nade mną stoi. Serce wali mi jak szalone, chociaż widzę po stroju, że to tylko pracownica muzeum.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale niedługo zamykamy.

Pani? Wybuchłabym śmiechem, gdyby nie to, że jestem taka wystraszona.

Wychodzę na zewnątrz. Zrobiło się zimno. Dokąd teraz? Głupie pytanie. Nie mam wyboru, chyba że chcę spać na ulicy. Powoli włokę się do ciemnej, pustej fabryki w Stokes Croft.

Jest tam Paul.

– Co masz dla mnie?

– Przykro mi – mówię. – Nic nie dostałam.

Paul kręci głową. Uśmiecha się, ale nie jest to szczerzy uśmiech.

– Chyba nie zatrzymałaś niczego dla siebie?

Rzucam mu spojrzenie, które wyraźnie mówi: „O czym ty, do cholery, gadasz?”.

– Pewnie, że nie.

Comka z dezaprobatą, jakbym była dzieckiem, które zrobiło coś złego.

– Albo zarobisz na swoje utrzymanie, mamuśka, albo poszukaj sobie innego miejsca do spania.

Serce znowu wali mi jak szalone, jakbym miała atak paniki. Miałam go kilka razy i wiem, że to nic przyjemnego.

– Postaram się bardziej – obiecuję.

Wracają Pam i mężczyzna w garniturze. Niosą torby ciastek, kanapek, napojów gazowanych i butelkę wina.

– A pieniądze? – pyta ostro Paul. – Mieliście się zgłosić w pośredniaku, nie?

Mężczyzna w garniturze mruczy coś o „cholelnym krwiopijcy”, ale oddaje pieniądze.

Kobieta z wózkiem sklepowym ma pierścionek. Wybucho zajadła dyskusja, czy brylant jest prawdziwy, czy nie.

Dzieciak z zielonymi włosami przyniósł szwajcarski scyzoryk, który znalazł w kontenerze na śmieci. Ma też duże opakowanie batonów KitKat.

– Rozładowywali furgonetkę i nikt nie patrzył – mówi z dumą.

Elegancka Pam prycha z pogardą.

– Nienawidzę czekolady.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – oświadcza mężczyzna w garniturze i wybucho śmiechem, jakby powiedział żart wszech czasów.

Wszystkie łupy trafiają na jeden stos.

– A ona? – pyta kobieta ze sterczącymi włosami i z psem, wskazując na mnie. – Co przyniosła?

– Jeszcze nic – odpowiada mój irlandzki przyjaciel. – Daj jej czas.

– Też musi się dorzucić – wtrąca gość, który walił w żyłę, kiedy wróciłam. – Nie ma sensu jej tu trzymać, jeśli nie potrafi na siebie zarobić.

– To samo jej powiedziałem. – Głos Paula jest niski, groźny. – To się zmieni.

Siadamy wokół ogniska, które ktoś rozpałił z desek. („Znalazłem je na działce”, mówi jakiś chłopak, wyraźnie z siebie zadowolony). Próbuję usiąść bliżej, ale inni przepychają się do przodu. Przez wybite okna wpada do środka wiatr. Trzęsę się z zimna.

– Co tutaj robisz? – pyta Faduma, która teraz wydaje się nieco życzliwsza niż wczoraj.

– Słucham?

– Daj spokój. Każdy z nas wylądował na ulicy z jakiegoś powodu. Widzisz Hugo, tego w garniturze? Był kiedyś pośrednikiem w handlu nieruchomościami, ale stracił wszystko, jak żona oskubała go przy rozwodzie. Nie miał rodziny, u której mógłby zamieszkać, i skończył tutaj. A ty co zrobiłaś?

Myślę o bransoletce. Dobrze, że już jej nie mam.

– Nic – odpowiadam.

– To może ktoś zrobił coś tobie? – Mruży oczy. – Wyglądasz, jakbyś się czegoś bała, Jo.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Taa. Jasne. Kiedyś też taka byłam. Rozumiem.

– A jaka jest twoja historia? – pytam, próbując zmienić temat.

Cień przemyka po jej twarzy.

– Podśledzałam, że mój ojciec zamierza sprzedać mnie handlarzom ludźmi – mówi, jakby to nie było nic wielkiego.

– A twoja matka nie próbowała go powstrzymać?

– Nie. Potrzebowali kasy na czynsz, inaczej wszyscy wylądowalibyśmy na bruku.

– W jakim kraju mieszkaliście?

– Jak to „w jakim”? Mieszkaliśmy w Birmingham. Wyskoczyłam przez okno, dotarłam do Londynu i trafiłam tutaj.

Kiedy wraca Paul, Faduma milknie.

– Ktoś ma ochotę na kalifornijskie czerwone? – pyta. – Dobry rocznik. – Śmieje się, udając, że studjuje etykietę. – Nieźle się spisałaś, Pam. Puść w obieg.

Tym razem nie potrzebuję zachęty. Jest mi piekielnie zimno. W pewnym momencie jeden z mężczyzn zaczyna brzdąkać na gitarze. Zielonowłosego chłopak i Pam tańczą z twarzą przy twarzy. On kładzie jej rękę na tyłku. Odprężam się. Wino sprawiło, że czuję się o niebo lepiej.

– Uciszcie się, dobra? – warczy Paul. – Albo wlepią nam mandaty za picie i zakłócanie porządku publicznego, nie mówiąc o mieszkaniu na dziko.

– Smutas – mruczy chłopak, który nie przestaje obmacywać Pam.

Układamy się do snu. Jest dość wcześnie, ale Paul mówi, że im wcześniej się położymy, tym wcześniej wstaniemy i zajmiemy najlepsze miejsca. Kładzie się obok mnie. Oddech ma słodki i mdlący. Nie biorę narkotyków, ale wcześniej widziałam, jak łykał jakieś prochy, obok gościa, który dawał sobie w żyłę.

Zanim się spostrzegam, czyjeś ciało zwala się na mnie. Z przerażenia nie mogę oddychać. Próbuję krzyczeć, ale ręka zasłania mi usta.

– Leż cicho, to nic ci się nie stanie.

To Paul. Mój irlandzki „przyjaciel”.

– Spierdalaj – syczę.

Śmieje się.

– Lubię, jak babczka się broni. Ale nikt ci nie pomoże, nawet jak zaczniesz wrzeszczeć. Widzisz, to coś w rodzaju rytuału przejścia. Zaszczycam swoim towarzystwem każdego, kto dołącza do naszej wesołej gromadki.

To ma być zaszczyt? Przed oczami staje mi mężczyzna poruszający się nade mną w przód i w tył. Nienawidziłam tego, a jednak nie umiałam zaprotestować. Pozwoliłam mu robić, co chciał, byle tylko

dał mi spokój. Ale teraz coś we mnie pęka.

– Au!

Czuję ohydny smak jego skóry w miejscu, gdzie ugryzłam go w nadgarstek, ale to go nie powstrzymuje.

– Ostra, to dobrze. Zawsze miałem słabość do starszych kobiet.

Rękami przyszpila mnie do podłogi. Niemal miażdży mnie ciężarem swojego ciała. Nie mogę oddychać. Przez bluzkę gryzie mnie w lewy sutek.

Uwalniam nogę i kolanem kopię go w krocze.

– Dość tego.

Jest teraz wściekły, zupełnie jak tamten. Przeraża mnie, ale wiem, że jeśli chcę przeżyć, nie mogę tego okazać. Pozostali na pewno nas usłyszą, chyba że są pijani. I nagle przypominam sobie, co powiedziała mi Faduma. Jeśli ktokolwiek może mi pomóc, to właśnie ona.

– Gwałcą! – wrzeszczę. – Faduma! Pomocy!

Znowu zasłania mi usta dłonią. Zaraz się uduszę. Drugą ręką rozpina mi spodnie.

Nagle czuję na sobie dodatkowy ciężar. Jeszcze chwila i pękną mi kości. Złamię się.

– Ty mała krowo! – ryczy Paul.

Zszedł ze mnie i siłuje się z Fadumą, która wskoczyła mu na plecy. Nagle przestają się szamotać. Moja nowa przyjaciółka dyszy ciężko, w dłoni trzyma nóż. Paul obserwuje ją nieufnie.

– Ostrzegłam cię ostatnio – syczy Faduma. – Powiedziałam, że jeśli znowu to zrobisz, doniosę na ciebie glinom.

Paul się śmieje.

– Nawet jeśli sama pójdziesz siedzieć za zabójstwo? – mówi podniesionym głosem. – Właśnie. Nasza mała Faduma zadźgała swojego ojca. Wiedziałaś o tym?

Pominięła ten szczegół, opowiadając mi swoją historię.

– Sukinsyn zasłużył sobie – warczy Faduma. – I tak, mówię poważnie. Zostaw Jo w spokoju albo doniosę na ciebie glinom. Walić konsekwencje.

Przez minutę stoją tak i patrzą na siebie, aż w końcu Paul parska śmiechem.

– Głupie suki, nie jesteście tego warte. – Pewnym krokiem odchodzi w kąt i kładzie się na podłodze.

Faduma bierze mnie za rękę i prowadzi w drugi koniec pomieszczenia. Obie drżymy. Patrzymy, jak Paul obraca się na bok i zasypia.

A potem Faduma wciska mi coś w dłoń.

– To bilet na pociąg – szepcze. – Znalazłam go wczoraj przed dworcem. Pomyślałam, że może mi się przydać, ale chyba potrzebujesz go bardziej ode mnie.

Wysilał wzrok, żeby w słabym świetle odczytać drobne litery. Moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś.

– To bilet do miejsca o nazwie Penzance – mówi.

Ta nazwa porusza coś we mnie, choć nie sądzę, bym słyszała ją wcześniej. Wiem jednak, że muszę się stąd wydostać. Penzance brzmi nieźle. Bezpiecznie.

– Dziękuję. Ale co z tobą?

– O mnie się nie martw. Potrafię o siebie zadbać. Zresztą sama też powinnam się stąd zwiijać.

Popycha mnie.

– No idź już.

Nie musi powtarzać mi dwa razy.

*Ellie*

Tata i ja poświęciliśmy mnóstwo czasu, żeby przygotować dom dla mojego braciszka. Cudownie było robić te wszystkie rzeczy tylko we dwoje. Znowu byliśmy drużyną. Tylko tata i ja.

Pomogłam mu złożyć małe łóżeczko z niebieskimi kokardami w sypialni, która kiedyś należała do mojej prawdziwej mamy, a w której spali teraz tata i jego nowa żona. Włożyłam do środka kocyk z Piotrusiem Królikiem wyhaftowanym przez babcię Greenway. Haftowała go, kiedy siedziałyśmy obok siebie na kanapie i oglądałyśmy *Coronation Street*. Od czasu do czasu cmokała głośno, jak gdyby nie pochwałała decyzji podejmowanych przez któregoś z bohaterów. (Tu, w więzieniu, dziewczyny też komentują różne programy. Często wykrzykują rzeczy w stylu: „Ty głupia suko!” albo: „Nie ufaj mu!”), kiedy w świetlicy oglądamy *Coronation*).

Tata przyniósł też z garażu wózek. Powiedział, że to „srebrny krzyż”\* (choć moim zdaniem w niczym nie przypominał krzyża). Wcześniej nie trzymaliśmy go w domu, żeby nie przyniósł pecha.

– Jak to? – spytałam.

– To taki przesąd – wyjaśnił tata.

Wózek zajął pół korytarza. Ćwiczyłam trzymanie go za rączkę i udawałam, że pcham przed sobą mojego braciszka. Czułam się przez to dorosła i jednocześnie się bałam. Nowa mama była na mnie wściekła, kiedy prawie go upuściłam. W przyszłości musiałam bardziej uważać.

Widziałam, że tata też się martwi. „Musisz być wyrozumiała dla mamy, kiedy wróci do domu – powtarzał mi. – Poród to ciężka sprawa. Kobiety robią się po nim nerwowe”.

Mówił to, jakby rozmawiał sam ze sobą.

Nawet babcia Greenway wydawała się niespokojna. „Wspomnisz moje słowa – mruzczała pod nosem – od tej pory nic już nie będzie tak jak dawniej”.

Rzucala takie uwagi tylko wtedy, gdy taty nie było w pobliżu, a ja bałam się mu to powtarzać, na wypadek gdyby okazało się prawdą.

Bywały jednak dni, kiedy zdawała się bardziej radosna.

– Pomożesz mi zrobić trwałą – oświadczyła pewnego razu.

Już wcześniej widziałam, jak robiła to przy kuchennym stole. Do zrobienia trwałej potrzeba było paru kawałków papieru, cuchnącego białego płynu i kilku małych wałków, które wyglądały jak parówki. Wolałam wtedy nie wchodzić do kuchni. Dlatego teraz, gdy zaprosiła mnie do udziału w tym świętym rytuale, czułam się niemal wystraszona.

– Kiedy ci powiem, podasz mi papier i wałek – oznajmiła władcym tonem.

Tata nam nie przeszkadzał i próbował wejść do kuchni tylko po to, żeby wstawić wodę.

– Zabieraj się stąd – zbesztła go babcia Greenway. – Nie widzisz, że twoja córka ma tu bardzo poważną robotę?



Słyszając to, wypięłam dumnie pierś.

– A zatem przepraszam, że przeszkadzam, drogie panie – odparł tata i puścił do nas oko.

Babcia Greenway też do niego mrugnęła, chociaż nie wiedziałam dlaczego. Nagle zrobiło mi się ciepło na sercu, poczułam się, jakbym znowu była częścią szczęśliwej rodziny.

W końcu nadszedł dzień, kiedy moja nowa mama i braciszek mieli wrócić do domu. Tata powiedział, że byliby wcześniej, ale pojawiły się „komplikacje”. Powiedział to tak, że wolałam nie pytać o nic więcej.

Tata pojechał po nich do szpitala, a babcia Greenway i ja czekałyśmy na nich przy oknie w salonie.

– Pamiętam, jak wróciłam z nią z prywatnej kliniki położniczej – mruknęła babcia Greenway. – Miałam zaledwie osiemnaście lat. Nikt nie był w stanie przewidzieć nadchodzących kłopotów. Trochę tak jak teraz. – Ścisnęła mnie za rękę.

Niebieski ford cortina taty wjechał na naszą ulicę i zatrzymał się przed domem. Chwilę potem tata wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi. Babcia Greenway i ja przycisnęłyśmy twarze do szyby, która zaparowała od naszych oddechów, i musiałyśmy ją przetrzeć, żeby cokolwiek zobaczyć.

Tata pomógł nowej mamie wysiąść z samochodu. Trzymała w ramionach otulone białym kocykiem zawiniątko, które niosła tak ostrożnie, jakby w każdej chwili mogło się stłuc. Przypomniałam sobie niebieską miseczkę, którą moja prawdziwa mama roztrzaskała w drobny mak. Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała babcia Greenway i objęła mnie w pasie.

Ale ja wiedziałam, że tylko próbuje dodać mi otuchy.

Drzwi się otworzyły.

– Halo! – zawołał tata. Głos mu drżał, chociaż czułam, że sili się na wesołość. – Wróciliśmy!

Byłam taka podekscytowana! Chciałam znowu zobaczyć braciszka. Wybiegłam na korytarz i omal na nich nie wpałam.

– Ostrożnie – fuknęła moja nowa mama.

Tata pokiwał głową.

– Mama ma rację. Dzieci są jak porcelana, Ellie. Bardzo kruche.

Znowu poczułam ten paskudny chłód.

– Chodź, Sheila, pomogę ci usiąść na kanapie – ciągnął. – Wtedy Ellie będzie mogła usiąść obok i lepiej mu się przyjrzyć.

– Pod warunkiem że nie będzie na niego chuchała zarazkami.

– Na litość boską, przestańże tak się nad nim trząść – odezwała się babcia Greenway. – Dziewczynka nie ma żadnych zarazków, a poza tym dziecko musi się uodparniać.

– Może lepiej byś mi pogratulowała, mammo?

– Już gratulowałam ci w kartce z życzeniami. Przyjrzyjmy się mu, co, Ellie?

Usiadłyśmy po obu stronach zawiniątka. Teraz mogłam zobaczyć mojego braciszka znacznie lepiej niż w szpitalu. Miał jasnoniebieskie oczy i najśłodsze usteczka, które wyglądały jak pączek róży.

– Och. – Westchnęłam. – Jest idealny.

Odruchowo pogłaskałam go po maleńkich paluszkach. Miał taką delikatną skórę!

– Myślaś ręce? – spytała moja nowa mama.

– Tak – skłamałam.

Zwykle mówiłam prawdę, ale nie chciałam go puszczać. Kochał mnie! Te zabawne dźwięki, które wydawał, świadczyły o tym, że cieszył się, że mnie widzi. Byłam pewna, że zostaniemy przyjaciółmi!

– Wybraliście już imię? – spytała babcia Greenway.

Głos jej drżał i wiedziałam, że ona również jest wzruszona.

– Michael – odparła moja nowa mama.

– Naprawdę, kochanie? – wtrącił tata. – Myślałem, że zdecydowaliśmy się na...

– Nie. Michael pasuje do niego lepiej niż jakiegokolwiek inne imię.

Z ust babci Greenway wydobył się dziwny dźwięk. Nowa mama posłała jej spojrzenie, które sprawiło, że poczułam się niezręcznie. Zupełnie jakby w milczeniu prowadziły ze sobą nieprzyjemną rozmowę.

– Michael – szepnęłam, nie przestając gładzić drobnych paluszków. – Podoba mi się.

– Strasznie tu zimno, Nigel.

– Właśnie dołożyłem do ognia, kochanie.

– Mówiłam, że potrzebujemy centralnego ogrzewania. Tu jest dużo zimniej niż w szpitalu. Para osiada na oknach. Chcesz, żeby nasz syn się przeziębził?

Wiedziałam, że centralne ogrzewanie jest bardzo drogie. Przy naszej ulicy było tylko w jednym domu. My, jak niemal wszyscy w okolicy, korzystaliśmy z usług dostawcy węgla. Uwielbiałam zapach, który czułam, kiedy przyjeżdżał swoją ciężarówką i wrzucał węgiel do szopy.

– Oczywiście. Zaraz się tym zajmę.

– Za moich czasów...

– Nie chcę wiedzieć, jak było za twoich czasów, mamo. – Nowa mama wstała. – To są moje czasy. I najważniejsze jest dla mnie zdrowie mojego dziecka. A teraz idę się z nim położyć. Nigel, pomożesz mi wejść po schodach?

Zerwałam się z kanapy.

– Mogę pocałować go w policzek?

– To chyba nie jest dobry pomysł. Jak już mówiłam, możesz rozsiewać zaraziki.

– Nie sądzisz, Sheila, że... – Tata szepnął jej coś do ucha.

Zmarszczyła brwi.

– Dobrze. Ale tylko raz.

Przytknęłam usta do jego policzka. Był taki mięciutki. Jak aksamitny płaszczyk, który uszyła dla mnie mama, nim zachorowała.

– Kocham cię, Michael – wyszeptałam.

Spojrzał na mnie tymi jasnyniebieskimi oczkami. „Ja też cię kocham”, zdawał się mówić.

– Jest coś jeszcze, prawda, Sheilo? – odezwał się tata.

– Tak?

– Pamiętasz, Ellie... – tata włożył rękę do kieszeni – tyle się ostatnio działo, że zapomnieliśmy o twoich urodzinach. To spóźniony prezent. – Wręczył mi pudełeczko.

– Dziękuję – wykrztusiłam i otworzyłam je niecierpliwie.

W środku był budzik. Staralam się ukryć rozczarowanie. Liczyłam na medalion – taki, jakie miały inne dziewczynki w szkole.

Mimo to przytuliłam się do taty, na co nowa mama spojrzała na mnie wściekłym wzrokiem. To jej pierwszej powinnam podziękować.

– Dziękuję – powiedziałam.

Kiwnęła głową.

– Żebyś nigdy nie spóźniła się do szkoły. Jesteś już dużą dziewczynką i musisz nam pokazać, że potrafisz być odpowiedzialna. A teraz idę się położyć, więc baw się cicho. Nie chcę, żebyś przeszkadzała Michaelowi.

Dlaczego się zmieniła? Zupełnie jakby do szpitala poszła moja nowa mama, a wróciła z niego całkiem inną osobą. Tego popołudnia wybrałam się z babcią Greenway do miasta po sprawunki.

– Moja córka jest nadopiekuńcza – powiedziała. – Młode matki tak mają. Niedługo wszystko się ułoży.

Ja jednak starałam się omijać linie między płytami chodnikowymi. Tak na wszelki wypadek.

---

\* Silver Cross (pol. srebrny krzyż) – angielska firma produkująca wózki i foteliki dla dzieci.

Są moje dziesiąte urodziny, ale nie dostałam żadnych prezentów ani nawet tortu. Zamiast tego jemy zimny pudding ryżowy. „Nie smakuje mi – oświadczam. – Jest mi od niego niedobrze”. Ale oni każą mi jeść, aż w końcu wymiotuję. „Mówiłam”, przypominam im, ale wpadam w jeszcze większe kłopoty za to, że jestem „bezczelna”.

W domu dziecka jest zimno, zwłaszcza w nocy. Śpię na górnej pryczy piętrowego łóżka i boję się, że spadnę. W pokoju są jeszcze trzy inne łóżka.

Ciągle myślę o mamie. Nie widziałam jej od prawie dwóch lat. Ludzie tu mówią, że nie wiedzą, gdzie ona jest, ale ja im nie wierzę. A jeśli tata znowu zrobi jej krzywdę?

Dlatego otwieram okno i skaczę. Jest wysoko, ale ląduję bez szwanku. Idę drogą, aż zatrzymuje się samochód. Kierowca mówi mi, żebym wsiadła. Zawozi mnie na policję, gdzie dostaję czekoladowe ciasteczko, kiedy oznajmiam, że mam urodziny. Niedługo potem przyjeżdżają ludzie z domu dziecka i zabierają mnie z powrotem. To nie pierwszy raz.

„Już ci mówiliśmy – rzucają surowo. – To ostatnie ostrzeżenie. Jeśli znowu uciekniesz, odeślemy cię do innej placówki”.

Placuję tak długo, aż w końcu zasypiam.

Następnego dnia miła, uśmiechnięta para zabiera dziewczynkę, która śpi pode mną. Chcą ją adoptować.

„Ciebie nikt nie będzie chciał adoptować – mówi jedna z pracownic opieki społecznej. – Sprawiasz za dużo kłopotów”.

# 10

## Jo

Serce mi wali, kiedy kasuję bilet na stacji Bristol Temple Meads.

Czekam, aż włączy się alarm albo ktoś podejdzie i zapyta, co ja, u diabła, robię. Ale bilet wyskakuje po drugiej stronie, więc przekraczam bramkę, zanim znowu się zamknie. Penzance, nadchodzę!

Opuszczam głowę i kieruję się do ostatniego wagonu. Wszystkie miejsca są zajęte, poza jednym. Siadam, ale chwilę później do przedziału wchodzi młoda kobieta.

– To miejsce jest zarezerwowane – mówi, wskazując wiszący nad nim kartonik.

Z jękiem wstaję, a ona zajmuje moje miejsce. Nadęta krowa.

Nogi bołą mnie od całego tego chodzenia. Muszę gdzieś usiąść.

– Mogę pomóc? – słyszę głos za moimi plecami.

Serce zamiera mi w piersi. Brzmi zupełnie jak... Odwracam się powoli.

– Można prosić o bilet?

To kontroler! Zdenerwowana, podaję mu bilet. Unosi brwi. Patrzy na mnie. Na moją starą kurtkę, ubłocone adidasy i znowu na bilet.

– Pierwsza klasa – mówi, jakby sam w to nie wierzył. – Z przodu pociągu.

– Ile trwa podróż? – pytam.

– Cztery i pół godziny.

Zauważam, że nie mówi do mnie „pani”.

Pociąg ruszył. Potykam się, kiedy idę, trzymając się oparcia foteli. Mijam dziecko siedzące na kolanach matki.

– Mamo, dlaczego ta pani nie ma włosów? – pyta.

– Ćśśś. – Kobieta przyciąga je do siebie. – Nie denerwuj jej. Jest pijana.

Chcę jej powiedzieć, że to nieprawda i że trudno utrzymać równowagę w pędzącym pociągu, zwłaszcza jeśli człowiek ma już swoje lata. Ale mój oddech nadal cuchnie winem z poprzedniej nocy.

Drzwi otwierają się powoli, jakby kontroler nie chciał wpuścić mnie do środka. Rozglądam się dookoła. Spójrzcie tylko na te wygodne pluszowe siedzenia! Zajmują najbliższe miejsca przy stoliku, przy którym starszy siwowłosy facet czyta książkę. Wyczuwając zamieszanie, podnosi głowę i gapi się na mnie. Chętnie powiedziałabym mu, że nie mam dwóch głów.

On tymczasem krzywi się z pogardą. Jego mina jasno i wyraźnie daje mi do zrozumienia, że nie ma ochoty na moje towarzystwo. Wiem, że cuchnę, ale nic na to nie poradzę. Kusi mnie, by mu powiedzieć, że nie mogę ot tak po prostu wziąć prysznic. W końcu wstaje i przesiada się na miejsce po drugiej stronie.

Zostawia na stoliku kubek kawy i zjedzoną do połowy kanapkę.

– Przepraszam – mówię. Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia. Podskakuje, jakby bał się, że go uderzę. – Nie chce pan tego?

Kręci głową. Pewnie myśli, że kawa i kanapka są brudne, bo na nie nachuchałam.

Zjadam łączywie kanapkę. Z jajkiem i szynką. Moja ulubiona. Szybko, zanim zmieni zdanie, wypijam kawę, chociaż jest trochę za słodka. Od razu lepiej. Po raz pierwszy od kilku dni czuję się prawie pełna.

Miarowy stukot kół pociągu sprawia, że powieki zaczynają mi ciążyć. Tak tu ciepło i przytulnie. Staram się nie zamykać oczu – muszę mieć się na baczności – ale to na nic. Znowu przysypiam.

Chociaż wiem, że to niebezpieczne.



*Jeżyna bezkolcowa (Rubus fruticosus)*

-----  
*Wierzono, że pomaga przyzywać złe duchy*

-----  
*i leczy koklusz. Mówiono też, że nie należy jej*

-----  
*zrywać po dniu Świętego Michała, a tych, którzy*

-----  
*to zrobią, dopadnie diabeł.*

W więzieniu można mieć określoną liczbę rzeczy osobistych (pod warunkiem że nie stanowią zagrożenia), ale po jakimś czasie oddałam zegarek do depozytu, bo ciągle na niego zerkałam, przez co całe to czekanie było jeszcze gorsze. Nie sądziłam, że można tak długo czekać na proces.

Dziwne, ale kiedy jest się dzieckiem, człowiek mniej pamięta tygodnie i miesiące, a bardziej pory roku. W czasie gdy zainstalowano nam centralne ogrzewanie, kwitły żonkile, a mój braciszek, Michael, zaczął się uśmiechać i chichotać. Kiedy nauczył się obracać, nastąpiło już lato i jeśli byłam grzeczna, czasami mogłam wozić go w wózku po ogrodzie, pod warunkiem że szła ze mną nowa mama.

Starałam się unikać ścieżki z płyt o nieregularnych kształtach w obawie, że nadepnę na linie. Nie mogłam pozbyć się lęku, że coś złego może przytrafić się mojemu braciszкови. Bałam się też o tatę, babcię Greenway i chyba nawet o nową mamę. W końcu moja prawdziwa mama nie żyła. A jeśli śmierć zabierze wszystkich, których kochałam? Najbardziej martwiłam się o Michaela, bo był taki mały.

Co gorsza, nie mogłam pozbyć się lęku, że przypadkiem mogłabym zrobić coś, przez co komuś z nich stanie się krzywda. Przecież kiedyś tak bardzo zdenerwowałam mamę pytaniem o to, dlaczego nie ma więcej dzieci. Niedługo potem zachorowała. Bałam się opowiedzieć o swoich lękach babci Greenway. Starałam się więc tylko być jak najlepszą siostrą i córką.

Ku mojej radości nowa mama zgadzała się czasem, żebym jej pomagała. Najbardziej lubiłam, gdy po powrocie ze szkoły mogłam razem z nią kąpać Michaela. „Uważaj, żeby woda nie dostała mu się do oczu”, upominała mnie, kiedy nieco zbyt entuzjastycznie myłam go gąbką. Potem szłam na górę i spędzałam wieczór z babcią. „Czy Michael nie jest słodki?”, powtarzałam.

Słyszac moje zachwyty, wydymała usta i mówiła: „Jest ładny jak każde inne dziecko. Nie przepadam za takimi maluchami. Chociaż kiedy dorosną, wcale nie są lepsze”.

Zaciskała usta, wbijając wzrok w telewizor. „Ha! To ten szwedzki zespół, Abba. Muzyka nie brzmi już tak jak kiedyś”, fukała.

Wszystko zdarzyło się, kiedy liście na drzewach zmieniły kolor na złocisty. Michael zaczął rączkować. Był taki szybki! „Tylko spójrz, jak błyskawicznie potrafi się przenieść z jednego końca pokoju w drugi”, mówiłam do babci Greenway.

Czasami mogłyśmy się nim zajmować, kiedy nowa mama gotowała obiad. „Nie spuszczaćcie go z oka”, przypominała nam, a my rzeczywiście ani na chwilę nie odrywałyśmy od niego wzroku.

Ale pewnego dnia, gdy odrabiałam pracę domową z matematyki, usłyszałam dobiegający z kuchni krzyk.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Pobiegłam tam. Michael wydawał dziwne dźwięki. Buzię miał czerwona.



– Nie wiem, co się dzieje! – krzyknęła nowa mama. Błada jak płótno, trzymała go przed sobą. – Co mam robić?

Wyrwałam go jej, przełożyłam przez kolano i delikatnie poklepałam po plecach. To jednak nie pomogło.

– On umiera, on umiera!

– Wcale nie! – wrzasnęłam.

Nie pozwoliłabym na to. Znowu go poklepałam, tym razem nie trzema, ale czterema palcami. Zaczął kasłać, a po chwili z jego ust wypadła mała czarna kulka.

Rodzynka.

Nowa mama piekła ciasto. To stąd wzięła się rodzynka.

Twarz Michaela odzyskała normalny kolor.

– Już dobrze, już wszystko dobrze! – zawołała nowa mama, wyrwała mi go i przytuliła. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia. – Skąd wiedziałas, co zrobić?

Teraz zaczęłam się trząść, chociaż mój braciszek był już bezpieczny.

– Mam w drużynie sprawność ratowniczkę – wyjąkałam.

Rozpląkała się.

– Dziękuję ci. – Wydmuchała nos. – Rodzynka musiała spaść na podłogę. To nie była moja wina. – Rzuciła mi gniewne spojrzenie, gotowa się ze mną pokłócić.

Ja jednak milczałam. Tak było prościej.

Kiedy tata wrócił wieczorem do domu, mocno mnie przytulił.

– Uratowałaś życie swojemu braciszкови – powiedział. – Jestem z ciebie bardzo dumny.

Po kolacji poszłam jak zwykle do pokoju babci Greenway, spodziewając się, że ona też mi pogratuluje. Tymczasem nawet o tym nie wspomniała, aż do chwili, gdy wychodziłam, żeby położyć się spać.

– Świetnie się dziś spisałaś, kochanie. Ale zobaczysz, będzie więcej takich okazji.

Nie chciałam pytać taty, co miała na myśli. Zresztą wieczorami i tak nie miał dla mnie za dużo czasu. Po powrocie do domu całował moją nową mamę w policzek i pytał ją, czy „wszystko w porządku”. Następnie brał Michaela na ręce i patrzył na niego, jakby nie wierzył, że jest prawdziwy.

„Mój syn – powtarzał. – Mój syn”.

W końcu mierzwił mi włosy, pytał mnie, jak minął mi dzień i czy byłam „grzeczną dziewczynką”.

„Tak, tatusiu”, odpowiadałam, myśląc o pracy domowej, którą odrobiłam przed kolacją, o tym, że pomogłam nowej mamie wykąpać Michaela i dobrze go wytarłam, zanim przebrałyśmy go w miękką niebieską piżamkę pachnącą proszkiem do prania Dreft. Później siadaliśmy, a ja nakręcałam pozytywkę. Michael uwielbiał klaskać do rytmu swoimi małymi, pulchnymi rączkami.

Po wypadku ludzie, którzy się mną opiekowali, pytali mnie, czy byłam zazdrosna. Nie byłam. Kochałam Michaela tak bardzo, że czułam niemal fizyczny ból. Zrobiłabym dla niego wszystko. Chodziłam za nim i pilnowałam, żeby nie podniósł rodzynek czy innych drobnych przedmiotów, którymi mógłby się zakrzuszyć. Drużynowa dała mi specjalną odznakę do mundurka, kiedy usłyszała, że uratowałam braciszka. Nosiłam ją z dumą.

– To ona zasługuje na to, żeby być matką, nie ty – powiedziała babcia Greenway do żony mojego taty, kiedy karmiłam Michaela siedzącego w wysokim krzeselku, podczas gdy macocha piłowała

paznokcie przy kuchennym stole. – Gdyby nie Ellie, dziecko by umarło. Mówiłam ci już wcześniej. Powinnaś iść do lekarza w...

– Przestań gadać głupoty. – Na twarzy macochy wykwitły dwie różowe plamy jak zawsze, gdy się złościła. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz, mamó.

Spokojnie wróciła do piłowania paznokci. Na początku nie chciała, żeby ktokolwiek dotykał mojego braciszka. Ale odkąd omal się nie udusił, była bardzo zadowolona, kiedy się nim opiekowałam.

– Straciła pewność siebie – mruknęła pośepnie babcia Greenway. – Teraz, jeśli coś się stanie, zrzuć winę na kogoś innego.

Moje dziesiąte urodziny minęły praktycznie niezauważone.

– Jestem zbyt zajęta, żeby organizować dla niej przyjęcie – usłyszałam pewnego wieczoru, jak macocha mówi do taty.

To było niesprawiedliwe! Jako jedyna w klasie nie będę miała przyjęcia. Dlaczego tata nie wstał się za mną? Ale przynajmniej miałam Michaela. Był najlepszym prezentem na świecie.

Zanim znowu zakwitły żonkile, mój braciszek zaczął chodzić. To znaczyło, że nawet na chwilę nie mogłam spuścić go z oka. Chwiejnym krokiem szedł od jednego mebla do drugiego, często się przewracając i tłukąc kolana. Kiedy zaczynał płakać, żona taty, która zwykle wtedy „próbowała trochę odpocząć”, wpadała do pokoju.

– Co mu zrobiłaś?

– Nic.

– Nie bądź niemądra, Sheila – zgromiła ją raz babcia Greenway. – W tym wieku dzieci często się przewracają. Gdybyś go pilnowała, zamiast wiecznie spać, wiedziałabyś o tym.

– Zamknij się, mamó. Albo przestaniesz mnie krytykować, albo się wyniesiesz.

Nie! Nie mogłam stracić babci Greenway. Obie rozumiałyśmy, że nie ma sensu się kłócić. Musiałyśmy zagryźć zęby i poczekać, aż jej złość minie.

Mimo to – i wiem, że brzmi to okropnie – czasami zastanawiałam się, o ile łatwiejsze byłoby życie, gdyby nowa mama zniknęła i gdybyśmy zostali we czwórkę: ja, tata, Michael i babcia Greenway...

*Kobieta z domu dziecka miała rację.*

*Nikt nie chciał mnie adoptować. Kiedy znowu spróbowałam uciec, odesłali mnie do surowszej placówki, takiej z kratami w oknach. Tam też mieliśmy lekcje, ale nie przykładałam się do nauki. Chciałam tylko dorosnąć i się stamtąd wydostać.*

*Teraz, w końcu, mam osiemnaście lat! Mogę zamieszkać w hostelu i robić to, co chcę, a nie to, co każą mi inni. Dostaję pracę w supermarkecie, co jest świetne, bo mam zniżkę na jedzenie. Ale najlepsze jest to, że dziewczyny, z którymi pracuję, są naprawdę miłe.*

*– Wyskoczmy wieczorem do klubu? – pytają.*

*Nie mówię im, że nigdy jeszcze nie byłam w klubie. Mogłyby zacząć zadawać pytania, a nie chcę, żeby wiedziały, że większość życia spędziłam w ośrodkach opiekuńczo-wychowawczych. Dlatego wydaję pensję na krzykliwą sukienkę i buty na koturnach.*

*– Ale się odstawiłaś! – rzuca jedna z nich, a ja czuję się zawstydzona, bo one włożyły dzinsy.*

*Kiedy docieramy na miejsce, muzyka gra tak głośno, że nie słyszę, co mówią moje koleżanki. Chwilę później znikają na parkiecie, a ja stoję jak kołek. Może powinnam wrócić do domu. I wtedy podchodzi do mnie ten gość. Wydaje się starszy niż większość tutejszych chłopców; może dlatego, że ma brodę i jest dobrze zbudowany, choć nie gruby. Ma na szyi złoty łańcuch. Jest ubrany elegancko, a jego buty błyszczą w kolorowych światłach.*

*– Postawić ci drinka? – pyta.*

*Nie mówię mu, że nie przepadam za alkoholem, bo przez picie można było w domu dziecka paść w nie lada kłopoty. Dlatego proszę o gin z tonikiem, który tak dobrze sprzedaje się w supermarkecie. Zamawia coś, co nazywa „podwójnym”. Kiedy zaczyna się ostatnia piosenka, przyciąga mnie do siebie i całuje. To mój pierwszy pocałunek! Niektórzy chłopcy w domu dziecka próbowali mnie całować, ale żaden mi się nie podobał. Ten jest inny. Czuję, że to bardziej męczyzna niż chłopiec. Przeraza mnie to i jednocześnie podnieca.*

*– Mam na imię Barry – mówi, kiedy w końcu odsuwa się ode mnie.*

*Barry. Obracam to imię w ustach. Brzmi ładnie.*

*– Chcesz pójść do mnie? – pyta jak gdyby mimochodem.*

*– Zgoda – mówię, siląc się na swobodny ton.*

*Od ginu z tonikiem kręci mi się w głowie.*

*Barry ma własne mieszkanie. Zastanawiam się, skąd bierze pieniądze na czynsz, ale mówi mi, że jest elektrykiem i niezłe zarabia. Serce wali mi jak szalone, kiedy zaczyna mnie rozbiierać. Pochlebia mi, że pragnie kogoś takiego jak ja, kto jest nikim.*

*– Skąd masz te blizny? – pyta, kiedy rozpina mi stanik i widzi ślady na moich plecach.*

*– Pamiątka po ojcu – mówię, jakby nie miało to znaczenia. – To było dawno temu, kiedy byłam dzieckiem.*

*Mruży oczy. Ogarnia mnie strach.*

*– Nadal cię krzywdzi?*

*Kręcę głową.*

*– Nie widziałam go od lat.*

*– Jak go kiedyś spotkam, dam mu popalić.*

*Ujmuje w dłonie moje piersi. To duże dłonie. Sprawne, jakby były w stanie zrobić wszystko.  
– Jesteś piękna – mówi. – Zostań ze mną. Obiecuję, że już nikt nigdy cię nie skrzywdzi.  
Tydzień później wynoszę się z hostelu i wprowadzam do Barry'ego.  
Gdybym tylko wtedy wiedziała to, co wiem teraz.*

# 12

## Jo

– ZŁAŻ ZE MNIE! – wrzeszczę.

Okładam pięściami twarz mężczyzny. Paznokciami drapię jego policzki. Ale on coraz mocniej zaciska pasek na mojej szyi. Charczę. Duszę się. Z trudem łapię powietrze. Czuję, że twarz robi mi się gorąca i czerwona. Nie mogę oddychać. Walę głową w jego pierś, która wydaje metaliczny dźwięk, jakby nie był człowiekiem...

– Wszystko w porządku? – słyszę czyjś głos.

To dziewczyna z wózkiem napojów i przekąsek.

Głowę mam opartą na stoliku. Boli mnie. Czyżbym waliła nią w blat?

– To tylko zły sen – mówię, czując się jak idiotka.

Dziewczyna uśmiecha się nerwowo i idzie dalej. Próbuję wziąć się w garść. Facet, który pozwolił mi zjeść swoją kanapkę, zniknął, ale pod jego siedzeniem leży zgnieciony batonik Mars – chowam go do kieszeni na później.

Za oknami ciągną się pola. Żadnych sklepów. Są też krowy. W pewnym momencie miga mi przed oczami rząd uroczych domków. Ileż bym dała, żeby zamieszkać w jednym z nich. Cudownie jest mieć miejsce, które można nazwać domem, i własny klucz do frontowych drzwi.

Chce mi się sikać, więc idę poszukać toalety. Żeby utrzymać równowagę, znowu łapię się oparć foteli. Ludzie odwracają wzrok, ale i tak uśmiecham się do nich. Jestem naprawdę zadowolona. Siedzę w pierwszej klasie. Chociaż raz w życiu jestem tak dobra jak oni.

Na podłodze jest kałuża. Mam nadzieję, że następna osoba nie pomyśli, że to ja. Nadal mam swoją dumę.

Myję ręce pod jednym z tych mądrych urządzeń na ścianie, gdzie wystarczy podłożyć dłoń, a mydło i woda ściekają automatycznie. Tak samo działa suszarka.

Kiedy zataczając się, wracam na miejsce, z głośników dobiega komunikat: „Zbliżamy się do stacji końcowej Penzance”. Serce bije mi jak szalone. W pociągu zaczęłam czuć się bezpiecznie. Co teraz?

Na zewnątrz wiatr uderza we mnie z całą siłą. Myślałam, że w Bristolu jest chłodno, ale tu jest cholernie zimno. Jakby był środek zimy, chociaż to dopiero wrzesień.

Wchodzę na niewielkie wzniesienie i skręcam za rogiem, obok supermarketu. I wtedy je widzę. Morze. Jest ciemne i straszne. Przeszywa mnie dreszcz i zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

Przy drodze stoi zaparkowany autobus z napisem „The Lizard” z przodu. Co to za nazwa? Ale nieważne. Muszę się stąd wydostać.

Patrzę na kierowcę wzrokiem zbitego psa.

– Przyjechałam tu i zgubiłam bilet powrotny do domu. Nie mam pieniędzy na drugi i nie wiem, co zrobić.

Łzy płyną mi po policzkach. Nietrudno je przywołać.

– Wskakuj, skarbie. Nie powinienem tego robić, ale potrafię poznać, jak ktoś ma kłopoty. Tylko wypełnij to.

Nie lubię formularzy. Przerażają mnie.

– Co to jest?

– Podanie o wydanie nowego biletu okresowego.

– Jasne. Dziękuję.

Autobus rusza, a ja opadam na fotel. Jedzenia wystarczy mi na trochę. Teraz muszę znaleźć miejsce, gdzie mogłabym spędzić noc.

Ale co potem? Staram się odrzucić tę myśl i gdy autobus przyspiesza, jeszcze głębiej zapadam się w fotel.

---

\* Lizard (ang.) – jaszczurka. Półwysep w Kornwalii z najbardziej na południe wysuniętym punktem lądu stałego Kornwalii i Wielkiej Brytanii.



Jaskier (*Ranunculus*)

Roślina kwitnąca, rośnie w trawie  
na łąkach. Może być trująca zarówno dla ludzi,  
jak i zwierząt.

To, że coś jest łatwe, nie znaczy, że jest  
bezpieczne.

# 13

## Ellie

Dwa tygodnie po moich jedenastych urodzinach pozwolono mi, żebym sama zajęła się braciszkiem. Sypał śnieg i nie mogliśmy bawić się na dworze, tak jak tego chciał. Siedzieliśmy więc przytuleni do siebie na ławeczce pod oknem w pokoju zabaw, gdzie było nasze miejsce do czytania.

Tego dnia oglądaliśmy obrazki w książeczce o Piotrusiu Króliku, którą Michael dostał od taty, gdy nagle zerwał się i wybiegł z pokoju.

Nie zdziwiło mnie to. Michael był żywym dzieckiem i nie potrafił długo usiedzieć w miejscu. Pobieglam za nim do kuchni.

Wcześniej tego dnia pomagałam nowej mamie kroić warzywa na lunch.

– Podaj mi solniczkę i pieprzniczkę, żebyśmy mogły to doprawić – powiedziała do mnie.

– Co takiego? – spytałam.

Babcia Greenway zaśmiała się chrapliwie.

– Daj spokój, Sheila. Robisz z siebie wielką panią. Po prostu poproś o pieprz i sól, jak wszyscy.

– Przymknij się, mamo.

Wydałam stłumiony okrzyk. Tylko raz, przed śmiercią mamy, słyszałam, jak ktoś powiedział coś takiego na ulicy, ale mama przyspieszyła kroku i wyjaśniła mi, że mili ludzie tak się nie wyrażają.

Teraz w kuchni nie było nikogo. Na stole leżał ostry nóż do obierania ziemniaków. Mój braciszek chwycił go, jakby wiedział, że to jedyna rzecz, której nie powinien robić.

– Odlóż to! – krzyknęłam.

Spróbowałam mu go wyrwać, ale jego małe paluszki uparcie zaciskały się na trzonku.

– Michael! – zawołałam. – Oddaj mi go. – Przekreśliłam nóż w swoją stronę.

I nagle wrzasnął przeraźliwie.

– Ziaziu! – zawył.

– Wcale nie – odparłam, chociaż widziałam, że się skaleczył. Krew skapywała na podłogę, ale nadal nie wypuszczał noża z rączki. – Daj mi go – warknęłam, próbując wyrwać mu nóż.

Gdyby się teraz skaleczył jeszcze raz, miałby nauczkę.

Chwilę później usłyszałam kroki na schodach.

– Co się tu dzieje? – To była Sheila. – O Boże! – wykrzyknęła. – Michael, nic ci nie jest? Co się stało?

– Ellie. – Michael wskazał na mnie oskarżycielsko.

– To nie była moja wina – zaprotestowałam. – Próbowałam odebrać mu nóż, zanim zrobi sobie krzywdę. Au!

Wydałam stłumiony krzyk, kiedy dłoń Sheili spadła na mój policzek.



– Ty podła, wstrętna dziewucho.

Wpadła w histerię, przez co mój brat zaczął jeszcze bardziej wrzeszczeć. Ktoś musiał coś zrobić. Z pozornym spokojem, wbrew ogarniającej mnie panice, podeszłam do telefonu i zadzwoniłam pod numer alarmowy. Zanim pojechaliliśmy do szpitala, krew była wszędzie. Michaelowi założono trzy szwy.

– Jak to się stało? – zapytał lekarz.

– Moja pasierbica – syknęła Sheila, wskazując mnie palcem – dźgnęła mego syna.

– Bzdura – wtrąciłam pospiesznie. – Próbowałam zabrać mu nóż do ziemniaków, który leżał na stole.

– A czyja to wina? – rzuciła.

– Twoja – warknęłam.

– Przestań kłamać, Ellie.

– Nie kłamię!

Mówiąc to, czułam, jak płoną mi policzki, i wiedziałam, że bez względu na to, jak uparcie będę wszystkim zaprzeczać, i tak wszyscy pomyślą, że to moja wina.

Lekarz spojrział na mnie z dezaprobatą.

– Masz wielkie szczęście, że bratu nie stało się nic poważniejszego. – Następnie odwrócił się do mojej nowej mamy i dodał: – Proszę go pilnować.

W drodze do domu Sheila była wściekła. O dziwo, bardziej zdenerwowały ją słowa lekarza niż rozczucie na kciuku Michaela.

– Dał mi do zrozumienia, że to moja wina, bo nie pilnuję własnego dziecka. Powinam wezwać policję.

– Więc czemu tego nie zrobisz? – burknęłam.

– Może zrobię. Zobaczymy, co powie twój ojciec.

Przerażona czekałam, aż tata wróci do domu. Przecież chciałam tylko zapobiec temu, żeby Michael zrobił sobie krzywdę. Tata na pewno mi uwierzy.

Jednak on, po rozmowie z Sheilą, wcale nie wydawał się przekonany. Na jego twarzy malowały się powaga i smutek.

– Chciałbym ci wierzyć, Ellie, ale to poważna sprawa. Jesteś zazdrosna o brata?

– Nie. Oczywiście, że nie. Kocham go.

Tata westchnął.

– Sheila uważa, że skaleczyłaś go celowo.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Jak mogłabym zrobić coś takiego?

Próbowałam zapomnieć, jak przez krótką chwilę pomyślałam, że miałby nauczkę.

– Tylko dlatego, że Michael wskazał mnie palcem, nie znaczy, że coś zrobiłam. Na litość boską, to dziecko.

Wiedziałam, że trafiłam w sedno.

Sheila była wściekła, kiedy tata orzekł, że „doszło do nieporozumienia”.

– Ranę trzeba było zszyć. Nie ukarzesz jej?

Tata zaczął krążyć po pokoju, z rękami w kieszeniach. Na jego czole znów pojawiły się głębokie zmarszczki.

– No dobrze. Ellie, obawiam się, że przez miesiąc nie dostaniesz kieszonkowego.

– Co?

– I nie pojedziesz na szkolną wycieczkę – dodała macocha.

– Nie przesadzaj, Sheila. To wycieczka dydaktyczna.

– W takim razie nie pójdzie na przyjęcie.

Czekałam na nie od miesiący! Christine, jedna z moich koleżanek, zaprosiła wszystkich z klasy. Jej mama знаła moją prawdziwą mamę i zawsze była dla mnie bardzo miła.

– I zabierzesz jej na tydzień pozytywkę, Nigel.

– To chyba niesprawiedliwe, Sheila.

– Po czyjej jesteś stronie?

– Nie weźmiecie mi pozytywki i koniec! – wrzasnęłam.

Z płaczem pobiegłam do swojego pokoju i ukryłam pozytywkę na dnie komody. Po drodze minęłam pokój babci Greenway, w którym telewizor grał na cały regulator. Drzwi były uchylone. Wpadłam tam, licząc na współczucie.

– To niesprawiedliwe – wyszochałam, przypadając do jej kolan. – Nie chciałam zrobić Michaelowi krzywdy.

– Ćśśś. – Otoczyła mnie ramieniem. – Wiem, że nie chciałaś. Chodzi o to, że moja córka wystraszyła się lekarza.

– Dlaczego?

Babcia Greenway westchnęła.

– To skomplikowane. Prawda jest taka, że moja Sheila zawsze bała się ludzi, którzy sprawują jakąkolwiek władzę. Widzisz, pracownicy opieki społecznej odebrali mi ją raz, kiedy była mała, bo nie stać mnie było na porządne mieszkanie. Musiałam się natrudzić, żeby ją odzyskać. Od tego czasu panicznie się bałam, że ktoś znowu może nas rozdzielić. I myślę, że przeniosłam na nią swoje lęki.

Po jej pulchnych upudrowanych policzkach popłynęły łzy. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby płakała.

– Nie oceniaj Sheili zbyt surowo. Ona ma dobre intencje.

Wcale nie, pomyślałam. Nienawidziłam jej. Żałowałam, że wyszła za mojego tatę! Gdyby nie ona, wszystko byłoby dobrze. Nigdy w życiu nie nazwę jej już „mamą”. Chciała, żebym była jej córką, dopóki nie miała własnego dziecka. Uważała, że Michael nie może zrobić nic złego. To było nie w porządku. Czułam, jak powoli narasta we mnie złość...

Niedługo potem mój braciszek spadł z wysokiego krzeselka, kiedy dawałam mu herbatkę i zapomniałam go przypiąć. Odwróciłam się na sekundę, ale to wystarczyło. Uderzył głową o kant stołu. Czekałam, aż zacznie płakać, ale wyglądał, jakby nabrał powietrza i wstrzymywał oddech. Po chwili wywrócił oczami i zwiotczał.

Potrząsałam nim i wykrzykiwałam jego imię. Na jego głowie wyrósł wielki guz. Sheila wpadła do kuchni i zaczęła wrzeszczeć.

Spróbowałam, tak jak poprzednio, zachować spokój i zadzwoniłam pod numer alarmowy. Jednak kiedy dotarliśmy do szpitala, Michael zaczął biegać, jakby nic się nie stało. Lekarz stwierdził lekkie wstrząśnienie mózgu, ale chciał wiedzieć, kto się nim opiekował, kiedy doszło do wypadku.

Michael był za mały, żeby wytłumaczyć, co się stało. I – zgadnijcie co – znowu obwinili o wszystko mnie.

Tym razem macocha zabrała mi pozytywkę. I nie na tydzień, lecz na dwa.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęłam do niej.

– Idź do pokoju, Ellie. – Nigdy nie słyszałam, żeby tata był taki zły.

– Nie sądzisz, że przeholowałaś, Sheila? – doleciał mnie głos babci Greenway, gdy zrezygnowana wlokłam się na górę. – To biedne dziecko dostało tę pozytywkę od swojej matki. Zabieranie mu jej jest okrutne. Poza tym nie wiemy, co naprawdę się wydarzyło. Michael może i jest mały, ale wie, jak postawić na swoim.

– Jak śmiesz mówić tak o własnym wnuku? – wysyczała macocha. – I kim jesteś, żeby udzielać mi rad? Aż dziw bierze, że jestem normalna po dzieciństwie, jakie mi zafundowałaś.

– Właśnie o tym mówię, skarbie. Masz za dużo na głowie i wszystko ci się miesza. Nie możesz zrzucić całej winy na mnie. Może powinnaś zwrócić się o pomoc do specjalisty...

– Zejdź mi z oczu!

– Sheila! – To był mój tata.

Chwilę później ktoś zatrzasnął drzwi do salonu, ale wciąż słyszałam dobiegające z dołu podniesione głosy.

Tej nocy płakałam tak długo, aż zasnęłam. Jak tata mógł pozwolić, żeby macocha zabrała mi pozytywkę? Wiedział, ile dla mnie znaczy. Czułam się tak, jakby nie było już mnie i jego. Tylko on i ona.

Kiedy w końcu odzyskałam pozytywkę, na boku widniała rysa, której nie było tam wcześniej. Nie powiedziałam ani słowa. Bo i po co?

*Barry i ja wychodzimy na kolację. Chcemy uczcić nasz trzymiesięczny związek.*

*– Lubisz chińszczyznę? – pyta.*

*Wstydę się przyznać, że kiedy byłam w domu dziecka, wyciągaliśmy z koszy na śmieci opakowania po chińskim jedzeniu, które zamawiali dla siebie pracownicy, i wylizywaliśmy je do czysta.*

*– Uwielbiam – mówię.*

*Mieszkanie z Barrym jest świetne! Mówi, że nie muszę już pracować, bo on zarabia wystarczająco dużo. Tęsknię za dziewczynami z pracy, ale lubię dbać o dom. Zawsze chciałam mieć własne miejsce i z dumą utrzymuję w nim porządek. Czasami, kiedy o czymś zapomnę, Barry złości się na mnie, ale od ostatniej środy nic takiego się nie wydarzyło.*

*A teraz idziemy na wyjątkową randkę! Czuję się taka dorosła, kiedy kelnerka prowadzi nas do stolika i niemal kładzie mi na kolanach serwetkę. Cudownie, prawda?*

*Barry opiera łokcie na stole. Czekam, aż weźmie mnie za rękę, ale widzę, że trzyma w dłoniach niebieskie aksamitne pudełeczko. Otwiera je. W środku jest pierścionek.*

*– To prawdziwy brylant – oznajmia z dumą. – Wyjdiesz za mnie?*

*Zakrywam usta ręką i wydaję cichy pisk.*

*Ludzie przy stoliku obok zerkają na nas i widząc pierścionek, zaczynają bić brawo. Czuję się jak gwiazda filmowa.*

*– Tak – mówię. Radość rozsadza mi serce. – Oczywiście, że tak.*

# 14

## Jo

A niech to. Kornwalia jest naprawdę wielka! Autobus mija jedną wioskę za drugą. Niektóre domy są ogromne, a na podjazdach stoją drogie samochody. Mają tu też domy komunalne, ale dużo ładniejsze od tych, które widziałam do tej pory, z prawdziwymi ogrodami od frontu zamiast wybebeszonych kanap i otwartych lodówek.

Brrr. Cała drżąc, otulam się szczelniej kurtką. Nie jest tu tak ciepło jak w pociągu. W brzuchu mi burczy. Miałam zostawić Marsa na później, ale jem go łapczywie. Dopiero wtedy zaczynam się martwić. Co zjem dzisiaj wieczorem? Co zrobię, kiedy autobus się zatrzyma? Gdzie będę spała?

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdybym była teraz gdzieś indziej. Wzdrygam się, kiedy kierowca woła:

- Jesteś w domu, skarbie. Powodzenia. I nie zapomnij wypełnić formularza.
- Nie zapomnę – mówię. – Dzięki.

Pozostali pasażerowie wysiadają przede mną, taszcząc zakupy i rozmawiając. Wszyscy wiedzą, dokąd idą. Oprócz mnie.

Widzę drewniany drogowskaz z napisem: LIZARD POINT. Nie wiem, co ze sobą zrobić, więc podążam za strzałką i wchodzę na wąską ścieżynę. Czuję na języku smak soli. Znowu morze. Jest daleko w dole i chociaż od skraju klifu odgradza mnie drut kolczasty, kolana zaczynają mi drżeć. Fale są bardziej wzburzone niż te w Penzance, jak gdyby rzucały się na skały. Wiatr jest tak silny, że niemal zwala mnie z nóg.

„Wracaj!”, krzyczy głos w mojej głowie, ale na końcu ścieżki widzę tanią restaurację, a umieram z głodu. Mam wrażenie, że zjadłam ten batonik wieki temu.

Przez wiatr ledwie udaje mi się otworzyć drzwi. Zważywszy na mój wygląd, i tak pewnie wyrzucą mnie, zanim zdążę wejść. Jednak ładna piersiasta kelnerka przychodzi mi z pomocą.

- Usiądź tam, kochanie. Zaraz zamykamy, ale masz szczęście. Zostało nam trochę zupy.

Chce mi się płakać z wdzięczności. Nie mam pieniędzy, żeby zapłacić za zupę, ale i tak się zgadzam. Zupa krem z grzybów! Pochłaniam ją, razem z trzema kromkami chleba. Lepiej być nie może.

- Coś jeszcze? – pyta kelnerka, zabierając mój talerz.

Myszę o pustych kieszeniach i kręcę głową.

- Może zajrzysz do naszego menu? – zachęca.

Nie mogę się powstrzymać. Wciąż burczy mi w brzuchu. Kiedy jest się tak chudym jak ja, zimno sprawia, że człowiek robi się jeszcze bardziej głodny. Dlatego zamawiam ziemniaki pieczone w łupinach, z fasolą i serem. Czekając na zamówienie, wyglądam przez okno. Zaczęło padać. Krople deszczu tłuką o szybę, jakby niebo płakało.

Mam pełny żołądek, ale dręczy mnie myśl o tym, że muszę znaleźć miejsce do spania.

– Założę się, że bywa tu niebezpiecznie – słyszę, jak mówi do kelnerki jakiś mężczyzna.

– To prawda! W zeszłym roku zginęła tutaj para. Robili zdjęcia, kiedy fala zmyła ich do morza. Siedzieli tu, a chwilę później już ich nie było.

Drzę.

– Jest tutaj toaleta? – pytam.

– Niestety, będzie pani musiała wyjść na parking.

Łatwiej być nie mogło.

Idę do przenośnego kontenera z napisem: „Toaleta damska”. Wychodząc, widzę przez okno kelnerkę. Stoi odwrócona do mnie plecami. Teraz albo nigdy, myślę. Czuję ukłucie żalu, ale nie mogę ryzykować, że wezwie policję, bo nie mam czym zapłacić. Biegnę, najpierw jedną ścieżką, później drugą. Pochylam głowę, osłaniając twarz przed zacinającym deszczem. Czuję się podłe. Ta dziewczyna była dla mnie taka miła. Teraz szef ochrzani ją za to, że przez nią stracił pieniądze. Może nawet ją zwolni.

Idę, aż robi się tak ciemno, że nic nie widzę. Raz za razem ślizgam się w błocie. Każdy może spaść z takich klifów. Przedzieram się przez kolczaste krzaki o żółtych kwiatach. Auć!

Na końcu ścieżki stoi budynek. Wygląda jak szopa ogrodowa z blaszanym dachem, ale na bocznej ścianie widzę krzyż. Podchodzę do drzwi. Proszę, niech będą otwarte. Naciskam ciężką klamkę z kutego żelaza. Tak!

W środku jest wilgotno i cicho. Upiornie. W szklanym słoju pali się samotna świeczka. Mój wzrok od razu spoczywa na drewnianej skrzyneczce z przyklepioną do niej kartką: „Twoje datki pomagają utrzymać nasz kościół. Dziękujemy”.

Mogłabym ją otworzyć. Nawet nie udaję, że mnie to nie kusi.

Podchodzę i biorę pudełko do rąk. W środku podzwaniają monety. Ale nie mogę tego zrobić. To byłoby nie w porządku.

Moszczę się więc tylko na drewnianej ławce. Jest twarda jak diabli, ale biorę jedną z poduszek, na których kłękają ludzie, kiedy się modlą, i podkładam ją sobie pod głowę. Jeśli tylko nie spadnę, nic mi nie będzie.

Wiatr zawodzi na zewnątrz jak płaczące dziecko. Deszcz tłucze o dach. Ja jednak zasypiam. Wiem to, bo gdy się budzę, do środka wpadają promienie słońca, kłując mnie w oczy.

A nade mną stoi mężczyzna w czerni.

# 15

## Ellie

Po ostatniej awanturze między Sheilą a jej mamą wszystko się zmieniło. Prawie ze sobą nie rozmawiały, chociaż babcia Greenway próbowała.

– Zdenerwowałam ją, mówiąc, że powinna pójść do lekarza – zwierzyła mi się. – Tak jak mówiłam, boi się, że mogą jej zabrać Michaela, podobnie jak zabrali ją, kiedy była dzieckiem. Teraz nie może na mnie patrzeć.

Próbowałam pocieszać staruszkę, ale miała rację, moja macocha traktowała ją jak powietrze.

– Myślę, że chce się mnie stąd pozbyć, żebym nie powiedziała nic, co mogłoby ją postawić w niezręcznej sytuacji – wyszeptała babcia Greenway kilka tygodni później. – Słyszałam, jak rozmawiała z kimś przez telefon.

To nie mogła być prawda. Kiedy powiedziałam o tym tacie, odparł, żebym się nie martwiła.

– Starzy ludzie często się mylą – dodał.

Niebawem nadszedł dzień wycieczki szkolnej do Muzeum Brytyjskiego w Londynie, na którą macocha za karę nie chciała mnie puścić. W autokarze czułam się nieswojo, bo wszyscy rozmawiali o przyjęciu Christine, na które nie pozwolono mi pójść.

Później weszliśmy do pomieszczenia z pięknymi zielono-niebieskimi obrazami na ścianie, ułożonymi z drobnych kamyczków.

– Widziałam je wcześniej! – wykrzyknęłam. – To mozaiki.

– Tak – przyznała nauczycielka. – Bardzo ładnie, Ellie.

Jej pochwała – pierwsza od jakiegoś czasu – sprawiła, że poczułam się lepiej. Bez końca patrzyłam, jak rozmaite kamyczki zostały ułożone obok siebie, żeby stworzyć obraz. Cóż za wspaniały pomysł! Nagle pomyślałam o niebieskiej miseczce mojej mamy. Oczami wyobraźni zobaczyłam rozbitą porcelanę. Zupełnie jak linie na chodniku, które za wszelką cenę musiałam omijać. Nagle ogarnęło mnie przytłaczające uczucie, że powinnam natychmiast wrócić do domu i upewnić się, że wszystko jest dobrze.

– Źle się czuję – powiedziałam nauczycielce.

Nie do końca było to kłamstwo. Żołądek skręcał mi się z nerwów.

– Obawiam się, że musimy zaczekać, aż przyjedzie po nas autokar. Usiądź na chwilę.

Miałam wrażenie, że minęły wieki, zanim wycieczka dobiegła końca i mogliśmy wracać do domu. Po drodze utknęliśmy w korku. Przez cały czas siedziałam jak na szpilkach, siłą woli zmuszając kierowcę, żeby jechał szybciej. Przed oczami miałam woskową postać mamy w zakładzie pogrzebowym. Jednak tym razem obok niej leżał tata. A jeśli umarł, tak jak mama? Nie powinnam być taką niedobrą córką.

– Proszę pani! – zawołała jedna z dziewczynek. – Ellie wymiotuje.

Za późno podstawiono mi torbę. Zwymiotowałam na swoją brązową sukienkę na szelkach.

– Biedactwo – powiedziała nauczycielka. – To chyba choroba lokomocyjna.

Zwymiotowałam jeszcze kilka razy, zanim autokar wjechał w końcu na szkolny dziedziniec.

– Muszę znaleźć twojego tatę i wszystko mu wytłumaczyć – zwróciła się do mnie nauczycielka, patrząc na listę. – Mam tutaj napisane, że to on cię odbierze.

Ale taty nie było. Serce podeszło mi do gardła, jakby strach chciał wyssać je z mojego ciała.

Później zjawiała się mama Christine.

– Tata prosił, żebym cię odebrała. Wynikły pewne kłopoty.

Byłam tak przerażona, że nie mogłam wykrztusić słowa.

– Czy tatusiowi nic nie jest? – wydusiłam w końcu.

– Nie, kochanie.

Poczułam nieopisaną ulgę. Czyli wszystko było dobrze. Nic innego się nie liczyło. Chyba że... o nie.

– Proszę, chyba nie chodzi o Michaela...

Oczy miała wilgotne.

– Nie, nie to...

Coś z macochą? Wiem, że to straszne, ale przez chwilę wyobraziłam sobie, że zniknie z naszego życia. Że będzie tak jak kiedyś – tylko tata i ja. No i oczywiście Michael i jego babcia. Żylibyśmy szczęśliwie bez żadnych kłótni i...

– Niestety, mama Sheili zachorowała...

Nie! Pomyślałam o starszej pani, do której tuliłam się na kanapie, gdy razem oglądałyśmy *Coronation Street*. Pokochałam ją jak własną babcie, której nigdy nie miałam.

– Co się stało?! – zawołałam.

– To trochę skomplikowane, skarbie. Jeśli się pospieszysz, może jeszcze ją zobaczysz, ale...

Pognałam jak szalona, ignorując nawoływania nauczycielki i mamy Christine, które kazały mi wracać.

Przed domem stała biała furgonetka. Babcia Greenway szła w jej stronę, prowadzona przez dwie pielęgniarki.

– Dokąd ją zabierają?

– Do specjalnego domu starców – warknęła macocha, która stała na progu, trzymając pod rękę mojego tatę. – Najwyższy czas. Zobacz, co mi zrobiła. – Wskazała na swoje oko, zaczerwienione i podbite.

– Pomóż mi, Ellie! – usłyszałam cichy krzyk.

Podbiegłam do staruszki.

– Sheila kłamie – powiedziała, chwytając mnie za ręce. – Jest szalona. Nie dotknęłam jej. Pozbywają się mnie. Mówię ci, Ellie. Jeśli nie będziesz ostrożna, to samo zrobią tobie.



# 16

## Jo

Mężczyzna, który patrzy na mnie, ma czarną sutannę i koloratkę. Ale jest w nim coś, co odróżnia go od innych pastorów, których spotkałam w swoim życiu. Ma pomarańczowe buty do biegania z jaskrawoniebieskimi sznurówkami. A do tego jest młody i ma ładną twarz. Czuję, że moje serce spowalnia.

– Dobrze się pani czuje? – pyta.

Kiwam głową i obejmuję się ramionami.

– Wygląda pani na zziębniętą – dodaje. – Nocowała tu pani? Kiedy nie odprawiamy mszy, trochę tu zimno.

W osłupieniu znów kiwam głową.

– Mimo wszystko – ciągnie – lepiej tutaj, w środku, niż na zewnątrz. Jest zimno jak na wrzesień. – Rozciera dłonie. – Co mogę pani przynieść?

To jakiś żart? Może czeka na właściwy moment, żeby wezwać gliny? Może myśli, że jestem niebezpieczna? Może ma rację. Ale nie wygląda na wystraszonego. Gość ma jaja. Trzeba mu to przyznać.

– Chce pani kawy? – Wskazuje na drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. – Mamy nową kuchnię. Zbieranie pieniędzy trwało kilka lat, ale się udało. Niestety, że mam tylko kawę rozpuszczalną. Może być?

– Dziękuję.

Głos mam schrypnięty. Lodowaty wiatr dał mi wczoraj popalić.

– Zaraz wrócę.

Zastanawiam się, czy nie uciec, ale jeśli doniesie na mnie policji, równie dobrze mogę najpierw napić się czegoś ciepłego.

– Słodzi pani? – woła.

Robi się coraz dziwniej.

– Nie, dziękuję.

Chwilę później przynosi mi kubek z napisem: JEZUS CIĘ KOCHA. Obracam go tak, żeby nie widzieć napisu.

– A więc nie jest pani chrześcijanką – zauważa.

– Bóg nigdy nic dla mnie nie zrobił – bąkam.

– No nie wiem. – Uśmiecha się i wskazuje głową kubek. – Postawił pani gorącą kawę.

– Może i tak. – Wzruszam ramionami.

Wyciąga pustą do połowy paczkę ciastek.

– Niestety, nic więcej nie znalazłem. Takie zwykle. Te z marmoladą zawsze schodzą pierwsze.

Pożeram je.

– Kiedy ostatnio pani jadła? – pyta.

Myślę o posiłku, za który nie zapłaciłam, i czuję palący wstyd.

– Nie wiem – mruczę z pełnymi ustami.

– Może skoczę do piekarni i kupię coś ciepłego? Może tu pani zostać.

Zauważam, że nie proponuje mi pieniędzy, żebym sama coś sobie kupiła. Tak to działa.

– Dobrze – mówię, wpychając do ust ostatnie ciastko.

– Kiedy wrócę, opowie mi pani coś o sobie – dodaje i marszczy czoło, jakby się czymś martwił. – Bo zaczeka tu pani, prawda?

Wychodzi. Moje ciało potrzebuje ciepłego jedzenia. Tylko co, jeśli mam rację i jednak wezwie gliny? Czuję lekkie zawroty głowy. Może przez to, że całą noc przespałam na twardej ławce. Ale przecież sypiałam już w gorszych miejscach.

Próbuję otworzyć drzwi do pomieszczenia, z którego pastor przyniósł ciastka. Może zostało tam coś jeszcze. Są zamknięte. Dopiero wtedy zauważam małe plastikowe drzewko pod czerwono-niebieskim witrażowym oknem. Na gałęziach wiszą karteczki.

„Proszę, niech mój tatuś poczuje się lepiej”, jest napisane na jednej z nich.

Coś kłuje mnie w piersi. Pismo wygląda na dziecinne.

Obok drzewka stoi miska z karteczkami, do których są przyklejone kawałki sznurka. Na misce widnieją słowa: „Napisz modlitwę za kogoś, kto jest w potrzebie”.

Nigdy nie robiłam takich rzeczy, choć pamiętam jak przez mgłę, że dawno temu zapaliłam świeczkę za kogoś, kogo kochałam. Z ciekawości czytam niektóre karteczki.

„Proszę, niech Sammie wyzdrowieje”.

Sięgam po kartonik, piszę na wpół zapamiętane zdania i wieszam go na drzewku.

Na gałęzi niżej wisi kolejna wiadomość. „Wybacz mi”. Nic więcej.

Zastanawiam się, co ten ktoś miałby wybaczyć. Nagle zaczynam czuć się tutaj nieswojo. Muszę stąd wyjść.

I wtedy słyszę głosy. Pastor wrócił z policją! Powinna była uciec, kiedy jeszcze mogłam.

Ciężkie drzwi otwierają się i z hukiem uderzają o ścianę. Echo niesie się w górę, aż pod wysoki sufit. To grupa młodych chłopaków – wszyscy mają kaptury naciągnięte na głowy. Kryję się w kącie między drzewkiem a organami. Nie widzę ich, ale słyszę.

– Gdzie mówiłeś, że je trzymają? – pyta jeden z głosów.

Schrypięty. Przerażający.

Kulę się jeszcze bardziej.

– Tutaj.

To inny głos. Łagodniejszy.

– Ale mówiłem, że nie powinieneś...

Chwilę później słyszę łomot, jakby ktoś walnął w coś kijem albo żelaznym prętem. Kawałek drewna spada na podłogę u moich stóp.

– Patrzcie! Tu jest z pięćdziesiąt funciaków, jak nie więcej.

– Szybko, zanim ktoś przyjdzie.

– Nie sądzę...

– Zamknij się.

Chce mi się kichać. Ściskam nos palcami, by powstrzymać kichnięcie, ale z moich ust wydobywa się stłumiony dźwięk.

– Co to?

Zapada cisza. Wciąż zaciskam palce na nosie, serce wali mi jak szalone.

– Ruszcie się. Wynosimy się stąd.

Drzwi zamykają się z hukiem. Czekam kilka minut, żeby upewnić się, że poszli. Dopiero wtedy prostuję się, stawy mi skrzypią.

Cholera. Rozwalili pudełko na datki i zabrali całą kasę. Teraz pastor pomyśli, że to ja.

Mogłabym tu zostać i wytłumaczyć mu, co się stało, ale czy mi uwierzy? Niby czemu miałby to zrobić? Nawet jeśli nie znajdzie przy mnie pieniędzy, pomyśli, że pewnie je gdzieś ukryłam albo mam współnika, który z nimi uciekł.

Wróci lada moment. Muszę się zbierać.

Przez chwilę mocuję się z klamką. Tamci zatrzasnęli drzwi tak mocno, że nie chcą się otworzyć. W końcu zamek puszcza.

Kościelny zegar wybija godzinę, kiedy przebiegam pod drewnianym łukiem. Mam wrażenie, że to zły znak. Wbiegam w boczną uliczkę i stoję twarzą w twarz ze złodziejami. Czuję, jak kolana uginają się pode mną. Jeden z nich ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Rzuca się na mnie i wykręca mi prawą rękę, tak że wyję z bólu.

– A więc jednak ktoś tam był. – Przysuwa twarz do mojej. Cuchnie fajkami i wódką. – I co my z tobą zrobimy?

Mijały miesiące. Bez babci Greenway dom wydawał się taki pusty. Miałam wrażenie, że nawet mały Michael to czuł. „Nie ma”, mówił i rozkładał rączki, tak jak wtedy, gdy zjadł wszystko z talerza.

Sheila zmieniła sypialnię babci Greenway w dodatkowy pokój zabaw dla Michaela, ale ja wciąż miałam w oczach leżące na kanapie czerwono-czarne poduszki z toreadorami i słyszałam fragmenty *Coronation Street* i *Crossroads*.

Mówię „Sheila”, bo po historii z nożem i po tym, jak zabrano babcię Greenway, nie potrafiłam myśleć o niej jak o nowej mamie.

– Czemu nie? – zapytał tata.

W jego głosie pobrzmiwał strach, jak gdybym zrobiła właśnie coś niebezpiecznego. Zauważyłam, że wygląda starzej. Miał worki pod oczami i jeszcze więcej zmarszczek na czole.

– Bo mama powinna być miła i dobra, a ona taka nie jest. Nie jest... – Szukałam właściwego słowa, ale tylko jedna myśl przychodziła mi do głowy. – Nie jest normalna.

Byliśmy na spacerze z Michaeliem. Szliśmy na plac zabaw, trzymając go za ręce, i od czasu do czasu podnosiliśmy go i huściliśmy w górze. Była niedziela rano i dzwony w kościele dzwoniły. Ostatnio Sheila zaczęła co tydzień chodzić do kościoła i jeśli cokolwiek stawało jej na drodze, jak wtedy, gdy Michael się rozchorował, naskakiwała na mnie z byle powodu. Po powrocie z mszy przez chwilę była dla mnie miła, po czym znowu się wściekała.

Droga na plac zabaw zajęła nam trochę czasu, bo zatrzymywałam się przed każdą linią na chodniku, by ją ominąć. Dawniej robiłam to szybko, tak żeby nikt nie zauważył i nie zaczął mnie wypytwać. Ale teraz coś mi mówiło, że powinnam być wyjątkowo ostrożna.

– Czemu to robisz? – spytał tata.

Wtedy powiedziałam mu coś, czego nigdy dotąd nikomu nie mówiłam.

– Mama powtarzała mi, że musimy tak robić, żeby nic nam się nie stało.

Westchnął lekko.

– Wiem, że tak myślała. Ale to nieprawda, Ellie. Powiem ci coś o twojej mamie. Była... ona nie czuła się najlepiej.

– Wiem.

– Nie. Zanim zachorowała na raka, cierpiała na coś, co nazywa się „depresją”.

– Co to znaczy?

– Twoja biedna mama bywała bardzo smutna, bo jak wiesz, pragnęła, żebyś miała braciszka albo siostrzyczkę.

– Blaciska albo sioscyckę. Blaciska albo sioscyckę – powtórzył śpiewnie Michael.

Ostatnio powtarzał wszystko jak papuga. Trzeba było uważać, co się przy nim mówi.

Łzy napłynęły mi do oczu.

– Bardzo za nią tęsknię.

Po twarzy taty przemknął cień smutku.

– Ja też – odrzekł cicho. – Ale gdyby nie twoja nowa mama...

– Sheila – poprawiłam go stanowczym głosem.

Znowu westchnął.

– Gdyby nie Sheila, nie wiem, co bym zrobił. Przywróciła nam chęć do życia, prawda?

– Niby jak?

Spojrzał na Michaela, który szedł, podskakując radośnie.

– Gdyby nie ona, nie miałybyś braciszka.

Miał rację. Musnęłam palcami miękką skórę na pulchnej rączce Michaela.

– Pozwól, że powiem ci coś o twojej... o Sheili. – Wziął głęboki oddech. – Urodziła się w Londynie podczas bombardowania. East End, gdzie mieszkali jej rodzice, został poważnie zniszczony.

Uczyłam się o tym na lekcji historii. Historia była jednym z moich ulubionych przedmiotów.

– Chociaż była wtedy malutkim dzieckiem, przez wojnę zrobiła się bardzo nerwowa i nigdy z tego nie wyrosła.

– Ty też dorastałeś w czasie wojny – przypomniałam mu.

– Ale byłem starszy, miałem kilkanaście lat. Tak, wojna była okropna, ale w tamtych czasach chłopcy nie okazywali strachu. Sheila miała gorzej. Ona i jej mama straciły dom; to cud, że zdążyły dotrzeć do schronu. Jej ojciec zginął na froncie, więc babcia Greenway wychowywała ją sama. – Pokręcił głową. – Biedna kobieta. Podziwiam ją.

Pomyślałam o historii, którą opowiedziała mi babcia Greenway – o tym, jak ludzie z opieki społecznej zabrali Sheilę. Może lepiej było o tym nie wspominać.

– To dlaczego odesłałeś ją do domu opieki? – parsknęłam ze złością. – To staruszka. Chciała zostać tu z nami.

– Musieliśmy, Ellie. Lekarze powiedzieli, że tak będzie najlepiej.

– Sheila chciała się jej pozbyć.

– Nieprawda. Martwiła się o nią.

Mówił, jakby rozmawiał sam ze sobą. Wróciłam pamięcią do dnia, kiedy Michael zakrztusił się rodzynką, a Sheila nic nie zrobiła. Zupełnie jakby szok ją sparaliżował. I nagle przypominałam sobie, jak babcia Greenway powiedziała niedawno, że Sheila powinna pójść do lekarza.

– Widzisz więc, że musimy być dla niej mili – ciągnął tata. – Proszę, naprawdę nie możesz mówić do niej „mamo”?

– Nie – odparłam stanowczo. – Dopóki nie zacznie być dla mnie miła.

Westchnął poirytowany.

– Wiesz przecież, że cię kocha. Po prostu czuje się niepewnie, bo łączy nas przeszłość, do której ona nie należała.

– Więc powinna być na tyle dorosła, żeby to zrozumieć – odparowałam.

– Zmieniła się, Ellie – zauważył tata. – Kiedyś byłaś miłsza.

Miał rację. Odkąd usunęli stąd babcię Greenway, byłam zła na wszystkich, nawet na Michaela. Wydawało się, że z całej naszej rodziny tylko on jeden jest szczęśliwy. A jednak, kiedy przyszedł na

świat, wszystko zmieniło się na gorsze.

– Husiu! – zawołał radośnie, wyrwał się nam i pobiegł w stronę huśtawki.

Pospieszyłam za nim i pomogłam mu usiąść na huśtawce ze specjalnym zabezpieczeniem dla dzieci. Chwilę później zaczęłam go huścić.

– Nie tak mocno – upomniał mnie tata.

Nie zrobiłam tego specjalnie. Huśtawka wznosiła się wyżej niż zwykle. Michael piszczał z radości.

– Jeszcze! Jeszcze!

Chwyciłam huśtawkę i pchnęłam ją nieco lżej.

– Tak lepiej – powiedział tata i otoczył mnie ramieniem. – Wiem, że to dla ciebie trudny okres. Pewnie denerwujesz się pójściem do nowej szkoły w przyszłym miesiącu.

– Nie bardzo – odparłam i odeszłam, zostawiając tatę, by huścił Michaela.

Tak naprawdę nie mogłam się doczekać, aż pójdę do liceum. Cieszyłam się, że będę miała więcej lekcji, i chciałam zapisać się na jak najwięcej zajęć dodatkowych. Zrobiłabym wszystko, żeby uzyskać więcej swobody i być z dala od Sheili.

Kiedy następnego ranka zeszałam na śniadanie, zobaczyłam na stole porcelanową filiżankę i spodeczek, które należały do mojej mamy. Były to śliczne przedmioty z niebiesko-żółtym kwiatowym wzorem. Od śmierci mamy nikt ich nie używał, ale teraz w filiżance była herbata. Chwyciłam ją.

– Co robisz? – spytała Sheila.

– Należała do mojej mamy – odparłam sztywno.

– Cóż, teraz wszystko tu jest moje – oznajmiła. – Zresztą po tym, co zrobiłaś, nie sądzę, żebyś miała prawo na cokolwiek się skarżyć. Więc nie leć z tym do ojca. – Podniosła filiżankę do ust. – Albo pożalujesz.

Pobiegłam do swojego pokoju, czując, jak płonie we mnie nienawiść. Obiecałam sobie, że pewnego dnia zemszczę się na tej kobiecie. Nagle przypomniałam sobie jeden z programów telewizyjnych, które oglądałam z babcią Greenway, zanim się jej pozbyli. Tak naprawdę był to program dla dorosłych, ale obie uznałyśmy, że jestem już prawie dorosła. Program opowiadał historię dziewczyny, która tak bardzo nienawidziła swojej macochy, że zadźgała ją w kąpiel. Została schwytana, ale siedząc wtedy razem na kanapie, doszłyśmy do wniosku, że sama się zdradziła.

Pomyślałam teraz, że gdybym ja miała zrobić coś takiego, musiałabym być dużo bardziej przebiegła.

*Niedługo potem zaczynam mieć poranne mdłości. Z początku myślę, że to nawracające zatrucie pokarmowe, ale wkrótce piersi robią mi się obolałe.*

*– Zaciężyłaś – mówi Barry.*

*Wiem, co to znaczy. Jedna z dziewczyn w ostatnim domu dziecka zaciężyła, bo poszła do łóżka z jednym z chłopaków. Wyszły z tego niezłe kłopoty.*

*– Skąd ta pewność? – pytam.*

*– Znam się na takich rzeczach.*

*Boję się, że może być zły, ale on wygląda na szczęśliwego.*

*– Mądra dziewczynka. – Obejmuje mnie. – Może dostaniemy teraz mieszkanie komunalne.*

*– Mówiłeś chyba, że mamy dużo pieniędzy?*

*Nie patrzy mi w oczy.*

*– Zwolnili mnie z powodu redukcji etatów. To nic. Znajdę inną pracę. Może trzeba będzie sprzedać twój pierścionek, żebyśmy mieli z czego żyć. Ale nie martw się. Kupię ci inny, ładniejszy.*

*Nie obchodzi mnie to. Będę miała dziecko! Teraz, w końcu, będę miała własną rodzinę.*

Chłopak, który góruje nade mną, ma oczy jak dwa czarne pociski, fryzurę na jeża i wredny wyraz twarzy. Jego szyję zdobi tatuaż – niebiesko-czerwona czaszka, a pod nią napis: „Bez obaw”. Przeszępuje z nogi na nogę. Jest nakrecony. Wygląda, jakby coś przyćpał. Dopiero po chwili zauważam czerwony scyzoryk zwisający z paska jego opuszczonych nisko dżinsów.

– Widziałaś nas, co? – warczy.

Jego orli nos jest tak blisko mojego, że widzę włoski w środku.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że w sytuacji zagrożenia – takiej jak teraz – trzeba wybać, kto jest przywódcą, i rzucić się na niego. Wtedy pozostali się wystraszą i uciekną. Tylko że ten koleś jest wyższy i większy ode mnie. Nie mam z nim żadnych szans.

– Nic nie powiem – bąkam błagalnie.

Zimne oczy mrużą się.

– Czyli jednak widziałaś nas, tak?

Za późno uświadamiam sobie, że powinnam udawać, że niczego nie widziałam.

Trzęsę się tak bardzo, że szczękam zębami.

– Jak chcecie, powiem pastorowi, że to ja rozbiłam skrzynkę.

– Jakiemu pastorowi? – Chłopak marszczy brwi.

– Temu, który był tutaj kilka minut temu – mówię cicho. – Poszedł kupić mi coś do jedzenia.

– Lepiej się zbierajmy – rzuca jeden z wyrostków.

Jest niższy, jego policzek szpeci długa, poszarpana biała blizna. Twarz ma wąską i spiczastą jak mysi pyszczek. Wydaje się za młody, żeby robić takie rzeczy. Kogoś mi przypomina, ale nie mogę skojarzyć kogo.

– A co z nią? – pyta inny, wskazując na mnie. – Nie wierzę, że nie wygada.

Powiem wszystko – zrobię wszystko – żeby tylko wyjść z tej sytuacji w jednym kawałku.

– Nie pisnę ani słowa – mówię. – Przysięgam.

Ten z czaszką sięga do paska.

– Może pokażemy jej, co się stanie, jak puści parę z gęby.

Nie mogę się ruszyć. Jestem przerażona.

– Dajcie jej spokój.

To ten z mysim pyszczkiem.

– Niby czemu? – Starszy chłopak mruży oczy. – Podoba ci się, co? – Podaje mu scyzoryk. Jest otwarty, ostrze lśni w słońcu. – Mówiłem, że jak chcesz być jednym z nas, to musisz się wykazać. No dalej.



– Proszę, nie! – jęczę.

Nogi uginają się pode mną i osuwam się na ziemię.

Chwilę później słyszę wrzask.

– Moje kolano! Ty pieprzony gnoju! Bierzcie go, chłopaki!

Podnoszę wzrok. Dzieciak, który wyglądał jak mysz, dźgnął przywódcę bandy, który krwawiąc, leży teraz na ziemi.

– Uciekaj! – krzyczy mój obrońca. – Wynośmy się stąd. Szybko!

Próbuję za nim nadążyć. Biegnę, aż ból w klatce piersiowej staje się nie do zniesienia. Przecinam dróżki, pola i mijam po drodze stado krów. „Nie zatrzymuj się”, rzuca od czasu do czasu Mysi Pyszczek. W końcu dopadam do drewnianej bramy. Opieram się o nią, próbując złapać oddech. Przede mną rozpościera się morze. Fale rozbijają się o skały. Ze strachu robi mi się niedobrze.

– Dlaczego mi pomogłeś? – wyrzucam z siebie, kiedy w końcu odzyskuję głos.

– Bo nie lubię, jak kobiecie dzieje się krzywda. – Na chwilę wbija wzrok w ziemię. – To przypomina mi moją mamę. Miała chłopaka, który czasami ją bił. Mnie też nie lubił. Widzisz to? – Wskazuje bliźnę na swoim jasnobrązowym policzku. – Kiedyś, jak był pijany, zgasił mi na policzku papierosa i nazwał mnie „pieprzonym ciapatem”.

Zaskakuje mnie, że mówi mi to wszystko. Ale może jest w szoku. Sam mógł zarobić kosę za to, że dźgnął przywódcę. Mamy szczęście, że jesteśmy cali.

– Mama nie stanęła w twojej obronie?

– Mówiła, że potrzebujemy go, żeby opłacać czynsz. Pokłóciliśmy się. Powiedziałem, że idę zobaczyć się z kumplami i nie wiem, kiedy wrócę.

– Twoja mama pewnie się zamartwia.

Chłopak wzrusza ramionami, jakby miał to gdzieś, choć widzę, że tak nie jest.

– Nie powinna stawiać go na pierwszym miejscu, co nie? – Głos ma zadziorny, ale słychać w nim ból. – To dlatego uciekłem z domu. Od tamtej pory bujam się na ulicy.

Gdybym zarabiała funciaka za każdą podobną historię, którą słyszałam w życiu, spałabym na forsie.

– Ja też jestem bezdomna – przyznaję.

To niemądre zwierzać się innym, ale coś mówi mi, że powinnam pokazać temu dzieciakowi, że nie jest sam.

– Nie jest tak źle, co? – rzuca. – Pod warunkiem że człowiek na siebie uważa.

Przechodzi mnie dreszcz.

– Ile masz lat? – pytam, kiedy przełazimy przez bramę.

Idziemy teraz obok siebie. Wzdłuż krawędzi klifu nie ma żadnego płotu. Daleko w dole widać morze. Jak łatwo byłoby spaść albo zostać zepchniętym...

– Nie twoja sprawa.

Nie pytajcie mnie dlaczego, ale chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym chłopcu.

– Powiesz mi chociaż, jak masz na imię?

– Tim. A ty?

Mogłabym coś wymyślić, ale co mi tam.

– Jo.

– Moja siostra ma tak na imię.

– Gdzie teraz jest?

– Nieważne.

Milknie.

Ścieżka robi się jeszcze węższa. Boję się spojrzeć w dół.

– Gdzie nocujesz? – pytam, kiedy wychodzimy na nieco pewniejszy grunt.

– Zadajesz dużo pytań. Gdziekolwiek. Najlepsze są miejsca pod dachem. Darren potrafił je znajdować.

– To ten chłopak, który kazał ci mnie dźgnąć?

Kiwa głową.

– Poznałem go kilka miesięcy temu w Falmouth, kiedy szukałem, gdzie mógłbym się przekimnąć. Powiedział, że mogę iść z nim i jego kumplami. Później musiałem robić różne niebezpieczne rzeczy. Raz kazali mi włamać się do kiosku z gazetami i ukraść pieniądze. Przyjechała policja i musiałem uciekać. Prawie mnie złapali. Później przenieśliśmy się dalej na południe, zaczęliśmy chodzić po wioskach i włamywać się do kościelnych skrzynek na datki. I tak chciałem ich zostawić. Ale nie zamierzałem pozwolić, żeby zrobili ci krzywdę, tak jak tamtej kobiecie.

– Jakiej kobiecie?

Przez jego twarz przemyka cień.

– Zapomnij, że coś powiedziałem.

– Jestem twoją dłużniczką – mówię.

– Racja.

Teren opada w stronę morza. Chłopak zaczyna biec, potykając się o gałęzie, które ktoś porozkładał na ziemi jak krawędzie stopni.

– Ostrożnie! – wołam za nim.

– Na co czekasz? – odkrzykuje.

– Nie lubię morza.

– Strachajło!

Wchodzę na palcach do wody. Jest płytka i czuję pod stopami ziarenka piasku.

Tim, już zanurzony, wymachuje rękami i nogami.

– Nie chcesz się umyć?! – woła.

Brzmi jak rodzic, nie jak dzieciak. Życie na ulicy sprawia, że człowiek przedwcześnie się starzeje.

– Jak wysuszymy ubrania?

Wskazuje na niebo.

– Słońce wyszło, nie widzisz?

Jemu to bez różnicy. Nadal ma młode kości. Ja wolę nie ryzykować. Ochlapuje mnie wodą. W ułamku sekundy zmienia się z pana mądrali w małego chłopca.

Śmieję się i odpłacam mu pięknym za nadobne. Morze jest lodowate, ale dzieciak ma rację. Od razu czuję się czystsza. W tej części zatoki fale nie są takie wzburzone. Siadam w zakątku przy skałach i zanurzam głowę w wodzie.

– Może chciałabyś odrobinę szamponu?

– Dzięki – mówię i wyciągam rękę. – Szkoda, że nie mam włosów, które mogłabym umyć.

– Żaden problem.

Tim nabiera wody w złączone dłonie i ochlapuje mnie.

– Nabrałem cię! – woła.

Przez kilka minut gonię go po plaży, aż w końcu się zatrzymuję. Co ja wyprawiam? Siadamy obok siebie na skałach.

– Głodna? – pyta.

Kiwam głową. Minęło kilka godzin, odkąd jadłam ciastka od pastora.

– Tam rosną jeżyny. Patrz. Wczoraj nazbierałem ich całe mnóstwo. Chodź. Ścigamy się.

Dociera tam na długo przede mną i kiedy podchodzę, wręcza mi garść jeżyn. Są słodkie i soczyste. Jem łapczywie, nie zwracając uwagi, że zostawiają ciemne, rdzawoczerwone plamy na moim wciąż wilgotnym swetrze.

– Smakuje? – Znowu jest dziecakiem i czeka na pochwałę.

Przytakuję, a chwilę później robię coś, czego nie robiłam od bardzo dawna. Odchylam głowę i wybucham głośnym śmiechem.

– Co cię tak bawi? – pyta.

– Nic – wykrztuszam między kolejnymi napadami śmiechu.

Nie chcę mówić, że to ulga, aby nie pomyślał, że jestem słaba. Nie co dzień człowiek unika dźgnięcia nożem.

W pewnym momencie chwytam go za ręce i przez chwilę wirujemy, jakbyśmy grali w jakąś dziecięcą grę.

– Jesteś walnięta – mówi, kiedy padamy na ziemię.

Może. Ale pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna czuję się wolna.

## 19

### *Ellie*

W kolejnych miesiącach moja nienawiść do macochy rosła w siłę, aż zaczęła spalać mnie od środka. Wszystko, co robiłam, robiłam źle, poczynając od „niechlujnego” mycia naczyń, a kończąc na tym, że w chłodniejsze miesiące, gdy ja i Michael wychodziliśmy pobawić się w ogrodzie, nie kazałam założyć mu czapki. (Było to o tyle trudne, że nigdy nie chciał jej nosić).

Dodatkowo denerwowało mnie to, że Sheila chciała zagarnąć mojego tatę tylko dla siebie. Wieczorami, kiedy razem oglądaliśmy telewizję, siadała obok niego na kanapie, trzymała go za rękę i szeptała mu do ucha. Czasami docierały do mnie pojedyncze zdania. Jedno z nich brzmiało: „Nie mogę się doczekać, aż zostaniemy sami”.

Pewnego dnia wydarzyło się coś, co do dziś sprawia, że gotuje się we mnie krew, jak o tym pomyślę.

Sheila zostawiła na wierzchu buteleczkę środków „na uspokojenie”, jak nazywała je babcia Greenway. Zamiast wysoko w szafce, stały na kuchennym blacie obok dużego czarnego dzbanka, w którym parzyła się herbata. Macocha zawsze odczekiwała pięć minut, zanim naląła jej do filiżanki. Tego dnia wykorzystała ten czas, by na górze ubrać mojego braciszka. Musiałam tylko otworzyć trzy kapsułki – może cztery dla lepszego efektu – zdjąć pasiasty biało-niebieski ocieplacz na dzbanek, wsypać ich zawartość do herbaty i dokładnie wszystko wymieszać.

Właściwie nie wiem, co zamierzałam tym osiągnąć. Na pewno nie chciałam, żeby coś jej się stało. Zupełnie jakby moja ręka przejęła kontrolę nad całym ciałem. Zresztą chyba jej na to pozwoliłam. Czasami człowiek robi rzeczy, których po fakcie nie jest w stanie wytłumaczyć.

Kiedy Sheila wróciła na dół z Michałem, patrzyłam – z mieszaniną przerażenia i niecierpliwości – jak stawia dzbanek przed sobą na szyclekowej macie i siada między mną a moim braciszkiem.

– Piciu – zapiszczał Michael.

Serce mi zamarło.

Ale macochę najwyraźniej rozbawiło jego żądanie.

– Jesteś trochę za mały na herbatę, ale czemu nie? Weźmiemy łyżeczkę, tak?

Kiedy odwróciła się w stronę blatu, udałam, że spadam, i celowo przewróciłam dzbanek. Nie potłukł się, ale jego zawartość wylała się na stół i zaczęła ściekać na podłogę.

– Ty niezdar! – wrzasnęła macocha. – Mogłaś nas poparzyć.

Albo raczej otruć, pomyślałam. Zaczęłam gorąco przepraszać, świadoma, że naraziłam braciszka na niebezpieczeństwo.

Gdy wieczorem tata wrócił z pracy, Sheila opowiedziała mu, jak bardzo byłam nieostrożna.

– To był wypadek – bąknęłam. – Przepraszam.

Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że mi uwierzył.

Czasami zadawałam sobie pytanie, co właściwie w niej widzi. Wiecznie czegoś od niego chciała.

„Dlaczego nie możemy mieć nowego samochodu?”, pytała. Albo: „Wszyscy jeżdżą na wakacje za granicę. Żeniąc się ze mną, obiecywałeś, że będziesz o mnie dbał. Zmieniłeś się”.

Później zastanawiałam się, czy to wszystko nie wynikało z jej wyrzutów sumienia, że pozbyła się matki. Kiedy człowiek zrobi coś złego, próbuje zrzucić winę na innych. Wiem coś o tym.

Pewnego wieczoru doszło do wyjątkowo głośnej kłótni. Michael i ja byliśmy w jego pokoju. Próbowałam odrabiać pracę domową, jednocześnie opiekując się bratem, żeby „rodzice” mogli w spokoju zjeść kolację. Ale tata wrócił do domu później niż zwykle i zdaniem Sheili całą kolację „szlag trafił”.

Z dołu dolatywały ich podniesione głosy.

– Oczywiście, że pracowałam. Niby gdzie miałbym być?

– Nie wiem. Ty mi powiedz. Może z tą twoją kochanką?

– Sheila, nie mam żadnej kochanki. Tylko dlatego, że twój ojciec...

– PRZESTAŃ! Nie chcę o tym mówić. Jak śmiesz poruszać ten temat? Nic dziwnego, że...

I tak to trwało. Michael zaczął popłakiwać.

– Już dobrze. – Przytuliłam go do siebie. Chociaż jakaś część mnie zazdrościła mu szczęśliwego życia, nie chciałam, żeby się smucił. – Masz ochotę przekręcić kluczyk w mojej pozytywce?

Nigdy wcześniej mu na to nie pozwalałam. Ostrożnie poprowadziłam jego małe, pulchne paluszki. Wkrótce jednak się znudził i zaczęliśmy się bawić jego kolejką.

W końcu głosy na dole ucichły, a ja postanowiłam wykorzystać sposobność, żeby przeciągnąć tatę na swoją stronę.

– To bardzo niemile ze strony Sheili, że oskarża cię o to, że się z kimś spotykasz – powiedziałam. – Wiem, że nigdy byś tego nie zrobił.

Był zdumiony, że w ogóle poruszam ten temat.

– Oczywiście, że nie.

– Chodzi o to... – zaczęłam szeptem. – Nie wiedziałam, czy ci mówić, ale teraz myślę, że powinieneś wiedzieć...

– Co takiego, Ellie?

– Kiedyś podsłuchiłam, jak rozmawia z kimś przez telefon. Wciąż powtarzała mu, jak bardzo go potrzebuje.

Nie do końca była to prawda. Słyszałam tylko, jak mówi: „Bardzo cenię sobie twoją opinię”. Uznałam jednak, że odrobina przesady nie zaszkodzi.

– Naprawdę? – Tata zmarszczył czoło.

Ku mojej radości jeszcze tego samego wieczoru doszło do kolejnej awantury. Tym razem krzyczeli tak głośno, że obudzili Michaela. Rano tata przyszedł na dół w swoim niebieskim szlafroku w tureckie wzory, nucąc pod nosem. Dawno nie wyglądał na tak szczęśliwego. Wiedziłam! W końcu postanowił od niej odejść.

– Pamiętasz tę rozmowę, o której mi mówiłaś? – spytał szeptem.

Podekscytowana, kiwnęłam głową.

– Rozmawiała z lekarzem o zmianie leków. Biedactwo, wczoraj wieczorem opowiedziała mi nieco więcej o swoim dzieciństwie i teraz już rozumiem, dlaczego czasami jest taka nerwowa. Oboje musimy

być wobec niej bardziej wyrozumiali. – Poklepał mnie po ramieniu. – Wiem, że zrobisz to dla mnie, prawda?

Ponownie skinęłam głową, siląc się na przyjazną minę.

– Aha, Ellie, jeszcze jedno. – Spojrzał na mnie z powagą. – Nigdy więcej nie zmyślaj. Wiem, że czasami jest ci trudno, ale nie chcę, żebyś kłamała. Sheila to moja żona.

Spodziewałam się, że po tym wszystkim będzie dla mnie jeszcze bardziej wredna. W końcu przyłapali mnie na kłamstwie. Ona jednak wydawała się spokojniejsza, a nawet zaczęła być wobec mnie nieco miłsza, przez co było mi jeszcze bardziej głupio. Może miało to jakiś związek z nowymi tabletkami. Sęk w tym, że przez nie zrobiła się senna i zapominalska. Raz zostawiła Michaela w kąpielni bez opieki. Na szczęście usłyszałam, że płacze, i wyjęłam go z wanny. Kazała mi przysiąc, że nie powiem o niczym tacie. Zgodziłam się, bo wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, znowu będzie dla mnie nieprzyjemna. Później tego żałowałam.

Teraz przynajmniej byłam na tyle duża, że mogłam wychodzić z domu, kiedy i dokąd chciałam.

– Wrócę późno – oświadczyłam pewnego ranka przed wyjściem do szkoły. – Idę na warsztaty rękodzielnicze.

Macochoa ściągnęła brwi. Nie lubiła, gdy nie było mnie w domu i nie pomagałam jej przygotowywać obiadu dla Michaela.

Tak naprawdę wcale nie szłam na warsztaty rękodzielnicze. Zamierzałam odwiedzić babcię Greenway. Dom, do którego ją odesłali, był niedaleko mojej nowej szkoły. Z początku lubiła, kiedy wpadałam do niej z wizytą, ale ostatnio zaczęła mieć problemy z mówieniem i nie bardzo ją rozumiałam.

– Obawiam się, że jesteśmy dziś trochę skołowane – powiedziała jedna z pracownic, kiedy szliśmy do świetlicy, gdzie starzy ludzie drzemali w fotelach albo oglądali w telewizji program *Game for a Laugh*.

Babcia Greenway nie robiła ani jednego, ani drugiego. Siedziała w fotelu, ze wzrokiem wbitym w ścianę, jakby widziała tam coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć. Kiedy do niej podeszłam, spojrzała na mnie i rozpromieniła się.

– Przyszłaś mnie odwiedzić, skarbie! Dziękuję. Wiedziałam, że o mnie nie zapomnisz.

Tak dobrze było ją znów widzieć!

– Wyświadcz mi przysługę, Ellie. – Sięgnęła po torebkę. – Ręce mi zeszywniały i nie mogę się umalować. Nałóż mi na policzki odrobinę różu, dobrze?

Było tak jak wtedy, gdy pomagałam jej robić trwałą. Wzięłam pędzel, nałożyłam odrobinę różu i musnęłam nim kości policzkowe babci Greenway.

– Pełny profesjonalizm! – orzekła, podziwiając swoje odbicie w małym czarnym lusterku, które zawsze miała przy sobie.

– Nauczyłam się tego z magazynu „Jackie” – odparłam z dumą.

– Tak? – Poklepała mnie po ręce. – Prawdziwa z ciebie młoda dama. – A potem dodała szeptem: – Jestem z ciebie bardzo dumna. Poradziłaś sobie w trudnej sytuacji. Ale pamiętaj: nie daj się stłamsić mojej córce. Niedługo staniesz się dorosła i będziesz miała własne życie.

Na dźwięk tych słów poczułam, że w gardle rośnie mi gęsia skórka. Mocno uściskałam staruszkę. Mało brakowało, a powiedziałabym jej o pigułkach rozpuszczonych w herbacie – wciąż czułam się z tym podle – ale przyszła pielęgniarka i oznajmiła, że czas na kolację. Tak wcześnie! Była dopiero piąta.

– Odwiedzisz mnie jeszcze, prawda? – Kościste palce babci Greenway zacisnęły się na moim nadgarstku. Zabolalo mnie to, lecz nic nie powiedziałam. – Sheila twierdzi, że słabuję na umyśle, ale to nieprawda. Po prostu chciała się mnie pozbyć.

I nagle się rozplakała. Patrzyłam przerażona, nie wiedząc, jak ją pocieszyć. Przytuliłam ją, ale wtedy zaczęła płakać jeszcze bardziej.

– Może lepiej już idź, moja droga – zwróciła się do mnie pielęgniarka.

Czułam się paskudnie, zostawiając tam babcię Greenway. W jej głosie pobrzmiwała prawdziwa rozpacz. Nie powinna tam być. Jak Sheila mogła tak po prostu pozbyć się własnej matki?

Wracałam zamyślona do domu – nadal uważałam, żeby omijać linie na chodniku – kiedy usłyszałam za sobą czyjś głos.

– Ellie?

To był Peter Gordon. Wciąż chodziliśmy do tej samej klasy i siedział obok mnie na historii, ale rzadko ze sobą rozmawialiśmy. Chociaż w szkole podstawowej często bawiliśmy się razem, teraz, kiedy dorośliśmy, nie potrafiłam gadać z nim tak jak kiedyś. To był ten okres, kiedy dziewczyny wstydzą się rozmawiać z chłopakami – i odwrotnie – chociaż czują do nich dziwny pociąg. Peter był wysokim szczupłym chłopakiem z czupryną ciemnych lśniących włosów. Budził ogólny podziw, bo grał we wszystkich drużynach sportowych, łącznie z tenisem i drużyną lekkoatletyczną, do których trudno było się dostać.

– Nie przyszedł na warsztaty rękodzielnicze – zauważył.

– Nie. – Zawahałam się. – Ale nie mów nikomu. Nie chcę, żeby macocha wiedziała, gdzie byłam.

Uniósł brwi.

– Jasne, nie powiem – zapewnił mnie i nagle się zarumienił. – Spotkałeś się z kimś?

Chyba nie myślał, że mam chłopaka? Kilka dziewczyn z naszej klasy zaczęło „chodzić” z chłopakami, ale ze mną nikt nie chciał się umawiać. Zresztą i tak nie wiedziałabym, co robić na randkach.

– Nie – odparłam pospiesznie. – Odwiedziłam kogoś, kto nie czuje się najlepiej. Wiem, że Sheila nie byłaby zadowolona. Dlatego proszę cię, żebyś zachował to w tajemnicy.

Uśmiechnął się.

– Masz moje słowo.

Szliśmy dalej w milczeniu, ale nie była to niezręczna cisza. Teraz, kiedy mu się zwierzyłam, poczułam ulgę.

– Do zobaczenia jutro w szkole – powiedział, kiedy dotarliśmy pod mój dom.

Peter mieszkał na tej samej ulicy, kilka domów dalej.

– Tak – rzuciłam, a nie wiedząc, co jeszcze mogłabym dodać, powtórzyłam za nim: – Do zobaczenia.

W domu czekał na mnie tata. Zwykle wracał z pracy dużo później.

– Co się stało? – spytałam i poczułam, że serce podchodzi mi do gardła.

Sheila płakała.

– Zostawiłaś to na kuchennym stole? – zapytał tata.

Spojrzałam na buteleczkę tabletek, którą trzymał w dłoni. Tę samą, którą Sheila co rano wyjmowała z szafki.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Miałam wrażenie, że odetchną z ulgą.

– Widzisz, Sheila? Mówiłem ci, że nigdy by tego nie zrobiła. Ellie jest na to zbyt rozsądna.

Jego żona przestała płakać – wiedziałam, że udawała. Teraz jej oczy ciskały gromy.

– To nie byłem ja. Więc kto inny mógł je tu zostawić?

Mój braciszek bawił się na podłodze kolejką jakby nigdy nic.

– Co się stało? – zapytałam.

Tata pokręcił głową.

– Wróciłem wcześniej do domu i zobaczyłem, że Michael trzyma w ręce buteleczkę leków. Gdyby ją otworzył, mógłby się ich nałykać.

– I myślicie, że to ja?

– Wiesz, że to ty – syknęła Sheila.

Mało brakowało, a powiedziałabym tacie o tym, jak zostawiła Michaela samego w kąpielni. Tylko po co? Wyparłaby się wszystkiego. Nigdy nie zostawiłabym tabletek na wierzchu.

W tamtej chwili szczerze jej nienawidziłam. Spojrzałam na tatę.

– Komu wierzysz? – spytałam.

Postawiłam go w niezręcznej sytuacji i miałam tego świadomość.

– Nie wiem – odparł powoli.

Sheila znowu zalała się łzami.

– Nie masz pojęcia, Nigel, jak mi trudno. Nie daję sobie z nią rady. Robiłam, co mogłam, ale ona mnie nie kocha. Zobacz, nawet nie chce nazywać mnie „mamą”. Mam tego dość.

– Porozmawiamy o tym później – oświadczył stanowczo tata.

Zwykle w ten sposób odwlekał coś w czasie z nadzieją, że Sheila zdąży już ochłonąć.

Ale wieczorem po kąpielni, kiedy zesłam do kuchni po szklankę wody, słyszałam, jak kłócą się w salonie.

– Daj spokój, Nigel. Nie jesteś ślepy. Przecież widzisz, że odkąd urodził się Michael, z Ellie są same kłopoty. Trzeba coś z tym zrobić. Inaczej Bóg jeden wie, co może się wydarzyć.

– Myślę, że przesadzasz, moja droga.

– Nie waż się mnie oskarżać. Twoja córka to kłamczucha... pamiętasz, co powiedziała o mojej rozmowie przez telefon? A teraz te pigułki. Chyba nie wierzysz, że zostawiłam je na stole? Ona jest zagrożeniem dla naszego syna. Nie mogę mieszkać z nią dłużej pod jednym dachem.

– Nie, Sheila... – zaczął tata łamiącym się zbolalym głosem. – Proszę, nie odchodź.

Tak! Miałam ochotę unieść pięść w geście zwycięstwa. Oczywiście, że tęskniłabym za Michaeliem, ale przynajmniej znowu miałabym tatę tylko dla siebie.

– Cóż, wszystko zależy od ciebie.

Słowa macochy zmroziły mi krew w żyłach.

– Znalazłam rozwiązanie, które będzie dobre dla nas wszystkich – ciągnęła Sheila. – Także dla Ellie.

– Co masz na myśli?

Tata mówił teraz tak cicho, że musiałam wyęźać słuch, by go usłyszeć.

– Myślę, że powinniśmy wysłać Ellie do szkoły z internatem.

Co? Nie znałam nikogo, kto byłby w takiej szkole. Jak w ogóle mogli brać coś takiego pod uwagę?

– Chyba nie mówisz poważnie. Ellie straciła już matkę. Nie pozwól, żeby straciła też ojca.



– Nie straci. Są przecież wakacje.

– Mówiłem ci wiele razy, jak wysłano mnie do szkoły z internatem i jak bardzo tęskniłem za domem. Nie zrobię jej tego.

– Ale otrzymałeś dobre wykształcenie, prawda? Ellie zyska szansę, której ja nigdy nie miałam.

– Wykształcenie to nie wszystko, Sheila. I kocham cię taką, jaka jesteś.

– No to chociaż raz stań po mojej stronie, dobrze?

Wyczuwałam, że tata zaczyna się wahać.

– Pieniądze ze sprzedaży twojego domu idą na dom opieki dla twojej matki, a nikt nie może tknąć pieniędzy, które dziadek Ellie przełał na jej fundusz powierniczy.

Zastanawiałam się, co to takiego „fundusz powierniczy”.

– Nie stać nas na to, Sheila.

Odetchnęłam z ulgą.

I wtedy znów usłyszałam jej głos.

– Właściwie to nieprawda... – Jej słowa były gładkie jak jedwab. – Trochę o tym czytałam. Rada miasta opłaca szkołę z internatem dla dzieci z zaburzeniami zachowania. Znalazłam placówkę, która co roku przyjmuje określoną liczbę dzieci takich jak Ellie.

– Ale z nią wszystko jest przecież w porządku!

– Chyba jesteś ślepy. Wiem, że to twoje dziecko, ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Z Ellie jest coś nie tak. Lekarz stwierdził to samo, kiedy opowiedziałam mu o incydencie z nożem i o tym, że jest zazdrosna o Michaela. Chętnie wystawi opinię. Wszystko zależy od ciebie, Nigel. Nie chcesz pomóc swojej córce? Bo jeśli tego nie zrobisz, dam sobie z wami spokój. Albo Ellie wyjedzie do szkoły z internatem i otrzyma fachową opiekę, albo ja odejdę. I zabiorę ze sobą Michaela.

## 20

### Jo

– Lepiej się zbierajmy – mówi Tim. Podnosi się z ziemi i rusza ścieżką w górę klifu. Muszę się spieszyć, żeby za nim nadążyć. – Niedługo zaczniesz się przypląwać, a one bywają niebezpieczne, wiesz? – Po jego twarzy przemyka cień. – Jak w tej historii sprzed kilku miesięcy. Ludzie utonęli. Siedzieli na plaży i robili zdjęcia telefonami.

Przypominam sobie, co mówiła kelnerka. Czy to mogła być ta sama para?

Nagle ulatuje ze mnie całe szczęście.

– Widziałeś ich? – szepczę.

Kiwa głową.

– Mieli fajne telefony. Sporo za nie dostałem.

– Ukradłeś je?

Wzrusza ramionami. Kiedy się odzywa, głos ma beznamiętny. Zachowuje się jak ktoś, kto zrobił coś złego, ale nie chce się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

– Morze je wyrzuciło. – Znowu wzrusza ramionami. – Nie patrz tak na mnie. Im i tak już by się nie przydały, co nie?

Pamiętam zamieszki w Londynie w 2011 roku i okradanie sklepów. Ale to coś gorszego. Jak okradanie grobu.

Żle oceniłam tego dzieciaka. Myślałam, że jest dobry. Bo czy nie uratował mi życia? Ale on jest jak zwierzę.

Zupełnie jak ja.

Idziemy w ciszy.

– Pospiesz się – rzuca, kiedy zaczyna się ściemniać. – Musimy znaleźć jakąś miejscówkę do spania. Albo znajdziesz kryjówkę, albo urzną ci główkę. Czaisz? Rymuje się.

– Niezłe.

Wzrusza ramionami, jakby go to nie obeszło, ale widzę, że jest mile połechtany.

– Lubię układać wierszyki.

Jak ktoś może być poetą i okradać zwłoki? Wolałabym uwolnić się od tego dzieciaka, ale muszę myśleć praktycznie. On zna tę część świata – ja nie.

– Patrz. – Wskazuje głową.

Na wzgórzu stoi dziwny kształt, coś jak bardzo wysoka wieża. Dookoła nie ma innych budynków.

– Co to?

– Stara kopalnia cyny.

Słyszałam o nich. Na myśl o biedakach, którzy zjeżdżali pod ziemię, przechodzi mnie dreszcz.

Tim zaczyna biec.

– Musimy tam dotrzeć przed innymi, bo wtedy będziemy mogli powiedzieć, że to nasza miejscówka.

Kopalnia to w istocie popadający w ruinę wysoki, wąski ceglany budynek, poczerniały ze starości, z połową komina, który strzela w niebo niczym oskarżycielski paluch. Gdy podchodzimy bliżej, widzę rosnące wśród odłamków kamieni kępy trawy i krzewy kolcolistu.

Dostaję gęsiej skórki. Mam złe przeczucie co do tego miejsca.

– Jest nawiedzona? – pytam.

– Nie bądź głupia. To tylko maszynownia.

– To znaczy?

– Trzymali tu maszyny, które wypompowywały wodę z kopalni. Teraz to ruina, ale lepiej spać tutaj niż na zewnątrz. Widzisz? Pada.

Ma rację. Pogoda znów się zmieniła. Nie może się zdecydować – trochę tak jak ja.

– Nie wiem – mówię i potykam się o leżący na ziemi stos drewnianych desek i żelaznych prętów.

Chłopak się krzywi.

– Jak chcesz. Ja wchodzę.

I chwilę później znika. Tak po prostu.

– Gdzie jesteś?! – wołam. – Wracaj.

Ale on nie odpowiada.



*Naparstnica purpurowa (Digitalis purpurea)*

*Plamki na płatkach to podobno ślady*

*po paluszkach elfów i leśnych duszków. Liście*

*wkładano dzieciom do butów, dla ochrony przed*

*szkarlatyną. Ale bezpośredni kontakt ze skórą*

*mógł powodować wysypkę, bóle głowy i nudności.*

– Widzisz – powiedziała babcia Greenway, kiedy odwiedziłam ją w wakacje. – Wiedziałam, że się ciebie pozbęda. Tak jak pozbyli się mnie.

To był jeden z jej przeblysków świadomości. Siedziałyśmy w dużym pokoju z oknami wychodzącymi na pola. Dokoła nas staruszki i starzec w żółtym fularze w kropki przysypiali na fotelach albo gapili się w wyłączony telewizor, jakby mieli nadzieję, że nagle obudzi się do życia.

Kiedy weszłam na salę, moja przyjaciółka siedziała jak inni, ale po kilku minutach znacznie się ożywiła. Jej pomarszczona, zwiotczała szyja, przypominająca mi indyka, zafalowała, gdy babcia Greenway zwróciła się do mnie:

– Jak tam w szkole? Opowiadaj!

Pomyślałam o budynku z czerwonej cegły wychodzącym na morze, w jednym z nadbrzeżnych miasteczek nieopodal Exeter. Pozostałe dziewczyny spędziły tam cały semestr, więc gdy dołączyłam do nich po świętach Bożego Narodzenia, w klasie utworzyły się już grupki. Nikt nie chciał przygarnąć nowej – zwłaszcza tak trudnej i nieobytej jak ja. Tutejsze dziewczyny sprawiały wrażenie dużo starszych i bardziej pewnych siebie od moich dawnych koleżanek. Najwyraźniej pochodziły z zamożnych rodzin: wiele miało własne kucyki i wspominało o domach we Francji, Włoszech albo w Grecji. Tylko nieliczne – w tym ja – otrzymywały stypendium. Nazywano nas „biedaczkami” i albo nas ignorowano, albo nam dokuczano.

– W porządku – odpowiedziałam na pytanie babci Greenway.

Szkoła z internatem nauczyła mnie, że należy skrywać emocje. Ale nocami w internacie płakałam w poduszkę, zastanawiając się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby żyła mama.

Brakowało mi gwarnej, ciepłej swojskości mojej dawnej szkoły. Tam nikt nie gwiazdorzył. W przerwie na lunch ludzie robili ci miejsce przy stoliku, a nie rzucali z kamienną twarzą, że jest „zajęte”. Mimo to nowa szkoła miała jeden plus. Stawiała na sport i pozwalała się rozwinąć nawet ludziom takim jak ja, którzy nie byli urodzonymi sportowcami.

– Jestem w drużynie hokejowej – dodałam. – I netballowej. Gramy w trzeciej lidze, ale to już coś.

W oczach babci Greenway pojawiło się rozmarzenie.

– Ach, gdybym znów mogła biegać. – Spojrzała na swój wózek inwalidzki. – Nie potrzebuję go, ale jestem taka powolna, że podobno lepiej mnie wozić.

I wtedy wpadłam na pomysł.

– Może poszłybyśmy na spacer?

Popatrzyła na mnie, jakbym dała jej prezent.

– Jesteś dobrą dziewczynką. Od jesieni nie byłam na dworze.

Pomyślałam, że to straszne!

– Sheila cię nie odwiedza?

Prychnęła z oburzeniem.

– Jest zbyt zajęta dzieckiem, żeby zwracać sobie głowę starą matką.

Nie byłam pewna, czy to prawda. Kiedy wróciłam do domu na wakacje, zauważyłam, że moja macocha dużo „odpoczywa”. Często kazała mi zajmować się braciszkiem, który miał już cztery lata. Wolałam jednak nie mówić nic babci Greenway. Wystarczająco trudne było dla niej to, że własna córka ją zaniedbuje.

Delikatnie zarzuciłam jej na ramiona koc i pchając przed sobą wózek, wyszłam przez oszklone drzwi na trawnik. Na szczęście ścieżki były wysypane żwirem, więc nie musiałam omijać linii na chodniku.

– Masz na oku jakiegoś chłopca? – spytała z przejęciem, gdy skręciliśmy w alejkę obok krwistoczerwonych róż.

Pytanie było tak niespodziewane – i tak niezwiązane z naszą wcześniejszą rozmową – że przez dłuższą chwilę milczałam.

– Daj spokój. Nie bądź taka wstydliva. Ja w twoim wieku miałam już absztyfikanta. – Pociągnęła nosem. – Dobrze mi to zrobiło.

– Opowiedz mi o nim – poprosiłam, z nadzieją, że odciągnę jej uwagę od tamtego pytania.

Zapomniałam jednak, jaka jest bystra.

– A więc masz chłopaka! Nie zaprzeczaj! Powiedz, co to za jeden? Mieszka niedaleko twojej nowej szkoły, tak?

Poczułam, że się rumienię.

– Nie. Jest stąd. Właściwie to tylko przyjaciel. Znamy się od dzieciństwa. Nasze mamy się przyjaźniły.

Oczy babci Greenway błyszczały z podekscytowania.

– No dalejże, mów. Jak ma na imię?

– Peter. – Byłam czerwona jak burak.

Mówiąc to na głos, czułam się jak oszustka. Peter był po prostu kimś, kogo znałam od zawsze.

– Pisz do ciebie?

– Tak. – Czułam, że policzki mi płoną.

Byłam zaskoczona, gdy niedługo po tym, jak rozpoczęłam naukę w nowej szkole, dostałam od niego list. „Pomyślałam, że sprawdzę, co u ciebie”, napisał. Może mama kazała mu go wysłać. Odpisałam, że nie jest najgorzej. Później odezwał się znowu, pisał o swoich meczach piłki nożnej i o nowym klubie dyskusyjnym, do którego wstąpił. Na końcu samo imię. Żadnego „całuję” ani nic w tym stylu. Ale od tego czasu czekałam na coś więcej niż tylko cotygodniowe listy od ojca.

– Założę się, że inne dziewczyny ci zazdroszą.

– Nie powiedziałam im.

– Więc zrób to. – Babcia Greenway uderzyła dłonią w podłokietnik, strasząc małego brązowego ptaszka, który przycupnął obok na gałęzi. – Dzięki temu będziesz miała więcej przyjaciółek. Dziewczyny takie są. Zaczną postrzegać cię jako „jedną ze swoich”.

Naprawdę? Nie bardzo w to wierzyłam. Kiedy wspominałam, że moja mama nie żyje, jeszcze bardziej się ode mnie odsuwały. Bycie inną wcale nie było fajne.

– Pewnie teraz, kiedy jesteś w domu, będziesz częściej spotykała się z tym swoim Peterem.

Znowu się zarumieniłam. Nie był „moim” Peterem, ale miło było usłyszeć coś takiego.

– Umówiliśmy się na czytanie poezji.

– Ha! – Indycza szyja zafalowała, gdy babcia Greenway wybuchła śmiechem. – Nadal używają tej wymówki, co? Ojciec Sheili tak właśnie zawrócił mi w głowie. I zobacz tylko, jak się to skończyło.

Przypomniałam sobie, że pan Greenway zginął na froncie podczas wojny.

– Przykro mi. Musiało być ci strasznie ciężko, kiedy zginął.

– Zginął? – Jej twarz stężała. Uderzyła dłonią w bok wózka, a w jej głosie pojawiła się gorycz. – Michael nie zginął. Ulotnił się tuż po wybuchu wojny, w obawie że zostanie powołany.

Kiedyś zszokowałaby mnie ta odpowiedź. Ale teraz bardziej zdumiało mnie coś innego.

– Michael? – powtórzyłam. – Przecież tak ma na imię mój brat.

Babcia Greenway prychnęła.

– Dostał imię po dziadku. Niedorzeczny sentymentalizm. Ten łajdak, wybac mi język, porzucił mnie w ciąży. Teraz to normalne. Bycie samotną matką to nic takiego. Ale wtedy wszyscy się ode mnie odwrócili. Dzieci w szkole dokuczały Sheili. Jak myślisz, dlaczego jest taka przewrażliwiona? Nikt nie chciał być nieślubnym dzieckiem. Później, jak już mówiłam, trafiła do rodziny zastępczej, bo ledwie wiązałam koniec z końcem. Jednak w końcu ją odzyskałam.

Czy mój tata o tym wiedział?

– Nie mów o tym nikomu – dodała staruszka, jakby czytała mi w myślach. – Powinam trzymać język za zębami. Sheila zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, że się wygadałam. Ostrzegam cię. Moja córka jest taka sztywna i zasadnicza, bo dzięki temu mogła odciąć się od tego, co spotkało ją w przeszłości. Zawsze, gdy zrobi coś, czego nie powinna, choćby to był drobiazg, wypiera się odpowiedzialności. Jak w tamtej sytuacji z tabletkami, o której mi opowiadałaś.

Wciąż mnie to bolało.

– Cóż, teraz przynajmniej wiesz, dlaczego jest, jaka jest. – Babcia Greenway odetchnęła głęboko. – To moja wina, że nie miała ojca. Nie chciała być nieślubnym dzieckiem szykanowanym przez społeczeństwo. To namieszało jej w głowie. Dlatego musimy traktować ją ulgowo.

Czyżby? Z trudem ogarniałam to wszystko. A babcia Greenway jakby nie mogła przestać mówić.

– Kiedy Sheila poznała twojego tatę, pomyślała, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Od lat szukała właściwego mężczyzny. Zawsze zazdrościła twojej mamie. Powtarzała, że chciałyby być taka jak ona, mieć przystojnego męża i córeczkę.

Nagle przypomniałam sobie, jak w pewien weekend Sheila przyszła do nas, żeby zapytać, czy mój tata nie naprawiłby jej przeciekającej rynny. Mama nie była zachwycona, bo akurat siedzieliśmy przy niedzielnym lunchu. Przypomniałam też sobie, że po ślubie Sheila pozbyła się ubrań mojej mamy – tata bardzo się wtedy zdenerwował – i zmieniła wszystkie meble w ich sypialni.

– Wiedziałam jednak, że nic z tego nie będzie. To przez jej dzieciństwo. – Urwała na chwilę, po czym dodała: – Są rzeczy, po których człowiek nie jest w stanie się pozbierać.

Zamilkła. Jej sucha, starcza ręka sięgnęła po moją dłoń.

– Po prostu uważaj, Ellie. To wszystko.

Głowa jej opadła.

– Jestem zmęczona. Możemy wracać? Dobre z ciebie dziecko.

Kiedy Liam przychodzi na świat, Barry płacze jak dziecko.

– Dałaś mi syna – szlocha, tuląc go do siebie.

– Ostrożnie – mówię. – Bo go zmiażdżysz.

Odsuwa się. Oczy ma mokre.

– Będę się dla was starał ze wszystkich sił. Szczerze.

I stara się. A przynajmniej tak to wtedy wygląda. Barry dostaje kolejną pracę na budowie.

Nocami muszę pilnować, żeby dziecko nie płakało, bo Barry wstaje bardzo wcześnie.

Wieczorami zawsze pomaga mi położyć Liama. Wyjątkiem są piątki. Wtedy wraca późno i cuchnie alkoholem. Zwykle ma przy sobie mnóstwo pieniędzy, których potrzebujemy na czynsz i jedzenie. Lecz pewnego wieczoru nie znajduję nic w kieszeni jego dzinsów.

– Gdzie twoja wypłata? – pytam.

– To moja pieprzona sprawa – warczy.

Barry przeklina tylko wtedy, kiedy wypije za dużo.

Chwilę później łapie mnie i wsuwa mi rękę w majtki.

– Nie dzisiaj – mówię. – To nie jest dobry dzień.

Ale alkohol sprawia, że jego ojciec mnie nie słucha. Liam płacze w łóżeczku, kiedy jego ojciec popycha mnie na łóżko.

Miesiąc później okazuje się, że znowu jestem w ciąży.

– Powinnaś bardziej uważać – mówi mi.

– To był twój pomysł! – wrzeszczę. – Niby jak damy sobie radę?

– Przecież mam pracę, nie?

– To za mało – warczę. – Ledwie starcza nam na czynsz, a co dopiero na jedzenie.

Zbliża twarz do mojej. Próbuję się odsunąć, ale mnie przytrzymuje.

– Nie jestem dla ciebie dość dobry, co?

Unosi drugą rękę. Zaczynam się trząść. Nigdy dotąd mnie nie uderzył.

– Oczywiście, że jesteście – mówię i robię krok w tył. – Jakoś sobie poradzimy.

Ale miesiąc później, w piątek, wraca do domu w porze lunchu kompletnie pijany.

– Wcześniej wróciłeś – mówię.

Śmieje się. To nie jest miły śmiech. Brzmi gorzko.

– Zwolnili nas wszystkich. Skurwiele odwołali następną budowę.

Chłód pełnie mi po plecach.

– Co teraz zrobimy?

– Będę na zasiłku, dopóki nie znajdę czegoś nowego. – Pociąga wódkę z butelki, którą trzyma w ręce.

Odstawia ją i chwilę później już chrapie. Pospiesznie odsuwam butelkę, tak by Liam jej nie dosięgnął. Zaczął już chodzić i wszystko go interesuje.

Ale gdy w końcu zasypia, mam wrażenie, że butelka gapi się na mnie. Zanim się obejrzę, jest już pusta.



## 22

### Jo

Idę po omacku. Nic nie widzę. Potykam się i krzyczę. Mój głos odbija się od ścian.

– Tim? – wołam.

„Tim? Tim?”, powtarza mój głos.

Słyszę za plecami czyjeś kroki. Jeden, drugi, trzeci. W oddali dostrzegam nagle światło. Oddech więźnie mi w gardle. Skręcam za róg...

– A jednak mnie znalazłaś.

Podskakuję.

– Przestraszyłeś mnie!

Chłopak siedzi po turecku na podłodze i uśmiecha się od ucha do ucha. Próbuje rozpałcić ognisko.

– Spójrz, co znalazłem! Pudełko zapalek. Zupełnie suchych. Patrz, są też kawałki drewna.

Ogarnia mnie złość.

– Dlaczego odszedłeś i mnie zostawiłeś?

– Pomyślałem, że pójdziesz za mną. No i poszłaś, nie? – Poklepuje miejsce na ziemi obok siebie. – Rozgość się.

Patrzę na niego niepewnie.

– Bezpiecznie tu?

– Wydaje się w porządku. Lata temu zalali tę kopalnię, więc się nie zapadniemy.

Skąd wie?

Nagle czuję coś twardego na ziemi obok siebie.

– Patrz – mówię podekscytowana i na chwilę zapominam o złości. – To dwufuntówka!

– I co nam po niej? – parska pogardliwie.

– Jak to? – Ściskam monetę w dłoni. – Możemy za nią kupić bochenek chleba i może jeszcze coś więcej.

– Możemy też zwinąć jedzenie za darmo.

– Żeby nas złapali?

– Jeszcze mi się nie zdarzyło. A tobie?

Wciąż słyszę szcęk zatrzaskiwanych drzwi. Widzę wściekle twarze.

– Nie chcę o tym mówić.

– Jak wolisz. Zjesz coś? – Sięga do kieszeni i wyciąga grzyby. – Znalazłem je po drodze.

– Są dobre?

Przewraca oczami.

– Od razu widać, że jesteś miastowa. Skąd właściwie pochodzisz?

– Stąd i stamtąd.

– A więc to tak, co?

– O co ci chodzi?

– Ja opowiedziałem ci o mojej mamie i jej fagasie. Jak długo jesteś bezdomna?

Wzruszam ramionami. Trudno powiedzieć.

– Kilka lat.

– Ja mieszkam na ulicy, odkąd skończyłem jedenaście lat. – Mówi tak, jakby to była jakaś rywalizacja.

– Czemu nie trafiłeś do domu dziecka?

Wygląda na zadowolonego z siebie.

– Bo się nie wychylałem. Robiłem wszystko, żeby mnie nie złapali. Nie patrz tak na mnie. Takich dzieciaków jak ja jest na pęczki. Myślisz, że ktoś się nami przejmuje?

– Ile masz lat?

Pytałam o to już wcześniej, ale odparł, że to nie moja sprawa. Teraz jednak wydaje się na tyle odprężony, żeby mi powiedzieć.

– Czternaście.

Powinien mieszkać z matką i chodzić do szkoły. Jego matka powinna była zostawić swojego faceta. Ale jeśli czegoś się nauczyłam, to tego, że nic nie dzieje się tak, jak powinno.

– Nie miałeś innych krewnych, z którymi mógłbyś zamieszkać?

– Nie wiem, gdzie są. Mama urodziła mnie, kiedy sama była dzieckiem, i jej rodzice wyrzucili nas z domu.

Deszcz wpada do szybu przez pęknięcie w suficie. Ubranie mam mokre od morskiej wody i zaczynam się trząść.

– Jak sobie radziłeś, zanim trafiłeś do tego... gangu?

Wyciera nos rękawem.

– Spałem gdzie popadło. Czasami w pustostanie, a czasami w noclegowni. Problem w tym, że nie możesz zostać tam za długo, bo zaczynają zadawać pytania. Gdyby wiedzieli, ile mam lat, oddaliby mnie gliniarzom. Nie mogę pracować, bo jestem za młody. Muszę być ciągle w drodze.

Wyciąga ręce do ognia, żeby się ogrzać. Ja robię to samo.

– Co się stało po tym, jak wyszłaś z więzienia? – pyta.

– Skąd...? – Odwracam się, myślę o człowieku z koszmarów i oddycham głośno, jakbym chciała wyrzucić go z głowy.

– Skąd wiedziałem? – kończy moje pytanie. – Ktoś, kto żyje na ulicy tak długo jak ja, zauważa pewne znaki. Trafiłem w czuły punkt, co? – Sięga do kieszeni. – Chcesz trochę? To cię uspokoi.

To skręt?

– Może trochę zawilgnał, ale nie jest zły.

– Nie, dzięki. – Odwracam się.

Wyciera nos wierzchem dłoni.

– Ja tam lubię odlecieć, to pomaga.

Zapala kolejną zapałkę, przypala skręta i zaciąga się głęboko. Zapach jest słodki. Chcąc nie chcąc, wdycham trochę.

– A zresztą spróbuję – rzucam.

Podaje mi skręta. Przez chwilę siedzimy zatopieni w myślach, gdy nagle znów się odzywa.

– W drodze jestem wolny – mówi. – Mogę być taki, jak chcę, i to kręci mnie.

– Znowu rymujesz.

Uśmiecha się.

– Lubię poezję. Nie mam jej gdzie spisywać, więc wszystko zapamiętuję. Chcesz posłuchać?

Nawet nie czeka na moją odpowiedź.

– Kiedy w domu mieszkałem, mysz za kumpla miałem. – Spogląda na mnie. – Naprawdę. Mama musiała zastawić pułapkę. – Jego wzrok na chwilę łagodnieje. – Nadal brakuje mi Piska. Tak go nazwałem.

– To smutne.

– Nie... nic się nie stało! – Oczy mu błyszczą. – Złapałem Piska, zanim dał się schwytać w pułapkę, i go wypuściłem. Napisałem o tym wiersz, ale zostawiłem go w domu.

Znów się zaciągam.

– Jak je wymyślasz? – pytam.

Nie mam serca mówić mu, że moim zdaniem są dość dziecinne.

Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic wielkiego.

– Myślę o czymś, co sprawia, że jestem szczęśliwy albo zły. Później znajduję pasujące słowo i szukam do niego rymu. Na przykład jeśli myślę „kot”, dopasowuję „grot”, „lot”, „pot” i tak dalej, aż znajdę coś, co będzie pasować.

Chichoczę. Od skręta kręci mi się w głowie.

– Jak kot, co miał grot i puścił się w lot, aż oblał go pot?

– Coś w tym stylu, chociaż nie obraż się, ale to było kiepskie.

– Wał się.

Oboje się śmiejemy.

– Zagrajmy – proponuję. – Co się rymuje z „bieg”?

– Szpieg – odpowiada.

– Dobrze. Teraz ty.

– Co się rymuje z „łgarz”?

– Twarz – mówię.

I nagle widzę pochylającą się nade mną wściekłą twarz. Ramiona uniesione, gotowe mnie uderzyć. Nabrzmiałe fioletowe żyły na jego czole.

– Co jest? – pyta Tim.

– Nic – rzucam i wbijam wzrok w ogień. – Musimy się przespać. Ty pierwszy. Ja posiedzę na warcie.

– Po co? – pyta. – Nie przyjdą tu za nami. Nie lubią wsi.

– A jeśli?

Gdy to mówię, rozlega się trzask, jakby ktoś nadepnął na gałąź. Wstrzymuję oddech.

– To tylko wiatr – uspokaja mnie Tim. Patrzy na mnie z zaciekawieniem. – Naprawdę jesteś nerwowa. Ktoś cię szuka?

– Mówiłam już, to moja sprawa – gaszę go. – Śpij.



### *Gwiazdnica (Stellaria)*

-----  
*Znana również jako kurzysład i ptasia*

-----  
*mięta. Według podań te delikatne kwiaty mogą*

-----  
*sprawadzić kłopoty na człowieka, który je zerwie.*

-----  
*Uwaga!*

## 23

### Ellie

W ostatnim dniu wakacji, w przeddzień powrotu do szkoły, miałam gościa.

– Ktoś do ciebie! – zawołała Sheila.

W tonie jej głosu było coś, co kazało mi zbiec na dół.

Peter! Chociaż powiedziałam babci Greenway, że jest tylko moim przyjacielem, serce waliło mi z ekscytacji i zdenerwowania. Ale gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz, zatrzasnęłabym mu drzwi przed nosem. I może wówczas nie wydarzyłyby się nic złego.

Peter był wyższy i wyglądał doroślej niż ostatnio, a jego głos miał nieco głębszą barwę. Czułam się inaczej, gdy zamiast pisać do niego, stałam teraz przed nim. Łatwo było napisać zamasztyłym piśmem (z przypadkowym kleksem), jak bardzo nienawidzę biologii albo że jedzenie w szkolnej stołówce jest zapychające. Teraz nie mogłam wykrztusić słowa i czułam się potwornie zawstydzona.

– Przejdziemy się? – spytał w końcu, a po jego policzkach rozlał się rumieniec.

– Chcę iść na huśtawki! – Obok mnie pojawił się Michael i ciągnął mnie za rękę. – Proszę, Ellie. Proszę!

– Weźmiecie go do parku? – zapytała macocha. – Jestem wykończona, a dziś wieczorem organizujemy uroczystą kolację. Bóg jeden wie, jak się z tym wszystkim wyrobie.

Pierwszy raz słyszałam o jakiejś kolacji. Miałam nadzieję, że ostatni wieczór w domu spędzę razem z tatą. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu na czytanie poezji, tak jak kiedyś. Wciąż potrafię cytować z pamięci mój ulubiony wiersz Johna Masefielda, którego nauczył mnie tata, ten o tonięciu w morzu. Wtedy byłam za mała, żeby w pełni zrozumieć jego znaczenie, ale uwielbiałam brzmienie słów.

– Lubisz poezję? – zagadnęłam Petera, gdy bujaliśmy Michaela na huśtawce.

Jego twarz pojaśniała.

– Zdecydowanie. Najbardziej lubię Keatsa. Znasz jego *Ode do jesieni*?

– Nie – odparłam nieśmiało.

– Jak chcesz, mogę pożyczyć ci swój egzemplarz – zaproponował.

– Chętnie. – Poczulałam ciepło rozlewające się po całym ciele.

– Nie chcę już huśtawki – oświadczył Michael. – Chcę na zjeżdżalnię.

– Proszę – upomniałam go.

– Proszę – powtórzył, ale wiedziałam, że było to bezmyślne, bo wszystko powtarzał jak papuga.

Zacząłam go podnosić, a gdy Peter wyciągnął rękę, żeby mi pomóc, nasze dłonie otarły się o siebie. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Czy zrobił to celowo? Przeszedł mnie dreszcz.

– Możemy wcześniej odprowadzić Michaela do domu? – szepnął Peter. – Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać.

Pokiwałam głową. Serce waliło mi tak głośno, że dziwiłam się, że on tego nie słyszy.

– Musimy już wracać – powiedziałam do brata.

– Nie. Nie chcę.

– Musimy – powtórzyłam rozeźlona.

– Dlaczego?

– Dlatego – warknęłam, a Michael zaczął pochlipywać.

– To nic – odezwał się Peter, patrząc rozczarowany, jak próbuję uspokoić brata. – Innym razem.

Przez resztę dnia byłam wściekła na Michaela. To przez niego zezłościłam się w obecności Petera. Co teraz o mnie pomyśli?

Później, po jego odejściu, ruszyłam na górę, żeby się spakować. Z dołu, z kuchni, dobiegał podniesiony głos taty. Kiedyś zawsze mówił łagodnie, ale odkąd ożenił się z Sheilą, zrobił się nerwowy. Po cichutku zeszedłam po schodach i usiadłam na najniższym stopniu.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Mówiłam. Ale ty jak zwykle nie słuchałeś. Jesteśmy im winni kolację. Byliśmy u nich w zeszłym miesiącu i dobrze wiesz, że jeśli ich nie zaprosimy, będą mieli o nas złe zdanie.

Często to powtarzała. Nic nie przerażało jej tak bardzo jak myśl, że ktoś może mieć o niej złe zdanie.

– Ale to ostatni wieczór Ellie w domu – ciągnął tata. – Chciałem spędzić z nią trochę czasu.

– A co z naszym synem? Z nim nie chcesz spędzać czasu?

– Oczywiście, że chcę. Ale on jest na miejscu. To ty wymyśliłaś, żeby wysłać Ellie do szkoły z internatem...

– Tak. – W głosie Sheili pobrzmiwało niezadowolenie. – Zrobiłam to dla jej dobra. I miałam rację. Jest grzeczniejsza i bardziej dojrzała. Właśnie poszła z Michaeliem na plac zabaw. Ona i ten... o, tu jesteś.

Oboje odwrócili się w moją stronę.

– Ellie! – Tata mnie przytulił. – Dobrze się bawiłaś? – spytał.

Uradowany Michael wpadł do kuchni.

– Byliśmy na zjeździe. Ellie pomogła mi wejść na górę, a później mnie złapała.

– Peter mi pomógł – dodałam. – W drodze do domu spotkaliśmy jego mamę. Prosiła, żeby was pozdrowić.

Sheila zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie lubiła, gdy choćby wspomniano się o kimś, kto znał moją mamę.

– A przy okazji, odwiedziłam babcię Greenway – rzuciłam, zdając sobie sprawę, że zachowuję się prowokująco.

Sheila zmrużyła oczy.

– Nie wiedziałam. Po co?

– Chciałam zobaczyć, jak się miewa w tym nowym domu – odparłam, ośmielona jej reakcją. – Rozmawialiśmy o jej życiu w czasie wojny.

Poczułam satysfakcję, widząc, jak na twarzy Sheili pojawia się niepokój.

– O czym jeszcze mówiła moja mama? – spytała ściśniętym głosem człowieka, który udaje, że nie obchodzi go odpowiedź.

– No wiesz – odrzekłam nonszalancko. – O tym i owym.

Sheila nie wyglądała na zadowoloną i ogarnęło mnie przyjemne poczucie wyższości. Kusilo mnie, by powiedzieć, że wiem, że była nieślubnym dzieckiem, bo wtedy przestałaby się tak puszyć.

Ona jednak postanowiła odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Zabierz Michaela na górę i przygotuj go do snu, dobrze? Aha, Nigel, idź się przebrać. Niedługo przyjdą goście. Chcę, żeby wszystko było idealnie.

Mój braciszek wbiegał już po schodach do swojego pokoju. Sheila wynajęła kogoś, żeby go urządził. Jedna ściana była niebieska, z obrazkami statków, piratów i latarni morskich. Czasami, zamiast czytać Michaelowi przed snem, wymyślałam własne bajki. Właśnie tego domagał się dziś wieczorem.

– Opowiedz mi jeszcze raz o krokodylu. PROSZĘ, Ellie!

Posadziłam go sobie na kolanach i przytuliłam, żałując, że wcześniej się na niego złościłam. To nie była jego wina. Był za mały, żeby rozumieć. Poza tym pochlebiali mi, że mnie kocha. I prawdę mówiąc, cieszyłam się, że irytuje to Sheilę. Czasami wyobrażałam sobie, że Michael jest mój. Pragnęłam w przyszłości mieć dzieci. Jak cudownie by było, gdyby ktoś kochał mnie tak mocno, jak ja kochałam swoją mamę.

– Dawno, dawno temu – zaczęłam – żył sobie żeglarz zwany Dużym Johnem, który miał tylko jedno oko.

Podeksytowany Michael wiercił się na moich kolanach.

– Opowiedz, jak stracił to drugie!

– Właśnie do tego zmierzam – odparłam, łaskocząc go, aż zapisał się z radości. – Pewnego dnia, kiedy Duży John żeglował po siedmiu morzach, zobaczył ogromnego krokodyla.

– Dalej. Dalej!

– Duży John jadł akurat kanapkę z szynką...

– Ostatnim razem była z serem – przypomniał mi Michael.

– Przepraszam. Masz rację. – Mój braciszek miał bzika na punkcie szczegółów. – Krokodyl zobaczył to i podpłynął do łodzi. Duży John był niezwykle miłym człowiekiem, więc wychylił się, żeby się przywitać, i...

Oboje zamarliśmy. To był dramatyczny moment! Poruszyłam palcami, naśladując szczęki krokodyla.

– Wtedy krokodyl podskoczył, żeby chwycić kanapkę. Ale niestety, zjadł też oko Dużego Johna...

Michael klasnął w dłonie.

– Ale on dalej widział!

Pamiętał wszystkie szczegóły z poprzedniego razu.

– Tak! Ale...

– Ellie! – Oboje podskoczyliśmy na dźwięk głosu dobiegającego od drzwi. – Co ty, do diabła, wyprawiasz? Opowiadasz mu takie historie? Będzie miał koszmary.

– Jemu się podobają – odparłam.

– Nie o to chodzi. To nieodpowiednia bajka. Natychmiast wyjdź z pokoju. Sama go położe.

Kiedy wychodziłam, Michael tupał nóżkami.

– Chcę, żeby Ellie dokończyła bajkę – powtarzał.

– Nic z tego. Ellie jest bardzo niegrzeczna.

Gdy goście już się pożegnali, tata przyszedł do mojego pokoju razem z macochą. Nie spałam, czytałam książkę. Tata miał poważną minę.

– Słyszałem, co się wydarzyło – powiedział, zerkając na żonę. – Tłumaczyłem Sheili, że poniosła cię wyobraźnia. Żałujesz, prawda?

Proszę, mówiła jego twarz. Przeproś, Ellie. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Mogłam się uprzeć. Ale chociaż było mi przykro, że tata nie stanął po mojej stronie, zrobiło mi się go żal. Dlatego zagryzłam zęby.

– Przepraszam – powiedziałam.

Sheila skinęła głową.

– Dobrze. Ale niech to się więcej nie powtórzy.

Kładąc się spać, przysięgłam sobie, że ostatni raz przeprosiłam tę kobietę.



## 24

### Jo

Kiedy się budzę, Tima nie ma w pobliżu. Na szczycie ruin przycupnęły mewy i krzyczą na mnie. Dopiero teraz, w świetle dnia, widzę zięjący w podłodze duży kwadrat, częściowo zabity deskami. Gdy pochylałam się nad nim, czuję się, jakbym zaglądała do głębokiej studni. Mieliśmy szczęście. Któraś z nas mogło tam wpaść.

Na zewnątrz gęsta mgła wisi nad zaroślami.

Gdzie podział się ten dzieciak? Zostawił mnie? Stoję niepewna. Co mam robić? W takim miejscu człowiek może się zgubić na dobre.

Nagle z prawej strony wyrasta jakaś postać. Oddech więźnie mi w gardle. Na miękkich nogach cofam się pod ścianę.

Dopiero po chwili dostrzegam, że to drobna postać z opadającymi włosami. Tim oddycha ciężko, oczy mu błyszczą.

– Rozglądałem się – dyszy. – W życiu nie zgadniesz, co znalazłem.

Ekscytacja malująca się na jego twarzy przypomina mi kogoś, kogo znałam. Ale nie pamiętam, kim był ten mężczyzna. A może to była kobieta.

– Chodź! – Chwyta mnie za rękę.

Idę za nim przez pole i oboje przełazimy przez zamkniętą na kłódkę bramę. Kaleczę się w ramię i z ranki zaczyna płynąć krew.

– Nic ci nie jest?

– Nie – zapewniam, chociaż trochę boli.

– Jesteśmy na miejscu! – Zatacza ręką łuk, jakby kogoś mi przedstawiał. – Idealne, co nie? A najlepsze jest to, że nie ma tu żywej duszy.

Patrząc na stojący przede mną spłowiwały niebieski znak. PLAC KEMPINGOWY MIRAMAR. TEREN PRYWATNY.

Jest tu małe biuro, przypominające bungalow, z wiszącą na drzwiach informacją: „Zamknięte do 17 marca”.

Idziemy do przyczepy, która stoi najdalej od drogi, nieopodal lasu. Między drzewami prześwituje morze.

– Możemy się tu ukryć, jeśli będziemy musieli uciekać – mówi Tim. Ściąga koszulkę, wkłada w nią kamień i wybija jedno z okien. – No już, podsadz mnie.

Wpada do środka głową naprzód i otwiera drzwi.

– Witamy! – Oczy mu błyszczą.

– O jacie! – mówię i rozglądam się dookoła.

Nieźle tu. Jest prawdziwy stół z ławą do siedzenia i łóżko. Nawet nie patrzę w lustro wiszące na ścianie. Kto by się przejmował swoim wyglądem? Są ważniejsze zmartwienia, jak choćby gdzie się przespać albo skąd wziąć jedzenie. Ledwie o tym myślę, zaczyna mi burczeć w brzuchu.

– Musimy zdobyć coś do jedzenia – rzuca Tim.

– Niby skąd? – pytam. – Ze spółdzielni spożywców? Nie wiedziałam, że rozdają jedzenie takim jak my.

Zaśmiałam się z własnego żartu, gdybym nie była taka zmęczona. Wczorajszy dzień dał mi popalić.

Tim nie posiada się z radości.

– Nie widziałas przez okno w biurze tych półek? Pełno na nich różnych puszek. Pewnie sprzedają je tym z przyczep. Musimy tylko wybić następne okno. Jest tu kuchenka. Może w butli zostało jeszcze trochę gazu.

Odkręca zawór i słychać syk. Wygląda na to, że miał rację. Ale w kranach nie ma wody.

Siadam ciężko na skraju łóżka.

– Na pewno wszystko w porządku? – Głos Tima jest zdumiewająco łagodny. – Rozcierasz dłonie częściej niż zwykle.

Naprawdę?

– Przystań się, do cholery, nade mną trząść. Chce mi się pić, to wszystko.

Przeszukuje zawartość szafki.

– Patrz! Wypij to. – Wręcza mi opróżnioną do połowy butelkę lemoniady.

Robię, co mi każe, chociaż napój jest nijaki.

– A teraz usiądź. I się nie ruszaj. Wróć najszybciej, jak się da.

Wychodzi, a ja przysypiam. Rozpaczliwie walę pięściami w szklane drzwi. Tyle że zamiast próbować się wydostać, próbuję wejść do środka...

Zrywam się ze snu, gdy drzwi przyczepy stają otworem. Słyszę szczekanie. A jeśli to pies stróżujący? Zanim dociera do mnie, co robię, już ściskam w dłoni nóż wyjęty z kuchennej szuflady.

– Wyluzuj. To tylko ja! – krzyczy Tim. Dźwiga całą masę rozmaitych puszek, a przy jego nodze biegnie biały terier z sierścią oblepioną błotem. – Uspokój go, dobra? Wkurza mnie.

Zwierzę chwyta mnie zębami za kostki, przez co niemal upuszczam nóż.

– Co to ma być, do cholery? – pytam.

– Pies.

– Nie jestem ślepa. Ale co on tu robi?

– Przyszedł za mną. – Tim kuca i głaszcze psa, który liże się pod ogonem.

– Fuj, przestań.

– Biedaczek. Pewnie się zgubił. Może ktoś go porzucił. Patrz. Nie ma obroży.

Teraz zwierzę ciągnie mnie za sznurówki. Robię krok w tył.

– Nie możemy go zatrzymać. Sami nie mamy co jeść.

– Właśnie że możemy. Tylko spójrz. – Tim kładzie puszkę na stole. – Wziąłem też karmę dla psów. Nawet nieźle smakuje.

Robi mi się niedobrze.

– Próbowałeś tego?

Tim wzrusza ramionami.

– Raz czy dwa. Czasami człowiek nie ma wyboru.

Odkąd żyję na ulicy, nie upadłam tak nisko.

Wywraca kieszenie i na stół wypadają różne rzeczy.

– Przyniosłem ci plaster i środki antyseptyczne na to twoje ramię.

Waham się. Kradzież to poważna sprawa.

– A jeśli ktoś odkryje, że się włamaliśmy?

– To miejsce przez zimę jest zamknięte.

– Tak, ale pewnie ktoś tu zagląda.

– Przestań się martwić, staruszko. – Mówi to życzliwie. – Mam dla ciebie coś jeszcze. Zaczekaj tylko. Zamknij oczy, to cię zaskoczy. Widzisz? Rymuje się.

– Świetnie – rzucam niemrawo.

– Daj mi kilka minut, a później wyjrzyj przez okno. Odkryłem coś z tyłu.

Chwilę później słyszę dziwne skrzypnięcie.

Nie wierzę własnym oczom. Dzieciak znalazł rower! Wygląda na zardzewiały, ale Tim jedzie na nim z rękami w górze, jak cyrkowy clown. Dookoła niego, szczerząc radośnie, biega biały piesek.

Nagle mimo woli wybucham śmiechem. To taka ulga po całym tym syfie, z którym musiałam sobie radzić.

Siadam na schodach i przyglądam się Timowi. Do diabła! Przeleciał nad kierownicą. Zaraz jednak podnosi się z ziemi, otrzępuje i biegiem wraca do przyczepy, a za nim ten cholerny pies.

– Piąteczka! – Szczerzy zęby w uśmiechu i uderza dłonią w moją dłoń. – Przepraszam. Bolało? Chyba spadliśmy na cztery łapy, co?

Zaraz potem podnosi psa, który liże go po twarzy.

– Nazwiemy cię Szczęściarz – mówi czule. – Bo miałeś szczęście, że nas znalazłeś, a my mamy szczęście, że z nami będziesz.

Może ma rację. Przypominam sobie kobietę z Bristolu i innych bezdomnych z psem. Ludzie zawsze zatrzymują się, żeby coś im dać. Może Szczęściarz pomoże nam stanąć na nogi.

Do mojego serca sączy się ciepłe, pełne nadziei uczucie, którego nie było tam wcześniej. Może, w końcu, uśmiechnie się do mnie szczęście.

Gdybym wiedziała, że w wieku czternastu lat moje życie odmieni się na zawsze, może wykorzystalabym w pełni swoje szczęście z Peterem. Zaczynałam się przyzwyczajać do nowej szkoły. Nie powiedziałabym, że ją lubię, ale babcia Greenway miała rację. Cotygodniowe listy od Petera – w których opisywał, co robi, i dołączał do nich wykonane ołówkiem karykatury swoich nauczycieli – zdobyły mi szacunek innych dziewczyn, gdy niby przypadkiem zostawiałam jakiś list tu i tam. Niektórzy powiedzą, że byłam za młoda na miłość, ale patrząc z perspektywy czasu, widzę, że po tym, co wydarzyło się w domu, rozpaczliwie szukałam bliskości.

Szkoła okazała się pomocna. Grupka „fajnych” dziewczyn zaprosiła mnie do swojego stolika w stołówce. Co więcej, dziewczyny ze starszych klas wybierały mnie teraz do drużyny netballowej jako jedną z pierwszych, a nie ostatnich. Najbardziej lubiłam grać na pozycji rozgrywającej. Według szkolnych raportów byłam „osobą wszechstronną”, choć najlepiej radziłam sobie z łaciną i angielskim. Dołączyłam do kółka dyskusyjnego i dobrze orientowałam się w aktualnych wydarzeniach oraz w polityce. Wszystkie podziwialiśmy naszą premier, Margaret Thatcher. Byłyśmy zgodne, że doskonale rządzi krajem.

Chociaż z natury byłam chudzielcem, dzięki zapychającym deserom przybrałam nieco na wadze. W końcu zaczęłam miesiączkować – jako jedna z ostatnich w klasie – a moje piersi zrobiły się duże i krągłe, co w równym stopniu było dla mnie powodem do dumy i zakłopotania.

– Musisz poprosić matkę, żeby dopasowała ci biustonosz – powiedziała kierowniczką.

– To moja macocha – sprostowałam. – Nie łączą nas więzy krwi.

Z wiekiem coraz częściej i bardziej ochoczo podkreślałam, że Sheila nie jest moją mamą.

Inne dziewczyny miały przy łózkach kalendarze, w których odliczały każdy dzień. Koniec semestru był zwykle zaznaczony czerwonym kółkiem i mnóstwem wykrzykników.

– Nie masz kalendarza? – spytała dziewczyna z łóżka obok.

– Nie – odparłam krótko.

Dla mnie wakacje miały gorzko-słodki posmak. Owszem, oznaczały, że wrócę do domu. Ale również że znów będę musiała znosić Sheilę.

Tego lata, kiedy nadszedł czas pakowania rzeczy, w internacie aż wrzało od opowieści o tym, kto i gdzie wyjedzie na wakacje. Ojciec napisał w liście, że w trzecim tygodniu sierpnia „mamy wykupiony pobyt w Dordogne we Francji”. Mimo że Sheila jechała z nami, byłam podekscytowana. Zajrzałam nawet do atlasu geograficznego i wyszukiwałam rozmaite informacje w *Encyklopedii Britannica*.

Później przyszedł drugi list od ojca. Ten był jednak dziwnie oficjalny.

*Twoja matka i ja jesteśmy zdania, że lepiej będzie, jeśli pojedziesz na kemping do Walii, na obóz prowadzony przez kościelną organizację młodzieżową. Pojedziesz tam prosto ze szkoły i dołączysz do nas w sierpniu, niedługo przed wyjazdem do Francji. Zadbamy o to, by przelano nam Twój bagaż, żebyś nie musiała brać go ze sobą.*

Wybuchłam płaczem. Jak mógł mi to zrobić? Byłam jednak przekonana, że to jej sprawka. Niemal widziałam, jak stoi nad nim i dyktuje mu, co ma pisać.

Obóz był koszmarny! Codziennie padał deszcz, a ja mokłam i marzłam. Byłam zbyt nieśmiała, żeby nawiązywać nowe znajomości, ale inni błędnie to odbierali. Słyszałam, jak jeden z chłopaków mówił o mnie, że zadzieram nosa. Jedynymi ciekawymi rzeczami było odbijanie w miejscowym kościele tablic pamiątkowych techniką estampażu i zbieranie muszli na plaży. Najładniejsze zatrzymałam dla Michaela. Wiedziałam, że będzie zachwycony. Chociaż w domu bywałam na niego zła, bo oni wyraźnie go faworyzowali, strasznie za nim tęskniłam.

W końcu obóz dobiegł końca i rodzice innych dzieci przyjechali po nie samochodami. Miałam nadzieję, że tata też po mnie przyjedzie, ale on był w pracy. Przekazali mi, że mam wrócić do domu pociągami, a on będzie czekał na mnie na dworcu. Kiedy jednak wysiadłam, walcząc z plecakiem i próbując omijać linie na chodniku, zobaczyłam, że w samochodzie siedzi Sheila. Nawet nie wysiadła, żeby mi pomóc. Opuściła tylko osłonę przeciwsłoneczną i przeglądając się w lusterku, powoli i z rozmysłem szminkowała usta, jak gdyby mój przyjazd w ogóle jej nie obchodził. Chwilę później otworzyły się tylne drzwi i Michael podbiegł do mnie, wyciągając rączki.

– Ellie! – zawołał i zarzucił mi ręce na szyję, kiedy przykućnęłam, tak że niemal stykaliśmy się twarzami. – Tęskniłem za tobą.

Przytuliłam go i wciągnęłam w płuca jego zapach.

– Wracaj, Michael! – krzyknęła Sheila. – To niebezpieczne. Ellie, nie stój na drodze jak kolek. Wsiadajcie do samochodu.

Jeszcze nie zdążyłam się przywitać, a już miałam kłopoty.

Michael ścisnął moją rękę, upierając się, żebym usiadła z nim z tyłu. Kiedy dojechaliliśmy do domu – Sheila była nerwowym kierowcą i nigdy nie jechała szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę – poszedł za mną do mojego pokoju i patrzył, jak wypakowuję swoje rzeczy, z których niemal już wyrosłam.

– Pojedziesz z nami do Francji? – zapytał.

Mówił teraz tak szybko. Kto by pomyślał, że ma już pięć lat!

– Tak – powiedziałam. Wzięłam go na ręce i przez chwilę wirowałam z nim po pokoju. W końcu go postawiłam. – Zwiędzimy zamki. To dopiero będzie zabawa, co?

Nachmurzył się.

– Czy w tych zamkach będą smoki? Widziałem jednego w telewizji i się wystraszyłem.

– Nie. – Wzięłam go na kolana i przypomniałam sobie, jak dostało mi się za historię o krokodylu. – Smoki nie istnieją.

Uwolnił się z moich objęć.

– Pójdziemy do parku?

Sheila się zgodziła, pod warunkiem że będę „ostrożna”. Świetnie bawiliśmy się na huśtawkach.

– Podziwiam młode mamy – powiedziała starsza kobieta, która pchała wózek ze swoim wnuczkiem. – Macie tyle energii.

Zarumieniłam się. Jedna z dziewczyn w szkole nauczyła mnie używać tuszu do rzęs, więc wyglądałam nieco doroślej.

– Nie jestem jego mamą – odparłam. – To mój młodszy braciszek.

– Coś takiego!

Spodobało mi się, że pomyślała, że Michael jest mój. Dzięki temu poczułam się wyjątkowo. Wiedziałam też, że Sheila byłaby zła, gdyby to usłyszała.

Kiedy wróciliśmy do domu, Michael wciąż kipiał energią, więc graliśmy w piłkę na trawniku.

– Jeszcze, jeszcze! – wołał. – Mam, Ellie!

– Widzę, że ktoś wrócił do domu! – zawołał tata, stając w drzwiach na taras.

– Tatusi! – pisnął Michael i podbiegł do niego.

Poczułam ukłucie zazdrości, chociaż wiedziałam, że tata mówił o mnie. Michael miał go na co dzień. Teraz była moja kolej. Nie mogłam się powstrzymać i też podbiegłam do niego, jak gdybym była małą dziewczynką.

– Dobrze cię widzieć. – Objął mnie czule.

Za jego plecami Sheila patrzyła na nas z chmurną miną.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Oczywiście – rzuciła, chociaż to nie do niej się zwracał. – Niby co miałoby być nie w porządku?

– Cieszysz się na wakacje, Ellie? – spytał tata.

Miałam wrażenie, że ją ignoruje. Wyczuwałam między nimi napięcie. Może się pokłócili. Świetnie!

– Tak.

– Przepraszam, że nie przyjechałem po ciebie na dworzec, ale musiałem odebrać coś dla twojej mamy.

Poczułam się urażona.

– Myślałam, że byłeś w pracy.

– Bo byłem. – Wyglądał na zmieszanego. – Ale w drodze powrotnej musiałem jeszcze coś załatwić.

Teraz zrozumiałam. Sheila nie chciała, żeby po mnie przyjechał. Wiedziała, że będę rozczarowana, jeśli nie zobaczę go na dworcu, i miała rację.

– Nigel, właśnie dostaliśmy zaproszenie od Danielsów na uroczysty lunch – oświadczyła nieco radośniej Sheila.

Serce mi podskoczyło. Danielsowie mieszkali w wielkim domu i często podejmowali gości. Byli stałymi klientami w sklepie papierniczym taty, a moja mama przyjaźniła się z panią Daniels. Chociaż Sheila zwykle stroniła od ludzi, którzy znali moją prawdziwą mamę, było oczywiste, że ze snobistycznych pobudek gotowa jest zrobić wyjątek. Państwo Gordonowie również znali Danielsów i w ostatnim liście Peter wspominał coś o przyjęciu. Pisał, że wybiera się z rodzicami i ma nadzieję, że ja również tam będę. Obiecałam mu, że się postaram.

Ojciec jęknął.

– Musimy iść? To piątek, zwykły dzień pracy. A to znaczy, że będę musiał wziąć wolne.

Sheila przewróciła oczami.

– To ich dwudziesta piąta rocznica ślubu i chcą ją świętować dokładnie tego dnia. Większość gości to ludzie, którzy MOGĄ wziąć sobie wolne. Tak naprawdę to zaszczyt, że nas zaprosili, nawet jeśli zrobili to tak późno. Pewnie jesteśmy zapchajdziurą, bo wiele osób wyjechało już na wakacje. –

Zacisnęła usta. – Dzieci też zaproszono. Bóg jeden wie po co. Tak czy inaczej, zgodziłam się. Zawsze powtarzasz, że powinniśmy więcej czasu spędzać razem, jako rodzina.

– Dobrze – odrzekł tata z nieco większym entuzjazmem. – A teraz chodź do środka, Ellie, i opowiadaj, co w szkole.

– Uważajcie, wchodząc do kuchni! – zawołała macocha. – Stłukłam coś i nie zdążyłam pozamiatać.

Po podłodze walały się kawałki niebiesko-żółtej porcelany.

– Nie! – Opadłam na kolana. – Filiżanka mamy. – Podniosłam fragment i na widok kwiecistego wzoru zalała mnie fala wspomnień.

Zerwałam się z podłogi i chwyciłam ojca za rękę.

– Stłukła ją. Zrobiła to celowo.

– No, no, Ellie – upomniał mnie ojciec. – Jestem pewien, że nie zrobiła tego umyślnie.

Oczywiście, że tak! Dlaczego nie brał mojej strony? Chciał jedynie sprawić przyjemność tej głupiej kobiecie.

To było nie w porządku. Szlochając, pobiegłam na górę, z kawałkami porcelany w dłoniach.

– Co mam zrobić, mamusiu? – Płakałam, leżąc na łóżku. – Dłużej tego nie zniósę.

## 26

### Jo

Tim oddaje mi łóżko.

– Potrzebujesz go – mówi z zakłopotaniem.

Ktoś kiedyś nauczył go dobrych manier.

Koniec końców, on i Szczęściarz śpią na ławie przy stole.

Zaczynamy popadać w rutynę. Śpimy do późna, bo dzięki temu jest nam cieplej. Później na zmianę szukamy kasztanów jadalnych i idziemy razem do sklepu po kolejne puszki. Ja stoję na czatach, podczas gdy Tim wchodzi do środka przez rozbite okno. Popołudniami słuchamy radia – mamy radio tranzystorowe i znaleźliśmy w sklepie nowe baterie. Lubię program Steve’a Wrighta. Ma miły głos. Chodzimy też na spacer z psem. Wieczorami gramy w węże i drabiny, w warcaby albo w jedną z gier, które znaleźliśmy w szafce.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczynam się odprężyć. Mamy tu wszystko, czego nam trzeba. Czajnik, a nawet mały czerwony dzbanek do herbaty. Może nie ma wody, ale na zewnątrz jest kran i wiadro. Znaleźliśmy też sterę identycznych niebiesko-białych ręczników, które właściciele zostawili w jednej z szafek.

Czuję się jak na wakacjach – choć nie pamiętam, żebym miała kiedykolwiek jakieś wakacje. W szufladzie, obok noży i widelców, natrafiam na talię kart. Tim uczy mnie grać w oszusta. Nie mówię mu, że znam zasady.

W nocy mówi przez sen. „Mamo”, jęczy raz za razem. Jego krzyki budzą czasami Szczęściarza, który leży skulony w jego ramionach, jakby tam było jego miejsce. Liże Tima po twarzy i obaj znowu zasypiają.

Pewnego wieczoru Tim zostawia psa ze mną i wychodzi.

– Mam coś do załatwienia – mówi.

Zaczynam się denerwować, gdy robi się ciemno, a on nie wraca. Jestem też zła na siebie, że za bardzo się od niego uzależniam. Czy nie dlatego zwykle podróżuję sama? Kiedy z kimś jesteś, sprawy się komplikują.

– Gdzie byłeś? – pytam, gdy w końcu się zjawia.

Nie mam zegarka, ale zegar na ścianie przyczepy pokazuje drugą trzydzieści.

– Co cię to obchodzi? Nie jesteś moją matką.

Wydaje się jakiś inny.

– Masz rację – mówię. – Ale świat pełen jest niebezpieczeństw. Próbuję cię tylko chronić.

Przewraca oczami.

– To ja cię uratowałem, pamiętasz?



To prawda.

– Poszedłem się przejść, okej? Potrzebowałem czasu dla siebie. Czasami dziwnie się czuję i muszę pobyć sam. Idę spać.

Daję spokój i nie drążę tematu.

Tym razem Szczęściarz postanawia położyć się ze mną w łóżku. Zupełnie jakby wiedział, że Tim potrzebuje przestrzeni. Wtulał nos w jego sierść i niemal natychmiast zasypiam, czując przy piersi uderzenia jego ciepłego serca.

Kiedy się budzę, Tim patrzy na mnie z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Podpieram się na łokciach.

– A co?

– Miałaś koszmar.

Nie, tylko nie to.

– Co mówiłam?

– W kółko powtarzałaś: „Zabiłeś go!”. – Mruży oczy. – Ktoś cię szuka? Czy ty kogoś szukasz?

Opadam na poduszkę.

– Mówiłam ci, że to nie twoja sprawa – mruczę. – Ty też masz koszmary, ale ja o nic cię nie pytam. A może opowiesz mi, czemu ciągle wołasz swoją mamę?

– Wal się.

– Właśnie. A teraz wracaj do łóżka.

Po tygodniu zaczynam chodzić jak lew po klatce.

– Idę się przejść – mówię.

Tim bąka coś i przewraca się na drugi bok. Powietrze na zewnątrz jest czyste i świeże w porównaniu z zaduchem w przyczepie. Pies wychodzi ze mną. Nie mamy smyczy, ale Szczęściarz po prostu idzie przy nodze. W pewnej chwili zaczyna rozgrzebywać liście.

– Wyczuwasz króliki? – pytam go.

Strzyże uszami, jakby rozumiał, co do niego mówię.

Mam na sobie czarne legginsy i granatową polarową bluzę, którą Tim zwinął ze sklepu. Zaczynam gwizdać, kiedy schodzimy ze wzgórza i wspinamy się na kolejne. Nie zamierzam się zbytnio oddalać, ale zanim się obejrzę, docieram do małej wioski. Nazwa na drogowskazie jest dziwna i nie potrafię jej wymówić. Ładnie tu. Zastanawiam się, czy mogłabym znaleźć tutaj pracę, w której nie będę zadawać mi zbyt wielu pytań. Może moglibyśmy zostać tu na zimę.

Przede mną jest pub. Nie pogardziłabym łykiem czegoś mocniejszego, ale nie mam pieniędzy.

I wtedy zauważam gazetę wystawioną przed małym wiejskim sklepikiem. Jest mokra od deszczu, ale zdjęcie nadal jest wyraźne. Podobnie jak słowa.

## CZY MORDERCZYNI Z OXFORDSHIRE

### ZABIŁA JUŻ WCZEŚNIEJ?

– Mnóstwo uciekinierów trafia w te strony – słyszę czyjś głos.

Potężny mężczyzna w starych, brudnych dżinsach i kurtce wędkarskiej staje obok mnie i kręci głową.

– Jest tu cała masa kryjówek. Niektórym się udaje i zostają tu na dobre. Jeśli wiatr i morze nie dopadną ich pierwsze. Nie mówiąc o policji.

Odwracam się. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie podoba mi się spojrzenie kobiety ze zdjęcia. Sprawia wrażenie osoby, od której lepiej trzymać się z daleka. Mam wrażenie, że widziałam ją już wcześniej. Tylko gdzie?

Zanim urodził się Kieran, Barry zaczął wracać do domu coraz później. Nie tylko w piątki. Czasami byłam tak zajęta dziećmi, że nie miałam czasu przygotować dla niego kolacji. To mu się nie podobało.

– Co robiłaś cały dzień, kobieto?! – krzyczał.

– Opiekowałam się twoimi cholernymi dziećmi! – odwrzaskiwałam. – Padam z nóg. Wiedziałbyś, jak to jest, gdybyś choć trochę mi pomógł.

– Zarabiam na chleb.

Sąsiedzi walą w ściany, żebyśmy się zamknęli. Wiem, że jeśli nie będziemy uważać, to nas eksmitują. Już wcześniej były na nas skargi. Zalegamy z czynszem, bo Barry wciąż pije.

Liam płacze, bo jest głodny. Od trzech dni karmię go zupą błyskawiczną, bo jest tania. Nie mam już mleka, bo sama nie dojadam.

W pewien piątek Barry wraca bez pieniędzy.

– Wydałeś wszystko na wódę, tak?! – wrzeszczę.

– A nawet jeśli, to co? To moje pieniądze!

– Nie nakarmię dzieci powietrzem.

– Zamknij się, babo. Od twojego gadania boli mnie głowa.

I wtedy ją widzę. Paskudną malinkę na jego szyi.

– Byłeś z kimś, tak?! – krzyczę.

– No i? Ty mi już nie dajesz.

– Bo padam na pysk! – wyrzaskuję mu prosto w twarz. – Co to za jedna?

– Nie znasz jej.

Z wściekłością okładam go pięściami. Liam zaczyna płakać. Kieran się wydziera.

– Odczep się, wariatko!

Odpycha mnie z taką siłą, że wpadam twarzą na ścianę. Krew cieknie mi z nosa, tak jak wtedy z ojcem.

Liam jest w pokoju.

– Tatusiu, przestań!

– Idź do łóżka, skarbie – mówię i próbuję go wyprowadzić.

Barry rusza w moją stronę, oczy mu płoną. Nie pozwolę na to. Chwytam pierwszą lepszą rzecz, jaka nawija mi się pod rękę – porcelanową miszkę, którą kupił mi za swoją pierwszą wypłatę – i walę go w bok głowy.

Osuwa się na podłogę. Strużka krwi ścieka mu po twarzy. Oczy ma zamknięte. Chyba nie oddycha.

Ktoś znowu wali w ścianę.

Oblewają mnie na zmianę zimne i gorące poty.

– Rusz głową – mówię do siebie. – Rusz głową.

Pospiesznie pakuję do torby rzeczy chłopców i biorę ich na ręce.

I uciekam.

# CZĘŚĆ DRUGA

Po wypadku



*Przytulia właściwa (Galium verum)*

-----  
*Delikatny żółty kwiat o zapachu świeżo*

-----  
*zjętej trawy, wysuszonej na słońcu. Kojarzy się*

-----  
*z młodymi kochankami leżącymi w trawie.*

Moje życie składa się z dwóch części. Dni sprzed przyjęcia. I po nim. Ale dwadzieścia cztery godziny, oddzielające jedną część od drugiej, nie istnieją. Nie mogę na to pozwolić.

– Rozmowa o tym może ci pomóc – powiedział Cornelius niedługo po tym, jak się poznaliśmy. – To coś jak opróżnianie kuchennych szafek i zapelnianie ich nowymi rzeczami.

Był głównym psychiatrą w Highbridge i to on odpowiadał za moje leczenie. Po tym, co się stało, nie było mowy, żebym wróciła do szkoły czy prowadziła normalne życie.

Na pierwszy rzut oka Highbridge nie wyglądał jak zamknięty szpital psychiatryczny. Z porośniętymi bluszczem ścianami z czerwonej cegły i dziedzińcem, na którym wznosiła się wieża zegarowa, przypominał niewielki, choć imponujący dom w stylu wiktoriańskim. Zegar na wieży wybijał każdą godzinę. Był to głęboki rezonujący dźwięk, który sprawiał, że za każdym razem się wzdygałam.

W tamtym czasie często się wzdygałam. Cierpiałam też na bardzo silne bóle głowy. Zaczynały się z boku głowy, w miejscu, które pielęgniarka nazywała „skrońmi”. Zwłaszcza gdy Cornelius upierał się, że powinnam zacząć mówić.

„Nie”, odpowiadałam.

Ograniczyłam swoje wypowiedzi do minimum. Nie było sensu mówić więcej, niż było to konieczne.

Zdarzało mi się też chichotać w najmniej odpowiednim momencie. Cornelius twierdził, że czasami mózg zmusza nas do śmiechu, choć tak naprawdę chce nam się płakać. Moim zdaniem nie miało to sensu, podobnie zresztą jak wszystko, co działo się w tamtym czasie.

Przestałam jeść. Ubrania wisały na mnie, rysy twarzy mi się wyostrzyły. Żołądek często burczeniem domagał się jedzenia, ale nie byłam w stanie nic przełknąć.

– Musisz jeść, żeby żyć – powiedziała łagodnie jedna z kucharek, kiedy zobaczyła, że nałożyłam sobie na talerz trzy ziarnka groszku.

Ale czy miałam prawo żyć? Nie po tym, co zrobiłam. Dlatego zaczęli mnie zmuszać. Któryś z pracowników przytrzymywał mnie, a inny łyżką wlewał mi zupę do ust. Teraz byłoby to niedopuszczalne, ale wtedy podobne rzeczy były w takich placówkach na porządku dziennym.

Cornelius był potężnym mężczyzną o przenikliwych jasnoniebieskich oczach. Nośił kraciaste koszule bez krawata. Przypominał mi nauczyciela plastyki z mojej szkoły i poczułam się nieco skrepowana, gdy zaproponował, żebym zwracała się do niego po imieniu. Coś takiego było przecież niegrzeczne. W tamtym czasie wydawał mi się stary, jak ojciec albo dziadek. Dopiero później dowiedziałam się, że był zaledwie piętnaście lat starszy ode mnie.

– Skoro nie chcesz mówić – powiedział na jednej z pierwszych sesji – może wolałabyś coś napisać?

Miałam ochotę odwarnąć, że nie jestem dzieckiem, ale tylko pokręciłam głową.

– Jesteś pewna?

Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej długopis i notatnik. Długopis nie miał skuwki, a w notatniku brakowało metalowej spirali łączącej kartki. W Highbridge jedno i drugie uważano za „niebezpieczne przedmioty”. Zabrali nawet moją pozytywkę – tata spakował ją do małej walizki, którą pozwolono mi wziąć ze sobą. „Mogłaby połknąć kluczyk”, powiedziała jedna z pielęgniarek nad moją głową. Kiedy nie mówisz, ludzie zapominają, że nadal słyszysz.

Cornelius bawił się długopisem. Ile razy powtarzaliśmy ten rytuał, odkąd tu trafiłam? Czy nie rozumiał, że nie zamierzam przelewać swoich myśli na papier? Nawet nie potrafiłam ich nazwać.

Spojrzałam w okno. Było zakratowane. Zastanawiałam się, jak mocne są te białe pręty. Dziewczyna z łóżka obok powiedziała mi, że rok temu jeden z chłopców, których trzymano w innym skrzydle, zdołał usunąć pręty prowizorycznym śrubokrętem zrobionym ze spiłowanej szczoteczki do zębów. „A później wyskoczył”, dodała obojętnie. Z czwartego piętra.

Czasami sama miałam ochotę wyskoczyć.

– Lubisz czytać? – zapytał Cornelius.

Kiedyś lubiłam. Teraz nie widziałam w tym sensu. Nic już nie miało znaczenia.

Wstał i przez chwilę wodził palcami po grzbietach księżek, których rzędy ciągnęły się na półkach. W końcu wybrał jedną.

– Zobacz tę – rzucił zachęcająco.

Odwrociłam wzrok, ale najpierw zerknęłam na tytuł. *Golden Treasury* Palgrave’a. Czytałam wiersze z tego zbioru razem z tatą, dawno temu, zanim Sheila zniszczyła nam życie.

– Nie chcę na nią patrzeć – burknęłam.

– W porządku – skwitował radośnie, jak gdyby udzieliła poprawnej odpowiedzi. – Poezja pomaga nam wyrażać nasze emocje, ale nie musisz jej teraz czytać. Takie rzeczy wymagają czasu.

Takie rzeczy? Poczulałam, jak wzbiera we mnie gniew. Wstałam, przewracając krzesło. Cornelius zmarszczył brwi.

– To raczej nie pomoże, co, Ellie?

Skąd wiedział? W ogóle mnie nie znał. Sięgnęłam po leżący między nami tomik wierszy i cisnęłam nim w Corneliusa. Książka uderzyła go w skroń. Pojawił się czerwony ślad, z którego spłynęła strużka krwi.

– Nie powinnaś była tego robić – rzekł ze smutkiem i nacisnął zielony guzik na ścianie za jego plecami.

Chwilę później drzwi się otworzyły i do gabinetu weszło dwóch mężczyzn w białych fartuchach. Przytrzymali mi ręce z tyłu.

Wiedziałam, co się wydarzy, bo tak samo zakończyła się nasza pierwsza sesja. Zabiorą mnie do izolatki, gdzie będę siedziała tak długo, aż zacznę się zachowywać jak należy. Wtedy będę mogła wrócić do pokoju i mojej współlokatorki, od której dowiedziałam się o tym chłopaku, co wyskoczył z okna. Wciąż będę śniła koszmary, które nawiedzały mnie każdej nocy i paraliżowały do tego stopnia, że budziłam się przerażona, w kałuży potu. A Cornelius dalej będzie nakłaniał mnie do zwierzeń.

Musiałam stawić temu opór. Bo w przeciwnym razie mogłabym opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia.

12.05, 17 sierpnia 1984

To dzień uroczystego lunchu u Danielsów. Od kilku dni moja macocha chodzi podekscytowana; kupiła nawet dwie różne kreacje „na wypadek gdyby pogoda się zmieniła”, chociaż tata upominał ją, że nie powinniśmy „szastać pieniędzmi”.

– Nie psuj zabawy, Nigel – fuka Sheila. – Tak rzadko gdzieś wychodzimy.

Lubię, kiedy się kłóć.

– Możecie się pospieszyć i wsiadać do samochodu? – gdera moja macocha. – Spóźnimy się.

Próbuję, ale Michael woli bawić się w chowanego. W końcu dostrzegam jego czerwoną koszulkę, kiedy kryje się za drzwiami mojej sypialni. Biorę go na ręce i łaskoczę, a on zanosí się śmiechem.

– To nie czas na zabawy – syczy Sheila, zwracając się do mnie, jakby to była moja wina.

Kiedy się odwraca, pokazuję jej język. Michael robi to samo.

– Nie – szepczę do niego, przestraszona i rozbawiona. – Wpędzisz nas w kłopoty.

Sheila mogłaby zakazać mi iść na przyjęcie, a tego bym nie zniosła. Nie mogę się doczekać spotkania z Peterem, chociaż bardzo się denerwuję. A jeśli już nie będę mu się podobać?

– Nigel – mówi lodowato macocha, kiedy wsiadamy do samochodu – dlaczego włożyłeś tę koszulkę? Chyba ustaliliśmy, że weźmiesz rdzawoczerwoną.

Tata ma na sobie koszulkę, którą dostał od mojej mamy. Podarowała mu ją na ostatnie urodziny, niedługo przed swoją śmiercią.

– Moim zdaniem wygląda dobrze – odzywam się z tylnego siedzenia.

Sheila odwraca się i posyła mi wściekłe spojrzenie.

– A tobie co do tego? – prychna i mierzy wzrokiem mój strój.

Mam na sobie różową sukienkę na ramiączkach, którą uszyłam na zajęciach praktyczno-technicznych. Jestem z niej dumna – nauczycielka powiedziała, że mam dryg do szycia.

– Ten dekolt jest zbyt głęboki – stwierdza Sheila. – Nie sądzisz, Nigel?

Tata patrzy na mnie przepraszącąco w lusterku wstecznym. I on, i ja wiemy, że nie ma sensu się wyklócać.

– Idźcie się przebrać – nakazuje Sheila. – Oboje.

Od ostatnich wakacji sporo urosłam. Oprócz różowej sukienki mam jeszcze tylko granatową z koronkowym kołnierzykiem, w której wyglądam dziecinnie. Sheila obiecała tacie, że weźmie mnie na zakupy, ale na obietnicach się skończyło.

Nie mam wyboru. Wsiadam z samochodu, idę na górę i dla świętego spokoju wkładam tę przeklętą sukienkę.

Tata przebrał się w rdzawoczerwoną koszulkę. Moja mama nie lubiła tego koloru.

W końcu, spóźnieni prawie pół godziny, ruszamy.



Kiedy wracam na pole kempingowe, w głowie tak mi huczy, że mija chwila, zanim dociera do mnie, że coś jest nie tak. Przy bramie stoi zaparkowane duże auto. Jeden z tych wielkich samochodów, które zajmują cały pas ruchu. Słyszę krzyki, a zaraz potem widzę Tima idącego w moją stronę.

Przez chwilę wydaje się młodszy. Bardziej bezbronny. Dopiero gdy podnosi wzrok, widzę jego oczy, zimne i pełne determinacji. Chwyta mnie za rękę.

– Chodź. Musimy się stąd wynosić. Przyjechał cholerny właściciel tej przyczepy. Powiedział, że zadzwoni na policję. Szybko.

Szczęściarz i ja biegniemy za nim w dół wąskiej drogi gruntowej.

– Skąd wiesz, dokąd iść? – dyszę.

– Nie wiem.

Biegniemy dalej, choć trudno nazwać to biegiem. Oddech mam płytki, urywany. Ścieżka opada w stronę widocznego w dole morza. Od czasu do czasu nasze stopy natrafiają na nierówny wybój w miejscu, gdzie ktoś położył w poprzek deskę mającą ułatwić schodzenie. Ziemia po deszczu jest błotnista. Ślizgam się, ale Tim mnie podtrzymuje. A po chwili ja podtrzymuję jego.

– Co teraz? – pytam.

Jesteśmy na plaży. Szczęściarz biega wokół nas, co chwila grzebiąc nosem w piasku i próbując wykopać jakiś kamień.

Oglądam się na drogę, którą przyszedliśmy. Chyba nikt nas nie ściga.

– Rusz się, Szczęściarz – rzuca Tim. – Nie ma czasu na zabawę.

Przez trzy dni wędrujemy nadbrzeżną ścieżką, śpimy pod krzakami i szukamy jedzenia. Bolą mnie nogi, mam odciski na stopach, a paznokcie u nóg tak długie, że niemal przebijają materiał tenisówek. Mijamy drogowskazy na Penzance, ale nie mam ochoty tam wracać. I wtedy widzimy kolejny znak. MOUSEHOLE<sup>2</sup>.

Podoba mi się ta nazwa. W mysiej norze można się schować.

Idziemy w milczeniu. Nawet Szczęściarz przestaje wrywać się naprzód i truchta obok nas. Kamyki na plaży ranią mi stopy. W jednej z tenisówek odrywa się podeszwa. Kiedy się mieszka na ulicy, najtrudniej o buty. Kto wie, gdzie i kiedy znajdę nową parę.

I pomyśleć, że miałam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Że może nawet uda nam się tam przezimować. Ale ludzie tacy jak ja zawsze mają pod górkę. Powinam była to wiedzieć.

– Jesteśmy już prawie na miejscu. – Tim przełazi przez ogromny głaz pokryty wodorostami i pąklami i podaje mi rękę. – Wygląda jak port.

Widzę tylko osiadłe na mieliźnie stare łodzie. Na boku jednej z nich dostrzegam biały napis: *Nadzieja 2*. Ciekawe, co się stało z *Nadzieją 1*. Siedzący przy łodzi rybak naprawia sieć. Spogląda na

nas, po czym wraca do pracy.

– Patrz! – Podekscytowany Tim łapie mnie za ramię.

Na chodniku, tuż przed nami, leży paczka chipsów. Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głodna. Tim rzuca się w jej stronę, ale w tej samej chwili rozlega się krzyk i coś białego miga nam przed oczami. Mewa była szybsza.

– Pieprzone złodziejki. – W oczach Tima błyszczą najprawdziwsze łzy.

– To nic – uspokajam go, choć sama jestem rozczarowana. Czuję się jak wtedy, w Bristolu, kiedy tamta kobieta sprzątnęła mi sprzed nosa frytki. Teraz muszę być silna, ze względu na Tima. – Znajdziemy coś innego.

I wtedy zauważam krew. Tim ma rozcięcie na policzku, tuż obok blizny.

– Dziwka, drapnęła mnie.

– Musimy to przemyć – mówię. – Żeby nie wdała się infekcja.

– Masz przy sobie cholerną apteczkę, co?

– Bardzo śmieszne. – Wskazuję pobliską tablicę z reklamą pubu. – Idź do toalety i przemyj to wodą z mydłem.

Niepewnie wchodzimy do środka, staramy się zachowywać jak gdyby nigdy nic. W narożnym kominku płonie ogień. Moje ubłocone buty zostawiają ślady na wykładzinie. Ciekawe, czy ktoś zwróci mi uwagę. Tim znika za drzwiami z napisem „Toalety”.

Podchodzi do mnie mężczyzna z tacą zastawioną szklankami. Czekam, aż nas wyrzuci, bo zwykle tak właśnie się dzieje. On tymczasem pochyla się i głośzcze Szczęściarza.

– Mamy specjalną strefę dla właścicieli psów. Masz ochotę na ciastko?

– Tak, proszę – mówię.

Śmieje się, jakbym powiedziała coś zabawnego. Wsuwa rękę do kieszeni i wyciąga przysmak w kształcie kości. Szczęściarz łyka go na raz. Też bym tak zrobiła, gdyby ktoś dał mi ciastko.

Od zapachu jedzenia ściska mnie w żołądku. Staram się o tym nie myśleć i udaję, że oglądam wiszące na ścianach zdjęcia rybaków i łodzi. Jedno z nich przedstawia wielgachną rybę, którą jakiś gość złowił w 1871 roku.

– Niezłe, co? – słyszę kobiecy głos.

Brzmi jak Amerykanka, którą kiedyś poznałam za kratkami.

– Tak – rzucam, nie chcąc wdawać się w rozmowę.

– Czekaj pani na jedzenie?

Kręcę głową.

– Nie chciałabym przeszkadzać, ale razem z mężem widzieliśmy, jak mewa ukradła wam chipsy. Czytałam o dziobnięciach mew. Bywają naprawdę niebezpieczne. Pani synowi nic nie jest?

W tym samym momencie pojawia się Tim. Skaleczenie wciąż krwawi. Szczęściarz zaczyna skomleć, jakby wiedział, że dzieje się coś złego.

– Słodki psiak – grucha kobieta, po czym spogląda na policzek Tima. – Chyba mam coś na skaleczenia. – Otwiera wymyślną beżową torebkę ze złotym zamknięciem. – Proszę bardzo. To chusteczki antyseptyczne. Na wakacjach nigdzie się bez nich nie ruszam.

– Dzięki. – Oczy Tima znowu zachodzą łzami. Zaczynam podejrzewać, że potrafi płakać na zawołanie. – Mam dziś urodziny i w ogóle.

Nic nie mówił o urodzinach.

– Mama i ja jesteśmy w drodze i dawno nic nie jedliśmy.

Nagle dociera do mnie, że „urodziny” to część przedstawienia. Tim blefuje. Cwaniak z niego!

– Biedactwa. Co wy na to, żebyśmy w prezencie kupili wam coś do jedzenia?

– O jacie! Byłoby super, prawda, mamó?

Entuzjastycznie kiwam głową. Dałabym sobie uciąć prawą rękę za coś do jedzenia.

– Dobrze. – Kobieta wygląda, jakbyśmy to my wyświadczyli jej przysługę, a nie na odwrót. –

Byłam w szoku, kiedy dowiedziałam się, ile ludzi w Wielkiej Brytanii potrzebuje pomocy. Nie spodziewaliśmy się tego. Proszę, oto menu. Wybierzcie sobie, co tylko chcecie. I zamówcie kielbaskę dla tej waszej słodkiej psiny. Jak się wabi?

– Szczęściarz – odpowiadam. – Dzięki, ale nie potrzebujemy niczyjej łaski.

Staram się odciągnąć Tima, lecz on mnie odpycha.

– Mamó, proszę.

Kobieta dotyka mojego ramienia, a ja wzdrygam się jak oparzona. Widząc moją reakcję, cofa rękę.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłam – mówi. – Moje dzieci mieszkają daleko i bardzo za nimi tęsknię. Proszę dać sobie pomoc. Potraktujmy to jak prezent od matki dla matki.

Czy mam jej zaufać?

Umysł podpowiada, że nie. W przeszłości ufałam ludziom i zobaczcie, jak na tym wyszłam. Ale mam pusty żołądek. Tim też jest głodny.

Może jednak zaryzykujemy.

---

\* Mousehole (ang.) – mysia nora.



*Pierwiosnek beztodygowy (Primula vulgaris)*

-----  
*Symbol bezpieczeństwa i ochrony.*

-----  
*W zamierzonych czasach wieszano na drzwiach  
bukieciki pierwiosnków, żeby zachęcić dobre duszki  
do pobłogosławienia domu i jego mieszkańców.*

12.50, 17 sierpnia 1984

– Ellie! Ellie! Możemy pobawić się w szpiega?

– Nie – odpowiadam krótko.

Na ulicach jest duży ruch i zaczynam się denerwować. Już i tak jesteśmy spóźnieni. A jeśli Peter pomyśli, że nie przyjdę, i wróci do domu?

– Nie bądź taka, Ellie – syczy moja macocha z fotela pasażera. – Pobaw się z braciszkiem.

– Nie chcę.

Michael robi się markotny, a ja natychmiast czuję wyrzuty sumienia.

– Przepraszam. – Wyciągam do niego rękę. Patrzy na mnie nadąsany. – Widzę coś, co zaczyna się na literę C – zaczynam.

Gramy przez chwilę, aż w końcu Michael zgaduje, że chodziło mi o chmury. Przypominam sobie gry, w które graliśmy z tatą, zanim pojawiła się Sheila.

– Tato – mówię. – Może się przyłączysz?

Pochylam się do przodu i stukam go w ramię.

– Nie dotykaj ojca, kiedy prowadzi – warczy Sheila. – Może spowodować wypadek.

– Dobrze – odwarkuję. – Koniec gry.

Nie wiem, od jak dawna tkwię zamknięta w Highbridge. Jednak musiało minąć trochę czasu, odkąd cisnęłam książką w Corneliusa, bo na jego skroni nie ma już ani śladu.

Skaleczenia nie goją się znowu aż tak szybko. Ale czasami pozostają w naszej głowie. Jedno nie ulegało wątpliwości. Coś było ze mną nie tak. Wszyscy to powtarzali.

Wróciłam do swojego dawnego pokoju, ale miałam teraz inną współlokatorkę. Nikt mi nie powiedział, co stało się z poprzednią. Właśnie tak to tutaj wyglądało. Ludzie przychodzili i odchodzili. Mogłam pytać, ale nadal nie chciałam rozmawiać – przynajmniej z innymi. Od czasu do czasu ćwiczyłam na głos, kiedy ta druga dziewczyna spała. Chciałam się upewnić, że nadal potrafię mówić. Ale język przywierał mi do podniebienia. Przypominało to kawałek lodu, który mama pokazała mi w książce, zanim zachorowała. „To stalaktyt – wyjaśniła. – Łatwo zapamiętać tę nazwę, bo trzyma się jak stal stropu jaskini”. Na samo wspomnienie zrobiło mi się niedobrze.

Mijały miesiące. Działy się rzeczy, których nie chcę pamiętać. Dlatego wyrzuciłam je z głowy. Ale jeden dzień w Highbridge wyjątkowo utkwił mi w pamięci.

– Dzień dobry, Ellie – powitał mnie radośnie Cornelius, kiedy poszłam się z nim spotkać po śniadaniu, którego jak zwykle prawie nie tknęłam.

W jego gabinecie panował chłód. Na zewnątrz ziemia była biała od szronu.

Zignorowałam go i utkwiałam wzrok w zwisającej z belki stropowej pajęczynie. Nie widziałam pająka, więc może udało mu się zbiec. A może to była pajęczycza. Ja też marzyłam o ucieczce, tylko dokąd miałabym pójść?

– Sufity są ciekawe, prawda?

Dlaczego ten człowiek nie mógł przestać gadać? Natychmiast wbiłam wzrok w podłogę.

– Tak jak podłogi. Wiedziałaś, że Rzymianie wymyślili ogrzewanie podłogowe? – Przesunął w moją stronę obrazek. Był na nim dom, podobny do rzymskiej willi, do której tata zabrał mnie lata temu. Przed Michaeliem. – Wygląda znajomo?

Od razu wiedziałam, że to podstęp. Chciał, żebym opowiedziała mu o swoich uczuciach z czasów, zanim to się wydarzyło.

Podniosłam obrazek. Był na błyszczącym papierze, jakby wycięto go z czasopisma. Bardzo starannie złożyłam go na pół. I przedarłam wzdłuż zagięcia. Cornelius milczał. Wzięłam jeden z kawałków i złożyłam go na pół. Było bardzo ważne, żeby obie części były dokładnie tej samej wielkości. Wtedy nic nie będzie mogło pójść źle. Również przedarłam go na pół.

Wiedziałam, że Cornelius mnie obserwuje. Wiedziałam też, że ma za plecami zielony przycisk. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby wrócić do izolatki. Moja nowa współlokatorka sapała irytująco.

– Pojechałaś tam ze swoim ojcem, prawda, Ellie? Byłaś tam szczęśliwa?

Sięgnęłam po drugi, większy kawałek, zmięłam go w kulkę, wyrzuciłam w powietrze i złapałam. Góra, dół. Góra, dół.

Uspokajał mnie rytm tej czynności.

– Co byś zmieniła, gdybyś mogła się cofnąć do tamtego dnia, Ellie?

Patrzyłam na papierową kulkę, którą trzymałam w dłoni. Celowo upuściłam ją na podłogę. Była tak lekka, że spadła bezszelestnie. Żałowałam, że to nie cegła, która narobiłaby hałasu. Dałabym wszystko, żeby uciszyć ten okropny hałas w mojej głowie.

– Jak myślisz, co byś mu powiedziała?

Podbiegłam do zakratowanego okna. *Lup. Lup. Lup.* Zaczęłam walić głową o żelazne pręty.

– Przestań! – rozbrzmiał za moimi plecami głos Corneliusa. – Zrobisz sobie krzywdę.

I dobrze.

Najwidoczniej znowu nacisnął guzik, bo chwilę później czyjeś ręce chwyciły mnie i odciągnęły w tył. Czułam krew spływającą mi po twarzy. Odkryłam, że jej smaku nie sposób z niczym porównać.

– Zabierzcie ją do izolatki – przykazał Cornelius.

Pielęgniarka mnie opatrzyła. Powiedziała, że mam szczęście, bo nie potrzebuję szwów. Później zaprowadziła mnie do izolatki. W końcu spokój. Położyłam się na materacu, który dla bezpieczeństwa umieszczono na podłodze. Podali mi coś na sen. Chciwie połknęłam tabletki, pragnąc, by ogarnęła mnie błoga ciemność.

## 30

### Jo

Kiedy czekamy na jedzenie, Amerykanka („Moja droga, mów do mnie Mary-Lou”) chce mi kupić kieliszek cydru.

– Uwielbiamy go, prawda, Doug? – zwraca się do męża, który niewiele mówi.

Na moje oko wcale nie wygląda na zachwyconego, że jego żona przejmuje się losem bezdomnych. Tak to już jest z parami. Zwykle jedna osoba chce ci pomóc, podczas gdy druga widzi w tobie mordercę.

– Niewiele piję – mówię.

– Tak?

Widzę, jak na mnie patrzy. Pewnie myśli, że wszyscy ludzie tacy jak my to alkoholicy.

– Czego napije się twój syn?

Mogłabym jej powiedzieć, że nie jest moim synem, ale wtedy za bardzo musiałabym się tłumaczyć.

– Piwa – mówi Tim.

– Nie – wtrącam pospiesznie. – Jesteś za młody.

Tim pochmurnieje, ale Mary-Lou i jej mąż z aprobatą kiwają głowami.

– Też musimy pilnować naszych chłopców. A co powiesz na lemoniadę, skarbie?

Tim wypija jedną – i następną – zanim dostajemy jedzenie. Zamówiliśmy steki i frytki. Tim je z pochyloną głową, jakby pływał w talerzu i tylko od czasu do czasu wynurzał się, żeby zaczerpnąć powietrza. Choć żołądek mam ściśnięty z głodu, po kilku kęsach muszę zrobić przerwę. Mięso wydaje się twarde. Minęło tyle czasu, odkąd jadłam przyzwoity posiłek, że moje zęby – bardziej przyzwyczajone do zimnej fasoli w sosie pomidorowym – nie są w stanie go pogryźć.

– Najadłaś się już? – pyta Mary-Lou, jakbym ją zawiodła.

– Przepraszam – mówię. – Ale jestem już pełna.

Tim pochyla się w moją stronę i bez pytania bierze sobie resztkę mojego steku. Pochłania go łapczywie, jakby się bał, że mu go odbiorę.

Czuję coś w ustach. Wkładam palce i wyciągam ząb, który od jakiegoś czasu mi dokuczał. Trochę krwawi, ale przynajmniej nie boli. To nie pierwszy ząb, jaki straciłam, i z pewnością nie ostatni.

– Niedobrze. Jest tu w okolicy jakiś dentysta?

Śmieję się na głos.

– Co panią tak bawi? – pyta mąż kobiety.

– Od lat nie byliśmy u dentysty – odzywa się Tim z pełnymi ustami.

– To nie do pomyślenia. – Mężczyzna patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć, że jestem złą matką.

– Do tego trzeba mieć stały adres, prawda? – ciągnie Tim.



Spoglądałam na niego wymownie, żeby się zamknął, ale najwyraźniej jedzenie rozwiązało mu język. Zakłopotana, zaczynam nucić pod nosem.

– Nie przejmujcie się mamą – rzuca Tim. – Ma tak, kiedy się czymś martwi.

Mary-Lou zniża głos i zwraca się do mnie szeptem:

– Przepraszam, że pytam, ale czy ty i twój syn macie dzisiaj gdzie spać?

– Pewnie, że tak... – zaczynam, ale Tim mi przerywa.

– Uciekamy przed moim ojcem. Bił nas, więc mama powiedziała, że musimy odejść. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w przyczepie kempingowej, ale właściciel nas wywalił.

Ten dzieciak potrafi opowiadać niestworzone historie. Sztuczka polega na tym, żeby wymieszać prawdę z kłamstwami. Zawsze brzmi lepiej.

– To straszne. – Twarz męża Mary-Lou łagodnieje. – Co zrobicie?

– Nie wiem. Może prześpiemy się na polu.

Mary-Lou i jej mąż rozmawiają teraz przy barze. Wygląda mi to na kłótnię. Udaję, że muszę do toalety, żebym mogła co nieco podsłuchać. Mijając ich, słyszę, jak Mary-Lou mówi:

– To może spotkać każdego. Pomyśl tylko. A gdyby chodziło o któregoś z naszych chłopców? Nie chciałbyś, żeby ktoś mu pomógł?

Może da nam pieniądze. Byłoby świetnie!

Kiedy wracam, siedzą już przy stole.

– Posłuchajcie! – odzywa się Mary-Lou. Jej twarz promienieje. – Zatrzymaliśmy się w pobliskim hotelu i chcielibyśmy opłacić dla was pokój.

Tim zrywa się od stołu.

– Nie jesteśmy, kurwa, tacy.

– Jacy, skarbie? – Mary-Lou wydaje się przestraszona.

– To nic – mówię pospiesznie. Chwytam Tima za rękę i szarpie go, żeby usiadł z powrotem. Odpycha moją dłoń. – Poczul się osaczony – tłumaczę.

Mary-Lou i jej mąż wyglądają na zszokowanych, jakby ktoś zagroził, że rozkwasi im nosy.

– Niektórzy ludzie udają miłych, ale tak naprawdę chodzi im o coś innego – mruczy pod nosem Tim.

Ma nieobecny wyraz twarzy. Ciarki przechodzą mi po plecach i kolejny raz zastanawiam się, co właściwie go spotkało.

– Mieliśmy na myśli osobny pokój – wyjaśnia ze spokojem Mary-Lou. – Ciepłe, suche miejsce, w którym moglibyście przenocować. Chcecie? Hotel przyjmuje gości z psami. Widziałam jednego dziś rano. Potraktujcie to jak kolejny prezent urodzinowy.

– Zgoda – mówi powoli Tim.

Ale teraz ja wpadam w panikę. A jeśli ci ludzie zaczną się wtrącać? Jeśli postanowią pójść na policję? Mimo to nie mogę oprzeć się pokusie spędzenia nocy w prawdziwym łóżku... No i jeśli naprawdę nas pożąają, może wydębimy od nich coś jeszcze.

– Dobrze – mówię.

To ryzyko, ale musimy je podjąć.

13.10, 17 sierpnia 1984

Jedziemy dalej. Mimo opuszczonych szyb, w samochodzie panuje zaduch i niemiłosierny upał. To ten rodzaj gorąca, które sprawia, że człowiek jest mokry od potu i skołowany. Że ma ochotę się na kimś wyżyć.

Michael zaczyna się wiercić. Najwyraźniej myśli, że kopanie mnie jest fajne. Nie robi tego mocno, ale jego buciki zostawiają ślady na mojej sukience.

– Przestań – mówię i odsuwam się na tyle, na ile pozwala mi pas bezpieczeństwa.

W innej sytuacji specjalnie by mi to nie przeszkadzało, ale teraz chcę wyglądać jak najlepiej dla Petera.

Odkąd z jego listów dowiedziałam się, że on także będzie na przyjęciu, odliczałam dni do tego spotkania. Kiedy wrócę do szkoły, dziewczyny będą chciały, żebym opowiedziała im wszystko. Będę musiała coś wymyślić, bo inaczej znowu zaczną mnie ignorować.

– Przestańcie się kłócić – gdera macocha.

– To nie moja wina – pryham. – Michael mnie kopał.

– Wcale nie – odzywa się mój brat. – Tylko się bawiłem.

– Ale... – zaczynam.

– Wiedziałam, że to był zły pomysł, żebyś resztę wakacji spędziła w domu – wyrzuca z siebie Sheila. – Może jednak nie powinniśmy zabierać cię do Francji?

– Proszę, Ellie – mówi ojciec i patrzy na mnie błagalnie w lusterku wstecznym. – Dajmy spokój, dobrze?

To niesprawiedliwe. Chciałabym, żeby Sheila zniknęła. Wyniosła się z naszego życia. Na zawsze. A w tej chwili jakaś część mnie pragnie, żeby Michael zniknął razem z nią.

Dni w Highbridge zlewały się z nocami, a może to noce zlewały się z dniami? Trudno było powiedzieć. Ale gdy wyszłam na tak zwaną poranną przechadzkę w towarzystwie jednego z pracowników, zauważyłam, że szron zniknął, a w lesie, do którego zabierali nas na spacer, pojawiły się pierwiosnki. Były to ulubione kwiatki mojej mamy, oprócz niezapominajek.

Lubiłam tu przychodzić, bo w lesie nie było chodników.

Czasami mieliśmy „dni otwarte”, kiedy mogli odwiedzać nas bliscy. Zawsze stałam w drzwiach pokoju z nadzieją, że mnie wywołają. Ale tata nigdy się nie pojawił. Czy mogłam mu się dziwić? (Tu, w więzieniu, też mamy takie dni widzeń. I podobnie jak w Highbridge, również tutaj nikt nigdy do mnie nie przyjeżdża).

Angie, dziewczyna, która mieszkała ze mną w pokoju, zawsze miała gości. Pewnej nocy nachyliła się w moją stronę i szepnęła:

– Mój brat coś przemyślił. Powiedział, że to pomoże. – Wcisnęła mi w dłoń małą tabletkę. – Weź. Mam ich więcej. To pigułki szczęścia.

Nie zasługiwałam na to, żeby być szczęśliwa, ale wzięłam jedną.

– Dzięki – mruknęłam; nadal mało mówiłam.

Z początku leżałam w ciemności i niewiele czułam, ale wkrótce nasz pokój wypełnił się kolorami: czerwonym, niebieskim, żółtym i zielonym. Poczuałam się beztroska i uświadomiłam sobie, że tańczę po pokoju. Nic nie miało znaczenia. Nawet...

– Co tu się dzieje?

Głos ledwie do mnie docierał. Chciałam powiedzieć mu, żeby sobie poszedł i nie psuł mi zabawy. Nie czułam się taka lekka i beztroska od czasów dzieciństwa, kiedy razem z mamą zbierałyśmy kwiaty. Chwilę później poczułam, że czyjeś ręce pomagają mi położyć się do łóżka. Kiedy się obudziłam, Cornelius oznajmił mi, że to nie była moja wina. Angie zniknęła.

– Ale nigdy więcej nie możesz brać żadnych tabletek, chyba że dostaniesz je od nas – ostrzegł mnie. – Inaczej znów zachorujesz. Rozumiesz?

Nie rozumiałam, ale udałam, że wiem, o co chodzi. Tak było prościej.

Pewnego ranka, gdy zegar na wieży wybił ósmą, a promienie słońca wlewały się przez okno, do pokoju wszedł Cornelius z kobietą, którą pierwszy raz widziałam na oczy.

– To jest Julia – przedstawił ją. – Nasza nowa instruktorka rękodzieła.

Jeszcze nigdy nie widziałam tak cudownie długich, rudych pukli. Odruchowo dotknęłam swoich włosów, które po tym wszystkim obciąłam kuchennymi nożyczkami Sheili. Od tamtej pory zdążyły już trochę odrosnąć. A nie powinny. Nie zasługiwałam na to.

– Cześć, Ellie – rzuciła radośnie. – Miło cię poznać. Lubisz gotować?

Przypomniałam sobie ciasteczka w kształcie motyli, które upiekła Sheila po śmierci mojej prawdziwej mamy, zanim została moją macochą. Udawała miłą, a tak naprawdę była podła. Mimo to nie zasłużyła na to, co jej zrobiłam.

– Nie – odparłam.

– A robić na drutach albo szyć?

Przed oczami stanęła mi mama, która robiła na drutach, gdy byłam malutka. Jeszcze zanim zachorowała. Po jej śmierci znalazłam u niej w pokoju całe mnóstwo ciepłych kaftaników. Tata powiedział mi, że zrobiła je dla moich braci i siostr, którzy nigdy się nie narodzili.

– Nie – mruknęłam.

Julia rozpromieniła się, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– To może rękodzieło? Wiem, że lubisz rzymskie wille.

Dlaczego wszyscy ci ludzie wciąż mi powtarzali, że wiedzą, co lubię, a czego nie lubię?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy ułożyć mozaikę.

Chciałam odmówić, ale ugryzłam się w język. Przypomniałam sobie mozaikową ścianę, którą lata temu pokazał mi tata. „Jak oni to robią, tatusiu?”, zapytałam go wtedy. „To prawdziwa sztuka – odparł. – Trzeba bardzo ostrożnie złożyć razem wszystkie te maleńkie kawałeczki”.

– Spróbujemy? – spytała Julia.

Nadal chciałam odmówić, ale wspomnienie taty zasznurowało mi usta.

– Tak – odrzekłam w końcu. – Chętnie.

Fascynowały mnie różnobarwne kawałeczki, które Julia kazała mi przyklejać na wzorzystym kartonie.

– Świetnie. – Pochyliła się nade mną. – Jest coś, co chciałabyś opowiedzieć mi o ogrodzie, Ellie?

Zieleń. Drzewa. Promienie słońca rzucające cienie na trawnik. Pomarańczowe i herbaciane róże. Kieliszki, a w nich bąbelki. Ciepła dłoń Michaela.

– Nie – jęknęłam.

I szybko podarłam kwiecisty obrazek, tak jak ten rzymskiej willi, tak jak zniszczyłam inne rzeczy, które podarował mi Cornelius.

Jednak tym razem fragmenty wspomnień wracały. Uroczysty lunch. Musimy jechać? Podeszłam więc do ściany i walnęłam w nią głową, żeby wyrzucić z umysłu głos taty.

Zawył alarm. Do środka wpadło trzech mężczyzn w białych fartuchach.

Chwilę później usłyszałam, jak ktoś wykrzykuje trzy słowa. Nie – trzy litery. Słyszałam je już wczesniej, ale nie wiedziałam, co znaczą.

E.C.T.

Umarłam i poszłam do nieba! Jest tu wielgachne łóżko z miękką niebieską narzutą i mnóstwem fikuśnych poduszczyków. Nie mogę się powstrzymać – wdrapuję się na nie i skaczę jak dziecko. Ból żołądka minął. Czuję się jak zupełnie inna kobieta.

Po drugiej stronie, pod oknem, stoi mniejsze łóżko. („Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam wspólny pokój? – spytała Mary-Lou. – W hotelu został już tylko apartament rodzinny, ale możecie w nim trzymać psa”).

– Jest tu osobna łazienka – mówi Tim, wskakując pod prysznic i wyskakując spod niego. Wciąż ma na nogach buty. – Zobacz! Taka duża, że można by w niej zamieszkać!

Chodzę po pokoju, wodząc palcami po każdym eleganckim meblu, począwszy od kanapy, a skończywszy na odtwarzaczu DVD. Stoi tu nawet misa z owocami.

– Czuję się jak królowa – mówię i obieram pomarańczę.

Tim przybija ze mną piątkę.

– Nieźle, co?

Szczęściar skacze na nas, czekając z podniecenia.

Ktoś puka do drzwi. To Mary-Lou.

– Pomyślałam, że się wam przydadzą. – Podaje mi reklamówki.

– Dzięki. – Niemal wyrywam jej je z rąk.

Kiedy żyjesz na ulicy, reklamówki są bardzo przydatne.

Ale w tych coś jest. Odwracam je do góry dnem i wytrząsam dwie pary czarnych spodni od dresu i turkusowy polar. Mają jeszcze metkę z napisem: „Oferujemy wygodę”. Są eleganckie, ale przede wszystkim ciepłe. W reklamówkach są też skarpety, podkoszulek, czarne rajstopy i białe majtki.

– Musiałam zgadywać, jakie nosicie rozmiary – mówi Mary-Lou. Jej twarz promienieje. Pamiętam, jak dawno temu jedna z moich przyjaciółek powiedziała, że istnieją ludzie, którzy czerpią radość z dawania. – Na dnie jest też берет. Żeby nie było ci zimno w głowę.

Włosy zaczęły mi odrastać i na głowie pojawiły się nierówne, sterczące kępki. Jednak nie chronią mnie od chłodu, a uciekając przed gangiem Tima, zgubiłam czapkę.

Na koniec Mary-Lou wciska mi w dłoń kopertę.

– Chcę, żebyś to wzięła, na wypadek gdybyśmy rano się nie spotkali. Musimy wcześniej wyjechać, żeby złapać połączenie, ale wy możecie pospać dłużej. Pokoje trzeba zwolnić do dziesiątej.

Odchodzi, zanim zdążę jej podziękować, bo jestem tak oszołomiona.

– Tylko na to popatrz! – mówię do Tima.

Ale on siedzi na niebieskiej kanapie, w swoich brudnych butach, i bawi się pilotami. Na ekranie pojawia się kreskówka.

– Oglądałem ją, kiedy byłem mały – mówi tęsknie.

Uświadamiam sobie, że gdzieś tam jest kobieta, która nie może spać ani jeść, bo nie wie, gdzie jest jej syn.

– Myślałeś kiedyś, żeby skontaktować się ze swoją mamą i dać jej znać, że nic ci nie jest? – pytam.

– Żeby jej facet znowu mnie pobił?

– Może go wyrzuciła?

– Założę się, że nie.

– A co z twoim ojcem?

Tim spluwa z odrazą na dywan.

– Zostawił nas, zanim się urodziłem.

– Musiało być ci ciężko.

– Jakoś sobie radzę.

Czemu jest tak, że nawet jeśli nasze rodziny są do dupy, nadal czujemy potrzebę, żeby gdzieś przynależeć?

Idę do łazienki, zabierając ze sobą swoje ubrania. W przyczepie kempingowej nie mieliśmy rzeczy na zmianę, więc chodziliśmy w tym, w czym spaliśmy. Mam wrażenie, że w tym eleganckim hotelu pojawiło się między nami zakłopotanie, którego wcześniej nie było.

Ale i tak jest super, myślę. Kładę się w wannie i poruszam palcami u nóg w gorącej wodzie. Ciekawa, co się wydarzy, zaczynam majstrować przy pokrętle obok kranu. Nagle ze słuchawki prysznicowej nad moją głową tryska strumień lodowatej wody.

Krzyczę.

– Wszystko w porządku? – pyta zza drzwi Tim.

Zdążyłam już odkręcić ciepłą wodę.

– Tak, wszystko świetnie! – odkrzykuję.

Woda wlewa mi się do ust, a ja się śmieję, bo to wszystko jest takie cholernie zabawne. Kto by przypuszczał, że wylądujemy w takim miejscu? Na ścianie wisi nawet suszarka do włosów – nie, żeby była mi potrzebna – i ogromne lustro.

Obok leży tubka pasty do zębów i nowa szczoteczka. Dawno nie myłam zębów i przywykłam do tego, że cuchnie mi z ust; zauważyłam jednak, że Amerykanka cofnęła się, kiedy za bardzo się do mnie zbliżyła. Pasta ma świeży, miętowy smak. Cudowny!

– Twoja kolej – mówię, wychodząc z łazienki.

Tim wciąż leży na kanapie i ogląda kreskówki, tuląc do siebie Szczęściarza.

– Dobrze mi tak, jak jest.

Czyli nadal jest na mnie wkurzony.

– Nie chcesz się umyć?

– Po co? I tak znowu się ubrudzimy.

Patrzę na swoje czyściutkie paznokcie.

– Po kąpeli człowiek czuje się lepiej.

– Przyzwyczajasz się do takiego życia, co?

– Może. Czemu nie przebierzesz się w czyste rzeczy?

– Bo ciuchy, które mi przyniosła, są za małe. Potrzebuję butów.

Obje potrzebujemy butów. W moich odkleily się podeszwy i stopy mam obolałe i pokaleczone. Znajduję kartę dań room service’u, nożyczkami z mojego podręcznego zestawu do szycia wycinam dwa kawałki i wsuwam je do butów. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale na jakiś czas wystarczy.

Kładę się, podczas gdy Tim nadal ogląda telewizję. Wgapia się w ekran, jakby zapomniał o bożym świecie. Ja czuję się podobnie. Mięciutki materac zapada się pode mną. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałam na poduszce. Zасыpiam w mgnieniu oka.

Zrywam się ze snu. W pokoju jest ciemno, tylko z wciąż grającego telewizora pada blade światło. Ale słyszę coś jeszcze.

To Tim.

– Mamo, mamo. – Znowu mówi i płacze przez sen.

Szczęściarz skomle cichutko i liże go po twarzy.

Wstaję i klękam obok Tima.

– Już dobrze – mówię, głaszcząc go po ramieniu.

To go chyba uspokaja. Jego płacz przechodzi w cichy szloch. Oddech staje się równy, głęboki. Patrę na jego twarz, która teraz, kiedy śpi, wydaje się jeszcze młodsza, i delikatnie odsuwam mu z oczu kosmyk włosów. Zupełnie jakbym była jego mamą. Czuję się jednocześnie szczęśliwa i smutna.

Wracam na palcach do łóżka, ale nie mogę zasnąć. W końcu siadam. W mojej głowie kłębią się myśli, a połowa z nich nie ma sensu.

Wstaję. Mam ochotę na kolejny prysznic – pewnie nigdy więcej nie zobaczę takiej łaźienki – ale nie chcę budzić Tima. Wodzę palcami po miękkich białych ręcznikach. Są za duże, żeby mogła wsadzić je do reklamówek, ale mogę zwinąć kilka tych ślicznych mydełek. Wkładam moje nowe ubrania, a stare ciskam w kąt.

W komodzie pod lustrem znajduję hotelową papeterię. Wielkimi literami piszę dwie wiadomości.

Ostatni raz patrę na Tima, który śpi smacznie na łóżku, ze Szczęściarzem zwinętym w kłębek w zagięciu jego łokcia. Pierwszą wiadomość zostawiam na podłodze przy łóżku, żeby zobaczył ją, gdy tylko wstanie. Wychodząc, przesyłam im pocałunek. Na starość robię się miękka.

Cichutko zamykam za sobą drzwi i korytarzem idę na palcach w stronę pokoju Amerykanów. Drugi liścik wsuwam pod ich drzwi.

Idąc na dół, czuję się parszywie. W recepcji za biurkiem, lśniącym tak, jakby codziennie je ktoś polerował, siedzi młoda dziewczyna ze ślicznymi kasztanowymi włosami związanymi w koński ogon.

Może dlatego, że mam na sobie nowe ubrania, nie posyła mi spojrzenia w stylu „to nie miejsce dla ciebie”, którym uraczył mnie gość w recepcji, kiedy wczoraj przyjechalśmy do hotelu.

Wychodzę na zewnątrz. Wiatr przybrał na sile. Trzęsąc się, idę do budki telefonicznej, którą widziałam wczoraj w drodze do hotelu.

Ręce mi drżą z zimna i z nerwów, gdy wybieram numer 999.

– Dzwonię w sprawie zaginionego chłopca – oznajmiam zmienionym głosem. – Mówi, że ma na imię Tim, ale to chyba nie jest jego prawdziwe imię. Wiem, gdzie go szukać.

13.23, 17 sierpnia 1984

*Jesteśmy prawie na miejscu.*

*Macocha udziela mi ostatnich wskazówek.*

*– Nie myśl sobie, że jesteś jednym z gości – przypomina mi lekceważąco. – Jedziesz tam tylko po to, żeby zajmować się Michaelem. Kiedy dotrzemy na miejsce, weźmiesz go na dwór i będziesz się nim opiekować, żebyśmy my z tatą mogli spokojnie rozmawiać z przyjaciółmi.*

*Zwykle by mi to nie przeszkadzało. Uwielbiam opiekować się moim braciszkiem.*

*Ale pobyt w szkole, z dala od domu, otworzył mi oczy na to, jak traktuje mnie macocha. Nie tylko jest dla mnie opryskliwa, ale też wykorzystuje mnie jako darmową służącą. Poza tym wkurzyło mnie zachowanie Michaela w samochodzie.*

*Wszystko było dobrze, gdy byliśmy z tatą sami.*



*Ellie*

Z okna mojej celi widzę, jak przyjeżdża duży van. Zatrzymuje się na dziedzińcu w dole. Uzbrojeni umundurowani strażnicy wyprowadzają kobietę. Jest młoda i ma na sobie beżowe spodnie i elegancki żakiet, co znaczy, że nasza „świeżynka” mogła przyjechać prosto z sądu.

Wygląda na oszołomioną, zupełnie jak ja, kiedy tu trafiłam. Jakby szła na ścięcie. Trochę tak właśnie było w Highbridge.

Terapia elektrowstrząsowa jest teraz zakazana. Zresztą wtedy też wielu specjalistów przestało z niej korzystać. Ale Highbridge był ośrodkiem prywatnym i ludzie, którzy go prowadzili, sami decydowali o tym, co jest dozwolone, a co nie.

Byliśmy w innej części budynku. Pomieszczenie przypominało salę operacyjną, jak w serialu *Angels*, który oglądałyśmy z babcią Greenway na długo przed tym, zanim Michael wszystko zmienił. Na ścianach nie było żadnych obrazków, a nad moją głową świeciło się światło. Leżałam na szpitalnym łóżku. Stojący nade mną mężczyzna w białym fartuchu powiedział, że jest anestezjologiem. Był tam również Cornelius.

Jedna z pielęgniarek trzymała mnie za lewą rękę. A druga za prawą. Byłam przypięta do łóżka pasami. Czułam też, że mam na głowie coś w rodzaju kasku. Zero szans na ucieczkę.

– Zaczynij liczyć od tyłu – powiedział Cornelius. – Dziesięć, dziewięć, osiem...

Kiedy otworzyłam oczy, przez chwilę miałam wrażenie, że jestem w swoim starym pokoju ze ślicznymi zasłonami w niebiesko-różowe kwiaty i z łóżkiem, po którym lubił skakać mój brat, Michael.

– Ellie? Słyszysz mnie?

Tata! Przyszedł obudzić mnie do szkoły. Później pójdziemy do parku, a Michael będzie chciał na huśtawkę. „Huśtaj mnie, Ellie! Huśtaj! Wyżej! Wyżej!”.

– Ellie?

Uświadomiłam sobie, że to nie jest głos taty. Był znacznie głębszy. Poza tym tata nie mógł budzić mnie do szkoły, bo byłam przecież w szkole z internatem, prawda? Może w przegródce będzie czekał na mnie list od Petera i rysunek od Michaela z dużym czerwonym krzyżykiem na dole zamiast pocałunku.

– Jak się czujesz, Ellie?

Z góry spoglądał na mnie mężczyzna. Jego przesywające niebieskie oczy wyglądały znajomo, ale nie bardzo wiedziałam, skąd go znam.

– Jak mam na imię, Ellie?

Bardzo się starałam, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć. Z ust ciekła mi ślina. Mokra i zimna.

– Wiesz, gdzie jesteś?

Patrzyłam na białe ściany i światła. To miejsce wcale nie wyglądało jak szkoła z internatem.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Zwymiotowałam do miski, którą ktoś mi podstawił. A potem znowu zasnąłam.

Działo się tak kilka razy. Musiało to trwać miesiącami, bo gdy zaczynaliśmy, na drzewach były jeszcze liście, a gdy skończyliśmy, gałęzie były nagie. Trudno jednak o jakąkolwiek dokładność, ponieważ „leczenie”, jak je nazywali, miało wpływ na moją pamięć krótkotrwałą. Byłam też bardzo zmęczona. Nawet nie próbowałam już walczyć, kiedy mówili, że czas na „kolejną sesję”. Pozwalałam przywiązywać się do łóżka, bo zwyczajnie nie miałam siły się opierać.

Zaczęłam nawet znowu jeść. Posłusznie otwierałam usta, kiedy jedna z pielęgniarek karmiła mnie owsianką. „Grzeczna dziewczynka”, mówili, gdy zaczęłam jeść sama. Niebawem twarz mi się zaokrągliła, a pasek spódnicy stał się za ciasny.

Przestałam też próbować zrobić sobie krzywdę. Właściwie nie pamiętałam już, dlaczego w ogóle to robiłam. W dzień odwiedzin, kiedy okazywało się, że nikt do mnie nie przyjechał, nie waliłam już głową w ścianę, tylko z przyklejonym do twarzy uśmiechem pomagałam roznosić biszkopty. „Jakie to miłe”, zauważyła jedna z matek.

Na dźwięk tych słów poczułam się lepiej.

Później jednak usłyszałam, jak szepcze: „Chyba o niej czytałam. Czy to nie ta dziewczyna, która...”.

Nie usłyszałam reszty. Ale nie miało to znaczenia. Byłam tu szczęśliwa.

Jednym z dobrodziejstw terapii elektrowstrząsowej było to, że przestali mnie pytać, co wydarzyło się tamtego dnia. Zresztą sama już nie pamiętałam. Przypominało to czarną dziurę w moim umyśle. Jak te nieudane rysunki, które wymazywałam na lekcjach plastyki, chociaż nauczycielka mówiła, że są dobre.

Dopiero wiosną zaczęłam chodzić na prawdziwe lekcje. Klasa liczyła niewiele osób. Nie każdy był „w stanie” osiągnąć ten poziom.

– Świetnie się spisałaś – pochwalił mnie Cornelius.

Siedziałam w ławce obok chłopaka, który podrzucał mi liściki. Zawsze pisał na nich te same trzy słowa.

Chcę cię zerznąć.

Robiło mi się niedobrze. Gorąco. A zaraz potem zimno. Bo co jeśli w nocy zakradnie się do mojego pokoju? Drzwi były zamykane na klucz, ale mógł przecież wejść przez okno.

Pokazałam liścik Corneliusowi i chłopak więcej nie pojawił się na zajęciach.

Powiedziano mi, że został przeniesiony.

I dobrze. Ostatnie, czego chciałam, to zająć w ciążę i być odpowiedzialna za dziecko. A gdybym niechcący zrobiła mu krzywdę? Co prawda od wypadku nie miałam okresu, a jedyne, co zapamiętałam z lekcji o rozmnażaniu, to że tylko kobieta, która miesiączkuje, może zająć w ciążę.

Mijały kolejne dni, a ja nadal nie miałam poczucia czasu. Ale robiłam postępy – przynajmniej tak mi mówiono. Nie potrzebowałam już ECT. Zamiast tego łykałam mnóstwo kolorowych tabletek i codziennie chodziłam na terapię. Nauka też szła mi dobrze i dostałam nagrodę – srebrne pióro – za bycie „najbardziej obiecującą” uczennicą.

Kiedyś, gdy tu trafiłam, wykorzystałabym je, żeby zrobić sobie krzywdę. Ale teraz nie mogłam się doczekać, aż napiszę nim kolejne wypracowanie. Nauczycielka mówiła, że mam „wyjątkowy talent”, zwłaszcza jeśli chodzi o język angielski. Najwyraźniej zdarzało się, że uniwersytety przyjmowały „ludzi takich jak ja”. Musiałam tylko bardzo ciężko pracować.

Cornelius powiedział, że musimy zacząć i zobaczyć, jak dalej będę sobie radziła. Julia okazywała nieco więcej entuzjazmu.

– Dasz radę – zapewniła mnie. – To twoja szansa na nowy początek.

Jej wiara we mnie sprawiła mi ogromną radość. Podczas gdy inni siedzieli przed telewizorem w świetlicy, ja uczyłam się w pokoju. Czasami powracały do mnie skrawki z dnia wypadku. Nie próbowałam ich zatrzymywać, tylko pozwalałam, by opuszczały moją głowę, tak jak mi zalecano.

Radziłam sobie tak świetnie, że przeniesiono mnie do innej części budynku. Tutaj w oknach nie było już krat. Mogłam otworzyć je i uciec. Ale nie chciałam. Mieliśmy też tak zwane „sesje grupowe”, na których rozmawialiśmy o tym, jak się czujemy.

– Szczęśliwa – odpowiadałam zawsze, gdy przychodziła moja kolej.

– Chcesz zrobić sobie krzywdę?

Zmarszczyłam brwi.

– Niby czemu miałabym to robić?

W dniu moich osiemnastych urodzin otrzymałam pozwolenie, by mieć w pokoju lustro. Uznano, że szkło nie stanowi już dla mnie zagrożenia. Przypominałam teraz dawną siebie, ale nie byłam pewna, czy to dobrze, czy źle.

Zaczęłam chodzić na terapię śpiewem, chociaż czasami musiałam na niej udawać. Linijki, w których pojawiały się słowa „mama”, „tata” czy „brat”, sprawiały, że robiło mi się niedobrze, a nie chciałam okazywać zdenerwowania, żeby znowu nie trafić na terapię elektrowstrząsową. Kiedy pozwolono mi wyjść do miasta, próbowałam ukryć przed swoją opiekunką, że omijam linie na chodniku. Skupiałam się na nauce i jako pierwsza w historii Highbridge zdałam na piątkę egzaminy końcowe z trzech przedmiotów.

Niedługo potem spakowałam swoje rzeczy. Wyjeżdżałam na uniwersytet, żeby studiować literaturę angielską.

I spotkać mężczyznę, który odmieni całe moje życie.

Na zewnątrz nadal jest ciemno. Wczoraj wieczorem słyszałam, jak ktoś w pubie mówił, że niedługo czeka nas zmiana czasu. Wysoko w górze krzyczy mewa. Wzdrygam się. Druga atakuje leżący na chodniku kawałek pizzy. Z dzioba zwisa jej brzeg ciasta. Ptak posyła mi triumfalne spojrzenie, które zdaje się mówić: „Ten kawałek jest mój”.

I tak nie jestem głodna. Po wczorajszej kolacji wciąż czuję się najedzona. Moje dwie reklamówki też są cięższe dzięki dwóm rolkom papieru toaletowego, które wyniosłam z hotelu.

Idę nabrzeżem, patrząc na rybaka szykującego swoją łódź. Pozdrawia mnie skinieniem głowy i wraca do pracy. Przypominam sobie, jak świetnie bawiliśmy się z Timem w morzu, i ogarniamą mnie wyrzuty sumienia.

– Nie wymiękaj – mruczę pod nosem. – Idź dalej.

Oglądam się za siebie, ale nikogo nie widzę. Dopiero teraz dociera do mnie, że kiedy był ze mną Tim, nie bałam się aż tak bardzo i nie czułam, że bez przerwy muszę się mieć na baczności. Teraz wróciły dawne lęki.

Idę brukowaną uliczką. Wysokie, wąskie domy są pomalowane na różne odcienie niebieskiego i różu. Ileż bym dała, żeby zamieszkać w jednym z nich! Zasłony są zaciągnięte. Niektóre okna mają szczelnie zamknięte okiennice, aby tacy jak ja trzymali się z daleka. Mijam sklep z obrazami. Ten, który stoi na wystawie, przedstawia biegające po plaży dzieciaki, radosne, jakby świat był krainą szczęśliwości.

Wpatruję się w niego. Kosztuje dwieście funtów. Jasna cholera! Świat stanął na głowie.

Gdy docieram na koniec wioski, widzę przed sobą szeroką drogę bez chodnika. Obok mnie z zawrotną prędkością przejeżdża samochód. Sukinsyn, mało mnie nie potrąca. Mogłam się nigdzie nie ruszać i siedzieć w ciepłym pokoju hotelowym. Kiedy ostatni raz miałam takie szczęście? Czy jestem kretynką, że zrezygnowałam z tego wszystkiego?

I nagle przypominam sobie o koperce. Wyciągam ją i znowu liczę.

Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści... pięćdziesiąt funtów. Jest też napisana starannym pismem wiadomość, której wcześniej nie zauważyłam. *Mam nadzieję, że to choć trochę pomoże.*

Łzy napływają mi do oczu. Czemu beczysz, do cholery? – myślę. To twój szczęśliwy dzień. Tłumię poczucie winy.

Gdzieś z tyłu słyszę warkot silnika. Tym razem to nie osobówka, lecz autobus. Wyciągam rękę, przekonana, że pojedzie dalej, bo w okolicy nie ma żadnego przystanku. Ale się zatrzymuje.

– Wsiadaj, skarbie – rzuca kierowca. Ma przyjemny głos i wyraźnie wymawia głoskę „r”. – Dokąd się wybierasz?

– Tintagel.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Wczoraj wieczorem w pubie, kiedy nasi amerykańscy dobroczyńcy rozmawiali o miejscach, które chcieliby odwiedzić, zobaczyłam ulotkę. Było na niej zdjęcie stromej ścieżki prowadzącej do starych ruin i drugiej, wiodącej do jaskiń.

– Kawał drogi, co? – zagaduje kierowca. – Czeka cię kilka przesiadek. Ale na dworcu mogę cię pokierować. W jedną stronę czy także powrotny?

Tacy jak ja mają bilet wyłącznie w jedną stronę.

– W jedną – mówię i wręczam mu banknot dziesięciofuntowy.

– Nie masz piątaka?

Założę się, że gdybym miała na sobie swoje stare łachy, nie byłyby taki miłe. Zdziwiająco, ile potrafią zdziałać nowe ubrania i czyste ciało. Nawet mówię z innym akcentem.

– Przepraszam. – Wzruszam ramionami. – W bankomacie były tylko dziesiątki.

Kierowca posyła mi spojrzenie mówiące: „Dobrze znam ten ból” i wydaje mi resztę. Idę na koniec autobusu i uważnie przeliczam drobne. Nie mogę nikomu ufać.

Zwłaszcza sobie samej.

13.30, 17 sierpnia 1984

Państwo Danielsowie mieszkają w ogromnym domu z wisterią pnącą się po frontowej ścianie i szerokim żwirowym podjazdem, na którym zaparkowały już inne samochody. Wygląda na to, że nie tylko my jesteśmy spóźnieni, bo inni wciąż się zjeżdżają.

– Wy idźcie, a ja znajdę miejsce – zwraca się do nas ojciec.

Kiedy wchodzimy do środka, od razu dostrzegam Petera. Oboje się rumienimy. Jest wyższy, niż go zapamiętałam, i ma na sobie modne obcisłe dżinsy. Czuję się zażenowana swoją przyciasną sukienką. Zauważam, że Peter zapuścił wąsy. Są trochę rzadkie, ale dodają mu męskości. Zaczynam się coraz bardziej denerwować.

Jego matka obejmuje mnie na powitanie. Przypominam sobie dni, kiedy w lecie razem z moją mamą zabierały Petera i mnie na pikniki. To było, zanim mama zachorowała.

– Cudownie cię widzieć, moja droga. Jak tam w szkole? Wiem, że Peter za tobą tęsknił. Przyszedł tu tylko dla ciebie.

Peter robi się jeszcze bardziej czerwony, przestępuje z nogi na nogę i rzuca mi spojrzenie mówiące: „Przepraszam, że moja matka jest taka okropna”. Od razu czuję się lepiej. Nie tylko ja się denerwuję.

Tymczasem Sheila, która rozpoznała w matce Petera przyjaciółkę mojej mamy, zadziera głowę i mija ją bez słowa. Jakież to niegrzeczne. Nienawidzę jej jeszcze bardziej.

– Nie mogę się doczekać, żeby spędzić z tobą trochę czasu – szepcze Peter.

Nie mogę w to uwierzyć. Może jednak naprawdę mnie lubi!

Ale Sheila zdążyła już wszystko zepsuć.

– Muszę opiekować się bratem – mówię, zerkając na Michaela uczepionego kurczowo mojej sukienki.

Peter wydaje się rozczarowany.

– Dobra. W takim razie weź go ze sobą.

Miał na imię Roger. Miał trzydzieści cztery lata. Był na tyle młody, żeby czasami wziąć go za studenta, ale dość stary, żeby być moim wykładowcą.

Wybrałam Uniwersytet Reading, jeden z tych, które powstały pod koniec dziewiętnastego wieku. Nie był tak wiekowy jak ten w Durham, ale nie miał tak rażąco współczesnych elementów jak na przykład ten w Yorku. Odwiedziłam je wszystkie i koniec końców, wybrałam Reading, bo jego uroczy, tonący w zieleni kampus sprawiał wrażenie bezpiecznego. Lubiłam chodzić. Tereny wokół Highbridge były wyjątkowo piękne. Przez ostatnie dwa lata mogłam chodzić po nich bez nadzoru. Dawały mi poczucie wolności.

Zakochałam się w konkretnym akademiku, który wypatrzyłam w informatorze. Miał okna z szybkami w ołowianych ramkach i sklepione przejście, dzięki czemu wyglądał jak jeden z budynków Uniwersytetu Oksfordzkiego i jak się okazało, rzeczywiście należał niegdyś do tej prestiżowej uczelni.

Jedynym minusem było to, że musiałam dzielić wielki wiktoriański pokój z inną dziewczyną. Liczyłam, że dostanę pokój tylko dla siebie. Moja współlokatorka pochodziła z Newcastle i miałam problemy ze zrozumieniem jej akcentu. Słowo „łazienka” brzmiało w jej ustach jak „łazinka”. Ale poza tym była w porządku. Lubiła słuchać piosenek zespołu Pet Shop Boys – zdziwiła się, że o nich nie słyszałam, ale przecież nie mogłam opowiedzieć jej o Highbridge, gdzie słuchanie muzyki pop raczej nie było na porządku dziennym. Zachowywała się bardzo przyjaźnie. Aż za bardzo. Musiałam często udawać, że nie słyszę jej pytań o moją rodzinę, albo kłamać, mając nadzieję, że zapamiętam, co powiedziała. Zamiast trzymać się z nią i jej paczką, znowu rzuciłam się w wir nauki.

Najbardziej lubiałam literaturę wiktoriańską. Wykładowca miał na imię Roger. Nie wiedział o mojej przeszłości. Cornelius i Julia, którzy pomagali mi wypełniać formularze zgłoszeniowe, wyjaśnili, że niektórzy pracownicy uczelni muszą wiedzieć o mojej „historii”. Zapewnili mnie też, że są to informacje poufne. I że mogę zacząć od nowa.

– Przepraszam – powiedział Roger mniej więcej w połowie pierwszego semestru na zajęciach indywidualnych. – Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mogłabyś być jedną z rodzeństwa Brontë.

Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Czyżby komentował moje eseje?

– Cóż, z całą pewnością nie byłabym bratem, Branwellem Brontë – odparłam pospiesznie.

Nie próbowałam być dowcipna. Po prostu nie wiedziałam, jak zareagować, a to była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

On jednak wydawał się zachwycony moją odpowiedzią.

– To prawda.

Zapalił fajkę i odchylił się na oparcie fotela, a z jego ust zaczęły ulatywać małe obłoczki dymu. Podobał mi się ten zapach. Podobało mi się też, że Roger czuł się przy mnie swobodnie. Nie byłam do

tego przyzwyczajona. Pracownicy Highbridge udawali, że jesteśmy „normalni”, ale wiedziałam, że w głębi duszy wcale tak nie myślą. Zupełnie jakby bez przerwy mieli się na baczności, że któremuś z nas odbije i zrobi coś szalonego.

– No tak, Branwell – powtórzył Roger, wrywając mnie z zamyślenia. – Ten to dopiero miał charakter. Niełatwo żyć z kimś takim. Jak sądzisz, jaki miał wpływ na twórczość Emily?

– Może pisała, żeby o nim nie myśleć? – wypaliłam.

W Highbridge tak działały na mnie zajęcia rękodzielnicze. Skupianie się na drobnych rzeczach pomagało zapomnieć o większych problemach. Nie lubiłam o tym myśleć, dlatego teraz byłam dość opryskliwa. Jednak Roger nie wyglądał na zdenerwowanego.

– Tak uważasz? – Zmarszczył brwi, ale nie był to przejaw dezaprobaty; wydawał się raczej zaintrygowany moim spostrzeżeniem.

– Może. – Gładko zmieniłam temat. – Długo pan tu pracuje?

Spojrzał na mnie i pomyślałam, że może za bardzo się z nim spoufalam. Ale chciałam, żeby przestał wścibiać nos w moje sprawy, tak jak robiła to moja współlokatorka.

– Nie. – Wydmuchał kolejną smużkę dymu. – Jestem tu nowy. Tak jak ty.

Przez chwilę wyglądało, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale się pohamował.

– Chciałbym, żebyś w następnej pracy zastanowiła się nad tym, czy Mary Ann Evans byłaby równie sławna, gdyby pisała pod prawdziwym nazwiskiem.

Dostałam gęsiej skórki. Składając podanie na uniwersytet, chciałam zmienić nazwisko. Bałam się, że ktoś może rozpoznać mnie z gazet. Cornelius starał się odwieść mnie od tego pomysłu i tłumaczył mi, że powrót do zdrowia w znacznej mierze polega na „oswojeniu” się z tym, co się wydarzyło. Skończyłam jednak osiemnaście lat i mogłam robić, co chciałam. Mary Ann Evans miała trzydzieści siedem lat, gdy przyjęła pseudonim literacki George Eliot.

– Dobrze – rzuciłam i zaczęłam zbierać podręczniki.

W innych okolicznościach poszłabym prosto do biblioteki, ale nasza rozmowa tak bardzo mnie zdenerwowała, że zamiast tego złapałam autobus do Reading. Coś takiego wciąż jeszcze było dla mnie nowością. W ostatnim roku w Highbridge ci z nas, którzy szykowali się do wyjścia, mogli sami wybierać się do miasteczka. Było ono dużo mniejsze od Reading i teraz, idąc do centrum handlowego, poczułam się przytłoczona. Zagrożona. Jakaś kobieta zgromiła mnie wzrokiem za to, że ją potrąciłam. Jej wściekłe spojrzenie przypominało mi Sheilę. I to, jak tamtego dnia podniosła na mnie rękę...

Drżąc, weszłam do małej kafejki, gdzie skupiłam się na oddechu. Była to technika, której nauczyłam mnie Julia. „Zaczerpnij powietrza z dna splotu słonecznego. Wstrzymaj oddech na siedem sekund. Oddychaj przez dwie. Wstrzymaj na pięć. I wypuść powietrze”.

Szło mi dobrze, dopóki nie zobaczyłam numeru „Daily Mail”, który ktoś zostawił na moim stoliku.

Słowa nagłówka zakłuły mnie w oczy. RODZINA ZGINĘŁA W POTWORNYM WYPADKU SPOWODOWANYM PRZEZ PIJANEGO NASTOLATKA.

Poczułam w ustach gorzki smak żółci. Odepchnęłam od siebie gazetę, ale oczami wyobraźni nadal widziałam szczerzące się do mnie zdjęcia ofiar. Zerwałam się, chcąc wybiec z kafejki, i w tej samej chwili zobaczyłam wchodzącą do środka znajomą postać. Spuściłam głowę z nadzieją, że mnie nie zauważył, ale było za późno.

– Ellie – rzucił ciepło Roger. – Cóż za miłe spotkanie. Już drugie dzisiaj.

Zakładałam, że po prostu jest miły. Nie miałam pojęcia o flirtowaniu.



– Tylko nie mów, że już wychodzisz. Przydałoby mi się towarzystwo. – Dotknął przelotnie mojego ramienia. Zaskoczona tym gestem, cofnęłam się o krok. – Nie napijesz się ze mną kawy?

– Przepraszam – bąknęłam, cały czas myśląc o gazecie. – Ale muszę zacerpnąć powietrza.

– Wyglądasz blade. Dobrze się czujesz? Chodź, wyjdźmy stąd.

Zaproponował krótki spacer brzegiem rzeki. Patrzyłam przed siebie na ścieżkę holowniczą, nie wiedząc, co powiedzieć.

Spodziewałam się, że będzie mówił o pracy. Że będzie chciał porozmawiać o esejach na temat George'a Eliot. Tymczasem on spytał, czy podoba mi się w Reading i czy mam wielu przyjaciół w akademiku.

Przez te osobiste pytania czułam się niezręcznie. Czy taka poufałość była na miejscu? Upomniałam się jednak, że jestem przecież na uniwersytecie. Tak wygląda prawdziwy świat, a ja jestem dorosła. Mimo wszystko, gdy nasze ręce przypadkiem otarły się o siebie, odsunęłam się od niego, tak jak zrobiłam to wcześniej. Jeśli poczuł się urażony, nie dał nic po sobie poznać.

Rozmawialiśmy o Oksfordzie, gdzie Roger zrobił licencjat i gdzie został, żeby zdobyć tytuł magistra, a później doktora.

– Poszczyściło mi się – powiedział. – Nie pochodzę z rodziny, w której jada się w prądawnej sali biesiadnej, a służący co dzień sprzątaję twój pokój.

Pomyślałam o Highbridge z jego gotyckimi wieżyczkami i personelem, który po nas sprzątał. Zerknął na mnie.

– A ty?

Opowiedziałam mu ugrzecznoną wersję prawdy, tę samą, którą sprzedałam swojej współlokatorce.

– Moja mama zmarła młodo, a mnie wysłano do szkoły z internatem.

– Poważnie? – Roger uniósł brwi. Były gęste i czarne. Męskie. Trochę jak brwi mojego ojca. – Podobało ci się tam?

– Nauczyłam się być niezależna – odparłam zgodnie z prawdą.

– Ojciec ożenił się ponownie?

Bezwiednie zacisnęłam pięści.

– On też odszedł – wyznałam.

Nie o to pytał, ale odpowiedź spełniła swoje zadanie.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – rzuciłam pospiesznie.

Próbował mnie zagadywać, ale odpowiadałam monosylabami, zupełnie jak z Corneliusiem, kiedy go poznałam. Powtarzałam sobie, że popełniłam błąd, godząc się na ten spacer. Im wcześniej wrócę do akademika, tym lepiej.

– Proszę. – Położył mi rękę na ramieniu. Gdy się cofnęłam, przygryzł wargę. Przez chwilę wyglądał jak dziecko. – Nie chciałem się wtrącać. Zapytałem dlatego, że moja mama umarła, kiedy miałem jedenaście lat, i ojciec powtórnie się ożenił. Moja macocha była zazdrosna o jego przeszłość i najszybciej, jak tylko mogłem, wyprowadziłem się z domu.

Żle go oceniłam. A przecież nienawidziłam, kiedy ludzie zachowywali się tak wobec mnie. Poczułam się podle.

– Przykro mi – bąknęłam.

Wzruszył ramionami.

– Takie życie. Trochę dało mi popalić, przez co podjąłem kilka niewłaściwych decyzji.

Zważywszy na to, że prawie się nie znaleźliśmy, zaskoczyła mnie jego szczerłość. Nie wiedziałam, czy powinno mi to pochlebiać, czy raczej mnie szokować. W końcu byłam dopiero na pierwszym roku, a on był moim wykładowcą. Zatrzymaliśmy się przy żółtym sportowym samochodzie z otwieranym dachem.

– Podrzucić cię?

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz. – Widziałam, że poczuł się urażony. Chciałam się wytłumaczyć, ale pomyślałam, że zrobę z siebie idiotkę. – W takim razie do zobaczenia na wykładzie.

Nadal byłam roztrzęsiona. Częściowo przez nagłówek, który zobaczyłam w gazecie, o tej biednej rodzinie. Ale mój strach – a może było to podniecenie? – wynikał również ze spotkania z Rogerem. Sama nie wiedziałam, czy lubię jego towarzystwo, a to sprawiało, że czułam się nieswojo.

Wróciłam autobusem i od razu udałam się na Wydział Literatury Angielskiej, gdzie w przegrodzie Rogera zostawiłam informację, że chciałabym zmienić kierunek. Epoka wiktoriańska nie była jednak dla mnie. Postanowiłam pójść na kurs literatury początku dwudziestego wieku, prowadzony przez jednego z jego kolegów.

Kiedy weszłam do akademika, moja współlokatorka robiła herbatę w aneksie kuchennym w korytarzu.

– Ależ z ciebie cicha woda! – zawołała.

Serce zaczęło walić mi jak szalone. Dowiedziała się, co zrobiłam. Jakimś cudem wszystko wyciekło. Będę musiała odejść. To tyle, jeśli chodzi o nowy początek, który obiecywali mi Cornelius i Julia.

– Dziewczyna z naprzeciwka widziała cię w mieście z tym przystojniakiem od literatury, Rogerem Hallsem. Spotykasz się z nim?

Poczułam nieopisaną ulgę, chociaż potrzebowałam czasu, żeby uspokoić galopujące serce.

– Nie – odparłam stanowczo. – Wpadliśmy na siebie w kafejce.

– Czyli nie spotykasz się z nim?

– Czemu tak cię to interesuje?

– Martwię się o ciebie, to wszystko. Słyszałam, że jest żonaty.

– To mój wykładowca – rzuciłam z udawaną swobodą. – Nie podoba mi się.

– Jasne, rozumiem. – Nie wyglądała na przekonaną. – Ale podobno lubi uganiać się za spódniczkami. Więc lepiej uważaj.

Roger miał żonę? Z jakiegoś powodu część mnie poczuła się rozczarowana. To jednak nie oznaczało, że jest niewierny. Może po prostu chciał być wobec mnie miły. Mimo moich początkowych obiekcji jego towarzystwo okazało się miłą odskocznią od samotności, z którą mierzyłam się na co dzień. Zaczęłam żałować swojej decyzji o zrezygnowaniu z jego zajęć. Poza tym, jeśli moja współlokatorka mówiła prawdę, wszystko było w porządku. Wykluczone, żebym związała się z żonatym mężczyzną.

– Znowu wychodzisz? – zapytała.

Narzuciłam budrysówkę i bez słowa wybiegłam, zatraskując za sobą drzwi. Jeśli się pospieszę, może zdążyć, zanim Roger sprawdzi pocztę.

Kartka nadal tam była. Schowałam ją do kieszeni i gdy odwróciłam się do wyjścia, wpadłam prosto na niego. Niebieski sweter pod tweedową marynarką był ciepły i miły w dotyku. Pachniał tytoniem.

– Przepraszam – rzucił.

– To moja wina – wyjąkałam.

– Chciałaś czegoś? Niedługo zamykamy.

– Ja... właściwie przyszłam do pana.

Poczułam, że się rumienię.

– Tak?

– Tak. Ja... mam problem z wiktoriańskim podejściem do emancypacji, a chciałabym poruszyć ten temat w eseju o George Eliot. Zamierzałam wspomnieć o tym po południu, ale... cóż, wyleciało mi z głowy. Nie udało mi się zdobyć książek, które pan polecił... wszystkie są wypożyczone.

Wyjął z kieszeni klucz.

– Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć moje własne egzemplarze. Wejdz.

„Podobno lubi uganiać się za spódniczkami. Więc lepiej uważaj”.

– Nie, dziękuję – odparłam, czekając za progiem. – Muszę się spieszyć. Mój chłopak przygotowuje kolację.

– Nie wiedziałem, że masz chłopaka. Nie wspominałaś o nim wcześniej.

Dlaczego zawsze muszę wpadać we własne sidła? Zresztą to nie była jego sprawa.

– To tak jakby mój chłopak.

Roześmiał się.

– Aha, rozumiem. – Podał mi książki. – Proszę. – W jego głosie pobrzmiwała sztuczna wesołość. – Możesz je zwrócić na następnym seminarium.

Wracając do akademika pośród opadłych jesiennych liści, czułam się jeszcze bardziej skołowana. Zaledwie kilka minut temu wmawiałam sobie, że nie chcę mieć nic wspólnego z żonatym mężczyzną. Tymczasem spotkanie z nim mocno mnie poruszyło. Dlaczego Roger Halls tak na mnie działał? Czy dlatego, że sprawiał wrażenie, jakby on również miał swoje problemy? Czy też dlatego, że był pierwszą osobą od lat, która zdawała się autentycznie mną zainteresowana?

Kierowca miał rację. Dotarcie do Tintagel zajmuje cholernie dużo czasu. Kiedy wysiadam, otacza mnie morze ludzi i autokarów. To nawet dobrze, bo w tłumie łatwiej jest zniknąć. Kolejny raz zerkam przez ramię, ale nikt mnie nie śledzi. A przynajmniej tak mi się zdaje.

Niedługo zacznie się ściemniać. Mój żołądek, do niedawna pełny, teraz głośno burczy z głodu; mięśnie mam zeszywniałe od długiego siedzenia. Mijam piekarnię. Dolatujący z niej zapach sprawia, że ślina napływa mi do ust. Kupuję pasztecik z serem i cebulą, skrzętnie ukrywając resztę pieniędzy, które mam w koperce.

Robi się chłodno. Nie chcę wydawać pieniędzy na pokój, ale wolę to, niż kulić się pod żywopłotem. I nagle coś sobie uświadamiam. Zostawiłam w autobusie reklamówki z papierem toaletowym i mydełkami. Ze złości kopię w ścianę. Mężczyzna, który akurat przechodzi obok, patrzy na mnie wystraszoną wzrokiem.

– Nie jestem niebezpieczna! – wołam za nim.

Chce mi się płakać, ale krążę po głównej ulicy i odbiegających od niej zaułkach. Wszędzie widzę tabliczki z napisem: „Brak wolnych pokoi”.

Wszystko wskazuje na to, że chcąc nie chcąc, będę musiała spać pod gołym niebem. Może znajdę jakąś stodołę albo coś. Podążam za znakami wskazującymi drogę do zamku Tintagel i schodzę stromą ścieżką. W pewnej chwili wstrzymuję oddech. Daleko w dole rozciągają się klify i morze.

Znam to miejsce. A może tylko mi się zdaje? Zaciskam palce na murku. Kamienie wrzynają się w skórę. Kręci mi się w głowie. Oblewam się potem. Zaraz spadnę.

– Weź się w garść – mówię do siebie i odwracam się od morza.

I wtedy go widzę. Mały żółty kwiat rosnący w trawie tuż przy ścieżce. Klękam w błocie i muskam go palcami. Małeńkie płatki są aksamitne w dotyku.

Od razu lepiej. Oddycham spokojnie. Idę dalej, co rusz oglądając się za siebie, choć sama nie wiem, czemu właściwie to robię.

Ścieżka ciągnie się wzdłuż morza po mojej prawej stronie. Kierując się znakami, wchodzę coraz wyżej. Nie patrzę w dół, żeby ze strachu znowu nie zakręciło mi się w głowie.

Różowoczerwone niebo wygląda jak na filmie.

Wdrapuję się po schodach. Są tak strome, że dostaję zadyszki. Zerkam na morze. Jest jeszcze niżej niż chwilę temu. Odwracam wzrok i ruszam dalej. Teraz idzie się łatwiej, bo grunt jest bardziej płaski. Nagle włoski na karku stają mi dęba. Przede mną na drodze kuca mężczyzna. Trzyma coś w dłoni...

W pobliżu nie ma nikogo innego. Uciekaj, krzyczy głos w mojej głowie. W tej samej chwili mężczyzna podnosi wzrok i zauważa mnie.

– Witam. – Nie mówi z akcentem z wyższych sfer, ale i nie jak prostak. Twarz ma nieogoloną, skórę ogorzałą od słońca, jak ktoś, kto dużo czasu spędza na dworze. – Piękny wieczór, prawda?

Czy dogoni mnie, jeśli rzucę się do ucieczki?

– Proszę się mną nie przejmować – ciągnie. – I podziwiać widoki.

Dopiero wtedy widzę, że trzyma w ręce kawałek czerwonej kredy. Powoli podchodzi bliżej. A on pochyla się nad najpiękniejszym rysunkiem, jaki w życiu widziałam. Przedstawia widoczne w dole morze, most i wiodącą w górę klifu stromą ścieżkę. Kolory są obłędne. Rozmaite odcienie niebieskiego, różowego i żółtego. A niech mnie! Facet rysuje na płytach chodnikowych.

– I co pani myśli? – pyta.

– Jest piękny. – Nie mogę się powstrzymać i kucam obok. – A jeśli zacznie padać?

Wzrusza ramionami.

– Deszcz wszystko zmyje.

– To straszne!

– Bez obaw. Narysuję następny. Dzięki temu nie muszę za każdym razem kupować płótna. A ludzie są naprawdę hojni, więc stać mnie na kredę.

Obok niego stoi plastikowe pudełko z monetami. To dlatego jest dla mnie taki miły. Chce wydębic ode mnie pieniądze. Prostuję się i myślę o kopercie, którą dostałam od Amerykanki. Ani myślę cokolwiek mu dawać.

– Przykro mi, ale nie mam żadnych pieniędzy – mówię.

– To nic. Cieszę się, że się pani podoba.

– Zawsze chciałam rysować – dodaję ni stąd, ni zowąd.

Wiem, że w ustach kogoś takiego jak ja brzmi to głupio. Ale to prawda.

Wręcza mi kawałek żółtej kredy i teatralnym gestem zaprasza mnie, bym się przyłączyła.

– Proszę bardzo!

Czując się jak kompletna idiotka, przyciskam kredę z taką siłą, że się łamię.

– Nie tak mocno – tłumaczy mi.

Bierze mnie za rękę. Zwykle by mi to przeszkadzało, ale z jakiegoś powodu dotyk jego skóry sprawia mi przyjemność.

– Właśnie tak. Proszę spróbować.

Tym razem udaje mi się nie złamać kredy. Mężczyzna spogląda z aprobatą.

– Ładny kwiatek.

– Rośnię w żywopłocie – odpowiadam gwałtownie.

– A, tak. Kolcolist. Jest twardy. Przetrwą każdą pogodę.

Podnosi się i otrzępuje spodnie. Góruje nade mną. Ależ on wysoki!

– Jest pani w drodze, prawda?

Wkurza mnie jego pytanie. Skąd wie? Jestem ubrana w czyste rzeczy, a w hotelu umyłam włosy. No dobra, może mam dziurawe buty, a podeszwy z kartonu są do niczego.

– Skąd ten pomysł? – pytam.

– Znam takich jak pani – mówi. – Sam często się przenoszę.

– Niedługo dostanę mieszkanie – rzucam pośpiesznie.

Jeśli powtórzę to wystarczająco wiele razy, może sama w to uwierzę.

– Jasne. Trochę to trwa, co? – Z pietyzmem wkłada do pudełka kawałki kredy, jeden po drugim, po czym zarzuca plecak na ramię. – W takim razie ruszajmy.

13.35, 17 sierpnia 1984

*Michael podskakuje, ciągnąc mnie za rękę.*

*– Możemy iść do ogrodu? Zobacz! Wziąłem piłeczkę do tenisa.*

*Ukrył ją w kieszeni. To jedna z moich piłeczek. Musiał ją ukraść z mojego pokoju.*

*To nie w porządku. Chciałabym zostać sama z Peterem i opowiedzieć mu o swojej podłej macosze.*

*– Świetny pomysł. – Peter bierze Michaela za drugą rękę.*

*Co on wygaduje? Myślałam, że będzie tak samo wkurzony jak ja tą opieką nad Michaeliem.*

*– Jestem w szkolnej drużynie krykieta – ciągnie Peter. – Prawda, proszę pana?*

*To pytanie – jakże grzeczne! – skierowane jest do mojego ojca, który zaparkował już samochód i właśnie wszedł do domu. Wydaje się rozkojarzony, jakby próbował odszukać Sheilę w tłumie elegancko ubranych, pochłoniętych rozmową, stukających się kieliszkami gości. I oto jest! W drugim końcu pokoju rozmawia z jakimś mężczyzną, śmiejąc się tym swoim sztucznym śmiechem. Ojciec też to widzi.*

*– Tak – rzuca przez ramię. – Oczywiście. Tylko bądźcie za domem i trzymajcie się z dala od samochodów, które wciąż się zjeżdżają.*

*– Chodź – szepcze Peter. – Może jak wyjdziemy z twoim bratem na dwór, będziemy mieli odrobinę prywatności.*

Chociaż postanowiłam zostać na zajęciach Rogera, trzymałam się na dystans. Wciąż jednak coś mnie do niego przyciągało i wprawiało mnie to w przerażenie. Zupełnie jakbym była dwiema osobami zamkniętymi w jednym ciele: jedna czuła się wyjątkowo, kiedy chwalił mnie za „wnikliwie eseje”, a druga chciała odepchnąć go od siebie, bo słyszała plotki, że jest żonaty. Nigdy jednak nie widziałam na jego palcu obrączki.

Pierwszy rok poświęciłam głównie na naukę. Moja współlokatorka nie mogła tego zrozumieć.

– Dlaczego nie pójdziesz na bal studencki? – spytała. – Może znalazłabyś chłopaka – dodała, bo sama najwyraźniej na to liczyła.

– Nie lubię takich imprez – burknęłam.

– Nigdy nie byłaś na żadnej, więc nie wiesz, dopóki nie spróbujesz. Chodź, będzie fajnie. Przynajmniej zgódź się, żebym pokazała ci, jak używać eyelinera. Od razu będziesz wyglądała inaczej.

Miała rację. Ale gdy nowa, dorosła, ja pojawiła się w lustrze, przypomniałam sobie macochę, która zawsze nosiła ciężki makijaż. Niemal słyszałam, jak mówi: „Że też możesz się stroić po tym, co mi zrobiłaś!”.

– Jak to zmyć? – zapytałam spanikowana.

– Uspokój się. Wytrzyj tym oczy. – Moja współlokatorka pokręciła głową. – Dziwna jesteś, Ellie.

Jakbym tego nie wiedziała.

A jednak wieczorem poszłam pod klub studencki, w którym dudniła muzyka, a podłoga drżała pod stopami bawiących się ludzi. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłabym być jedną z nich. Byłabym wolna, szczęśliwa i świetnie bym się bawiła.

Kiedy letni semestr dobiegł końca, zostałam w Reading. Jaki miałam wybór? Po tym, jak wypisano mnie z Highbridge, straciłam wszelkie oparcie. Nie miałam rodziny, do której mogłabym się udać. W akademiku było kilka pokoi dla studentów z zagranicy, którzy nie pojechali do domu. Byłam jedyną Angielką. Poza tym wszyscy się porożjeżdżali. Przynajmniej pieniądze nie stanowiły problemu. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, co miesiąc dostawałam pieniądze z funduszu, który założył dla mnie mój dziadek – znacznie więcej, niż potrzebowałam.

Lubiłam uniwersytet, kiedy wokół nie było prawie nikogo. Bez chłopaków, którzy obrzucali się bułkami i wyzwiskami, w akademiku panowała dziwna cisza. Ogrody były piękne i uwielbiałam siadać z książką na ławce przy cudnie kwitnącej magnolii. Tego lata zaczytywałam się w H.E. Batesie. Od jego poważnych powieści wołałam jego książki o Larkinach – szczęśliwej, kochającej się rodzinie.

W pewien wyjątkowo ciepły sierpniowy dzień odważyłam się włożyć sukienkę na ramiączkach. Zwykle zakrywałam ramiona z powodu blizn, ale tego dnia było zbyt gorąco na rękawy.

– Nadal tu jesteś? – usłyszałam znajomy głos.



Nie musiałam podnosić wzroku, żeby wiedzieć, do kogo należy.

– Tak – odrzekłam.

Czekałam, aż Roger zapyta, dlaczego nie pojechałam do domu, on jednak tego nie zrobił. Zupełnie jakby szanował moją potrzebę prywatności. Spodobało mi się to.

– Ja też zostaję.

Spojrzałam na niego. Trzymał w dłoni brązową kopertę.

– Mój prawomocny wyrok rozwodowy – powiedział, głaszcząc ją, jakby zawierała skarb. – Długo czekałam, ale w końcu go mam.

– Co to takiego ten prawomocny wyrok rozwodowy? – spytałam.

Wydawał się zaskoczony, że nie wiem.

– To dokument prawny stwierdzający, że moje małżeństwo dobiegło końca.

Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo, kto by się rozwiódł. Byłam równie zszokowana, jak podekscytowana. To oznaczało, że jest wolny...

– Jest panu smutno? – zapytałam.

Lata spędzone w Highbridge nauczyły mnie, że czasami najprostsze pytania są najlepsze, choć nie zawsze mądrze jest udzielać szczerych odpowiedzi.

– Tak. I nie. Byliśmy zbyt młodzi, kiedy się poznaliśmy, ale może należało bardziej się starać. Dziwnie jest myśleć, że od tej pory będę musiał radzić sobie w życiu sam. – Zupełnie jakby mówił do siebie.

– Nie jest tak źle – rzuciłam spontanicznie.

– Naprawdę? – Spojrzał na mnie. – Wiesz, Ellie, lubię w tobie to, że jesteś inna.

– To ma być komplement? – spytałam, mając w pamięci słowa mojej współlokatorki, które wciąż mnie bolały.

– Oczywiście, że tak.

Poczułam wdzięczność. W Highbridge wszyscy wiedzieliśmy, że jesteśmy „inni”. To był nasz największy lęk. Każdy z nas trafił tam z jakiegoś strasznego powodu. Jak mieliśmy się nauczyć normalnie żyć? Jako jedyna poszłam na uniwersytet i już zaczynałam się zastanawiać, co potem. Wprawdzie zmieniłam nazwisko, ale co będzie, jeśli potencjalny pracodawca dowie się ze starych gazet, co zrobiłam?

– Zamierzałam pojechać rowerem do Sonning – powiedział Roger, wrywając mnie z zamyślenia. – Może wybierzesz się ze mną? To urocze miejsce nad rzeką. Mają tam całkiem miły pub.

Wielu studentów jeździło na rowerach, ale nie ja. To była zbyt duża odpowiedzialność – właśnie dlatego obiecałam sobie, że nigdy nie zrobię prawa jazdy. A gdybym kogoś skrzywdziła?

– Nie jeździłam od lat – odparłam.

– To nic. Tego się nie zapomina. – Zerknęła na blizny na moich ramionach, ale nic nie powiedział.

– Nie może pan zaprosić kogoś innego? – Wstyd sprawił, że zrobiłam się niemą.

– Mógłbym, ale chcę jechać z tobą. Wyświadczysz mi przysługę. – Spojrzał na kopertę. – Muszę zapomnieć o tej porażce.

– To nie porażka – rzuciłam pospiesznie. – Proszę to potraktować jako nowy początek.

– Wiesz co? Masz rację.

Czyżby? Gdyby tylko wiedział. Przez lata marzyłam o opuszczeniu Highbridge, z jego zasadami i przepisami, tak żebym w końcu mogła poczuć się wolna. A teraz, gdy byłam zupełnie sama w tym

nowym wielkim świecie i mogłam robić, co chciałam, czułam paniczny strach, że popełnię kolejny fatalny błąd. A jeśli właśnie zamierzałam go popełnić? I nie chodziło o rower...

Ale Roger miał rację. Jazda na rowerze okazała się prostsza, niż sądziłam. Byłam tak skupiona na utrzymaniu równowagi i patrzeniu przed siebie, że przestałam myśleć o tym, że mogę zrobić komuś krzywdę. Mimo to odetchnęłam z ulgą, gdy cali i zdrowi dotarliśmy do Sonning.

– Czy nie jest tu pięknie? – zapytał, wskazując wijącą się rzekę, kiedy usiedliśmy w ogródku na tyłach pubu.

On pił piwo. Ja lemoniadę, jak zawsze.

– Tak – przyznałam i zmusiłam się, żeby spojrzeć na wodę.

Była tak nieprzewidywalna. Zupełnie jak drogi. I samoloty. Człowiek nie mógł wiedzieć, kiedy wydarzy się coś strasznego.

Później, kiedy wracaliśmy do rowerów, omal nie nastąpiłam na linię na chodniku. W ostatniej chwili zachwiałam się i uskokczyłam w bok. Roger wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać.

– Dzięki – bąknęłam i oblałam się rumieńcem.

Pochyliłam się, żeby odpiąć kłódkę. Kiedy się wyprostowałam, jego twarz znajdowała się tuż przy mojej. Od razu wiedziałam, że chce mnie pocałować.

– Nie – zaprotestowałam. Cofnęłam się tak gwałtownie, że prawie się przewróciłam. – Przepraszam. Zmieszany, zmarszczył brwi.

– „Nie”, bo nie jesteś jeszcze gotowa, czy „nie”, bo w ogóle tego nie chcesz?

– Nie wiem.

Twarz mi płonęła. Było mi wstyd. Jak miałam powiedzieć mu prawdę?

– Mogę zaczekać – odrzekł i wyciągnął rękę, żeby chwycić mnie za ramię.

Pokiwałam głową.

– Dobrze. Dziękuję. – Wsiadłam na rower. – Mogę jechać z tyłu? Wciąż trochę się denerwuję.

– Ellie – odezwał się łagodnie. – Przy mnie nigdy nie musisz się denerwować. Jestem tu dla ciebie.

Poczułam nieopisaną wdzięczność. Jediną osobą, która powiedziała mi coś podobnego, był mój tata. Dawno, dawno temu, przed pojawieniem się Sheili.

Zastanawiałam się, co widzi we mnie Roger. Dopiero później uświadomiłam sobie, że kręciła go moja niechęć. Był przyzwyczajony, że kobiety padają mu do stóp.

Stanowiłam dla niego wyzwanie. A gdy mówił, że nie chce mnie stracić, tak naprawdę chodziło mu o to, że nie chce ponieść porażki.

Ma na imię Steve. Przynajmniej tak mi mówi. Jest ulicznym artystą, a to znaczy, że rysuje kredą pastelową na chodnikach i innych powierzchniach, które się do tego nadają. Nosi sandały z odkrytymi palcami – najwyraźniej od tak dawna jest w drodze, że nie czuje już zimna – i ma kręcone jasnobrązowe włosy, które opadają mu na ramiona. Pasuje mu ta długość, choć inny mężczyzna w średnim wieku (zakładam, że jest trochę młodszy ode mnie, choć niewiele) mógłby z takimi włosami wyglądać dziwnie.

Prowadząc mnie przez most, który widziałam wcześniej, mówi mi, że kiedyś był księgowym. Czy to prawda?

– Skoro byłeś księgowym, jak to się stało, że wylądowałeś na ulicy?

– Wolę takie życie – odpowiada po prostu. Przeskakuje stopień i wyciąga rękę. – Pomóc ci?

Dłoń ma ciepłą, przyjemną w dotyku. Otrząsam się. Nie bądź głupia, upominam się w duchu.

– Tędy. – Schodzi z ostatniego wzgórza.

Jest tak ciemno, że prawie nic nie widzę. Piasek chrzęści mi między palcami stóp.

– Nie martw się. Tam gdzie idziemy, nie sięga woda. – Podeksytowany, podnosi głos. – Nie mogę się doczekać, aż ci pokażę. Tam, w górze.

Jesteśmy u wejścia do jaskini, które otwiera się przed nami jak ciemny tunel. Chyba sobie żartuje.

– Nie wejdę tam.

– Idź za mną. Proszę.

Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię mu odmówić. Lata temu widziałam w telewizji program o hipnotyzerze, który wprowadził dziewczynę w trans. Tak właśnie się czuję. Ściany jaskini napierają na mnie. Zawadzam głową o coś, co zwiesza się z sufitu. Krzyczę.

– Co to?

– To nic – uspokaja mnie Steve. – Stalaktyty. Łatwo zapamiętać tę nazwę, bo trzymają się jak stal stropu jaskini. Stalagmity wyrastają z podłoża jaskini, w górę.

Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo takiego.

Zatrzymuje się.

– Zamknij oczy. – Zakrywa mi oczy dłonią.

Wiem, że teraz mnie zabije. Sama jestem sobie winna – nie trzeba było tu przychodzić. Co ja sobie myślałam, do cholery?

– Otwórz oczy – nakazuje mi niczym magik.

Prawie nic nie widzę. Gardło mam ściśnięte ze strachu.

– Zaczekaj – mówi Steve. – Gdzieś tutaj mam latarkę. – Słyszę, jak przetrząsa zawartość plecaka. – Jest. Teraz możesz się rozejrzeć.

Widzę skalne półki. Na jednej z nich leży rozłożony śpiwór. Jest tu również koc i kuchenka turystyczna firmy Primus. A także zapas konserw i butelek wody.

– Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać? – jęczę.

– Trzymać? – Głos ma łagodny. – Nie jesteś moim więźniem, Jo.

Wcześniej, kiedy powiedział mi, jak ma na imię, ja zdradziłam mu swoje. Teraz tego żałuję.

– Moim zdaniem tak to wygląda.

– Jeśli chcesz, odprowadzę cię do miasteczka – mówi urażony. – Możesz sobie poszukać tam noclegu, ale sprzedam cię, nie będzie łatwo. Nie ma tu żadnej noclegowni, a nawet jeśli masz pieniądze, nikt nie wynajmie ci pokoju. Właściciele sądzą, że roznosimy pchły.

Waham się, a on to widzi.

– Albo – ciągnie – możesz zostać tu ze mną. Ugotuję curry z fasolą. Lubisz chili?

Jakie to ma znaczenie, jeśli rzuci się na mnie, jak to zrobił Paul w Bristolu?

– Możesz spać w moim śpiworze – dodaje, jakby czytał mi w myślach. – Ja wezmę koc. Będziemy spali w przeciwnych końcach jaskini, jeśli to cię martwi. – Dotyka mojego ramienia. – Naprawdę, Jo, nie masz się czego bać. Nie jestem taki.

– No to kim jesteś i dlaczego nie pracujesz już jako księgowy? – wypalam. – Zrobiłeś coś złego?

Zapala zapałkę, żeby włączyć palnik.

– Oczywiście, że nie! – Wydaje się zamyślony. – To długa historia. Jako uczeń chciałem zostać artystą, ale rodzice uważali, że powinienem znaleźć prawdziwą pracę. Więc studiowałem księgowość. Pracowałem w City.

– Nie miałeś rodziny? Żony? Dzieci?

– Chciałem mieć. Byłem nawet zaręczony. Ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Powiedziała, że jestem nudziarzem.

Jego głos brzmi, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Biedak.

– Pewnego dnia w przerwie na lunch zobaczyłem gościa klęczącego przed National Gallery. Rysował kredą na chodniku. Jak urzeczony wpatrywałem się w kontury Londynu na tle nieba. Facet powiedział, że jest bezdomny. Dałem mu parę monet. Później od czasu do czasu zatrzymywałem się, żeby z nim porozmawiać, kupić mu kanapkę i coś ciepłego do picia. Któregoś razu wręczył mi żółtą kredę. „Może spróbujesz? – zapytał. – Namaluj słońce”. Ukląknę na chodniku, w swoim prążkowanym garniturze, i zrobiłem, co mi kazał. Poczulem się wolny jak nigdy dotąd. Poszedłem do biura i złożyłem wymówienie. Kiedy powiedziałem o tym rodzicom, myśleli, że mi odbiło. Ale przynajmniej nikt nie powie mi teraz, że jestem nudny.

Wybucha tym suchym śmiechem, który wcale nie brzmi radośnie.

– Z początku uznałem, że robię sobie przerwę, żeby przejść pieszo szlak South West Coast Path. Ale gdy go pokonałem, wcale nie miałem ochoty na powrót do domu. Wróciłem więc do Kornwalii. Od tamtej pory minęło piętnaście lat. Niedługo skończę pięćdziesiątkę.

– Z czego się utrzymujesz? – pytam, patrząc, jak przelewa do rondla zawartość kilku puszek i zaczyna mieszać.

– Z tego, co zarobię, malując na ulicach – odpowiada beztrzesko. – Rodzice proponują mi pomoc, ale ja wolę radzić sobie sam. To moje życie. Moja odpowiedzialność. Od czasu do czasu kontaktuję się

z nimi; mają prawie osiemdziesiąt lat. Czasami jadę do Cambridge, żeby ich odwiedzić. Mój ojciec, który też był księgowym, powiedział, że żałuje, że nie miał odwagi postąpić tak jak ja. A mama martwi się tym, że nie mam żony ani dzieci.

Siadam w kucki na kocu, który rozłożył Steve.

– Nie było ci ciężko po tym, jak rzuciłeś pracę w biurze?

– Pewnie, że było. Raz jakiś gość próbował poderznąć mi gardło, bo przypadkiem zająłem jego miejsce. Na szczęście odwiodłem go od tego.

– W jaki sposób?

– Powiedziałem mu, że nie warto reszty życia spędzić w więzieniu. Odkryłem, że ludzie są mniej przerażający, jeśli z nimi rozmawiasz. Sztuka uliczna pomaga. Ludzie zatrzymują się, żeby pogadać o rysunkach, i pytają, czemu to robisz. Mam jedną zasadę. Zawsze mówię prawdę.

Czy on oszalał? Życie na ulicy to ciągła walka. Wszyscy to wiedzą.

Steve ostatni raz miesza zawartość rondla i nakłada fasolę na talerz.

– Masz. Spróbuj.

Zaczynam jeść palcami. Dobre!

– Przepraszam. Zapomniałem ci to dać.

Podaje mi plastikową łyżkę i sam też zaczyna jeść.

– A ty? – pyta. – Jak trafiłaś na ulicę?

Pamiętając o dobrych manierach, przełykam, zanim się odezwę.

– Podjęłam kilka złych decyzji w kwestii mężczyzn i picia – rzucam szorstko. Głupio mi, że pomijam pewne rzeczy, ale przecież nie musi wiedzieć wszystkiego. – Nie piję już – dodaję pospiesznie. – Szukam tylko jakiegoś bezpiecznego miejsca. Gdzie mogłabym osiąść i znaleźć pracę.

Patrzy na mnie w zamyśleniu i znowu przypomina mi kogoś z innych, lepszych czasów. A może tak mi się tylko wydaje.

13.37, 17 sierpnia 1984

Kiedy idziemy do ogrodu, jedna z kelnerek proponuje nam kieliszek szampana. Nigdy wcześniej nie piłam alkoholu.

– Spróbuj – zachęca mnie Peter.

Tata zawsze powtarza, że z pierwszym drinkiem muszę poczekać, aż skończę szesnaście lat, ale przy Peterze chcę wyglądać na bardziej dorosłą. Poza tym ojciec i Sheila zniknęli gdzieś w tłumie gości.

Szampan jest chłodny. Musujący. Jedna z najbardziej przebojowych dziewczyn została wydalona ze szkoły za to, że przemyciła do internatu butelkę ginu. Podobno „uderzył jej do głowy”, cokolwiek to znaczyło. Czekam, aż to samo będzie ze mną, ale nie czuję żadnej różnicy.

– Ja też mogę? – pyta Michael.

– Nie ma mowy – odpowiadam. – Chcesz, żeby twoja mama miała do mnie jeszcze większe pretensje?

Peter patrzy na mnie wymownie. W listach pisałam mu trochę o Sheili.

– Czyli nadal to samo, tak? – pyta.

Kiwam głową. Nie chcę nic więcej mówić przy bracie, żeby nie powtórzył swojej matce. „Ellie mówi, że jesteś upierdliwa”, powiedział do Sheili podczas ostatnich wakacji. Kiedy ojciec o tym usłyszał, zabrał mi połowę kieszonkowego. Zwykle się pilnuję i nie używam takiego języka jak dziewczyny w internacie. Ale byłam wtedy wkurzona i palnęłam coś przy Michaelu, a on to zapamiętał.

Teraz żę, że nie pozwoliłam mu napić się szampana, wrywa się i wybiega przez oszklone drzwi na trawnik. Peter i ja idziemy obok siebie, wypatrując Michaela w wielkim ogrodzie. Gdy lewe ramię Petera ociera się o moje, przesywa mnie cudowny dreszcz. Czy zrobił to celowo? Powoli, z rozmysłem, robię to samo.

Studenci tacy jak ja, którzy na pierwszym roku mieszkali w dwuosobowych pokojach, na drugim roku dostawali duże jednoosobowe. Uwielbiałam swoją prywatność. Moja współlokatorka zrobiła się zbyt ciekawska. Raz zapytała, czy mogę jej pożyczyć tampon, a gdy odparłam, że ich nie używam, przewróciła oczami.

– A podpaskę?

– Przykro mi – rzuciłam pospiesznie. – Nie mam już okresu.

– Jak to?

Powinłam była trzymać język za zębami. Ale prawda wyglądała tak, że po tym, co się stało, przestałam miesiączkować.

– Takie tam. – Wzruszyłam ramionami.

– Ale... jak zamierzasz kiedyś mieć dzieci?

– Nie chcę mieć dzieci.

– Czemu?

– To za duża odpowiedzialność.

Współlokatorka popatrzyła na mnie dziwnie.

– Ty naprawdę jesteś inna, co?

Może miała rację. Nie byłam taka jak inni studenci. Oni byli tacy szczęśliwi. Tacy beztroscy. Wydawało się, że wszystkie dziewczyny biorą pigułki i spiąją z kim popadnie. Robiły głupie rzeczy, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Jeden z przyjaciół mojej współlokatorki zjechał na linie ze szczytu budynku, bo ktoś rzucił mu wyzwanie. Wszyscy uważali, że to fantastyczne. „Kretyn – rzuciłam mu w twarz. – Mogłeś się zabić albo spaść komuś na głowę”.

Moja współlokatorka nie zajmowała już dla mnie miejsca w stołówce. Nie podobało mi się, jak ona i inne dziewczyny szeptały na mój temat. Może dlatego zgodziłam się, gdy Roger kolejny raz zaprosił mnie na wycieczkę rowerem. I następną. Zanim się obejrzałam, stało się to naszym weekendowym zwyczajem.

Czułam się wolna, jeżdżąc po uroczych okolicach Berkshire z jego lasami i ścieżkami konnymi, wśród buków i brzoź białych, których gałęzie zwieszały się nad naszymi głowami. Czasami wstępowaliśmy do pubu na lunch i dyskutowaliśmy o książkach, które właśnie czytaliśmy. Zaczytywałam się wtedy w powieściach J.P. Donleavy’ego i miałam obsesję na punkcie *Ryżego*. Z początku zmieniałam szybko temat, gdy pytał o moją rodzinę. Kiedy nalegał, podałam mu okrojoną wersję (nie mówiąc ani słowa o Michaelu ani o Highbridge) i zgodnie z prawdą oznajmiłam, że nie mam na świecie nikogo.

– Tak mi przykro – powiedział. – Cóż, teraz nie jesteś już sama.

Przez chwilę myślałam, że mnie przytuli, ale tego nie zrobił. Poczułam ulgę i zarazem rozczarowanie.

Roger też nie lubił rozmawiać o swojej przeszłości, miałam jednak wrażenie, że nie pochodził z zamożnej rodziny. Wspominał, że był pierwszą osobą w rodzinie, która poszła na studia.

Zimą chodziliśmy na spacer. Raz, kiedy poślizgnęłam się na oblodzonym zboczach, złapał mnie za rękę. Jego dłoń była ciepła i dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

– Nie musisz jej zabierać – powiedziałam.

– Jesteś pewna?

Pokiwałam głową. Nie posunął się dalej, za co byłam mu wdzięczna.

Dzięki Rogerowi zaczęłam słuchać Leonarda Cohena. Wołałam jego smutne piosenki od utworów The Carpenters. Siadywałam u niego w mieszkaniu na podłodze, opierając głowę o jego kolana. Ale za każdym razem, gdy próbował mnie dotknąć, odsuwałam się. „Przepraszam – mówiłam, a przed oczami stawał mi Peter w ogrodzie państwa Danielsów. – Nie jestem jeszcze gotowa”.

Wydawał się bardziej rozbawiony niż poirytowany. Z wdzięczności starałam się robić rzeczy, które – jak myślałam – sprawią mu radość. Kupiłam książkę kucharską Marguerite Patten i pierwszy raz przyrządziłam wołowinę i cynaderki zapiekane w cieście. Niestety, nie podsmażyłam mięsa przed dodaniem ciasta. On jednak zjadł to i nie umarł.

Mijały miesiące i zbliżały się egzaminy końcowe. Byłam na trzecim roku i zaczynałam panikować. Dużo się uczyłam i uważałam, że powinnam zdać. A jeśli nie będę potrafiła odpowiedzieć na żadne pytanie?

– To niemożliwe – zapewnił mnie Roger.

Tymczasem ja bałam się coraz bardziej. Cornelius ostrzegał mnie przed tym. „Z powodu tego, co działo się przed wypadkiem, czułaś się jak nieudacznica. Ciężko pracowaliśmy, żebyś zrozumiała, że wcale tak nie jest, ale w obliczu dużego stresu uczucia te mogą wrócić”, powiedział mi niedługo przed moim wyjazdem z Highbridge.

Miał rację. Ledwie zdołałam wejść na salę. Kiedy spojrzałam na leżący przede mną odwrócony arkusz egzaminacyjny, miałam wrażenie, że na moich oczach rozpada się na małe kawałki. Topnieje. Kurczy się. Oblał mnie zimny pot.

– Nie. – Chwiejnie dźwignęłam się z krzesła. Żeby nie upaść, chwyciłam się blatu ławki. Egzaminatorzy spojrzeli na mnie z niepokojem. – Nie dam rady – jęknęłam.

Wszystkie głowy odwróciły się w moją stronę.

– To ta dziwaczka? – szepnął chłopak z mojego akademika.

Ktoś mnie wyprowadził. Roger był na korytarzu. (Później dowiedziałam się, że nadzorował inny egzamin).

– Nie dam rady! – powtórzyłam rozhisteryzowana.

– Właśnie że dasz.

Otoczył mnie ramieniem i wyprowadził z budynku.

Zawiózł mnie do przychodni, wyjaśniając, że mają tam „specjalne pomieszczenia” dla tych, którzy z jakichś powodów nie chcieli pisać egzaminu w sali z innymi studentami. Rozpoznałam kilka twarzy, a wśród nich na pozór aroganckiego, niebywale inteligentnego chłopaka, z którym chodziłam na seminarium.



Dostałam osobny pokój. Teraz, kiedy nie czułam presji egzaminu, mogłam w końcu swobodnie oddychać. Pisałam, praktycznie nie odrywając ręki od papieru.

Po tym wszystkim było mi głupio, jednak Roger starał się mnie pocieszyć.

– Strach przed egzaminem to paskudna rzecz, ale często dopada ludzi.

– Ja boję się wszystkiego – odparłam.

– Wiem – powiedział, głaszcząc mnie po ręce. – Ale teraz jest już dobrze.

Byliśmy u niego i w całym tym zamieszaniu nie pamiętałam nawet, jak się tam znaleźliśmy. Na środku pokoju stała nowoczesna kanapa z białej skóry. Siedzieliśmy na niej. Blisko siebie.

– Potrzebujesz czegoś, żeby się uspokoić – powiedział, zapalając papierosa. (Co się stało z fajką?). – Spróbuj tego.

Nie paliłam, jednak tym razem się zaciągnęłam. Miał rację. Chwilę później mój lęk zniknął jak ręką odjął.

– Jesteś piękna – szepnął.

Nigdy wcześniej nikt mi tego nie mówił i pochlebiało mi, że ktoś taki jak Roger mnie pragnie. Nadal nie lubiłam, gdy mnie dotykał. Ale podobała mi się jego troskliwość i podziw. Poza tym, gdyby nie jego pomoc, nigdy nie zdałabym egzaminów. Byłam jego dłużniczką.

Dwa miesiące później zaczęłam mieć poranne mdłości.

– Jesteś w ciąży! – zawołał Roger, kiedy zastał mnie pochyloną nad muszlą klozetową.

– Skąd wiesz?

Ostrożnie otarł mi usta kawałkiem papieru toaletowego.

– Poznaję objawy. – Twarz mu promieniała. – Zauważyłem, że urosły ci piersi. – Zmarszczył czoło. – Ale mówiłaś, że nie możesz mieć dzieci.

– Bo nie mogę – jęknęłam.

Ponieważ od tak dawna nie miałam okresu, zakładałam, że nie mogę zajść w ciążę. Byłam z tego zadowolona. Przytłaczała mnie myśl, że mogłabym być odpowiedzialna za życie dziecka. Tymczasem mój najgorszy koszmar – albo jeden z nich – właśnie się ziścił. Jak to się mogło stać?

– Musiała pani zajść w ciążę mniej więcej w tym samym czasie, gdy pani ciało postanowiło przywrócić menstruację – orzekł lekarz.

Widziałam po jego pełnej dezaprobaty minie, że czytał historię mojej choroby. Że wiedział! Roger uparł się, żeby przyjąć ze mną. A jeśli lekarz coś palnie? Z przerażenia dostałam gęsiej skórki.

– Co pani zamierza teraz zrobić? – Lekarz patrzył na mnie z powagą.

Poczułam się, jakbym znowu zrobiła coś strasznego.

– To oczywiście – wtrącił stanowczo Roger. – Pobierzemy się, prawda, Ellie?

Kiedy następnego dnia rano otwieram oczy, przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. I nagle dociera do mnie. Steve. Jaskinia.

Jest mi ciepło dzięki srebrnemu kocowi termicznemu, którym okrył mnie Steve. „Jeden z moich klientów kupił mi dwa, więc mam jeden w zapasie”, powiedział. Mówiąc o klientach, miał na myśli ludzi, którzy wrzucali mu pieniądze do pudełka, bo podobały im się jego rysunki.

Opuszczam nogi na ziemię. Strasznie chce mi się siku.

– Obudziłaś się – słyszę radosny głos. Steve pochyla się nad kuchenką, na której gotuje się woda. – Pewnie chciałaś skorzystać z kibelka.

– Z czego?

– Toalety. – Macha ręką w stronę wejścia do jaskini. – Władze miasta postanowiły zostawić toalety, chociaż jest już po sezonie. To miłe z ich strony. Musisz wejść po schodkach. Zaprowadzić cię?

– Nie, dzięki. Sama znajdę.

Niebo pokrywają różowoszare smugi. Zimne powietrze wypełnia mi płuca, gdy chwytając się poręczy, wchodzę po stromych schodach w stronę znaku TOALETA DAMSKA.

Podmynam się wodą z mydłem. Na szczęście w pojemniku na ścianie zostało trochę wody – w publicznych toaletach bywa z tym różnie. Wycieram się szorstkimi zielonymi ręcznikami papierowymi. Myję też głowę.

Od razu lepiej. Czuję się niemal szczęśliwa.

– Stara głupia babo – mówię do siebie, marszcząc brwi. – Zachowujesz się jak pieprzony podłotek tylko dlatego, że dla odmiany spotkałaś ucciwego faceta.

Wracam do jaskini.

– Jaką lubisz herbatę? – pyta Steve. – Ja piję z odrobiną mleka i kostką cukru. – Podaje mi niebieski cynowy kubek. Widząc, że oplatam go palcami, żeby ogrzać dłonie, mówi: – Proszę. – Zarzuca mi na ramiona srebrny koc termiczny. – Niestety, nie mam zbyt wiele na śniadanie. Ale została mi bułka z jajkiem, którą dostałem wczoraj od kogoś.

To miłe z jego strony. Bułka jest zapakowana. Ja jestem przyzwyczajona do na wpół zjedzonych kanapek, które ktoś wyrzucił.

– A ty? – pytam.

– Dzięki, ale nie jestem głodny.

– Nie gadaj głupot.

Przełamuję bułkę i podaję mu kawałek. Każde z nas zjada połowę.

– No dobra. – Wstaje i zaczyna zbierać swoje rzeczy. – Lepiej już ruszajmy.

Rozczarowanie ciąży mi na sercu niczym kamień. To oczywiste, że teraz każde z nas pójdzie w swoją stronę. Czego się spodziewałam?

– Chcesz iść ze mną? – pyta nagle. – Mogłabyś pomóc mi z pieniędzmi.

Przez chwilę myślę, że chce, żebym pomogła mu kraść. I nagle dociera do mnie, że ma na myśli pieniądze, które dają mu ludzie.

– Przecież wrzucają je do miski, nie?

– Tak. Ale trzeba mieć je na oku. Ja nie zawsze mogę, zwłaszcza gdy rysuję. Poza tym miło byłoby mieć towarzystwo.

Gdzieś tu musi być haczyk.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? Czego chcesz w zamian?

– Niczego, Jo. – Kręci głową. – Po prostu uważam, że świat powinien być lepszy, i jeśli mogę się do tego przyczynić, to czemu nie?

Ten gość jest zbyt dobry, żeby mógł być prawdziwy.

13.40, 17 sierpnia 1984

*W głowie mi szumi i wszystko wydaje się takie śmieszne. To do mnie niepodobne. Może to wina szampana. Ale Peter najwyraźniej też uważa, że to zabawne. Właściwie śmieszny go wszystko, co powiem.*

*– Nie widzę Michaela – mówię, próbując zachować powagę.*

*– Nie martw się. – Śmieje się. – Nie mógł odejść daleko.*

*W pewnej chwili bierze mnie za rękę. Robi to tak jak trzeba – splatając palce z moimi. Wodzi kciukiem po mojej skórze. Jestem taka szczęśliwa, że nie mogę złapać tchu, a zarazem martwię się o mojego braciszka.*

*– Uwielbiam twoje listy – mówi Peter i podnosi do ust moją dłoń. Tym razem nie może być mowy o żadnej pomyłce. – Dużo o tobie myślę, wiesz?*

*– Tak? – pytam.*

*Nie mogę się skupić. Gdzie jest Michael?*

*I nagle go widzę. Błysk czerwieni w hamaku rozpiętym między drzewami, kołyszącym się leniwie z boku na bok.*

*Odpreżam się. Przez jakiś czas będzie zajęty.*

*– Ja też dużo o tobie myślę – mówię nieśmiało.*

*– Chodźmy w jakieś ustronne miejsce – proponuje Peter.*

Dopiero rok po ślubie odkryłam, dlaczego Roger tak chętnie się ze mną ożenił. Nie chodziło o dziecko. Ani nawet o pieniądze – chociaż był zaskoczony, gdy wkrótce po zaręczynach powiedziałam mu o funduszu. Nie. Zrobił to, bo myślał, że uczyni ze mnie kobietę, jaką chciał, żebym była.

Mimo całego uroku i świetnej prezencji Rogerowi brakowało pewności siebie. Wyznał mi, że małżeństwo jego rodziców rozpadło się z powodu licznych romansów ojca. Psycholog uznałby, że to tłumaczyło, dlaczego mój mąż również nie potrafił dochować wierności. Ale za bardzo wybiegam w przyszłość.

Ja również miałam powody, żeby za niego wyjść – oprócz tego, że byłam w ciąży. W dzisiejszych czasach dziewczynom trudno zrozumieć, że wtedy wszystko wyglądało inaczej. Ludzie dopiero zaczynali mieszkąć ze sobą bez ślubu. W niektórych kręgach na dziewczynę z nieślubnym dzieckiem patrzono z góry. Zresztą Roger powiedział, że to zaszkodziłoby jego karierze, gdyby nie wziął ślubu z matką swojego dziecka, zwłaszcza że była nią jedna z jego studentek.

Oczywiście, jeśli postanowię urodzić dziecko.

– Mogłabym usunąć ciążę – wypaliłam.

– Co ty wygadujesz? – Wyglądał na zaszokowanego.

W tamtych czasach aborcja nie była tak powszechna jak dziś.

Nie mogłam powiedzieć mu prawdy.

– Nie czuję się gotowa, żeby być matką – mruknęłam.

– Razem się tym zajmujemy – uspokoił mnie. – Nie chcesz za mnie wyjść?

Małżeństwo? Myślałam, że nigdy mi się to nie przydarzy. I nie chodziło tylko o to, że byłam drobna, nieśmiała i nie tak ładna jak inne dziewczęta. Chodziło o Michaela. Kto po czymś takim chciałby się ze mną ożenić? Ale może Roger wcale nie musiał o niczym wiedzieć? Nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Patrząc z perspektywy czasu, uświadamiam sobie, że dawał mi poczucie bezpieczeństwa, które zaczęłam mieć w Highbridge. Chociaż z początku nie chciałam tam być, ośrodek – łącznik z Corneliusem – zastąpił mi rodzinę.

Podobnie było z uczelnią. Na pierwszym roku wcale nie chciałam tam być. A gdy poznałam Rogera, nie byłam pewna, czy chcę się z nim związać. Tymczasem zarówno uniwersytet, jak i Roger stali się mi tak bliscy, że bałam się ich utracić.

Dlatego przyjęłam oświadczenia. Liczyłam, że może – w końcu – będę miała normalne życie.

– Co powiesz na ślub cywilny? – zapytał.

Uważałam, że im mniej zamieszania, tym lepiej.

– Zgoda – odrzekłam.

– I na pewno nie chcesz zaprosić nikogo ze swojej rodziny? – Próbował mnie wybać.

– Nikogo – zapewniłam.

Chciałam zaprosić Corneliusa, ale to byłoby zbyt ryzykowne. Roger nie mógł się dowiedzieć, gdzie i dlaczego spędziłam lata, w których formuje się osobowość człowieka.

Zaprosiłam więc tylko swoją byłą współlokatorkę i kilka dziewczyn z grupy, które sprawiały wrażenie zaskoczonych. Ale musiałam kogoś zaprosić, inaczej wyglądałoby to podejrzanie. Poza tym chciałam im udowodnić, że jednak nie jestem taka dziwna, jak sądziły. Wśród gości Rogera byli wykładowcy z żonami, a także jego ojciec, którego nie miałam okazji poznać wcześniej. Jego macocha była rzekomo zajęta, ale tak naprawdę pozostawali w separacji.

Mój teść był niskim, przygarbionym człowieczkiem, tak bardzo niepodobnym do syna, że zastanawiałam się, czy w ogóle są spokrewnieni.

– A więc kupujecie dom, tak? – spytał, starając się ukryć zazdrość i ciekawość. – Bardzo ładnie, muszę przyznać.

Po ceremonii udaliśmy się do małego hotelu na lunch. Wcale nie czułam się jak świeżo upieczona żona. Przed wypadkiem, jako młoda dziewczyna, marzyłam o bajkowym ślubie i pięknej sukni księżniczki. Teraz celowo wybrałam luźną, prostą różową sukienkę ze sztruku, przypominającą fartuch, bo chciałam ukryć ciężowy brzuch. Na wierzch narzuciłam wzorzystą haftowaną kurtkę – choć zbyt ciepła na ten słoneczny dzień, również miała ukrywać moje krągłości. Tuż przed ślubem, pod wpływem impulsu, zrobiłam sobie trwałą. Później, kiedy spojrzałam w lustro, widziałam, że kompletnie do mnie nie pasuje, przez co czułam się jeszcze bardziej zakłopotana.

– Kiedy urodzi się dziecko? – spytał ojciec Rogera, gdy zajadaliśmy awokado faszzerowane krewetkami.

Spojrzałam na niego przerażona.

– Óóó – szepnęłam.

Roześmiał się i stał z ust różowy sos.

– Skarbie, i tak wszyscy wiedzą – odparł, wskazując gości siedzących przy stole. Położył mi na rękę spoczną dłoń i ścisnął mocno. – Ale nie martw się! Małżeństwo z musu może się udać, pod warunkiem że młodzi mają dość pieniędzy. – Puścił do mnie oko. – A u was chyba nie ma z tym problemu. – Nagle spoważniał. – Tylko uważaj na...

Urwał.

– Na co mam uważać? – spytałam.

– Na nic, kaczuszko. – Pokręcił głową, ale miałam wrażenie, że chciał ostrzec mnie przed Rogerem. Ogarnęło mnie złe przeczucie.

Nie wiedziałam, że mój mąż ubiegał się o posadę w Oksfordzie, dopóki nie otrzymał listu z informacją, że został przyjęty.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytałam.

Mieliśmy już kupić duży wiktoriański bliźniak w Reading, który bardzo mi się podobał.

Wzruszył ramionami.

– Chyba najpierw chciałem mieć pewność, że mnie zatrudnią.

Zaczynałam rozumieć, że mój mąż panicznie boi się odrzucenia. Współczułam mu z całego serca.

– No i cię zatrudnili. – Objęłam go. – Zasłużyłeś na to.

Rozpromienił się. Powiedziałam dokładnie to, co chciał usłyszeć.

Już w pierwszych miesiącach małżeństwa odkryłam, że to bardzo ważne, jeśli chce, żeby Roger był szczęśliwy. Przy nielicznych okazjach, gdy nie mówiłam tego, co należało, dąsał się i często wracał do domu późno w nocy.

Kiedy pytałam, dlaczego nie zadzwonił, żeby mnie uprzedzić, odpowiadał, że miał w pracy spotkanie, z którego nie mógł wyjść. Albo twierdził, że dzwonił, tylko ja musiałam nie słyszeć. „Gdybyś pracowała, rozumiałabyś”, powtarzał. A przecież sam powiedział, żebym nie szukała pracy, bo „rolą kobiety jest wychowywanie dzieci”. Silniejsza kobieta pewnie by mu się postawiła. Ja jednak chciałam spokoju.

Mimo to kwestionowałam niektóre z jego decyzji.

– Jesteś pewien, że powinniśmy kupować dom, chociaż zaproponowano ci mieszkanie służbowe? – spytałam, tuż zanim podpisaliśmy umowę na kupno uroczego, krytego strzechą domku we wsi na północ od Oksfordu.

Nie był tak przestronny jak wiktoriański bliźniak w Berkshire, który tak bardzo mi się podobał, ale miał długi ogród – zdaniem Rogera, idealny dla dzieci.

Przemawiał protekcyjnie, jakby był wykładowcą, a ja studentką pierwszego roku.

– Tak. Nie chcę, żeby cały czas przeszkadzali nam studenci. Poza tym to nasz pierwszy własny dom. – Twarz mu spochmurniała, jakby nagle przypomniał sobie, że kupujemy go za moje pieniądze. – O co ci chodzi? Nie chcesz, żeby w akcie własności widniało moje nazwisko?

Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Oczywiście, że chcę – odrzekłam pospiesznie. – Rzecz w tym, że będę czuła się tu samotna, sama z dzieckiem. Nikogo tu nie znam.

Przytulił mnie, co nie było łatwe teraz, gdy mój brzuch zrobił się już duży.

– Nie potrzebujemy nikogo oprócz siebie nawzajem – odparł.

Poczułam, że twardnieje, i odepchnęłam go delikatnie. Z Rogerem nigdy nic nie było wiadomo. Czasem był kochający, a czasem chłodny i dziwnie nieobecny.

– Nie teraz – poprosiłam. – Mógłbyś zrobić krzywdę dziecku.

– Bzdura! – Roześmiał się, ale wyczułam jego irytację. – W książkach piszą, że seks w ciąży jest jak najbardziej wskazany.

– Ale ja się boję! – wypaliłam. – A jeśli coś się stanie?

Ku swojemu przerażeniu odkryłam, że jestem bliska hysterii, zupełnie jak w Highbridge.

– Większość kobiet ma matki, z którymi mogą porozmawiać o takich rzeczach – wyszłołam. – Ja nie mam nikogo.

– Ciesz się, uspokój się już. – Poglaskał mnie po głowie. – Jesteś dorosła. Poza tym masz mnie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Ale ja byłam przerażona. Nie nadawałam się do opieki nad dzieckiem. Michael był tego przykładem. A jeśli zachoruje, zgubi się albo... Istniało tyle różnych zagrożeń, że z niepokoju odchodziłam od zmysłów.

Przerażało mnie coś jeszcze. A jeśli urodzi się chłopiec? To nie pozwoli mi zapomnieć o mojej podłości. Jak sobie z tym poradzę?

Strach pęczniał we mnie, aż nie byłam w stanie dłużej go ignorować, i sięgnęłam po kartkę i długopis, żeby napisać list do jedynej osoby, którą naprawdę kochałam. Kogoś, kto – miałam nadzieję – w końcu mi wybaczy.

Zrobiłam to, gdy Rogera nie było w domu, inaczej na pewno dopytywałby się, do kogo piszę. Ale kiedy skończyłam i przeczytałam list, podarłam go na strzępy. Kogo oszukiwałam? Mnie nie można było wybaczyć.



Steve i ja idziemy w „świetne miejsce” niedaleko dworca autobusowego. Siadamy na ławce. Steve otwiera plecak i wyjmuję starą puszkę po ciastkach, z napisem „Słodkości z Kornwalii” na wieczku. W środku są kawałki kredy w każdym możliwym kolorze. Czerwone, niebieskie, zielone, żółte...

Patrzę, jak klęka i zaczyna rysować. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na chodniku pojawia się mała wieża. A zaraz potem klify i morze. Fioletowa piekarnia. I różowy pub.

– Och! – Obok nas zatrzymuje się kobieta z dużym czarnym wilczurem, który sięga jej prawie do kolan.

Kulę się w sobie; coś w tym psie napawa mnie lękiem. Ale staram się tego nie okazywać, gdy kobieta sięga do kieszeni, wyjmując monetę i wrzuca ją do miseczki.

– Dziękuję pięknie – odzywa się Steve. – Naprawdę to doceniam.

Mówi to tak, jakby rzeczywiście był wdzięczny, i dziękuje każdemu, kto mu coś daje. I wiecie co? Myślę, że mówi szczerze. Ale trzeba mu przyznać, że zna się na rzeczy. Jeszcze przed południem miseczka jest pełna.

– Jeśli ludzie widzą, że inni coś dali, czują, że też powinni dać – tłumaczy mi. – Ale pieniędzy nie może być za dużo, bo pomyślą, że ich nie potrzebujesz.

Niezły tok rozumowania.

– W życiu nie widziałam, żeby jakiś żebrak tyle zarobił – mówię z podziwem.

– To dlatego, że ja nie jestem żebrakiem – prostuje Steve i odwraca wzrok. Za późno dociera do mnie, że go uraziłam. – Jestem artystą. Daję ludziom radość. I uczę ich różnych rzeczy.

To prawda. Co kilka minut ktoś przystaje, żeby zapytać Steve’a, od jak dawna tworzy na ulicy, czy zawsze tak pięknie rysował i jak to robi, że wszystko wydaje się takie prawdziwe. A on za każdym razem cierpliwie opowiada o tym, że kiedyś był księgowym, ale porzucił to wszystko. Czasami widzę, że mu zazdroszczą. Słuchają go, jakby nie chcieli odejść. Ma przyjazny, głęboki głos, który zatrzymuje człowieka w miejscu. Mnie również.

– Chciałabym umieć tak rysować – mówię.

– Chcesz spróbować jeszcze raz?

Wkłada mi w dłoń kawałek żółtej kredy, bierze mnie za rękę i prowadzi ją po chodniku. Komuś innemu kazałabym się walić, ale Steve różni się od wszystkich znanych mi mężczyzn.

– To słońce oświetlające wieżę, widzisz?

Rysunek przypomina dziecięce bazgroły. Patrzę na niego i czuję się szczęśliwa, a zarazem smutna.

– Jeśli teraz narysujesz prostokąt z trójkątem u góry i rozetrzesz kredę, o tak, będziesz miała wieżę. Właśnie tak! Chyba masz do tego dryg.

– Daj spokój – pry cham. – Nabijasz się ze mnie.

– Nie mówię niczego, co nie jest prawdą, Jo.

Jest zbyt miły. Instynkt podpowiada mi, że powinnam go zostawić i ruszyć dalej sama. Ale nie mogę. Zupełnie jakbym była przywiązana do niego jakimś niewidzialnym sznurem.

Mniej więcej w połowie dnia robimy sobie krótką przerwę. Steve mówi mi, żebym wzięła trochę pieniędzy z miseczki.

– Kup sobie porządne buty – nalega. – Zasłużyłaś.

Mam wyrzuty sumienia, bo mogłabym wydać na to pieniądze od Amerykanów, ale z jakiegoś powodu nie chcę mu o nich mówić. Może się wstydzę, bo pewnie pomyślały, że nie powinnam być ich brać.

Kupuję adidasy. Różowe z fioletowymi sznurówkami. Dzięki nim czuję się inna. Młodsza. Gotowa na przygodę.

Zanim się obejrzę, jest już wieczór. Kobieta z piekarni przynosi nam kilka ciepłych pasztecików.

– Zostały nam – mówi, ale zwraca się tylko do Steve'a.

Patrzy na mnie jak na najgorszego męta.

– Już cię kiedyś widziałam, co? Kupiłaś ode mnie pasztecik. Teraz trzymacie się razem?

Mam ochotę odburknąć, że to nie jej pieprzony interes.

– Ona uczy się rysować – odpowiada Steve. – Świetnie jej idzie.

Nieczęsto słyszę pochwały na swój temat.

– Jak ci się mieszka w jaskini? – pyta kobieta.

– Radzimy sobie.

My. Przechodzi mnie miły dreszcz. Pałaszuję pasztecik z serem i cebulą. Chyba w życiu nie jadłam niczego tak dobrego.

Kobieta z piekarni rzuca mi kolejne paskudne spojrzenie.

– Robi się chłodno – mówi, nadal mnie ignorując. – Lepiej nie siedź tam za długo. I tak jak mówiłam, musisz uważać, żeby morze nie odcięło ci wyjścia. – Kręci głową. – Rok temu zginął tam jeden facet. Miejscowy. Można by pomyśleć, że wiedział, co robił.

Myślę o ludziach, którzy utonęli, i o tym, że Tim ukradł ich komórki. Nawet Steve wygląda teraz niepewnie. Może nie jest taki cwany, jaki się wydaje.

– Jak chcesz, mam wolny pokój – ciągnie kobieta. – Syn wyjechał na uczelnię, więc możesz tam trochę pomieszkać.

Znowu zwraca się do niego. Nie do mnie.

– To bardzo miło z twojej strony – mówi Steve. Przełyka kęs i dodaje: – Ale nie mogę zostawić na łodzie mojej przyjaciółki.

Mam ochotę powiedzieć mu: „Nie bądź głupi. Dopiero się poznaliśmy”. Ale milczę. Co się, do cholery, ze mną dzieje? Ostatnie, czego mi trzeba, to kolejny facet, który zrujnuje mi życie.

– Ona też mogłaby pójść.

Steve patrzy na mnie.

– Chcesz? – pyta.

– Jasne – rzucam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Wchodzimy po wąskich, krętych schodach na tyłach sklepu. Nawet tutaj mogłabym spać.

Kobieta otwiera drzwi. W pokoju jest dwuosobowe łóżko, komoda i słusznych rozmiarów szafa. Na ścianie wisi plakat – przedstawia dzieciaki grające na gitarach i ładną dziewczynę wrzeszczącą do mikrofonu. U dołu widnieje napis: „Honey Joy”. To pewnie plakat jej syna.

– Tam jest prysznic. – Kobieta wskazuje drzwi z tyłu pokoju. – Trochę tu ciasno, ale wystarczy.

Steve rozkłada ręce w geście podziękowania.

– Jak mogę ci się odwdzieczyć?

„Głupi jesteś? Ona chce ciebie!”, mam ochotę wrzasnąć.

– Może mógłbyś wyremontować to i owo – odpowiada kobieta. – Od śmierci męża nie ma się tym kto zająć.

Taaa, jasne.

– Chętnie – mówi Steve.

– Prześpijcie się. – Kobieta rzuca mi mordercze spojrzenie. – Tylko nie nuć za głośno. Ściany są tu cienkie.

Zamyka za sobą drzwi.

– Podobasz jej się – zauważam.

– Wcale nie. – Śmieje się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– Właśnie że tak!

– Jest po prostu miła. Już ci mówiłem, Jo. Jeśli sprawiasz ludziom radość i jesteś dla nich miły, odwdzięczą ci się tym samym. A przy okazji, nie zwracaj uwagi na ten komentarz o twoim nuceniu. Mnie się to nawet podoba.

Zwykle nawet nie zdaję sobie sprawy, że to robię, więc milczę, żeby nie wyjść na jeszcze większą idiotkę.

Steve patrzy na łóżko.

– Weź je. Ja prześpię się na podłodze.

– To nie w porządku. Ja będę spała na podłodze.

– Moglibyśmy – mówi powoli – spać oddzieleni poduszkami.

– Dobra. – Wzruszam ramionami, udając, że jest mi wszystko jedno.

Tej nocy rzucam się na łóżku, świadoma bliskości Steve’a. Pamiętam ostatni raz, kiedy spałam z mężczyzną. Staram się wyprzeć to wspomnienie, ale ono uparcie powraca.

Budzi mnie wrzask. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja.

– Ćśś. – Steve pochyla się nade mną w ciemnościach. – Już dobrze. Miałś koszmar.

– Co mówiłam?

– Wzywałaś pomocy.

Zamieram ze strachu. Co jeszcze mogłam zdradzić? Milczę jednak i pozwalam, by odsunął poduszki, objął mnie i kołysał jak dziecko – w przód i w tył, w przód i w tył.

– Śpij – szepcze. – Już wszystko dobrze.

Rano wciąż leży obok mnie. Patrzę na jego twarz skąpaną w promieniach słońca, które wlewają się przez okno do pokoju. Łatwiej ocenić człowieka, kiedy śpi. Ma długie rzęsy. Wygląda, jakby niczym się nie przejmował.

Czuję, jak coś we mnie mięknie. Kogo chcesz oszukać? – pytam się w duchu.

Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nigdy mnie nie zapragnie.

13.45, 17 sierpnia 1984

*Jesteśmy w części ogrodu bujnie porośniętej herbacianymi i różowymi różami.*

*– Ależ one piękne – mówię i myślę o tym, jak moja prawdziwa mama dbała o swoje róże.*

*– Nie tak piękne jak ty.*

*Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś podobnego.*

*Peter przyciąga mnie do siebie. Serce wali mi jak szalone. Otacza mnie ramionami. Pachnie przyjemnie mydłem. Jego twarz jest tak blisko mojej. Czy to możliwe? Tak. Zaraz mnie pocałuje!*

*– Ellie? – dobiega mnie głos zza moich pleców. – Peter? Co robicie?*

*W samą porę wysuwam się z jego objęć.*

*Michael stoi obok. Na jego wykrzywionej twarzy maluje się przerażenie i zakłopotanie.*

*– Wyciągałem twojej siostrze muszkę z oka – odpowiada ze stoickim spokojem Peter.*

*Jestem zaskoczona łatwością, z jaką okłamał Michaela, i muszę przyznać, że mi zaimponował. Staram się nie roześmiać.*

*– Mieliście się ze mną bawić – burczy Michael.*

*– Tak – przyznaje Peter. – Tyle że ty uciekłeś.*

*– Wszedłem na hamak, ale spadłem. – Łzy napływają mu do oczu. – Mam siniaka. Patrzcie! Rzeczywiście ma dużego granatowego sińca, choć na szczęście się nie skaleczył.*

*– Nic ci nie będzie – mówię.*

*Peter kiwa głową.*

*– Kiedy uprawiam sport, cały czas robię sobie siniaki. To część bycia mężczyzną.*

*Michael patrzy na niego z nabożnym podziwem.*

*– Rzucisz ją dla mnie? – pyta i podaje Peterowi piłkę.*

*– Jasne. – Peter bierze zamach i wyrzuca piłkę wysoko w powietrze, tak że przelatuje ona nad krzewami róż i opada na trawnik państwa Danielsów. – Szybko – mówi do Michaela. – Idź jej poszukaj.*

*Chwilę później Michael wybiega z ogrodu różanego i znika nam z oczu.*

## 43

### Ellie

Zaczęłam rodzić miesiąc przed terminem. Wszystko przez rozmowę telefoniczną. Kiedy Rogera nie było w domu, zadzwoniłam do Highbridge, żeby powiedzieć Corneliusowi o ślubie i ciąży. Chyba chciałam mu udowodnić, że czuję się lepiej. To był jednak błąd.

– Opowiedziałś mężowi o swojej przeszłości? – zapytał. – Jeśli nie, radzę ci to zrobić. Małżonkowie nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

Czułam jego pełen dezaprobaty ton, zupełnie jakby stał obok mnie i mówił mi to prosto w twarz. Czym prędzej zakończyłam rozmowę.

Ale było za późno. Słowa Corneliusa obudziły wszystkie moje lęki. Wiedziałam, że położna będzie miała wgląd w historię mojej choroby. A jeśli napomknie coś przy Rogerze?

Strużka wody spłynęła mi po nodze. Zaraz potem poczułam w brzuchu bolesny skurcz. I kolejny.

Dowlokłam się do telefonu.

– Przykro mi – odparła sekretarka na wydziale Rogera. – Miał prowadzić dziś zajęcia, ale je odwołał. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

Skurcze były coraz częstsze. Nie tak to miało wyglądać! W szkole rodzenia, do której chodziliśmy z Rogerem we wtorkowe wieczory, prowadząca mówiła, że powinny zaczynać się powoli. Może coś było nie tak. Musiałam się z kimś skontaktować.

Ślaniając się na nogach, podeszłam do drzwi frontowych i zobaczyłam naszą starszą sąsiadkę, Jean, pielącą ogródek. Przynajmniej wtedy uważałam, że ma już swoje lata, a pewnie ledwie skończyła sześćdziesiątkę. Nasze kontakty ograniczały się do niezobowiązującego: „Jak się masz?”. Roger wołał, żebyśmy trzymali się na uboczu.

Teraz nie miałam skrupułów.

– Chyba zaczęłam rodzić! – zawołałam. – Miesiąc przed terminem.

Jean rzuciła łopatkę i w gnieniu oka znalazła się przy mnie.

– Zawiozę cię do szpitala – powiedziała. – Nie ma sensu czekać na karetkę.

Zapakowała mnie do swojego małego niebieskiego forda fiesty i ruszyła z Forest Hill w stronę Radcliffe.

– Masz mamę, do której mogłabym zadzwonić? – zapytała.

Pokręciłam głową. Chciałabym.

– A kogoś innego?

– Tylko męża. Już zostawiłam mu wiadomość. – Krzyknęłam, gdy kolejna fala obezwładniającego bólu przetoczyła się przez moje ciało.

– Na pewno wkrótce tam dotrze.

Ledwie pamiętam, jak dojechałyśmy do szpitala i co wydarzyło się później. Wiem tylko, że leżałam na łóżku, Jean trzymała mnie za rękę, a położna mówiła, żebym nie parla.

– Ale ja muszę! – krzyczałam.

Zupełnie jakbym straciła kontrolę nad własnym ciałem i nad tym, co ono wyprawia.

Instruktorka na kursie rodzenia podkreślała, jak ważny jest poród wolny od wszelkich medykamentów. Dlatego powinnyśmy panować nad oddechem i „odwracać uwagę od bólu”, wyliczając w myślach wszystkie rzeczy, które kupiłyśmy dla dziecka. Ja nie chciałam kupować nosidełek ani wózków i powtarzałam Rogerowi, że mamy jeszcze mnóstwo czasu. Tak naprawdę bałam się, że wcześniejsze zakupy przyniosą pecha.

– Dajcie mi coś na ból – zdołałam wydyszeć.

– Jest za późno na znieczulenie zewnątrzoponowe, moja droga, ale możemy ci podać gaz rozweselający i tlen.

Nałożono mi maskę na nos i usta. Przez minutę miałam wrażenie, że się duszę, ale w końcu zaczęłam się odprężać. Czułam się jak w półśnie, kiedy człowiek widzi i słyszy różne rzeczy. Ja widziałam plażę. Piasek. Chłopca biegnącego skrajem wody. Wchodzącego do niej. Wysokie fale, które go zakryły, tak że straciłam go z oczu.

– NIE! – wrzasnęłam. – Wróć!

– Możesz już przec – powiedziała położna. – Dobra robota. Grzeczna dziewczynka.

– Uratujcie go! – krzyczałam. – Utopi się!

– Już dobrze, Ellie. – Głos pielęgniarki był spokojny i pewny siebie, ale wiedziałam, że to tylko poza. – Znieczulenie i tlen wywołują halucynacje.

Chłopiec wychodził teraz z morza, lecz twarz miał białą. Wiedziałam, że nie żyje. Patrzył na mnie wzrokiem mówiącym: „Jak mogłaś?”.

– Przepraszam, przepraszam – wyszłochałam.

Nagle poczułam na czole dłoń Rogera.

– To ja powinienem przeproszać, skarbie. Właśnie odebrałem twoją wiadomość. Ale już dobrze. Jestem tutaj.

Przyjechał mój mąż?

– Gdzie Jean? – wysapałam.

– Wyszła.

– Jej też coś się stało?

– Oczywiście, że nie. Skup się na dziecku. No dalej, przyj...

– Panie Halls, jeśli pan pozwoli, wołałabym, żeby zostawił pan to mnie. Przyj, Ellie, jeszcze raz i...

Poczułam, jak coś wyslizguje się ze mnie. Wszystko stało się tak szybko, że nie byłam nawet świadoma bólu... przynajmniej nie tak jak wcześniej.

– To dziewczynka! – zawołał Roger. – Mamy córeczkę.

Podziękowałam Bogu, że to nie chłopiec. Ale w sali panowała cisza.

– Siostró? – odezwał się mój mąż dziwnym głosem, którego nigdy u niego nie słyszałam. – Dlaczego ona nie płacze?

Ja jednak wiedziałam dlaczego. Dlatego, że ludzie tacy jak ja zasługują na karę.

Steve się budzi. Udaję, że wcale mu się nie przyglądałam, ale widzę, że nie dał się nabrać.

– Miałś koszmary – mówi i pospiesznie przesuwa się na swoją stronę łóżka. – Nie chcę, żebyś myślała, że próbuję to wykorzystać, ale byłaś taka wystraszona...

– Wiem. Pamiętam.

Patrzy na mnie z troską.

– Często je masz? – pyta.

Myślę o tym, jak krzykami i pojękiwaniami budziłam Tima i grupę Paula.

– Nie – odpowiadam, prosząc w duchu, żeby przestał mnie wypytywać.

– Ja też miewam sny – mówi w zamyśleniu. – Zwykle przesiadam się z pociągu do pociągu. Czytałem kiedyś sennik i wiem, że to zapowiedź czegoś, co ma się wydarzyć. Od czasu do czasu w snach pojawia się też dziecko. To z kolei znaczy, że czeka mnie coś nowego. – Śmieje się. – Zabawne. Zwłaszcza że nigdy nie miałem dziecka. A ty?

Stanowczo kręcę głową.

– Mnie nie śnią się dzieci.

– A chciałaś je mieć... znaczy dziecko?

Czuję, że oddech więźnie mi w gardle.

– Wystarczająco trudno dbać o siebie. – Próbuję zbyć to śmiechem.

– Masz rację. Chociaż czasami zastanawiam się, czy coś mnie nie ominęło.

Steve odwraca się nagle i wstaje. Ma na sobie spodnie dresowe, które włożył wieczorem, gdy wyszedł spod prysznic. Jego pierś porastają brązowe kędzierzawe włosy. Powinno mi się dziwnie, dzieląc pokój z prawie zupełnie obcym mężczyzną, ale tak nie jest.

Odsuwa zasłony i otwiera okno. Dzień jest słoneczny, choć zimny. Na zewnątrz drzewa mienią się złotem, żółcią i brązem – kolorami jesieni. Na ścianach pokoju tańczą plamy słońca. Gdzieś w oddali krzyczy mewa.

– Pięknie, prawda? – pyta łagodnie.

Wychodzę z łóżka. Coś każe mi podejść do Steve'a. Stojąc obok siebie, wyglądamy przez okno. Czuję bijące od niego ciepło, chociaż mnie nie dotyka.

– Lepiej się zbierajmy – mówi i odsuwa się, żeby sięgnąć po plecak. – Trzeba wziąć się do pracy.

Znowu jest mi zimno.

– Nie za wcześnie? – pytam.

Kiedy nie masz zegarka, uczysz się określać czas bez niego. Zakładam, że jest szósta, może szósta trzydzieści.

– Nie. To idealna pora. Turyści wstają wcześniej, a miejscowi są już na nogach i kupują chleb i mleko.

– Nie są zbyt zajęci, żeby zatrzymać się i patrzeć, jak rysujesz?

– Zaczekaj, a zobaczysz! – Chwyta mnie za rękę. Na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech. – Chodź.

Schodzę za nim po schodach, po których właśnie idzie w naszą stronę kobieta z piekarni.

– Pomyślałam, że będziesz chciał to wziąć – mówi i wciska mu w dłoń białą papierową torbę. – To croissant. Jeszcze ciepły.

Czuję jego zapach.

– Wybacz – rzuca chłodno w moją stronę. – Resztę mam dla stałych klientów.

Krowa.

Kiedy idziemy główną ulicą, Steve nalega, żebym wzięła połówkę rogalika. Mówi, że jest takie miejsce, które chciałby zająć, zanim zrobią to inni.

– To są inni artyści uliczni?

– Jeden, może dwóch. Ale nikt nie jest taki jak ja.

Nie chwali się. Po prostu stwierdza fakt.

– Jest też gość, który sprzedaje „Big Issue” – dorzuca. – Całkiem miły.

Omam nie mówię mu, że kiedyś sama je sprzedawałam, ale w porę daję sobie z tym spokój. Im mniej wie, tym lepiej.

Dzień jest ładny, lecz w powietrzu czuje się chłód.

– Cała sztuczka polega na tym, żeby bezustannie poruszać rękami – tłumaczy mi Steve i przykuca. Podaje mi kawałek różowej kredy. – Zamaluj ten róg płyty chodnikowej, dobra?

– Sama?

– Poradzisz sobie.

Rysunek Steve’a zaczyna się od kilku kresek, które pozornie nic nie znaczą. Stopniowo wyrasta z nich rząd domków z małymi okienkami na dachach. Wieża kościoła i pub.

– Nieźle, stary – dobiega z góry czyjś głos. – Jak to robisz?

To młody mężczyzna z gitarą zawieszoną na ramieniu. Rzucam Steve’owi spojrzenie mówiące: „Nie zwracaj sobie nim głowy, jest splukany”, ale on bez końca odpowiada na pytania chłopaka i wyjaśnia mi, jak to się stało, że został ulicznym artystą. A potem ten mówi mi o swoim życiu, o tym, że jest ze Stanów i razem ze swoim zespołem są w trasie. Odchodząc, kładzie na ziemi banknot dwudziestofuntowy.

– Ja pierdzielę – rzucam.

– Wiem. – Steve’owi błyszczą oczy. – Niesamowite spotkanie, co? Gość pochodzi z Chattanooga na Głębokim Południu. Chciałbym tam kiedyś pojechać.

Nie tłumaczę mu, że moje „Ja pierdzielę” odnosiło się do pieniędzy.

Jakiś czas później matka pozwala dzieciakowi wrzucić funciaka do miseczki.

– Ślicznie! – Klaszcze zachwycona, jakby szkrab zrobił naprawdę coś niezwykłego.

Ktoś inny kupuje nam kawę. Gruby facet stoi nad nami i bez końca nawija o „malowaniu”, ale nic nam nie daje.

– To nie w porządku – burczę.



– Mnie to nie przeszkadza. – Steve przysiada na piętach i ocenia proporcje kolejnego szeregu niebiesko-żółtych domków. – Dzięki temu ręce mogą mi odpocząć. – Wręcza mi fioletową kredę. – Może narysujesz morze?

Rysuję faliste linie. W pewnym momencie kreda łamie się na pół. Co ja najlepszego zrobiłam?

– Przepraszam! Przepraszam! – mówię odruchowo i zasłaniam twarz ramieniem.

– Wszystko w porządku? – Steve jest wyraźnie zszokowany. – Ktoś cię kiedyś skrzywdził, Jo?

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc tylko w milczeniu spoglądam na kawałki złamanej kredy.

– Chcesz o tym pogadać?

Kręcę głową.

– Przykro mi. Życie potrafi być okrutne. – Podaje mi kawałek złamanej kredy. – Teraz już wszystko jest dobrze.

13.47, 17 sierpnia 1984

– Chodź tu – mówi Peter i bierze mnie za rękę. Głos ma schrypnięty. – Kiedy przyjechaliśmy, widziałem szopę na drewno. Chodźmy.

Ale zanim zdążymy się ruszyć, do ogrodu różanego wraca biegiem Michael.

– Dobrze rzucasz – mówi.

– Dzięki – odpowiada ponuro Peter i łapie piłkę, którą Michael niezdarnie ciska w jego stronę. – Zobaczmy, czy tak potrafisz.

Kolejny raz wyrzuca piłkę w powietrze.

A Michael znów za nią biegnie.

– Do zobaczenia w szopie! – wołam.

– Po co mu powiedziałaś, dokąd idziemy? – obrusza się Peter.

– Myślałam, że to go zniechęci – tłumaczę. – Moglibyśmy pójść gdzieś indziej.

– Świetny pomysł. – Peter rozgląda się dookoła.

Ogarnia mnie poczucie winy, ale odpycham je od siebie. Ciągle opiekuję się Michaeliem. Zasluguję na chwilę wytchnienia.

## 45

### Ellie

– Dlaczego nasze dziecko nie oddycha?! – zawołał mój mąż.

Ktoś coś powiedział, ale nie usłyszałam co. Leżałam na łóżku, sztywna z przerażenia i świadoma uwijających się obok ludzi. W powietrzu wyczuwało się niepokój.

I wtedy to się stało.

Usłyszałam kwilenie, tak ciche i piskliwe, że rozejrzałam się, wypatrując ptaka, który musiał wlecieć na salę. Chwilę później kwilenie rozbrzmiało znowu, tym razem donośniej. I znowu.

– Nic jej nie jest? – spytał nerwowo mój mąż. – Czy ktoś może nam powiedzieć, co się dzieje?

– Usunęliśmy służ – wyjaśniła położna. – Nic jej nie jest. – Włożyła mi w ramiona małeńkie śliskie ciało.

Zobaczyłam łusą główkę, pomarszczoną czerwoną twarzyczkę i wściekle wykrzywione usta tej istotki, złej, że wyrwano ją z mojego łona i sprowadzono na niepewny, niestabilny świat. Ja też o ciebie nie prosiłam, pomyślałam. Ale kiedy spojrzałam w oczy swojej córeczki, poczułam od wewnątrz dziwne szarpnięcie, któremu towarzyszyło nagle rozpoznanie.

– Wygląda zupełnie jak ty – szepnął Roger, gładząc jej policzek grubym palcem wskazującym.

Był teraz spokojniejszy. Zupełnie inny.

„Nie – chciałam powiedzieć. – Przypomina trochę...”.

Ale nawet w myślach nie potrafiłam wymówić tego imienia.

Wzięłam głęboki oddech, próbując się opanować.

– Jak ty – powiedziałam. – Ma twój nos.

Ostrożnie otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Tak bardzo cię kocham, skarbie. Teraz naprawdę jesteście rodziną.

Kiedy patrzę wstecz, nie wiem, jak sobie poradziliśmy, zwłaszcza że mieszkaliśmy na wsi. Dziś młodym matkom oferuje się tyle pomocy. Mają kluby, do których mogą chodzić, żłobki, w których mogą zostawiać dzieci, żeby same mogły wrócić do pracy, i grupy na WhatsAppie i Facebooku, gdzie mogą szukać porad.

Amy była chorowitym dzieckiem, skłonny do przeziębień. Kiedy zachorowała na krup, przerażał mnie jej szczekliwy suchy kaszel. Byłam wiecznie czujna. Każdy dźwięk, który z siebie wydawała, rozbrzmiewał mi w głowie, sprawiając, że serce waliło mi jak oszalałe.

„Niech pani zagotuje wodę i każe jej wdychać parę”, radziła pielęgniarka środowiskowa. Ale to nie zawsze działało. Nawet gdy była zdrowa, czułam się przytłoczona odpowiedzialnością. „Nie nadaję się

do opieki nad tobą”, szeptałam do Amy, kiedy byłyśmy same. Patrzyła na mnie swoimi niebieskimi oczami, jakby się ze mną zgadzała.

Tymczasem Roger, choć podobnie jak ja nie miał doświadczenia z dziećmi, był bardziej pewny siebie.

– Musisz o tym poczytać – oświadczył, wręczając mi kolejną książkę na temat wychowywania dzieci. Ciągłe kupował takie poradniki. Postukał palcem w okładkę ze zdjęciem szczęśliwych rodziców i ich pociechy. – Wszystko tu jest. To coś jak instrukcja obsługi. Trzeba tylko przeczytać.

Jak na zawołanie Amy zaczęła płakać w moich ramionach.

– Daj mi ją – powiedział Roger. Głos mu złagodniał. Z chęcią oddałam mu Amy. Gdy tylko przytulił ją do piersi, natychmiast ucichła. – Widzisz? – spytał triumfalnie. – Dzieci lubią czuć się bezpiecznie. Wyczuwają nasz niepokój. Odpręż się, Ellie.

Ja jednak nie potrafiłam się odprężyć. I nie mogłam powiedzieć mu, dlaczego tak się dzieje.

Roger szczylił się tym, że potrafi uspokoić, przez co czułam się jeszcze mniej pewna i gdy wychodził do pracy, bałam się, że sobie nie poradzę. Pewnego dnia, kiedy był na uniwersytecie, Amy zaczęła tak bardzo wymiotować, że przerażona pobiegłam do sąsiadki.

– Dzieci często wymiotują, zwłaszcza gdy są najedzone – wyjaśniła łagodnie Jean. Wzięła Amy na rękę, położyła ją sobie na ramieniu i delikatnie poklepała po plecach. – Wygląda na zadowoloną. Zaczekaj kilka godzin. Będiesz wiedziała, kiedy zgłodnieje.

– Jak?

– Zacznie płakać.

– Ale ona ciągle płacze!

Jean objęła mnie.

– Niełatwo być młodą mamą, ale niedługo się przyzwyczaisz. Wszyscy popełniamy błędy.

Czy nie dość ich już popełniłam?

Czułam się lepiej, gdy Jean zaczęła przychodzić regularnie, zwłaszcza że Roger był wiecznie w pracy. Miał zajęcia w przerwie wielkanocnej i w wakacje. Często pomagał zagranicznym studentom albo tym, którzy kończyli pisać prace magisterskie. Spędzał coraz więcej czasu poza domem – i wiedziałam, że wcale nie jest to moje urojenie. Ale wkrótce przestałam się tym przejmować. Kiedy wracał, interesowała go wyłącznie nasza córeczka, dla której niemal kompletnie stracił głowę. Miałam wrażenie, że cieszy się, że to on w głównej mierze decyduje o jej wychowaniu. Nie lubił, gdy mówiłam, że Jean tak samo jak on potrafi ją uspokoić.

– Znowu tu była? – pytał, widząc w zlewie dwa kubki po kawie.

– Lubię jej towarzystwo – odpowiadałam.

– Tylko niech się za bardzo nie spoufala. Nie chcę, żeby jakaś wścibska sąsiadka wiedziała o nas wszystko.

Nie lubił mojej nowej przyjaciółki, zupełnie jakby był o nią zazdrosny. W pewien weekend, kiedy Amy miała trzy miesiące, zdobyłam się na odwagę, żeby mu się postawić.

– Wcale nie jest wścibska, a poza tym nie mam nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać. W okolicy nie ma kobiet z dziećmi w wieku Amy. Nie prowadzę samochodu, połączenia autobusowe są kiepskie, a ty wiecznie jesteś poza domem.

– Dlatego, że zarabiam na utrzymanie rodziny! – Jego podniesiony głos obudził Amy, która spała w nosidelku.

– I zobacz, co narobiłeś.

Już wypowiadając te słowa, zdawałam sobie sprawę, że oboje jesteśmy rozdrażnieni z niewyspania i – w moim przypadku – ze strachu. A gdybym zrobiła coś złego? Na przykład gdybym niechcący ją upuściła? A gdyby przestała oddychać?

– Po prostu się boję – dodałam i wybuchłam płaczem. – Posiadanie dziecka to taka odpowiedzialność. Przepraszam.

Przytulił mnie i zaczął głaskać po plecach.

– Wiem. – Próbował mnie uspokoić. – Rozumiem.

Pocałował mnie. Jego dłonie błędziły po moich piersiach nabrzmiałych od mleka. Zaraz potem zjechały w dół. Odepchnęłam go delikatnie.

– Nie teraz, Roger. Dopiero popołudnie.

– Co to ma do rzeczy? – mruknął i pociągnął mnie na kanapę.

– Amy...

– Zasnęła.

Czułam, jak wzbiera we mnie panika. W ciąży udawało mi się – poza kilkoma wyjątkami – trzymać Rogera na dystans. Powtarzałam mu, że seks może wywołać poronienie albo że jest mi niewygodnie. Ale teraz, trzy miesiące po porodzie, byłam na wizycie kontrolnej u lekarza, który uśmiechając się od ucha do ucha, poinformował mnie, że „jak najbardziej mogę wznowić współżycie”.

Tymczasem ja wcale tego nie chciałam. Byłam zbyt zmęczona opieką nad Amy.

Roger nie odpuszczał.

– Potrzebuję cię. – Głos miał schrypnięty.

Nerwowo zaczął ściągać mi spodnie.

– Proszę, nie – jęknęłam. – Nie jestem gotowa.

– Daj spokój, Ellie. Minęło tyle czasu.

Później, leżąc, pocieszałam się myślą, że taki mężczyzna jak Roger musi zaspokoić swoje potrzeby. Po tym wszystkim, co zrobił, byłam mu to winna.

Przez kilka kolejnych tygodni Roger był dla mnie znacznie miłszy. Powiedział nawet Jean, że nie musi „uciekać”, kiedy pewnego razu wrócił wcześniej do domu i zastał nas przy herbacie, a Jean huśtała Amy na kolanie. Jego powrót kompletnie mnie zaskoczył. Byłam tak zajęta, że nie zdążyłam ukryć kolejnego listu, który zaczęłam pisać rano i który wciąż leżał na stole. Na szczęście złapałam go ukradkiem, gdy Roger rozmawiał z Jean, i wrzuciłam do kominka w pokoju obok. (Chciałam wykorzystać część swoich pieniędzy z funduszu i założyć centralne ogrzewanie, ale Roger uznał, że lepiej będzie je zainwestować).

Patrzyłam, jak ogarnięty płomieniami papier kurczy się i zwija.

Mijają dni. Tygodnie. Trudno to określić, kiedy człowiek jest w drodze. Ale według Steve'a jest już listopad. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuję się bezpieczna. Zadowolona.

Głupia jestem.

– Pogoda nam sprzyja – mówi pewnego ranka Steve, kucając na chodniku i patrząc w bezchmurne niebo.

– Musi być kiepsko, kiedy deszcz zmywa twoją pracę – odpowiadam i otulam się szczelnie brudnym turkusowym polarem.

Może i nie pada, ale jest cholernie zimno.

– Można to też potraktować jako następną okazję, żeby zacząć od nowa, jak będzie sucho – mówi i rysuje morelowaty kształt wschodzącego słońca. – W ulicznej sztuce fajne jest to, że nie musisz za każdym razem płacić za czyste płótno. Zawsze jest jakiś chodnik. A kiedy zjawiają się gliny, odchodzę bez awantury. Czasami oni też chcą porozmawiać o mojej pracy. Nigdy nie oceniam książki po okładce. Oto moje motto.

To niesamowity facet. Nie tylko utalentowany. Zupełnie inaczej patrzy na życie. Jest miły dla każdego, ale nie jest smutasem. Coś mnie do niego przyciąga, choć nie wiem co.

Niedługo potem Cassie (tak przedstawiła się Steve'owi kobieta z piekarni) puka do naszych drzwi. Mówi, że ma problem z rurą ściekową pod zlewem. Pyta, czy mógłby rzucić okiem.

Kiedy Steve wychodzi, biorę majtki i wieszam je na grzejniku. Steve kupił mi polarową piżamę („Mówiłem już, że zasłużyłaś na nią”), którą teraz wkładam i kładę się po mojej stronie łóżka. Przyzwyczaiałam się do naszego układu. Czasami w nocy ocieramy się nogami. Jego dotyk budzi we mnie tęsknotę, której nie czułam od lat.

Przysypiam, ale nagle słyszę z dołu podniesione głosy i dudniące na schodach kroki Steve'a.

– Co się dzieje? – mruczę rozszpana.

– Miałaś rację.

Steve siada obok mnie na łóżku. Zapalił światło i widzę szok malujący się na jego twarzy.

– Cassie się do mnie przystawiała.

Przecieram oczy.

– No jasne. Przecież ci mówiłam. Było oczywiste, że na ciebie leci.

Wygląda na zdenerwowanego.

– Myślałem chyba... to znaczy... po tym, jak zostawiła mnie narzeczona, postanowiłem, że nigdy więcej się nie zakocham. Ale teraz...

– Czyli jednak podoba ci się Cassie? – wyrzucam z siebie.

– Nie. – Steve kręci głową. – Nie rozumiesz, Jo? To ciebie pragnę.

Robi mi się na przemian zimno i gorąco, jakbym płonęła.

– Jestem na to za stara.

Splata palce z moimi.

– To bez znaczenia, choć nie sądzę, żeby była między nami duża różnica wieku.

Jeśli myśli, że powiem mu, ile mam lat, to się myli. Nadal uważam, że im mniej będzie o mnie wiedział, tym lepiej.

– Czuję, że coś nas łączy. – Patrzy prosto na mnie. – I myślę, że ty też to czujesz.

Dlaczego nie potrafię skłamać? Dlatego milczę.

Głodzi mnie po plecach, a ja mam wrażenie, że każda kość w moim ciele płonie. Patrzę mu w oczy, gdy powoli zdejmuje górę mojej piżamy. Chcę tego.

Po wszystkim leżę z głową w zgięciu jego ramienia.

– Jesteś piękna, Jo – mówi rozmarzonym głosem.

– Nie bądź głupi – prychem.

Głaszczesz moją ogoloną głowę.

– Mówię poważnie. Podoba mi się, że jesteś sobą i nie próbujesz nikogo udawać.

– Kiedyś miałam włosy do pasa – mruczę. – Ale tak było prościej.

– Pasuje ci. – Wodzi palcem po mojej kości policzkowej. – Podkreśla rysy twojej twarzy.

Skrępowana, zmieniam temat.

– Cassie się to nie spodoba – rzucam.

– Już wie.

Podpieram się na łokciu. Teraz to ja wodzę palcami po jego brodzie. Kilkundniowy zarost jest szorstki w dotyku. Podoba mi się. Przypominam sobie gładko ogolony policzek, ale szybko odsuwam od siebie to wspomnienie.

– Jak to?

– Dlatego się pokłóciliśmy. Powiedziałem, że interesujesz mnie tylko ty.

Czuję radość, która zdaje się rozsądzać całe moje ciało.

– Jutro z samego rana mamy się wynieść.

Wyskakuję z łóżka.

– Zróbmy to teraz. Wynieśmy się wcześniej.

– I tak myślałem, że powinniśmy pójść do Boscastle.

– Gdzie to jest?

– Kilka kilometrów stąd w górę wybrzeża. – Steve się śmieje.

Przy nim czuję się, jakbyśmy byli zbiegłymi kochankami. Wstaję z łóżka i zaczynam zbierać swój dobytek.

– No to na co czekamy?

Lapiemy autobus. Steve płaci za bilety. Kupił już tyle rzeczy, że jest mi głupio. Ale teraz, gdy ze sobą spaliśmy, sytuacja się zmienia. Kiedy więc siadamy obok siebie z tyłu autobusu jak para nastolatków, mówię mu o pieniądzach, które dostałam od Amerykanów.

– Powinnam była powiedzieć ci wcześniej. Ale...

Urywam, bo nie chcę przyznać, że trzymałam je na czarnej godzinie i wołałam nie wydawać na jedzenie, które on kupował z pieniędzy zarobionych na ulicy.

– Ale co? – pyta.

– Nic.

– Dobra. – Wzrusza ramionami, jakby mu to nie przeszkadzało.

Inni faceci drążyliby dalej.

– Gdzie będziemy spać? – pytam, chcąc zmienić temat.

– Coś znajdziemy. – Zaczyna pogwizdywać i patrzy przez okno na pola i wioskę z jednym tylko sklepem.

– Skąd ta pewność?

– Takie jest życie. Bądź dobry dla ludzi, a ludzie będą dobrzy dla ciebie. Karma wraca.

Znowu ogarnia mnie niepokój. Odwracam głowę i skupiam się na przemykających za oknem polach.

Boscastle to urocza miejscina z mnóstwem herbaciarni i z mostem. Wybieramy chodnik niedaleko brzegu rzeki. Steve zaczyna rysować mapę: most, kościół i inne punkty. Ludzie zatrzymują się, żeby popatrzeć, i jak zawsze zadają mu pytania. W ciągu pierwszej godziny zarabiamy dwadzieścia funtów. W pewnym momencie podchodzi do nas ten gość. Ma koraliki we włosach i dzinsy rozdarte na kolanie. Zaczynam się denerwować, ale widzę, że to Steve go interesuje.

– Prowadzę niedaleko stąd niewielką pracownię artystyczną. Dałbyś radę narysować coś takiego na papierze? Może mógłbym to sprzedać.

– Dzięki, stary. Rysujemy tylko na chodnikach, bo przenosimy się z miejsca na miejsce. Ale dzięki, że spytałeś. Prawda, Jo? – Ścisła mnie za ramię, jakbym była prawdziwą artystką, tak jak on.

Tej nocy śpimy na przystanku autobusowym. We dwoje jest nam cieplej. Gdy się budzimy, znajdujemy na ziemi kilka bananów i dwie butelki wody. Czasami tak jest. Steve ma rację – na świecie są jeszcze dobrzy ludzie.

Moja radość jest jednak przedwczesna, bo oto widzę zbliżającą się policjantkę.

– Musicie stąd iść – mówi, pewna siebie w tym swoim mundurze.

– Dlaczego? – oburzam się. – Przecież nic nie robimy...

Steve kładzie mi rękę na ramieniu.

– Oczywiście, pani władzo – rzuca pospiesznie. – Rozumiemy.

Zbieramy nasze rzeczy – Steve chciał mi kupić plecak zamiast reklamówek, ale się nie zgodziłam – i odchodzimy.

– Podobało mi się tam – mówię.

– Mnie też. Ale musimy znaleźć inne miejsce. Równie dobrze możemy wsiąść do pierwszego lepszego autobusu i zobaczyć, gdzie nas zawiezie.

Chwilę później zauważamy gościa w podartych dzinsach, który spaceruje z psem.

– Już wyjeżdżacie? – pyta.

Steve wzrusza ramionami.

– Kazali nam się wynosić.

– Smakowało wam śniadanie?

– To ty zostawiłaś nam banany? – Steve kręci głową. – Dzięki, stary. To naprawdę miłe z twojej strony.



Gość zastanawia się przez chwilę.

– Może popilnowalibyście mojej pracowni? Muszę wyjechać na miesiąc i nie chcę, żeby stała pusta. Możecie tam pracować i sprzedawać swoje prace. Mam materiały, których będziecie mogli używać. – Zerkna na mnie. – Na tyłach jest mała sypialnia. Ty i twoja dziewczyna moglibyście tam spać, gdybyście zajęli się sklepem.

Na dźwięk słowa „dziewczyna” robi mi się przyjemnie ciepło.

– Przecież nas nie znasz – zauważa Steve.

– Potrafię rozpoznać uczciwych ludzi. Poza tym lubię pomagać artystom, no i... mam brata, który żyje podobnie jak wy. – Po jego twarzy przemyka cień smutku. – Wyświadczycie mi przysługę, bo dzięki temu nie musiałbym zamykać interesu.

– Skoro tak – mówi Steve – chętnie pomożemy. Prawda, Jo?

Wszystko wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Wkrótce nadchodzi grudzień. W miasteczku porozwieszano świąteczne światła i wyczuwa się radosne podniecenie. Ludzie kupują szkice Steve'a na prezenty. Udekorowaliśmy sklep lametą. Udaję, że to my jesteśmy jego właścicielami, i ośmielam się być szczęśliwa.

– Zrób sobie wolne – mówi pewnego ranka Steve. – Pozwiedzaj okolice.

Od dawna chciałam pójść do miejscowego muzeum magii. Coś mnie tam ciągnie.

Kupuję bilet z pieniędzy, które dał mi Steve, lecz gdy tylko wchodzę do środka, czuję się nieswojo. Czasy się zmieniły, powtarzam sobie, kiedy czytam o kobietach, które zanurzano w wodzie tak długo, aż się utopiły, tylko dlatego, że leczyły ludzi ziołami.

Po wyjściu siadam na ławce, żeby pomyśleć, zanim wrócę do pracowni. Ktoś zostawił gazetę, która teraz łopocze na wietrze. Kolejny podmuch odwraca kartkę i wtedy to widzę. *Nadal trwają poszukiwania...*

Pod spodem jest zdjęcie kobiety i mężczyzny. Nie są ani starzy, ani młodzi. On obejmuje ją ramieniem, jakby chciał na zawsze zatrzymać ją przy sobie. Ona ma przyklejony do twarzy sztuczny uśmiech osoby, która udaje szczęśliwą.

Próbuję przeczytać słowa, ale tańczą mi przed oczami. Ogarnia mnie chłód.

Pospiesznie wracam do pracowni. Serce wali mi jak szalone. Steve rysuje węglem.

– To miła odmiana od kredy – mówi.

Podnosi wzrok i posyła mi ciepły uśmiech. Nie mogę znieść widoku tej dobrotliwej twarzy. Biegnę na górę, zbieram swoje rzeczy i pakuję do reklamówek.

– Dokąd idziesz? – pyta, kiedy wracam na dół.

– Odchodzę. – Chcę, żeby zabrzmiało to stanowczo.

– Dlaczego? – Węgiel wypada mu z ręki.

Nie mogę powiedzieć mu prawdy: że mam to paskudne przecucie, że muszę go zostawić, chociaż sama nie wiem dlaczego. Nagle przypominam sobie, jak opowiedział mi o swojej narzeczonej, która nazwała go nudziarzem, i o tym, jak bardzo go to zraniło.

Zagryzam wargi.

– Przepraszam, Steve. Ale chyba jednak nie jesteśmy sobie pisani. Jesteś... nudny. Ja potrzebuję wrażeń.

Patrzy na mnie, jakbym właśnie wyrwała mu serce.

– Ale... myślałem, że jest nam razem dobrze.

– Myliłeś się – rzucam i wymijam go. – A tak nawiasem mówiąc, te twoje uliczne rysunki są do niczego.

Pokazałam, jaka jestem naprawdę. Chce mi się płakać, ale tylko zaciskam zęby i wychodzę.

13.50, 17 sierpnia 1984

Michael wraca z piłką, zanim zdążymy znaleźć jakieś zaciszne miejsce.

– Jeszcze, jeszcze – prosi.

Widzę, że Peter ma go dość, tak samo jak ja.

– Nie możemy odprowadzić go do rodziców? – pyta po tym, jak kolejny raz rzuca piłkę w drugi koniec ogrodu.

Jest coraz gorzej.

– Sheila powiedziała, że mam się nim opiekować.

– To nie w porządku. Traktuje cię jak Kopciuszka, jakbyś była jej służącą.

– Wiem. Ale co mam zrobić?

Uradowany Michael biegnie w naszą stronę.

– Jeszcze raz – domaga się.

Peter podnosi rękę i łapie piłkę. Ma koszulę z krótkimi rękawami, więc widzę jego naprężone mięśnie. Czuję przyjemny dreszczyk na myśl o tym, że tak przystojny chłopak interesuje się taką szarą myszką jak ja.

– W końcu się znudzi – mówi Peter.

Kręcę głową.

– Raczej nie. Mógłby tak bez końca.

Peter jęczy.

– Dobra, rzucę mu jeszcze kilka razy, a potem zaprowadzimy go do domu i powiemy, że jest zmęczony. Twój ojciec i macocha będą musieli się z tym pogodzić. Później wrócimy do ogrodu i poszukamy jakiegoś ustronnego miejsca.

Bierze mnie za rękę.

– Od tak dawna marzę, żeby cię pocałować.

– Ja też – szepczę.

Uśmiecha się.

– Już niedługo.

## 47

### Ellie

Kilka tygodni później zaczęłam mieć mdłości. Może to przez rybę, którą zrobiłam wczoraj wieczorem? Ale Roger, który przecież jadł to samo, czuł się doskonale. Następnego dnia znów było mi niedobrze. W ustach miałam metaliczny posmak. Wszystko to wydawało się bardzo znajome.

– Musisz iść do lekarza – powiedział Roger, ale ja wiedziałam już, co usłyszę.

Tym razem poszłam do młodego lekarza pierwszego kontaktu, który niedawno zaczął pracę w przychodni. Jeśli czytał historię mojej choroby, nie okazał dezaprobaty. Może nie miał czasu przeczytać.

– Myślałam, że w okresie laktacji nie mogę zająć w ciążę – powiedziałam.

– Przesady – mruknął. – To nic. Dobrze jest mieć jedno dziecko po drugim. Z moją żoną było podobnie. Człowiek robi wszystko za jednym zamachem. – Uśmiechnął się. – No, chyba że zaraz potem ma się trzecie.

Byłam przerażona. Ledwie radziłam sobie z jednym dzieckiem, a co dopiero z dwójką. Już teraz z trudem udawało mi się omijać linie na chodniku, gdy pchałam przed sobą wózek. Byłam kłębkim nerwów. Czekałam. Obserwowałam. Czułam, że wkrótce znowu wydarzy się coś złego. Zawsze tak było.

Kilka miesięcy później mój rozejm z mężem dobiegł końca. Miałam coraz większy brzuch i gdy Roger próbował dotykać mnie w łóżku, mówiłam mu, że jestem zbyt zmęczona. Jakby tego było mało, Amy kiepsko spała i przez jej wieczny płacz Roger zrobił się opryskliwy. „Muszę odpocząć, skoro rano mam iść do pracy”, powtarzał. Dlatego czasami nocował w hotelu asystenckim. Kiedy wypominałam mu, że zostawia mnie bez pomocy i że wolałabym, żeby jednak był w domu, złościł się i pytał, czego jeszcze od niego oczekuję.

Pewnego razu, siedząc na ławce, musiałam przysnąć. Nagle coś mnie zbudziło. Przez moment nie wiedziałam nigdzie Amy. Ogarnęła mnie panika. Dopiero po chwili przypominałam sobie, że postawiłam wózek z boku, a nie przed sobą, jak robiłam to zwykle. Ale przecież ktoś mógł ją zabrać, kiedy ja spałam. Jak mogłam być taka nieodpowiedzialna?

Po tym zajściu nie spuszczałam naszej córki z oka. Zaczęło mi nawet przeszkadzać, kiedy Jean ją nosiła. Kazałam Rogerowi myć ręce, zanim ją podniesie. Sama miałam czerwone ręce od ciągłego mycia. Godzinami przygotowywałam dla niej jedzenie, które następnie wyrzucałam, bo nie było dość czyste. Zaczęłam kupować posiłki w słoiczkach, ale znowu się denerwowałam. A jeśli podczas produkcji zostały czymś zakażone? Ku swojemu przerażeniu uświadomiłam sobie, że zachowuję się jak Sheila, kiedy Michael był mały. Może powinnam wtedy okazywać jej większą wyrozumiałość?

„Musisz trochę wyluzować”, powtarzał Roger.

Ale nie potrafiłam. We wszystkim widziałam potencjalne zagrożenie. A co do dziecka, które rosło w moim brzuchu, byłam przekonana, że wyczerpałam limit szczęścia. Miałam jedno zdrowe dziecko. Jak mogłam liczyć, że z drugim będzie tak samo?

Pewnego dnia, kiedy wyjmowałam rzeczy z pralki, usłyszałam pukanie do drzwi. Amy płakała, próbując zwrócić na siebie moją uwagę. Wzięłam ją na ręce i pozwalając, by małymi piąstkami okładała mnie po piersi, poszłam otworzyć.

To była Jean.

Wrzaski Amy przybrały na sile.

– Wybacz, ale to nie najlepszy czas. Możemy porozmawiać później?

– Jesteś sama? – spytała, zaglądając ponad moim ramieniem w głąb domu.

– Tak. Czemu pytasz?

Zignorowała moje pytanie.

– Musisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia – odparła ze spokojem.

Serce podeszło mi do gardła. Jakims sposobem dowiedziała się o mojej przeszłości. Teraz powie o wszystkim Rogerowi. A on odbierze mi Amy...

– Długo o tym myślałam – zaczęła. – Wahałam się, czy ci powiedzieć, ale postanowiłam, że to zrobię. – Zakłopotana, przestąpiła z nogi na nogę. – Jakiś czas temu pojechałam z koleżankami z klubu na jednodniowy wypad do Chipping Norton. Był tam Roger. Nie sądzę, żeby mnie widział. Chodzi o to, Ellie...

Głos jej zadrżał.

– Mów dalej – ponagliłam ją.

Nie tego się spodziewałam.

– Siedział w samochodzie przed pubem. I całował się z jakąś młodą dziewczyną.

Tego wieczoru Roger wrócił do domu o dziewiątej. Znowu „uczył do późna”. Przez ostatnie kilka godzin chodziłam jak na autopilocie.

– Nie – rzuciłam gwałtownie do Jean, jakbym winiła ją za wszystko.

Nie musiała ze mną zostawać. Sama to załatwię.

– Wiesz, niektórzy ignorują takie rzeczy – powiedziała. – Nasze pokolenie często przymyka oko na te sprawy.

Więc po co mi mówiła? Wolałabym nie wiedzieć. Niewiedza bywa błogosławieństwem. Przynajmniej byłaby nim dla mnie.

Do powrotu Rogera krążyłam po domu, rozważając wszelkie możliwe opcje. Byłam prawie pewna, że powinnam pójść za radą Jean i „przyknąć oko” – ale gdy wrócił Roger, zobaczyłam jego twarz. Nawet na mnie nie spojrział. Minął mnie i poszedł prosto do kuchni.

– Widzę, że znowu nie ma kolacji – zauważył.

W innych okolicznościach przeproszałabym go. Odkąd Amy zaczęła być bardziej ruchliwa, zdarzało się, że nie przygotowałam kolacji, bo musiałam za nią biegać. Poza tym druga ciąża była bardziej męcząca – dziecko często kopało i miałam wrażenie, że wysysa ze mnie całą energię.

Ale tego wieczoru ton głosu mojego męża coś we mnie obudził.

– Jean cię widziała – wypaliłam. – W Chipping Norton. Byłeś z kobietą.

Zamarł.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

Poczułam ulgę. Zatem Jean się myliła.

Zrobiło mi się gorąco, krew uderzyła mi do głowy.

– Powiedziała, że ty i ta kobieta całowaliście się w samochodzie.

– A niby kiedy miałbym znaleźć na to czas? – Zbliżył twarz do mojej. Był wściekły. – Nie robię nic innego, tylko pracuję, żeby utrzymać rodzinę i dom.

Powstrzymałam się od komentarza, że dom kupiliśmy za moje pieniądze.

– Proszę, Roger. – Wbrew moim intencjom zabrzmiało to bardziej ze skruchą niż oskarżycielsko. – Po prostu powiedz. Masz romans?

– Nie. Nie mam. Zresztą nawet gdybym miał, chyba nikt by mi się nie dziwił. Moja żona kompletnie nie ma ochoty na seks, prawda? Mam żyć jak pieprzony mnich?

Próbowałam go objąć, ale odepchnął moją rękę.

– Nie chcę bliskości z kobietą, która mi nie wierzy. A jeśli chodzi o naszą wścibską sąsiadkę, która najwyraźniej powinna pójść do okulisty, nie chcę, żebyś więcej się z nią widywała.

Teraz wydaje się to dziwne, że mąż mógł zakazać żonie robienia czegokolwiek. Ale niektórzy mężczyźni, tacy jak Roger, wciąż mieli w pamięci zachowania swoich ojców i dziadków.

Mogłam się z nim wyklócać, ale nie chciałam go denerwować. Może jakaś część mnie wolała żyć w niewiedzy. Tak było prościej, niż zmagać się z rozpadem małżeństwa.

Dlatego wzorem posłusznej żony zrobiłam, co mi kazał. Kiedy Jean wpadała z wizytą, mówiłam, że jestem zajęta. Po kilku takich sytuacjach wyczytałam z jej twarzy, że zrozumiała. Tymczasem Roger zaczął wracać do domu wcześniej. Nie miał już „wieczornych zajęć”. Zmuszałam się do seksu, chociaż nie czułam się z tym dobrze i traktowałam zbliżenia jak coś, co należy znieść, zamiast się tym cieszyć.

Miesiąc później przyszedł na świat nasz synek, Luke. Poród odbył się bez żadnych komplikacji.

– Mają państwo parkę – skomentowały pielęgniarki, gdy Roger przyszedł do szpitala z uradowaną, podekscytowaną Amy. – To dopiero szczęście.

Szczęście? Żartowały sobie ze mnie? Na widok zadartego noska Luke’a i jego niebieskich oczu ścisnęło mnie w żołądku. Podobieństwo do Michaela było zdumiewające. Za każdym razem, gdy na niego patrzyłam, widziałam oskarżenie malujące się na jego drobnej buźce. „Jesteś złą matką”, zdawał się mówić, chciwie chwytając dziąsłami moje popękane sutki, aż krzywiłam się z bólu.

– Proszę – powiedziała położna. – Niech pani użyje tego kremu. Pomoże.

Ale nic nie było w stanie uspokoić mojego sumienia. Dobroczynne skutki terapii w Highbridge przestawały działać.

– Mleko matki jest najlepsze – orzekł Roger, gdy oświadczyłam, że nie będę dłużej karmiła piersią. – Mówiłaś, że po Amy postarasz się bardziej.

Chciałam mu powiedzieć, że to nie jest kwestia „starania się bardziej”. Wiedziałam jednak, że nie zrozumie. Skłamałam więc i odparłam, że pielęgniarka środowiskowa stwierdziła, że Luke za wolno przybiera na wadze i lepiej będzie, jeśli przejdzie na mleko modyfikowane. Tak naprawdę uważałam, że moje mleko nie jest dla niego wystarczająco dobre. Bo i jak mogłoby być po tym, co zrobiłam? Godzinami sterylizowałam butelki, po czym robiłam to ponownie, żeby zabić ukryte zarazki. „Nie musisz tego robić”, sarkał z irytacją Roger.

Ale ja musiałam. Powodowana poczuciem winy i niepokojem, napisałam kolejny list. Lecz tym razem zamiast go podrzeć albo spalić, wrzuciłam go do skrzynki na końcu ulicy. Miałam wrażenie, że

z głuchym łoskotem spadł na inne listy.

Dopiero później okazało się, że otworzyłam puszkę Pandory.

Nie mogę przestać myśleć o Stevie. Dlatego robię jedyną rozsądną rzecz i idę przed siebie. Z każdym krokiem staram się wybić go sobie z głowy. Powtarzam sobie, że i tak nic by z tego nie wyszło. Że postąpiłam właściwie. Że nie zasługuję na niego. I nigdy nie zasługiwałam.

Docieram na skraj miasteczka i idę przez duży parking dla turystów. Muszę znaleźć przystanek autobusowy – albo złapać okazję – i wyjechać stąd jak najdalej. Nie chcę znowu wpaść na Steve’a. Jeszcze raz oglądam się za siebie, żeby zobaczyć, czy nikt mnie nie śledzi.

– Chodźcie, panie – słyszę jakiś głos.

To młody człowiek, który zagania grupę kobiet do niebiesko-srebrnego autokaru z tabliczką z przodu. WYCIECZKA NA ZAKUPY ŚWIĄTECZNE DO PLYMOUTH.

Staram się go wyminąć, ale jego ręka dotyka mojego ramienia.

– Joyce, skarbie, tędy. Chodź. Jesteś spóźniona.

Najwyraźniej z kimś mnie pomylił i teraz popycha mnie w stronę wejścia.

– To jakaś pomyłka... – zaczynam, ale w tej samej chwili autokar rusza.

Pozostałe pasażerki rozmawiają ze sobą. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, kiedy zajmuję jedyne wolne miejsce na samym końcu. Zaraz wszystko się wyda. Ale im dłużej będę tu siedziała, tym bardziej oddalę się od Steve’a. Zamykam oczy i udaję, że śpię. Kilka łez spływa mi po twarzy. Chcąc je ukryć, odwracam się w stronę okna. Staram się nie myśleć o Stevie. Po chwili zmęczenie bierze nade mną górę.

Budzę się, czując, że ktoś potrząsa mnie za ramię.

– Kim pani jest?

To kobieta o ostrych rysach twarzy. Uświadamiam sobie, że autobus się zatrzymał. Jesteśmy na dużym parkingu. Na zewnątrz widzę szyld z napisem: ZAJAZD JAMAJSKI.

– Kim pani jest? – powtarza. – Nie jest pani jedną z nas.

Przeciągam się i prostuję obolałe plecy.

– To nie moja wina – mówię. Czuję pulsujący ból zęba, który pojawił się znikąd. – Tamten człowiek kazał mi wsiąść.

– Jest beznadziejny. – Kobieta przewraca oczami. – Będę musiała to zgłosić, kiedy wrócimy.

– Ale gdzie jest Joyce? – pyta płaczącym głosem inna kobieta.

Patrzę na mnie, jakbym coś jej zrobiła. Zaczynam się bać.

– Przecież powiedziałam. Wsiadłam, bo on mi kazał.

W autobusie robi się zgłęb. Kobiety siedzące z przodu odwracają się w moją stronę. Młody mężczyzna idzie ku nam między siedzeniami.



– Co się dzieje? – pyta.

– Ta pani mówi, że kazałeś jej wsiąść. Ale nie należy do naszej grupy.

– Świetnie. Tylko tego było mi trzeba. – Facet piorunuje mnie wzrokiem. – Czemu pani nie mówiła?

– Próbowałam, ale...

– No to gdzie jest Joyce? – wtrąca któraś z kobiet.

– Zadzwoń do niej – odzywa się inny, nieco schrypnięty głos.

– A co z nią? – pyta kobieta, która mnie obudziła. Mierzy we mnie lśniącym czerwonym paznokciem. – Będziesz musiał ją wyrzucić. To nie w porządku. My zapłaciłyśmy, ona nie.

– To głupie – warczę. – Ten facet powiedział, że mam wsiadać. Nie możecie kazać mi płacić za coś, na co się nie pisałam.

– Rozmawiam z Joyce! – krzyczy schrypnięty głos. – Mówi, że spóźniła się tylko dziesięć minut, ale nie zaczekałymi na nią.

Tu i ówdzie słyszę ściszone głosy, że „dobrze jej tak, skoro nie raczyła być punktualnie” i że „ma nauczkę na przyszłość”.

– Jestem głodna – mówi siedząca przede mną drobna kobieta o jasnożółtych włosach. – Nie możemy załatwić tego przy jakimś posiłku? Na ulotce było napisane: „Przystanek na lunch w Zajeździe Jamajskim”.

– A co z nią? – syczy inny głos.

Młody mężczyzna mówi coś szybko do telefonu. Najwyraźniej zbiera cięgi, bo w kółko przeprosza.

– Zwolnią go za to – komentuje któraś z kobiet. – I dobrze.

Prawie mi go żal.

– Zostanie pani z nami, aż dotrzemy do Plymouth – zwraca się do mnie mężczyzna.

– Mam nadzieję, że każesz zapłacić jej za posiłek – wtrąca jakaś kobieta.

– Na litość boską – rzuca ta z żółtymi włosami. – Przecież widać, że nie ma pieniędzy. Może zjeść lunch Joyce, prawda?

Nikt się do mnie nie odzywa, gdy siedzimy przy dużym stole zarezerwowanym dla grupy. Mnie to nie przeszkadza. Naciągam mocniej beret – mimo że jesteśmy w pomieszczeniu – i skupiam się na stosie jedzenia, które nałożyłam sobie na talerz. Boże, ależ ono dobre, chociaż ból zęba przybiera na sile.

Idę do toalety. To zawsze prawdziwa frajda usiąść na normalnym sedesie. Mają tu dobry papier. Miękkki. Chowam trochę do reklamówki, ale myślę o Stevie i odkładam go na miejsce.

Wracam z innymi na parking. Przenikliwy wiatr rzuca się na mnie. Mijamy srebrne volvo. Siedząca w nim para chyba się kłóci. Na tylnym siedzeniu chłopiec przyciska nos do szyby i gapi się na mnie.

Odwracam wzrok. Im szybciej wejść do autobusu, tym lepiej.

Kulę się na fotelu, udając, że mnie nie ma. Jestem w tym naprawdę dobra. Wiejska droga kończy się i przejeżdżamy przez duży most. Mijamy ulice i domy, a potem znak z napisem: WITAMY W PLYMOUTH. Mają tu przystań i duże centrum handlowe. Jeśli przed zamknięciem zdołam się gdzieś ukryć, może będę mogła tam przekażać noc.

Kilka minut później autokar zatrzymuje się na parkingu. Drzwi się otwierają.

– Drogie panie, proszę zaczekać – mówi młody mężczyzna. – Muszę przekazać wam informacje o tym, gdzie się spotkamy.

– Dokąd pani pójdzie? – pyta żółtowołosa.

Wzruszam ramionami.

– Jeśli mi się poszczęści, gdzieś, gdzie jest ciepło i sucho.

– Wszystko w porządku? – Patrzy na mnie zaciekawiona.

Jej nagła życzliwość rozwiązuje mi język.

– Niezupełnie. Nie wiem, gdzie dziś będę spała.

Chociaż mam pieniądze od Amerykanów, coś mi mówi, że powinnam zatrzymać je na naprawde czarną godzinę. Jeśli to dobrze rozegram, może znajdę coś za darmo.

Kobieta wygląda na zszokowaną.

– To straszne. Używam tylko karty płatniczej, ale proszę, niech pani weźmie to.

Rozpina bransoletkę zegarka i daje mi go.

– Kosztował ponad dwieście funtów. Mogłaby go pani sprzedać.

Tego kompletnie się nie spodziewałam.

– Dlaczego pani to robi? – pytam.

Żółtowośła wzrusza ramionami.

– Proszę mi wierzyć albo nie, ale wiem, jak to jest, kiedy szczęście odwraca się od człowieka. Zanim drugi raz wyszłam za mąż, byłam biedna jak mysz kościelna. – Zerka na zegarek. – To on mi go dał.

– Nie chce go pani zatrzymać?

Kobieta kręci głową.

– Rozwiodłam się. Prawdę powiedziawszy, biorąc ten zegarek, wyświadczy mi pani przysługę. I tak miałam się go pozbyć, żeby uwolnić się od wspomnień. A teraz niech pani już idzie. I powodzenia.

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać.

14.00, 17 sierpnia 1984

– Musisz być głodny – mówi Peter, kiedy Michael wraca do nas biegiem, jak uradowany szczeniak. – Może pójdziemy do domu i znajdziemy twoich rodziców, żeby dali ci coś do jedzenia?

Ale Michael ani myśli wracać.

– Nie. Chcę zostać tu, z wami.

Peter wygląda na naprawdę wkurzonego. Jeszcze chwila, myślę, i sam wróci do domu. A jeśli zaczniesz rozmawiać z moją dawną przyjaciółką, Christine, która też przyszła tu z rodzicami? Może polubić ją bardziej ode mnie. Czuję, jak moja ekscytacja słabnie. Co powiedzą dziewczyny w szkole, jeśli Peter przestanie się mną interesować? I nagle wpadam na pomysł.

– Chwileczkę – rzucam pospiesznie. – A może pobawimy się w chowanego?

W oczach Michaela pojawia się błysk.

– Uwielbiam bawić się w chowanego! – mówi i wskazuje na Petera. – Ty chowasz się pierwszy.

– Zgoda. – Peter puszcza do mnie oko. – Ale wszyscy po kolei będą się chować.

– Policzymy do pięćdziesięciu, prawda, Ellie?

– Jest tylko jedna zasada – dodaję. – Nie można chować się w zagajniku. Za dużo tam drzew i ktoś mógłby się zgubić.

Zerkam na Petera, który sprawia wrażenie, jakby czytał mi w myślach. Zagajnik to dla nas idealna kryjówka, pod warunkiem że Michael tam nie pójdzie. Kiwa głową, wyraźnie zadowolony z mojego pomysłu. Przechodzi mnie dreszcz.

– Dobrze – zgadza się Michael. – Chodź, Ellie. Musimy policzyć, żeby Peter zdążył się ukryć. – Bierze mnie za rękę, skórę ma ciepłą. – Raz, dwa...

Z okna swojej celi widzę małą zjeżdżalnię i kilka huśtawek dla dzieci, które przychodzą tu, żeby nie stracić kontaktu z którymś z rodziców, dziadków, kimś z rodziny albo przyjaciół. Patrząc na nie, czuję, jak pęka mi serce, bo przypominam sobie, jak zabierałam własne dzieci na miejscowy plac zabaw. Zaprzyjaźniłam się z młodą matką, która przeprowadziła się tutaj na wieś. Jej dzieci były niemal w tym samym wieku co Amy i Luke. Siedziałyśmy i patrzyłyśmy, jak bawią się na rdzewiejących huśtawkach i zjeżdżalni. Gdy jakiś czas później zaczęła zadawać zbyt wiele pytań, przestałam się z nią widywać.

Nie nawiązałam relacji z żadną inną mamą. Mieszkaliśmy w małej społeczności, gdzie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Moje nowe znajome miały matki, które chętnie opiekowały się wnuczętami i udzielały córkom cennych rad. I te młode kobiety wydawały się dużo pewniejsze siebie niż ja.

Chcąc się wpasować, dołączyłam do Instytutu Kobiet, ale poszłam tylko na jedno spotkanie, bo odbywały się wieczorami, a Roger chciał, żebym była wtedy z nim w domu. Kiedy zaproszono mnie na coroczną wycieczkę do Woodstock, mój mąż nie krył oburzenia.

– A co z dziećmi? – zapytał.

Wolałam nie przypominać mu, że siedzę z nimi dzień w dzień, a on zwykle wraca do domu późno.

Przez większość dnia starałam się wymyślić coś, co spodoba się dzieciom. Próbowалаm zainteresować je kwiatami, tak jak mnie zainteresowała moja mama, ale kiedy zobaczyłam, że Amy próbuje zjeść mlecz, który pomagałam jej włożyć między stronicę książki, spanikowałam. Według notatek mojej mamy, spisanych ozdobnym pismem w jej zielniku, mlecz mogły być trujące. Dlatego kwiatki się skończyły. Zamiast tego chodziliśmy na długie spacery albo do objazdowej biblioteki, która odwiedzała naszą wioskę dwa razy w miesiącu.

Czasami jechaliśmy autobusem do Oksfordu, do muzeum Ashmolean. Uwielbiałam je, ale dzieci szybko się nudziły.

Od czasu do czasu rozmawiałam przez płot z Jean, lecz na tym się kończyło. Tęskniłam za jej towarzystwem, nie chciałam jednak denerwować Rogera.

Musiałam tylko przygotować się na noc, kiedy jego ręce zaczynały błędzić po moim ciele. Po wszystkim był dla mnie miły, chyba że przeholował z alkoholem. Wtedy robił się sarkastyczny i okrutny.

– Nie lubisz seksu, co, Ellie? Co z tobą?

– Nic – bąkałam, a on śmiał się paskudnie.

– Od początku wiedziałem, że jesteś naiwna, ale nie sprawiałaś wrażenia oziębłej.

Krzywiłam się z bólu. Może gdybym wyznała mu prawdę, zrozumiałby mnie. Ale za bardzo się bałam. I tak trwaliśmy dalej.

Pewnego dnia mój mąż oświadczył, że zapisał się do klubu squasha na uczelni. Kiedyś wrócił do domu w koszuli włożonej na lewą stronę.

– Po grze skoczyłem pod prysznic – wyjaśnił. – Musiałem nie zwrócić uwagi.

Brzmiało prawdopodobnie, a jednak...

Kiedy indziej, gdy siedzieliśmy na kanapie i oglądaliśmy film, bo dzieci (o dziwo) zasnęły, zadzwonił telefon. Gdy odebrałam, w słuchawce panowała cisza.

– To już któryś raz – powiedziałam.

– Naprawdę? – Po twarzy Rogera przemknął grymas irytacji, który znałam aż za dobrze. – Musimy coś z tym zrobić. To pogwałcenie prywatności.

Pewnego dnia, gdy miał zajęcia od rana do wieczora, nadeszła zaadresowana do mnie przesyłka. To było coś nowego. Przez chwilę serce waliło mi jak szalone z nadzieją, że w końcu dostałam odpowiedź na list, który wysłałam dawno temu. Ale to była lokalna przesyłka. Przyjrzałam się pękatej brązowej kopercie i starannie napisanym na niej drukowanym literom.

Rozdarłam ją, nie mogąc się doczekać, żeby zajrzeć do środka. Z koperty wypadł szalik mojego męża, z rodzaju tych, które wykładowcy nosili na znak solidarności ze studentami. Po co ktoś miałby mi go wysyłać? Odruchowo podniosłam go do twarzy.

Pachniał nie moimi perfumami.

Przez cały dzień wmawiałam sobie, że to nie może być prawda. Nawet po tak długim czasie słowa Jean nie dawały mi spokoju. W samochodzie. Całował się z inną kobietą.

Uznałam, że koniec z przymykaniem oczu. Musiałam poznać prawdę.

– A, tak – rzucił Roger, gdy wieczorem pokazałam mu szalik. – To tylko głupi dowcip. Niektórzy z moich kolegów nigdy nie dorosną.

Poczułam ulgę. Nie wydawał się ani trochę zdenerwowany. Czyli wszystko musiało być dobrze.

– Ale po co mieliby to robić?

– Na uniwersytetach pełno jest polityki. Powinnaś poczytać powieści Davida Lodge’a.

Poczytać? Dobre sobie! Nie miałam czasu na takie luksusy. Po całym dniu opiekowania się dziećmi leciałam z nóg. Nie orientowałam się w bieżących wydarzeniach. Nie pamiętałam nawet, kiedy ostatni raz czytałam gazetę.

Dzień później przysła kolejna brązowa koperta. Tym razem zawierała dwa odcinki z biletów do kina Odeon w Oksfordzie, z ubiegłego wtorku, kiedy rzekomo Roger grał w squasha. Poczułam niepokój.

– Nie byłem w żadnym kinie – zaperzył się mój mąż, gdy mu je pokazałam. – Nawet nie pojechałem do centrum miasta. Jeśli coś takiego znów się powtórzy, może należałoby zgłosić to na policję. To zakrawa na nękanie.

– Nie przesadzasz? – spytałam.

Roger wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej mi nie ufasz. Jeśli to ma cię uspokoić, powinniśmy złożyć oficjalne zawiadomienie.

– Oczywiście, że ci ufam. – Zadrżałam. – Po prostu się boję. Nie podoba mi się, że jakiś anonimowy żartowniś przysyła mi takie rzeczy.

– Mnie też się nie podoba, ale najlepiej nie zwracać na to uwagi. Prędzej czy później ten ktoś się znudzi. Dajmy temu spokój, dobrze?

Niczego więc nie zgłosiłam. Przez kilka kolejnych tygodni nic się nie wydarzyło. Aż pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi. W progu stała młoda kobieta. Jej zielone oczy wpatrywały się we mnie z pewnością osoby nad wiek dojrzałej. Wydawała się zła.

– Wysłałam pani szalik i bilety do kina – powiedziała z wyraźnym irlandzkim akcentem. – Skoro to nic nie dało, pomyślałam, że zjawię się osobiście, na wypadek gdyby mi pani nie uwierzyła. To mały prezent dla pani.

Wręczyła mi kolejną brązową kopertę i odeszła, zanim zdążyłam ją oddać. W kopercie było zdjęcie tej kobiety i Rogera, obejmujących się czule. Oboje uśmiechali się do mnie. Zrobiło mi się niedobrze. W głowie miałam mętlik. Nie. Proszę, nie. To o niczym nie świadczy, powtarzałam sobie. Zdjęcie mogło być zrobione na jednej z uniwersyteckich imprez. Dziewczyna była studentką, która zadurzyła się w Rogerze. Ale gdy przy kolacji niby mimochodem powiedziałam o tym Rogerowi, milczał przez dłuższą chwilę. Poczułam w sercu chłód.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – Przyznaję się.

– Co takiego?

Miałam wrażenie, że jestem na planie filmowym. Że to wszystko przytrafia się komuś innemu. Nie mnie.

– Ma na imię Melanie i chce być ze mną.

To nie mogła być prawda.

– Czy ty... czy ty ją kochasz?

Zawahał się.

– To coś poważnego – odrzekł.

– Nie! – Usłyszałam własny szloch. – A co z dziećmi? Nie możesz tak po prostu nas zostawić.

– Nie zależy jej na domu – ciągnął Roger, jakby w ogóle mnie nie słyszał. – Chce tylko mnie. – Wyraźnie mu to schlebiało. – Nie tak jak ty. Nie. Nie udawaj. Wiem, kiedy udajesz... jeśli łaskawie zgodzisz się pójść ze mną do łóżka.

Z pokoju dziecięcego dobiegł głos:

– Taatusiuuuu! Taatusiuuuu! Bajeczkaaaa!

– Widzisz? – rzuciłam. – Jak poradzimy sobie bez ciebie?

Amy wygramoliła się z łóżka, podbiegła do stołu i wpadła wprost w ramiona Rogera. Luke zaczął płakać. Wyjęłam go z łóżeczka i wzięłam ze sobą.

Nagle przypomniał mi się mój ojciec, jak mówił o Sheili. „Proszę, naprawdę nie możesz mówić do niej »mamo«?”.

– Jesteśmy rodziną. – Rozpłakałam się. – Proszę, nie rób tego. Zostań z nami.

Zamknął oczy, jakby był zbyt zmęczony, żeby mnie słuchać.

– Rano podejmę decyzję – odparł.

Tej nocy nie zmużyłam oka. Kiedy spojrzałam na niego w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, zobaczyłam, że leży na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit.

– I co zrobisz? – wyszeptalam.

– Odejdę od niej – rzucił beznamiętnie. – Nie mam wyboru.

– Dziękuję. – Rozpłakałam się. – Dziękuję.

– Jest tylko jeden warunek – dodał lodowatym głosem. – Nigdy nikomu o tym nie powiesz. Nie chcę, żeby na wydziale się dowiedzieli.

I wtedy zrozumiałam. Postanowił zostać nie ze względu na nas, swoją rodzinę. Zrobił to dla kariery. Rok temu na imprezie bożonarodzeniowej, na którą poszliśmy razem, jakaś kobieta powiedziała mi, że jeden z wykładowców zrobił dziecko studentce i musiał odejść z uczelni. I chyba nadal szuka pracy. „I dobrze – dodała. – To absolutnie odrażające”.

Mój mąż najwyraźniej obawiał się, że spotkałby go podobny los. Ale niezależnie od powodów, postanowił z nami zostać. Poradzimy sobie, przekonywałam się w duchu. Musimy, dla dobra dzieci.

Kiedy Roger wyszedł do pracy, ktoś zapukał do drzwi. To była Jean.

– Wybacz, ale wczoraj wieczorem słyszałam przez ścianę, jak się kłóciliście – powiedziała. – Wszystko w porządku?

Jej życzliwość mnie rozbroiła. Rozplakałam się i mimo ostrzeżeń Rogera, powiedziałam jej o wszystkim. Od razu poczułam się lepiej. Zaraz jednak ogarnęła mnie panika.

– Tylko nie mów o tym nikomu – poprosiłam ją. – Roger by mnie zabił.

Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Wiedziałam, że tamtego dnia w Chipping Norton to był on.

– Myślisz, że to ta sama kobieta?

– Jakie to ma znaczenie? To pokazuje tylko, do czego jest zdolny. – Jean przygryzła wargi. – Był cwany, sugerując, że powinnaś zgłosić sprawę na policję. Liczył, że tego nie zrobisz.

– Czy dobrze rozumiem, że byłaś w podobnej sytuacji? – spytałam powoli.

Moja sąsiadka pokiwała głową, wciąż zaciskając usta.

– Ja jednak poczyniłam drastyczne kroki. Zażądałam rozwodu. Teraz, gdy jestem starsza, zastanawiam się, czy nie zrobiłam zbyt dużego zamieszania. Może nie powinnam ci nic mówić. – Wzdrygnęła się. – Posłuchaj. Zostaw ze mną dzieci, a sama gdzieś wyjdź. Zajmę się nimi tutaj przez kilka godzin.

Roger nie byłby zadowolony, wiedziałam jednak, że wróci do domu późnym wieczorem. No i musiałam przyznać, że kusilo mnie, żeby wyjść i w spokoju wszystko przemyśleć.

Pojechałam autobusem do miasta i zaczęłam spacerować po kampusie uniwersyteckim. Zatrzymałam się przed budynkiem, gdzie miał swój gabinet Roger, i patrzyłam na młode kobiety, które wchodziły i wychodziły. Żadna z nich nie wyglądała jak pewna siebie Irlandka, która pojawiła się na progu naszego domu. Nie potrafiłam myśleć o niej, używając jej imienia. Stałaby się wówczas zbyt rzeczywista.

Obiecałam sobie, że kiedyś, jak dzieci pójdą do szkoły, skończę kurs nauczycielski i znajdę pracę. Może tego było mi trzeba. Zaraz jednak pomyślałam o mojej dokumentacji medycznej. Czy ktokolwiek by mnie zatrudnił?

Kiedy wróciłam, Jean czekała na mnie w drzwiach. Od razu wiedziałam, że coś się stało.

– Dzieciom nic nie jest – uspokoiła mnie. – Ale miałaś gościa.

– Znowu ta dziewczyna?

Spojrzała na mnie.

– Nie. To był mężczyzna. Powiedział, że jest twoim ojcem.

Milczałam, nie wiedząc, jak mam na to zareagować. Mówiłam Jean, tak jak wszystkim innym, że nie mam żadnej rodziny.

– Nie będę cię o nic pytać – dodała. – Zostawił to dla ciebie.

List nie był długi. Nie było na nim adresu ani daty.

*Ellie! [nie „droga”]*

*Dziękuję za Twój list, który przekazał mi Cornelius, i za to, że napisałaś mi o Amy i Luke’u. Im jestem starszy, tym częściej rozmyślam o przeszłości. Byłem w okolicy i postanowiłem skorzystać z okazji i Cię odwiedzić. Przynajmniej zobaczyłem moje wnuki. Podobieństwo jest zdumiewające. Zwłaszcza Luke wygląda jak Michael, prawda?*

*Tata*

*Do listu dołączył paczuszkę. W środku była moja pozytywka.*

– Należała do mojej mamy – wyszeptalam, głaszcząc rzeźbione drewniane wieczko. – To dzięki niej, kiedy mama zmarła, czułam, że nadal jest przy mnie.

Jean mnie objęła.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

Pokiwałam głową. Wszystko to była moja wina. Gdy tylko wysłałam do Corneliusa list z prośbą, żeby przekazał go mojemu ojcu, wiedziałam, że popełniam błąd, rozgrzebując przeszłość. Powinnam była podrzeć ten list albo spalić jak pozostałe.

– Wszyscy mamy tajemnice – powiedziała cicho.

Roger z pewnością miał swoje. Ale w porównaniu z moimi jego tajemnice były niczym.



W Plymouth jest mnóstwo ludzi, znacznie więcej niż w Mousehole i Boscastle. Przez chwilę zastanawiam się, czy Tim, razem ze Szczęściarzem, wrócił do swojej mamy. A zaraz potem myślę o Stevie kucającym na kolejnym chodniku. Odpycham od siebie oba obrazy i przypominam sobie, co kiedyś powiedział mi pewien znajomy: „Jeśli chcesz przetrwać, musisz przede wszystkim dbać o siebie”.

Jakiś mężczyzna potrąca mnie, aż podskakuję.

– Przepraszam – bąka.

Oddala się pospiesznie, ale mnie jeszcze długo serce wali jak szalone.

Podnoszę wzrok na budynek ze szkła, który widziałam z autokaru. Zglądam do środka, ale wszędzie roi się od ochroniarzy. Kiedy wychodzę, oszołomiona od zgiełku, widzę tabliczkę z informacją o jarmarku bożonarodzeniowym. Może tam spróbuję szczęścia. Wiem z doświadczenia, że straganiarze nie zadają tylu pytań co właściciele sklepów. Jarmark nie jest duży – królują tu zabawki i lameta – ale dostrzegam stragan z napisem „Antyki i bibeloty”.

– Ile dostanę za to? – pytam sprzedawcę i pokazuję mu zegarek, który dostałam od blondynki.

– Działa? – Facet przystawia go do ucha.

Udaję urażoną.

– Myśli pan, że przyniosłabym go tutaj, gdyby nie działał?

– Zdziwiłaby się pani, co robią ludzie.

Ogląda zegarek z przesadną uwagą.

– Dwadzieścia funciaków – mówi.

– Wolne żarty – pry cham. – Oboje wiemy, że jest wart dużo więcej.

Taksuje mnie wzrokiem.

– To czemu nie pójdzie z nim pani do któregoś z tutejszych jubilerów?

Wzruszam ramionami.

– Czyli nie chce go pan?

– Należy do pani? – pyta.

Myślę o srebrnej bransoletce, którą opchnęłam w Bristolu.

– Oczywiście. – Staram się mówić z akcentem z wyższych sfer.

– W takim razie trzydzieści pięć funtów i ani pensa więcej.

– Czterdzieści.

Facet oddaje mi zegarek i się odwraca.

– Dobrze już, dobrze – mruzcę niechętnie. – Niech będzie trzydzieści pięć, ale to cholerny robój w biały dzień.

Musiał wiedzieć, że się zgodzę, bo już trzyma w dłoni trzy banknoty dziesięciofuntowe i piątkę.

– Trudne czasy – rzuca i wzrusza ramionami.

Chowam pieniądze do kieszeni. Przy odrobinie szczęścia to, co dostałam za zegarek i od Amerykanów, wystarczy mi na jakiś czas.

– Zna pan tu jakieś hostele? – pytam.

– Tak, ale o tej porze będą raczej pełne. – Nagle jego twarz łagodnieje. – Ale jest tu tania restauracja spółdzielcza, gdzie podają gorące posiłki i mają prysznic. To ze dwadzieścia minut drogi stąd. Jak się pani pospieszy, może zdąży pani przed zamknięciem. Po wyjściu z jarmarku trzeba skręcić w drugą w lewo, a później w prawo. Przejść przez ulicę i znowu skręcić w lewo.

– Dzięki – mówię.

Przygląda mi się.

– Czy ja pani skądś nie znam?

Naciągam beret mocniej na czoło.

– Takich twarzy jak moja jest pełno – bąkam i szybko odchodzę.

Restauracja pełna jest rozmaitych ludzi. Niemowlaki płaczą, dzieciaki biegają między stolikami albo tańczą, a para na wózkach inwalidzkich trzyma się za ręce. Pozostali siedzą przy stolikach, z balonami i papierowymi kapelusikami, i się opychają.

– Witamy – mówi kobieta z perłami na szyi. – Proszę wejść. Właściwie mamy komplet, ale jestem pewna, że znajdzie się jeszcze jedno miejsce. Jak pani na imię?

– Jo – mówię.

Poprawiam beret i rozglądam się dookoła.

– Miło cię poznać, Jo. – Kobieta ściska mi dłoń. – Może wejdiesz i usiądziesz tutaj, obok Diane? To jedna z naszych wolontariuszek. Jemy już deser, ale na pewno znajdziemy dla ciebie kawałek pieczonego kurczaka i trochę warzyw.

Wcinam wszystko i biorę podwójną porcję świątecznego puddingu.

– Trochę jedzenia dobrze pani zrobi – zauważa Diane.

Dobrze patrzy jej z oczu. Już ją lubię.

– Jest pani w drodze? – pyta.

Miałam nadzieję, że turkusowy polar wystarczy, żeby ludzie wzięli mnie za jedną ze swoich. Ale chyba powinnam go uprać.

– Tak jakby.

– Ma pani gdzie się zatrzymać na noc?

– Nie.

Przez jedną szaloną chwilę mam nadzieję, że zaproponuje mi miejsce u siebie, ale tego nie robi.

– Są tu prysznic, gdyby chciała się pani umyć – mówi. – Jest też pralka. Moglibyśmy dać pani jakieś ubrania, zanim pani wyschną.

– Dlaczego? – pytam.

– Dlaczego co?

– Dlaczego chce mi pani pomóc?

Delikatnie dotyka mojej ręki.

– Widzi pani tych wszystkich ludzi? – szepcze. – Większość z nich nie ma domów albo żyje w tak zwanych trudnych warunkach. Jesteśmy organizacją charytatywną, więc staramy się robić, co możemy.

Gula rośnie mi w gardle. Przy wszystkich złych ludziach, których spotkałam w swoim życiu, od czasu do czasu zdarza się ktoś naprawdę dobry i życzliwy. Kolejny raz staram się nie myśleć o Stevie.

– Dobrze, doprowadźmy panią do porządku, żeby mogła pani dołączyć do gier i zabaw.

– To raczej nie dla mnie – rzucam.

Diane się śmieje.

– Może zmieni pani zdanie.

Ma rację. Kiedy wychodzę spod prysznic – w czarnych spodniach i różowym swetrze, które wybrałam z pudła podpisanego: „Ubrania damskie w rozmiarze M” – pozostali grają w „przekaz paczkę”. Ktoś przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce. Paczka trafia w moje ręce.

– Otwórz ją! – wołają wszyscy.

W środku jest mieniąca się różowa szczotka do włosów.

– Ale ona jest łysa – mówi ktoś ze starszych dzieci.

Zapada cisza. Wybucha śmiechem, a po mnie cała reszta.

Potem jakiś wysoki, tyczkowaty gość – który przypomina mi dorosłego Tima – zaczyna grać na gitarze, a my śpiewamy. Od czasu do czasu celowo fałszuje i wszyscy się śmiejemy.

Na zewnątrz jest ciemno. Ludzie zaczynają wychodzić. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierają, do środka wpada podmuch zimnego powietrza. Chciałabym być teraz w pokoju nad piekarnią. Mam wrażenie, że to się nigdy nie wydarzyło.

Może jednak wynajmę jakiś pokój w pensjonacie socjalnym.

– Jak myślisz, ile to będzie kosztować? – pytam jedną z wolontariuszek.

– Najtańszy kosztuje co najmniej czterdzieści funtów. Jeśli o tej porze w ogóle będą wolne miejsca.

Proszę zostawić to mnie. Podzwonię i się dowiem.

Kiedy wraca, oprócz mnie w restauracji nie ma już prawie nikogo.

– Przykro mi. Wszędzie mają komplet. W hostelach też.

– W takim razie prześpię się na przystanku – mówię.

Dziewczyna kręci głową.

– Policja panią przegoni. Zobaczę, może mamy wolny namiot. Dam też pani termiczny śpiwór i plecak zamiast tych reklamówek. Tuż za miasteczkiem jest miejsce, w którym można rozbić namiot. Powiem pani, jak tam dojść.

Wciąż nie chcę opuszczać tego ciepłego miejsca.

– Mogę wrócić jutro?

Dziewczyna kręci głową.

– Jesteśmy otwarci tylko trzy dni w tygodniu, a z powodu przerwy świątecznej wrócimy do pracy dopiero po Nowym Roku. Przykro mi.

Z namiotem pod pachą wychodzę na ulicę. Zaczyna sypać śnieg. Nie grube płatki, raczej puszyste krople deszczu. Mieszają się ze łzami, które spływają mi po policzkach. Teraz żałuję, że tam poszłam. Ciepło i ludzka życzliwość sprawiają, że jeszcze trudniej to wszystko znieść.

Idę i idę. To dalej, niż mówiła wolontariuszka, ale w końcu znajduję pole, na którym stoją rozbite namioty. W niektórych palą się latarki i widzę cienie ludzi. Nigdy wcześniej nie rozbijałam namiotu, ale wolontariuszka miała rację. To nie takie trudne.

Wpełzam do śpiwora. Nie mogę zasnąć. Z zewnątrz dobiega hałas. Jestem pewna, że coś drapie w płótno namiotu. Włączam latarkę, którą dała mi wolontariuszka, ale niczego nie widzę. A jeśli to szczur? W przyczepie kempingowej było kilka myszy i bałam się panicznie, dopóki Tim nie wyłapał ich i nie wyniósł na zewnątrz.

„Kiedy w domu mieszkałem, mysz i wszy tam miałem”.

Brakuje mi Tima i jego rymów. I tęsknię za Steve'em.

Ale nie mogę cofnąć czasu.

14.07, 17 sierpnia 1984

*Nadal lekko kręci mi się w głowie od szampana. Żółdek mam pusty. Nikt nie pomyślał, żeby wynieść nam coś do jedzenia. A mój brat nie chce słyszeć o tym, żebyśmy zaprowadzili go do domu. Jeśli to zrobimy, urządzi scenę i Sheila będzie na mnie zła.*

*– Chodź, Ellie – mów i ciągnie mnie za rękę. – Znajdźmy Petera.*

*Przeszukujemy ogród. Jest dużo większy od naszego. Odkryliśmy już, że składa się z kilku mniejszych części oddzielonych od siebie żywopłotami.*

*– Gdzie jesteś?! – woła Michael.*

*Coś szeleści za szopą na drewno.*

*– Mam cię!*

*– Spryciarz! – Peter mierzwi Michaelowi włosy i uśmiecha się do mnie. Musiał celowo hałasować, żebyśmy go znaleźli. – Teraz twoja kolej.*

*Czuję, jak wali mi serce. Wkrótce mnie pocałuje! Jak to będzie? Słyszałam, jak inne dziewczyny rozmawiały na ten temat. Myśl o tym, że dotkniemy się językami, budziła we mnie lekkie obrzydzenie, ale podobno człowiek szybko się przyzwyczaja.*

*– Nie. – Michael znowu ciągnie mnie za rękę. – Teraz Ellie.*

*– Ale zawsze kryje się ten, kto znalazł poprzednią osobę – mówi ostro Peter.*

*– I co z tego? Chcę poszukać jej razem z tobą. Proooszę, Ellie. – Głos ma piskliwy.*

*– Dobrze już, dobrze. Schowam się. Zamknij oczy. – Mrugam porozumiewawczo do Petera. Michael zamyka oczy i zaczyna liczyć. Raz. Dwa. Trzy...*

*Nachylam się do Petera i szepczę:*

*– Będę w tej części ogrodu, gdzie rosną kwiaty polne.*

Schemat był zawsze taki sam. Mniej więcej co kilka lat Roger zaczynał wracać do domu nieco później. Mógł to być włos na jego koszuli albo obcy zapach, który do niej przylgnął. Dzwonił telefon, ale po drugiej stronie panowała głucha cisza.

Kiedy go pytałam, obrażał się i zawsze znajdował na wszystko odpowiedź. Miał zebranie na uczelni. Wieczorne zajęcia. Imprezę wydziałową, na którą przecież byłam zaproszona, ale nie poszłam z powodu dzieci. („Jak to, nie pamiętasz?”).

Jeśli chodziło o blond włos na jego koszuli, zachowywałam się niedorzecznie. Każdemu może coś przyczepić się do ubrania. („W przeciwieństwie do ciebie, Ellie, ja pracuję. A do tego pracuję z ludźmi”). Telefon? Głuche telefony to obecnie prawdziwa plaga. W końcu dąsał się, jakbym to ja była wszystkiemu winna, bo mu nie ufam.

Odpuszczając więc i powtarzałam sobie, że z nas dwojga to ja jestem gorsza, chociaż Roger nie miał o niczym pojęcia. Poza tym, gdybym była bardziej atrakcyjna i bardziej starała się w łóżku, Roger nie szukałby okazji do skoku w bok. Jednak najważniejszym czynnikiem były dzieci. Musiałam za wszelką cenę utrzymać nasze małżeństwo. Wiedziałam aż za dobrze, jak niebezpieczne bywają rozbite rodziny.

Tymczasem Roger napisał już kilka prac naukowych – jego ulubionym tematem był „Kobiety epoki wiktoriańskiej w literaturze pięknej” – i zaczynał wyrabiać sobie nazwisko. Brał udział w dwóch międzynarodowych konferencjach, jednej we Florencji i drugiej w Nowym Jorku.

– Uważaj na siebie – powiedziałam, gdy wyjeżdżał, i mocno przytuliłam się do niego.

Tak naprawdę znaczyło to: „Nie uganiaj się za spódniczkami”, ale bałam się powiedzieć mu to wprost.

Jednak kiedy Amy i Luke wyrosli na nastolatków, nie bali się zadawać pytań.

– Dlaczego tata tak często wyjeżdża? – spytał Luke przed kolejną podróżą Rogera, tym razem do Polski.

– Bo jest ważną osobistością.

Roger dumnie wypiął pierś. Nienawidziłam mu schlebiać, a jednak wciąż to robiłam.

– A ty, mamo, czemu nie pracujesz?

– Bo wasza mama lubi się nami opiekować – wtrącił mój mąż.

Zawsze to powtarzał, jakbym nie miała w życiu innego celu.

Moją jedyną rozrywką były mozaiki. Wróciłam do dawnego hobby tuż po tym, jak Jean sprzedała swój dom. Z jednej strony odetchnęłam z ulgą, bo tylko ona wiedziała, że mój ojciec żyje. Z drugiej zaś brakowało mi naszych potajemnych spotkań. Do jej domu wprowadziła się artystka. W ogrodzie za domem wybudowała pracownię i zaprosiła mnie, żebym ją obejrzała.

– W szkole robiłam mozaiki – powiedziałam ostrożnie.

Oczy jej rozbliły.

– W przyszłym miesiącu organizuję kurs technik mozaikowych. Może przyjdiesz? Weź ze sobą starą porcelaną, taką, której nie będzie ci żal potłuc.

Dzieci były w szkole, więc poszłam.

W Highbridge nie pozwalano nam tłuc naczyń na kawałki w obawie, że któreś z nas zrobi sobie krzywdę. Teraz miało to dla mnie działanie terapeutyczne. Kiedy, w okularach ochronnych, roztrzaskałam młotkiem stary kubek, poczułam się świetnie. Tak samo czułam się, smarując klejem jeden kawałek po drugim i przylepiając do wazonu albo do sklejki. Jedna z kobiet ozdabiała mozaiką stoły.

– Też bym tak chciała – oznajmiłam.

Poszłam więc na kilka kursów i zaczęłam pracować w domu. Kiedy sprzedawałam pierwszą rzecz na jarmarku rękodziela, byłam z siebie naprawdę dumna. Coś takiego nie zdarzało się często. Kupiłam sobie koronkowy stanik typu push-up, bo myślałam, że dzięki temu wydam się Rogerowi bardziej atrakcyjna. „Do diabła, co ty na siebie włożyła? Wyglądasz jak striptizerka”, parsknął śmiechem na mój widok.

Poczułam się tandetna. Zbrukana. Nie mogłam go nawet oddać, bo odcięłam metkę.

Schowałam więc biustonosz na dnie szuflady, żeby przypominał mi, jak bardzo się wygłupiłam.

Oczywiście rodzina wciąż pozostawała dla mnie najważniejsza. Byłam znerwicowaną matką – w przeddzień spływu kajakowego zadzwoniłam do szkoły Luke’a i powiedziałam, że mój syn ma gorączkę i nie może jechać. Był na mnie wściekły. Zrobiłam to ze strachu, że coś może mu się stać. Układanie mozaiki pomagało mi zająć głowę czymś innym.

Od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy na rodzinne wakacje, kiedy wszystko wydawało się niemal w porządku. Raz wybraliśmy się do Devonu, gdzie spędziliśmy cudowny urlop w uroczym nadmorskim miasteczku. Zatrzymaliśmy się w starym hotelu, do którego w dzieciństwie przyjeżdżała królowa Wiktoria. Pewnego dnia, idąc za radą właścicieli, odwiedziliśmy pobliskie ruiny zamku o niezwyklej nazwie Berry Pomeroy.

– Ależ przygoda – powiedział Roger, kiedy jechaliśmy dróżką tak wąską, że rosnące przy niej zarośla drapały w szyby samochodu.

Siedzące z tyłu dzieci piszczwały radośnie. W pewnej chwili Roger zdjął z kierownicy lewą rękę i uściśnął moją dłoń. Z radością odwzajemniłam ten uścisk.

– Ale to tylko ruiny – zauważyła rozzarowana Amy, gdy naszym oczom ukazał się imponujących rozmiarów zamek.

Luke był bardziej zadowolony, kiedy przecięliśmy kamienny dziedziniec i zadzierając głowy, spojrzeliśmy w puste okna.

– Fajnie tu! Myślicie, że kogoś tu zamordowano?

Przeszedł mnie dreszcz. Jakakolwiek wzmianka o krwi, śmierci czy wypadkach wytrącała mnie z równowagi.

Roger czytał przewodnik.

– Piszą tu, że jest to najbardziej nawiedzony zamek w Wielkiej Brytanii. Jednego z duchów, Niebieską Damę, można zobaczyć w nocy. Podobno zabiła swoje dziecko. Wygląda na to, że miała je z własnym ojcem.

– To obrzydliwe, tato.

Odwrociłam się.

– Gdzie idziesz, mammo?

– Wracam do samochodu. Zimno mi.

Chociaż dzień był słoneczny, czułam się przemarznięta do szpiku kości.

– To było coś innego, prawda? – odezwał się Roger, gdy wszyscy troje wrócili do samochodu. – Co powiecie na lody?

– Świetnie – rzuciłam.

Zrobiłabym wszystko, byle znowu udawać, że jesteśmy normalną rodziną. Bez trupów w szafie, duchów przeszłości i teraźniejszych zdrań.

Mijały lata. Wszyscy mi powtarzali: „Wykorzystuj każdą chwilę z dziećmi. Tak szybko dorastają”.

Ja wiedziałam jednak, że to nieprawda. Bo proszę, co stało się z Michael'em.

Niedługo przed wyjazdem Amy na studia pokłóciłyśmy się o to, ile powinna wziąć ubrań. Nie chciałam przyznać sama przed sobą, że bałam się, że jej wyjazd odmieni rodzinę, którą tak bardzo starałam się uratować. Jakiś czas później Luke wszedł do kuchni, gdzie parzyłam kawę, i wyraźnie przygnębiony, opadł na krzesło.

– Wiem, że będziesz tęsknił za siostrą – powiedziałam. – Jak my wszyscy.

– Nie o to chodzi – mruknął.

Usiadłam przy nim i otoczyłam go ramieniem. Chociaż był ode mnie wyższy, wciąż chciałam go przytulać, tak jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

– A o co?

Spuścił wzrok.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Czasem dobrze jest wyrzucić coś z siebie.

– Nie chcę cię denerwować.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Po prostu powiedz.

– Dziś rano słyszałem, jak tata rozmawia przez telefon – zaczął, ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę. – Mówił komuś, że za nim tęskni.

Zaschło mi w ustach.

– Może rozmawiał z dziadkiem.

Ojciec Rogera cierpiał na demencję i był w domu opieki. Rzadko miewał przeblęski świadomości.

– Kiedy mnie zobaczył, szybko się rozłączył – dodał Luke ściszym głosem.

– Na pewno można to jakoś wytłumaczyć – powiedziałam spokojnie. – Może pójdiesz i pomożesz siostrze się pakować?

Z początku nie zamierałam nic mówić. Nie chciałam robić afery przed wyjazdem Amy. Ale niedługo po jej wyjeździe przyszedł rachunek za telefon. Zwykle zostawiałam to Rogerowi, lecz tym razem otworzyłam go. Na billingu wciąż powtarzał się ten sam numer. Teraz, kiedy mój syn nabrał podejrzeń, wszystko się zmieniło. Nie zamierałam dłużej siedzieć cicho.



– Mógłbyś mieć chociaż na tyle przyzwoitości, żeby nie dzwonić do swojej kochanki z domu! – naskoczyłam na Rogera, kiedy Luke wyszedł na spotkanie z przyjaciółmi.

– O czym ty, u diabła, mówisz, Ellie?

Pomachałam mu przed nosem rachunkiem, gdzie zakreśliłam na czerwono powtarzający się numer.

– Wiesz co? Może teraz zadzwoń pod ten numer?

– Nie chcę – odparł ponuro.

– Bo co? Bo dowiem się, że masz romans?

Czekałam na jakieś wyjaśnienia. A Roger tylko wzruszył ramionami, jakby w ogóle go to nie obchodziło.

– No dobrze, przepraszam. Nie chciałem. To się więcej nie powtórzy.

Ale się powtórzyło.

Chociaż starałam się chronić dzieci i trzymać je od tego z daleka, Amy i Luke nie byli głupi. Ani tak skłonni do wybaczenia jak kiedyś.

– Jak tylko będę mógł, wyniosę się stąd – powiedział Luke. – Może wyjadę do Australii. I tam skończę studia. Będziesz mogła do mnie przyjechać i zamieszkać ze mną, mamo.

Czasami Amy przenosiła swoją złość na mnie. Kiedy nie pozwoliłam jej pojechać na wakacje do Newquay z przyjaciółmi z uczelni, wyrzeszczała mi prosto w twarz:

– Zachowujesz się idiotycznie! Nic dziwnego, że tata już cię nie kocha.

Jej słowa zabrały mnie jak cios pięścią w brzuch. Ale wiedziałam, że to nieprawda. Na swój sposób Roger mnie kochał. Po prostu nie potrafił oprzeć się innym kobietom. Potrzebował ich, żeby nieustannie podbudowywać swoją pewność siebie. Tak jak ja potrzebowałam jego, żeby móc udawać przed światem, że jestem dobrą matką i żoną.

Tu w więzieniu usiłujemy stwarzać pozory. Mówimy, że tęsknimy za naszymi rodzinami. Ale prawda jest taka, że wiele z nas trafiło tu właśnie z ich powodu. I ja nie jestem wyjątkiem.

Jutro dzień Bożego Narodzenia. Mnie to bez różnicy. Dla takich jak ja każdy dzień jest taki sam. Drżąc z zimna, zwijam śpiwór i składam namiot. Czuję, że przemarzłam do szpiku kości.

Muszę coś zjeść. Ogrzać się. Idę do miasteczka i chodzę po ulicach, aż znajduję pizzerię i zaglądam do kontenera na tyłach lokalu. Na samej górze leżą dwa pudełka, a w nich cztery nietknięte kawałki pizzy. Jem w pośpiechu, zanim ktoś mi je zabierze.

Jeśli prędko nie znajdę jakiegoś schronienia, zamarznę. Takie rzeczy się zdarzają. Na początku tygodnia widziałam karetkę, która zabierała ciało z ławki w parku. Z chorą fascynacją patrzyłam na sztywne nogi trupa.

Idę tak szybko, jak pozwalają mi na to obolałe stopy. Stojąca przed sklepem jubilerskim para ogląda pierścionki.

– Ten mi się podoba – mówi dziewczyna.

Czuję ukłucie zazdrości. Mija mnie kobieta z pieskiem w czerwono-białym wełnianym wdzianku z napisem „Wesołych Świąt”. Zastanawiam się, gdzie jest teraz Szczęściarz. A jeśli Tim nie mógł go zatrzymać? Ząb, który na jakiś czas przestał mnie boleć, znowu zaczyna ćmić.

Przez chwilę myślę o sypialni nad piekarnią i o pokoju hotelowym. Jedno i drugie wydaje się nierealne.

Gdzieś w górze słychać brzęk. Grupa kobiet i mężczyzn rozbiera metalowy stelaż i zdejmuje markizy. Muszę wrócić na jarmark. Na chodniku leży na wpół obrany banan. Podnoszę go szybko i wpycham do ust.

– Głodna, co? – pyta ktoś.

To gość, którego spotkałam wczoraj, ten, co powiedział mi o kafejce.

Zawstydzona, kiwam głową.

– To pani sprzedała mi zegarek, prawda?

Znowu potakuję skinieniem głowy. Ząb boli mnie tak bardzo, że nie mogę mówić.

– Niezły. Ma pani więcej takich?

Kręcę głową.

Facet patrzy na mój plecak i śpiwór.

– Chyba przyda się pani miejscówka na noc.

Jasne, a po przebudzeniu odkryję, że nie mam pieniędzy?

– Cześć. – Podchodzi do nas kobieta w obcisłych dżinsach i skórzanej kurtce.

Otacza mego rozmówcę ramieniem, jakby chciała powiedzieć: „Ten jest mój”.

– Staram się być miły, Madge.

– A bywa, że nie jesteś? Potrafisz zagadać człowieka na śmierć.

Pieszczotliwie daje mu klapsa, a on całuje ją w policzek. Na myśl o ciepłym ciele Steve'a czuję ukłucie bólu.

– Może pójdziesz do nas? – mówi mężczyzna. – To żadne luksusy. Ale mamy coś do jedzenia i na pewno jest cieplej niż tutaj.

– Co chcecie w zamian? – pytam podejrzliwie.

– Nic. Powiedzmy, że byliśmy w podobnej sytuacji. Są święta. Człowiek nie powinien być sam, prawda?

Nie przeszkadza mi to, że będę sama. Przeszkadza mi zimno. Gdyby gość był sam, nie ryzykowałabym. Ale obecność kobiety sprawia, że czuję się bezpiecznie. Dlatego idę za nimi.

14.09, 17 sierpnia 1984

*Trybula leśna. Przetacznik. Dzikie róże...*

*Widząc je, wracam wspomnieniami do szczęśliwych dni, kiedy moja mama żyła i zamykałyśmy rośliny między stronicami książki.*

*Oczy mnie szczypią. Zwykle, kiedy o niej myślę, staram się nie płakać, bo to bardzo boli. Ale dziś czuję się dziwniej niż zwykle. Jakby wszystko unosiło się tuż pod powierzchnią.*

*Słyszę głosy Michaela i Petera.*

*– Idziemy po ciebie!*

*Czekam i czekam.*

*Gdzie oni są? Powiedziałam przecież Peterowi, gdzie ma mnie szukać. Tymczasem słyszę, jak zapuszczają się w inne części ogrodu. Wchodzą do szklarni. I do szopy na drewno. Czyżby nie chciał mnie znaleźć? Jeśli nie zadbam o to, żebyśmy mieli trochę czasu tylko dla siebie, stracę go na zawsze.*

*– Mam cię!*

*Wzdrygam się, gdy Michael dotyka moich pleców.*

*– Peter mówił, że możesz tu być, ale mu nie wierzyłem.*

*– To tylko pokazuje, jak możesz się mylić – odpowiada sztywno Peter. – No już. Teraz twoja kolej.*

*– Dobrze. – Michael się rozpromienia. – Ale zamknijcie oczy. I nie podglądajcie!*

*Peter puszcza do mnie oko.*

*– Daję słowo.*

*Zamykamy oczy i słuchamy oddalających się kroków Michaela.*

*– Raz, dwa, trzy... – liczy Peter.*

*– Szybko – syczę. – Biegnij do zagajnika.*

Wiem, że ludzie mogą pomyśleć, że byłam głupia i żałosna, przez tyle lat wybacząc Rogerowi, ale ja widziałam to inaczej. Warto było wytrzymywać jego humory i zdrady, bo dzięki temu nasze dzieci były bezpieczne. Emocjonalne szkody spowodowane rozpadem małżeństwa bywają równie bolesne – jeśli nie bardziej – jak atak fizyczny. Ja wiedziałam o tym najlepiej.

Byłam więc zrozpaczona, kiedy Luke spełnił swoją groźbę i wyjechał do Australii.

– Przykro mi, mam – powiedział któregoś wieczoru, słysząc, jak Roger i ja znów się kłócimy. – Nie chcę dłużej mieszkać pod jednym dachem z tym człowiekiem. Może ty potrafisz przysmykać na wszystko oko, ale ja nie. Nigdy nie wybaczę mu rozmowy telefonicznej, którą podsłuchałem. Jak go widzę, robi mi się niedobrze. Powiedziałem mu to.

Roger oczywiście mówił wszystkim naszym znajomym, jaki jest dumny, że nasz syn podjął tak „odważną decyzję”. Ja jednak nie mogłam na niego patrzeć.

– To twoja wina – syknęłam wieczorem, gdy oboje leżeliśmy w łóżku.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nic nie poradzę, że gówniarz wbił sobie coś do głowy.

Po wyjeździe Luke’a głuche telefony ustały, a Roger zaczął wracać wcześniej do domu. Z początku nie byłam pewna, jak poradzimy sobie bez dzieci, które były naszym spoiwem. Ale w ciągu kolejnych miesięcy i lat popadliśmy w całkiem wygodną rutynę. Roger przeszedł na emeryturę. Zaskoczył mnie tą decyzją, bo myślałam, że będzie pracował dłużej. On jednak był „zmęczony” uczeniem i chciał mieć czas, żeby napisać powieść, o której rozprawiał od lat.

Tymczasem ja zwalczyłam lęk przed poznawaniem nowych ludzi i zapisałam się do klubu tenisowego. Rzuciłam się też w wir pracy społecznej, zwłaszcza dla miejscowego więzienia i bezdomnych, bo zawsze przytłaczała mnie liczba ludzi, którzy żyli wokół nas na ulicach. Razem z Rogerem pojechalśmy nawet do Toronto i Vancouver. To były nasze pierwsze wakacje tylko we dwoje! Pomijając seks, do którego musiałam się zmuszać, było cudownie. Może najgorsze mieliśmy już za sobą. Zaczęłam bardziej dbać o wygląd i nawet zapisałam się na konsultacje do makijażystki. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie używałam podkładu? Bardzo mi pasował.

– Chciałabyś odwiedzić mnie w Australii? – zapytał Luke podczas jednej z naszych rozmów.

– Chętnie przyjedziemy – odrzekłam.

– On nie. – Głos miał ściśnięty. – Tylko ty.

– Może – rzuciłam z powątpiewaniem. – Jeśli mnie puści.

– To twoje życie, mam.

Ale to nie była prawda. Żałowałam, że nie potrafiłam ukryć przed dziećmi zdrad Rogera.

Amy zaskoczyła nas wszystkich, gdy oznajmiła, że wychodzi za mąż.

– Jesteś taka młoda – zauważyłam, kiedy zadzwoniła, żeby nam o tym powiedzieć. – I nie skończyłaś jeszcze studiów.

– Nie martw się, mam. Damy sobie radę.

Kiedy przedstawiła nam narzeczonego, Roger i ja odetchnęliśmy z ulgą. Było widać, że Charles to dobry człowiek – nie żaden lekkoduch. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

Miesiąc później Amy oznajmiła nieśmiało, że ma dla nas „niespodziankę”.

Serce podeszło mi do gardła. Wiedziałam.

– Jesteś... – zaczęłam.

– Tak, mam. – Rozpromieniła się. – Jestem! Byliśmy już na USG, ale postanowiliśmy nie pytać o płęć. Nie chcemy wiedzieć.

– To... cudownie.

– Mam? Wszystko w porządku?

Na szczęście w porę pobiegłam do toalety. Zwymiotowałam wszystko, co zjadłam na lunch. Z nerwów. I szoku. A jeśli historia się powtórzy? Przypomniałam sobie wrzaski Sheili. A jeśli wydarzy się coś strasznego? Moja córka nie była gotowa na dziecko. Jak zapewni mu bezpieczeństwo?

– Przepraszam – odezwałam się, kiedy wróciłam do pokoju. – Coś musiało mi zaszkodzić.

– Albo masz poranne mdłości – wtrącił swoje trzy grosze Roger i roześmiał się, najwyraźniej rozbawiony swoim żartem. – A teraz zacznijmy planować ślub.

Mimo że sam nie dotrzymywał przysięgi małżeńskiej, Roger nie chciał nawet słyszeć, żeby jego wnuk był nieślubnym dzieckiem. Prowadząc do ołtarza naszą córkę, u której widać już było ciężę, nie posiadał się z dumy. Tymczasem ja byłam kłębkim nerwów.

Przez całą ciężę Amy drżałam na myśl o rychłych narodzinach mojego wnuka i wyobrażałam sobie wszystkie najgorsze scenariusze. Z całego serca pragnęłam, żeby to była dziewczynka.

Pewnego dnia nasz zięć zadzwonił z wiadomością, że Amy zaczęła rodzić. Już wkrótce razem z Rogerem krążyliśmy nerwowo po korytarzach londyńskiego szpitala.

– Będzie dobrze – uspokoił mnie i ścisnął moją rękę.

Jak na ironię, jeszcze nigdy nie był mi tak bliski jak tamtego dnia.

W końcu wyszła położna i z promiennym uśmiechem poinformowała nas, że możemy wejść.

Pobiegłam. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Moja córka tuliła w ramionach małą istotkę o różowej pomarszczonej buzi.

– Masz wnuka, mam!

Oczami wyobraźni zobaczyłam jasne loki Michaela. Rozplakałam się.

– Przepraszam – wydusiłam. – To z emocji. Jest taki mały.

– Waży prawie cztery kilogramy, mam!

Roger wydawał się oszołomiony.

– Naprawdę jestem dziadkiem? Czuję się za młody.

Jak zwykle musi skupiać na sobie całą uwagę, pomyślałam.

– Chcesz go potrzymać, mam?

A jeśli go upuszczę? Wróciły dawne lęki. Ale wszyscy na mnie patrzyli. Nie mogłam odmówić. Dziwnie by to wyglądało.

Delikatnie wzięłam w ramiona to małe dziecko. Mój wnuk spoglądał na mnie z ufnością. Gdyby tylko wiedział, pomyślałam, patrząc na niego. Nie kochałbyś mnie. Nikt by mnie nie kochał.

Nagle moja córka się rozpląkała.

– Boję się, mamó. Nie wiem, jak obchodzić się z dzieckiem. A jeśli zrobię coś nie tak?

Mój zięć również wyglądał na podenerwowanego.

Uświadomiłam sobie, że jestem im potrzebna. Musiałam być silna dla swojej córki i jej rodziny. Dla ich dobra musiałam spróbować zapomnieć o przeszłości.

– Nie martwcie się – uspokoiliam ją z pewnością siebie, której wcale nie czułam. – Jesteśmy tu dla was. Prawda, Roger?

Spojrzałam na niego.

– Tak. – Pokiwał głową.

Narodziny Josha wszystko zmieniły. Josh zbliżył mnie i Rogera tak, jak nie zrobili tego nasze własne dzieci. Amy i Charles mieszkali w Londynie i spędzaliśmy tam niemal każdy weekend. Kiedy Amy dostała pracę jako szefowa działu PR, Josh całymi dniami pozostawał pod naszą opieką.

Postanowiłam, że będę silna dla córki, i dotrzymałam słowa. Nie panikowałam, nawet gdy Josh, który niedawno zaczął chodzić, uderzył głową w kant stołu.

– Jesteś pewna, że nic mu się nie stało? – spytał Roger.

– Tak, nic mu nie jest, prawda, Josh? – Chwilę później przestał płakać.

– Przy moich dzieciach byłeś dużo bardziej nerwowa – skomentował Roger.

Często używał słowa „moje”, jakby chciał podkreślić, że coś do niego należy.

– Ale teraz jest inaczej, bo będąc babcią, mogę na koniec dnia oddać dziecko rodzicom – odparłam.

Nie powiedziałam mu, że nie chcę przenosić na Josha swoich lęków.

– Wyglądasz inaczej – stwierdziła jedna z moich koleżanek, kiedy wydawałyśmy posiłki bezdomnym. – Promieniejesz.

Kiedy spjrzałam w lustro, musiałam przyznać jej rację. Nic nie było w stanie przygotować mnie na taki ogrom miłości. Narodziny Josha jeszcze bardziej uwrażliwiły mnie na niesprawiedliwości świata. Rozpląkałam się, oglądając dokument o rodzinach w Anglii, którym ledwie starcza pieniędzy na wykarmienie dzieci. Nie podobała mi się myśl, że mój wnuk będzie dorastał w świecie, gdzie człowiek może być bajecznie bogaty albo nie mieć dachu nad głową. Dlatego zaoferowałam pomoc w banku żywności, spędzałam więcej czasu w jadalni dla ubogich i zawsze kupowałam kanapkę i kawę kobiecie z ogoloną głową, sprzedającej „Big Issue” przed Boots. Nigdy nie wiadomo, co może się nam przydarzyć, powtarzałam sobie.

Josh zaczął już mówić, chociaż nie potrafił powiedzieć „babusia”, więc zostałam „busią”. Zawsze, gdy do nich przyjeżdżaliśmy, wpadał mi w ramiona, tulił się i obsypywał pocałunkami.

Dałabym się za niego pokroić. Zrobiłabym wszystko, byle tylko był bezpieczny. Żałowałam jedynie, że nie mogę widywać go częściej.

Niedługo po pierwszych urodzinach Josha zadzwoniła moja córka.

– Co byście powiedzieli, gdybyśmy przenieśli się do Oxfordshire, niedaleko was? – zapytała podekscytowana.

Niedawno wyprowadziliśmy się z naszego wiejskiego domku. Roger szczęśliwie zainwestował część pieniędzy z mojego funduszu w akcje, dzięki czemu mogliśmy kupić uroczy kremowo-żółty dom w stylu królowej Anny, na obrzeżach tętniącego życiem miasteczka targowego niedaleko Oksfordu.

– Charlesowi zaproponowano przeniesienie. Pieniądze są świetne, a dzięki różnicy w cenach nieruchomości mogłabym pracować tylko na pół etatu, gdybyś zgodziła się dalej mi pomagać.

– To cudownie! – wykrzyknęłam.

Byłam absolutnie zachwycona. Rogerowi i mnie układało się lepiej niż kiedykolwiek, no i miałam swojego kochanego wnuka. Pomyślałam, że może w końcu udało mi się wyjść z mroku. Czekał mnie nowy początek.

Pewnego dnia ktoś mnie odwiedził. Wracając z zebrania komitetu organizacyjnego akcji „Zbieramy pieniądze na koldry”, zobaczyłam stojącą przed domem taksówkę. Roger czekał na mnie w drzwiach. Twarz miał poważną. Coś stało się Joshowi, pomyślałam odruchowo.

– Ktoś chce się z tobą widzieć – powiedział. – Jest w salonie.

– Kto? – spytałam drżącym głosem.

Posiłam w duchu, żeby to nie była kolejna z kochanek Rogera. Czy nie zapewniał mnie, że już z tym skończył?

Przyglądał mi się badawczo.

– Mówi, że jest twoją macochą.

W tamtej chwili wiedziałam, że to koniec. Całe życie na to czekałam.

Poczułam suchość w ustach.

– Mogę wytłumaczyć...

– Później – przerwał mi. – Najpierw z nią porozmawiaj.

Z trudem rozpoznałam kobietę siedzącą sztywno na skraju naszej kanapy. Zniknął ciężki makijaż. Twarz miała pomarszczoną jak skóra żółwia. W dłoni ścisnęła laskę. Ale patrzyła na mnie tym samym oskarżycielskim wzrokiem jak wtedy, gdy widziałam ją po raz ostatni.

– Przyjechałam, żeby osobiście powiedzieć ci o ojcu – odezwała się.

Ciężko opadłam na krzesło.

– Jak poinformowałam już twojego męża, zmarł w ubiegłym tygodniu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Mój tatuś, który pocieszał mnie, gdy umarła mama. Zrzucałam mu życie i już nigdy nie będę w stanie mu tego wynagrodzić. Gardło miałam ściśnięte z żalu, smutku i złości – nie tylko na niego, ale też na siebie.

– Jak? – spytałam tylko.

– Lekarze powiedzieli, że to zapalenie płuc. – Dźwignęła się i wsparta na lasce, pokuśtykała w moją stronę. – Ale ja wiem, że pękło mu serce. Zabiłaś go, Ellie. Tak jak zabiłaś mojego syna.



Idąc długą hałaśliwą ulicą, mijamy stare kamienne mury z łukowymi oknami bez szyb, stojące na rondzie, pośród ulicznego ruchu.

– Kiedyś to był kościół, ale został zbombardowany podczas wojny – mówi gość z jarmarku, widząc, że zerkam na ruiny.

– Dlaczego go nie odbudowali? – pytam, próbując przekrzyczeć uliczny zgiełk.

– Może dlatego, żebyśmy pamiętali o przeszłości.

Wzdrygam się. Moim zdaniem lepiej zapomnieć.

Robi się ciemno i zimno. Ząb boli mnie tak bardzo, że nie mogę jasno myśleć. Powłóczę nogami.

– Już niedaleko – rzuca, kiedy skręcamy w jedną z bocznych uliczek. – A przy okazji, ja jestem Nick, a to Madge. A ty jak masz na imię?

– Jo. – Na ulicy nikt nie pyta o nazwiska.

– Dokąd podróżujesz, Jo?

– Tu i tam.

Mówię mało, bo bolą mnie dziąsła. I denerwuję się. Ktoś poradził mi kiedyś, żeby nie zdradzać za wiele. Zbyt często o tym zapominam.

Skręcamy w lewo, a potem w prawo. W końcu docieramy do małego szeregowca, w którym okna od frontu są zabite deskami. Na ścieżce stoi otwarty kubeł na śmieci, a na popękanych płytach chodnikowych beański kot obwąchuje pustą puszkę. Nick wyciąga z kieszeni klucz z przyczepionym do niego długim sznurkiem. Przez dłuższą chwilę grzebie przy zamku, ale drzwi w końcu się otwierają.

– Zapraszam – mówi.

Czuję zapach fajek, zioła i alkoholu. Z głębi domu dobiega heavymetalowa muzyka.

– Ścisz ten cholerny jazgot! – wrzeszczy mężczyzna siedzący po turecku naprzeciw mnie i zaraz zamyka oczy, jakby spał na siedząco.

– Facet ma świra na punkcie medytacji – tłumaczy Nick.

Pod ścianą stoi gąszcz rowerów. Nie ma tu dywanu. Są tylko gołe deski podłogowe. Splotiała tapeta w niebiesko-różowe kwiaty miejscami odłazi, jakby zawilgotniała. Po podłodze walają się buty, bluzy z kapturem, puste opakowania po chipsach i puszki po piwie.

Madge zauważa moje spojrzenie.

– Jest nas tu kilkoro – mówi. – Ale się dogadujemy. – Mruży oczy. – Czemu nie zamykasz ust?

– Boli mnie ząb – jęcę.

– No to jesteś we właściwym miejscu. – Nick obejmuje swoją dziewczynę. – Moja Madge była pomocą dentystryczną.

– Chcesz, żebym rzuciła okiem?

Jej głos jest miły. Łagodny. Nie ma w nim zazdrości. Może teraz, kiedy dobrze mi się przyjrzała, stwierdziła, że nie jestem dla niej żadnym zagrożeniem.

Kiwam głową.

– Chodź do kuchni.

Kuchnia jest tak mała, że ledwie się tam wciskam. Pięć, sześć osób stoi przy zlewie i pali skręty. Dookoła walają się puste opakowania po jedzeniu na wynos i cuchnie chińszczyzną. W zlewie piętrzą się brudne kubki. Podłoga się klei.

– Bądźcie tak mili i zróbcie pani miejsce, dobrze?

Madge sadza mnie przy kuchennym stole, który chyba coze się, gdy go dotykam. Potem otwiera szufladę i wyciąga z niej puszkę.

– Muszę wyparzyć narzędzia we wrzątku.

– Nadal lubisz grzebać ludziom w ustach, co, skarbie? – odzywa się brzuchaty gość.

– Wal się. Pani potrzebuje pomocy. Otwórz usta.

Przez ból jestem taka skołowana, że mija chwila, zanim uświadamiam sobie, że mówi do mnie.

– Jasna cholera. Widzę. Chyba trzeba go będzie wyrwać. Masz, połknij.

Wciska mi w dłoń dwie tabletki.

– Co to?

– Po prostu je połknij. Uśmierzą ból.

– My też dostaniemy? – pyta ktoś inny.

– Zamknijcie się i dajcie mi się skupić.

Wkrótce czuję się jak naćpana. Widzę, że Madge trzyma w dłoni kleszcze.

– Nie – bełkoczę i próbuję ją odepchnąć.

– Już dobrze. Za chwilę będzie po wszystkim.

Ból! Zupełnie jakby ktoś próbował urwać mi głowę. „Przestań!”, chcę wrzasnąć, ale nie mogę, bo Madge szarpie z całej siły.

– Kurwa, Madge – rzuca ktoś. – Krwawi jak zarzynane prosię.

– Wypluj do tego – mówi Madge. – Lepiej będzie, jak trochę poleżysz.

Nic więcej nie pamiętam.

14.10, 17 sierpnia 1984

Biegniemy przez ogród, klucząc między drzewami, żeby nie wpaść na Michaela, który szuka kryjówki. W końcu docieramy do zagajnika.

– Tutaj nie przyjdzie – dyszę i stoję oparta o brzozę, nie bacząc na to, że kora może pobrudzić mi sukienkę. – Powiedzieliśmy mu, że tu nie można się chować. Pamiętasz?

Peter się śmieje.

– Niezłe posunięcie – rzuca i przysuwa się do mnie. – W końcu – szepcze.

Oddycham z trudem, gdy przyciska wargi do moich warg. Wsuwa mi w usta język, jakby czegoś tam szukał. Dziewczyny miały rację. To trochę obrzydliwe. A może to ja robię coś złe?

Chwilę później ujmuję w dłonie moją twarz, jego język wiotczeje nieco i nagle wszystko wydaje się tak cudownie naturalne. Peter jęczy cicho, jak gdyby coś go bolało.

– Jesteś piękna – mówi.

Znowu się całujemy, a ja zapominam o całym świecie.

A potem zaczyna błądzić rękami po moich piersiach.

– Nie – mówię i odsuwam się od niego.

Marszczy czoło.

– Dlaczego?

Nie chcę mówić mu, że się boję. Jedna z dziewczyn w szkole ma siostrę, która zaszła w ciążę, bo „posunęła się za daleko”. To chyba znaczy, że pozwoliła chłopakowi dotykać się tam, gdzie mężczyzna może dotykać kobietę dopiero po ślubie.

Sęk w tym, że nie wiedziałam właściwie gdzie.

– Nie chcę ryzykować – powtarzam to, co mówiły inne dziewczyny, gdy rozmawiały o seksie.

Nawet nie bardzo wiem, co to znaczy. Ale Peter chyba rozumie.

– Nie będziemy ryzykować – mówi łagodnie. – Ale nic się nie stanie, jeśli dotknę twoich piersi.

– Na pewno? – pytam.

– Na pewno – potwierdza.

Ujmuję w dłoń moją pierś. Czuję, że coś dziwnego dzieje się z moim ciałem. Chwilę później leżymy na ziemi i czuję dłoń Petera na swoim nagim udzie.

– Nie mogę was znaleźć! – słyszę jak przez mgłę głos Michaela.

Peter pochyla się nade mną, żeby znowu mnie pocałować. Coraz śmielej wodzi dłońmi po moim ciele. Powinnam kazać mu przestać.

Ale się zatracam.

Sheila spojrziała na Rogera, który stał nieco za mną, wyraźnie zszokowany.

– Nie wiem, jak może pan mieszkać z morderczynią.

I wtedy zrozumiałam. Moja macocha liczyła na to, że nie wyznałam mężowi prawdy. W ostatecznym akcie zemsty chciała zrujnować życie, które budowałam z takim mozołem. I udało jej się.

– Ja nie... – zaczęłam.

– Nie szukaj wymówek! – zagrzmiała. – Obie dobrze wiemy, jak było naprawdę. A gdybyś znów chciała nakłamać, wiedz, że powiedziałam twojemu mężowi prawdę. – Odwróciła się do Rogera. – Może zechce pan odprowadzić mnie do taksówki?

Oszołomiona, osunęłam się na krzesło przy przeszklonych drzwiach wychodzących na ogród. Kiedy mój mąż wrócił, usiadł na kanapie, gdzie chwilę temu siedziała moja macocha, w drugim końcu pokoju, jakby chciał trzymać się ode mnie jak najdalej.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o Michaelu? – zapytał lodowato.

– Bo wtedy byś się ze mną nie ożenił. A może się mylę?

Jego milczenie wyjaśniło mi wszystko.

– Proszę, nie mów dzieciom – odezwałam się błagalnie. – Amy nigdy więcej nie pozwoliłaby mi zajmować się Joshem.

– A powinnaś się nim zajmować?

– Tak. – Załkałam.

– Zawsze czułem, że jest w tobie coś dziwnego. – Mówił jakby do siebie. – Spędziłaś cztery lata w wariatkowie.

– Nie mów tak.

Zignorował mnie.

– I nadal jesteś stuknięta.

– Wcale nie!

– Właśnie że tak. Wiecznie oskarżasz mnie o romanse.

– Bo je masz!

Z lekceważeniem machnęła ręką.

– Przelotne flirty. Ale nic nie może się równać z tym, co ty zrobiłaś. Prawda, Ellie?

Po tej rozmowie utraciliśmy tę odrobinę szczęścia, która – jak wierzyłam – pojawiła się w naszym małżeństwie. Roger nie był już skruszony. Co więcej, cieszył się, że ma nade mną przewagę. Za każdym

razem, gdy pytałam, czy zamierza wrócić późno, posyłał mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „Mam do tego wszelkie prawo”.

Pewnego razu, kiedy Amy i Charles przyszli do nas na lunch, zaczęli rozmawiać o głośnej sprawie, o której trąbiono w mediach. Wykończona młoda matka zasnęła podczas opieki nad raczkującym dzieckiem. Linka od żaluzji balkonowych zaplątała się chłopcu na szyi i się udusił.

– Ta kobieta powinna dostać dożywocie – stwierdziła moja córka. – Jak można żyć z czymś takim?

Roger wbił we mnie spojrzenie. Wytrzymałam je najdłużej, jak mogłam, po czym odwróciłam wzrok.

Później zaczął mnie oskarżać o drobne rzeczy, które zrobiłam albo których nie zrobiłam.

– Zabrałaś mój zegarek z szafki nocnej? – spytał pewnego dnia.

Zapewniłam go, że nie – Roger nienawidził, gdy ktoś dotykał jego rzeczy. Ale dzień później zegarek znalazł się po mojej stronie łóżka.

– Nie wiem, jak to się mogło stać – powiedziałam.

– Jesteś pewna? – Spojrzał na mnie dziwnie.

Oskarżenia ciągnęły się tak długo, że nie wiedziałam już, czy są prawdziwe, czy nie.

– Znowu skończył się cukier? – spytał Roger.

Niemożliwe. Niedawno kupiłam paczkę, bo razem z Joshem mieliśmy piec ciasteczka. Ale Roger miał rację. W domu nie było ani grama cukru. Akurat wtedy Luke przyleciał z Australii, żeby nas odwiedzić. Wyglądał, jakby zamierzał się za mną wstawić, ale się rozmyślił. Może on też uważał, że jestem szalona. A może naprawdę oszalałam.

Przed wizytą mojej macochy zaczęłam wierzyć, że potrafię opiekować się Joshem, ale teraz cały czas się o niego martwiłam.

– W porządku, mamó – uspokoiła mnie córka, gdy panikowałam, że Josh wchodzi na zjeżdżalnię w parku. – Nic mu nie będzie. Ostatnio jesteś jakaś podenerwowana. Między tobą a tatą wszystko w porządku?

– Tak – rzuciłam pospiesznie.

Przynajmniej Roger dotrzymał obietnicy i nie powiedział dzieciom o mojej przeszłości. Byłam jednak prawie pewna, że znowu zaczął się z kimś spotykać. Pachniał inaczej. A ja potrafiłam już odczytać znaki.

Poszłam do lekarza, żeby dał mi coś na uspokojenie. Trafiłam do nowej lekarki. Przepisała leki, ale wręczając mi receptę, dodała:

– Pewnie przyjmowała je pani kiedyś.

Nie wspomniała ani słowem o Highbridge.

– Tak – potwierdziłam.

– Niektóre traumy ciągną się latami – powiedziała powoli. – Wiem, że otrzymała pani pomoc, ale może chciałaby pani skorzystać z terapii?

– Nie, dziękuję. – Niby co by to dało?

Jakiś czas później jedna z koleżanek z klubu tenisowego wzięła mnie na stronę.

– Nie chcę wychodzić przed szereg, Ellie, ale jest coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć.

Znałam ten ton. Znowu chodziło o Rogera.

Zdaniem mojej przyjaciółki, spotykał się z kobietą, która niedawno dołączyła do klubu. Miała na imię Carole. I była kiedyś modelką. Piękna. Pewna siebie. Dwukrotna rozwódka. Bogata. Ktoś widział

ją i Rogera, jak w zeszłym tygodniu w porze lunchu wchodzili razem do hotelu Randolph.

Zaczęłam znowu przetrząsać jego kieszenie. Nic. Wstałam w nocy, żeby przejrzeć jego telefon. Poszłam z nim do kuchni, w obawie, że Roger obudzi się i przyłapie mnie na gorącym uczynku. Ale również nic nie znalazłam.

Dopiero wtedy pomyślałam o rzeczach do prania. Odkąd Roger przeszedł na emeryturę, sam prał swoje rzeczy. „Dzięki temu będę miał zajęcie”, powiedział. Myślałam, że chce mi pomóc. To właśnie tam go znalazłam. Prawie niewidoczny, a jednak. Ślad koralowopomarańczowej szminki na kołnierzyku koszuli. Ja używałam blad różowej.

To, co wydarzyło się później, na zawsze wyryło się w mojej pamięci. Często przypominam to sobie, jakbym nie była w stanie uwolnić się od tego wspomnienia.

Te same słowa. „To poważna sprawa. Wpłaciliśmy zaliczkę na mieszkanie w Clapham. Chodzi o to, że ja ją kocham”.

Poczułam się, jakbym znowu była w Highbridge. Wpadłam w histerię. W szal. Chwyciłam pierwszą lepszą rzecz, jaką miałam pod ręką – nożyczki kuchenne – i wbiłam sobie w nadgarstek.

– Miała pani szczęście, że nie uszkodziła tętnicy – powiedział młody lekarz, kiedy wyjaśniliśmy, że zacięłam się, wyciągając sznurek z pieczeni. – Musi pani bardziej uważać.

Spodziewałam się, że Roger powie mi, że jestem szalona, że się zraniłam. Ale on był znacznie bardziej cwany i udawał miłego. A może to było szczerze? W tamtym czasie sama już nie wiedziałam.

– Przepraszam za Carole – powiedział przygnębiony, kiedy wróciliśmy do domu. Pomógł mi wsiąść z samochodu. – Masz rację, jest za późno, żeby rozbijać rodzinę. Zakończę to, jeśli obiecasz mi, że nigdy więcej nie zrobisz krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu. – Westchnął. – Jeśli naprawdę chcesz, pójdziemy na terapię dla małżeństw.

Poczułam taką ulgę, że mu uwierzyłam.

Frajerka.

Kiedy się budzę, jestem w pokoju z mnóstwem innych ludzi. Powietrze cuchnie potem. Mam na nadgarstkach drobne swędzące bąble, które drapię aż do krwi. Wstaję i chwiejnym krokiem podchodzę do okna. Szyba jest zaparowana. Przecieram ją rękawem i widzę rozbiegającą się na wszystkie strony pajęczynę drobnych pęknięć. Na zewnątrz nadal jest ciemno.

Jasna cholera, ale ziąb. Obejmuję się ramionami. I tak jest tu cieplej niż na ławce w parku albo pod namiotem.

Uświadamiam sobie, że twarz już mnie nie boli. Badam językiem miękką, pulchną dziurę po zębie. Smakuje wyschniętą krwią. Boże, ale chce mi się sikać. Tylko gdzie jest toaleta? Auć! Potykam się o pustą butelkę po piwie. Postrzępiony dywan usiany jest petami. Koło moich nóg przebiega kot.

– Trzeba go nakarmić – odzywa się ktoś.

To Nick, gość z jarmarku. Ma na sobie tylko bokserki. Chcę odwrócić wzrok, ale ku swemu zakłopotaniu, nie potrafię. Jego pierś pokrywają ciemne włosy. Przeciąga się, jakby dopiero wstał.

– Wesołych świąt!

Mam ochotę zapytać go: „Co w nich takiego wesołego?”, ale boję się, że zacznie mnie zagadywać o rodzinę i takie tam.

– Lepiej się czujesz? – pyta. – Moja Madge jest naprawdę dobra w wyrywaniu zębów. Chyba nawet to lubi. – Nagle widzi, że rozglądam się za toaletą. – Kibelek jest tam.

Zimne powietrze wpada przez wybite okno. Nie ma papieru toaletowego, tylko z boku jest sterta gazet.

Obok toalety mieści się łazienka. Między pustymi butelkami leży grudka żółtego mydła. W umywalce ziele wielka dziura, jakby ktoś upuścił do środka coś ciężkiego, co ją roztrzaskało. Odkręcam kran i dopiero po chwili dociera do mnie, że woda leje się na podłogę. Na umywalce widzę szczoteczkę do zębów z wykrzywioną, poplamioną końcówką. Nie myłam zębów, odkąd opuściłam piekarnię, jednak nie zamierzam korzystać ze szczoteczki. Może jestem kloszardką, ale mam swoje zasady. Ta wygląda, jakby używał jej tu każdy.

Idę do kuchni. Nick wstawił wodę.

– Kawy?

Podaje mi kubek. Z jednej strony jest wyszczerbiony, a z drugiej ma napis „I ♥ Plymouth”. Piję kawę, żeby się rozgrzać.

– Tosta?

Wyciąga w moją stronę zimną kromkę.

– Niestety, nie mamy masła. Musimy poczekać na przypływ gotówki. – Poklepuje mnie po ręce. – Sprawa przedstawia się tak, Jo. Zaopiekowaliśmy się tobą, prawda? Moja dziewczyna wyrwała ci ząb,

miałaś gdzie przenocować i dostałaś śniadanie. Dlatego chcielibyśmy, żebyś coś dla nas zrobiła, dobra?

Spodziewałam się tego. Tak to zwykle bywa. Robisz coś dla kogoś, a ten ktoś musi zrobić coś dla ciebie.

– Mogę ci pomóc na straganie – proponuję.

Nick śmieje się i ociera usta wierzchem dłoni.

– Miałem na myśli coś innego. – Mruży oczy. – Zwykle nie ufam nowo poznanym, ale tak mi się zdaje, że ty sama masz kłopoty, co, Jo?

Robi mi się gorąco.

– Co masz na myśli? – pytam.

Krzyżuje ramiona na piersi, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Widzisz, Jo, zanim wszystko się popieprzyło, byłem gliniarzem. Nadal mam nosa i wiem, kiedy ktoś coś ukrywa. Oczywiście mógłbym zadzwonić do któregoś z dawnych kumpli, żeby cię sprawdzili, ale...

Zaczynam się trząść.

– Pomyślałem, że się dogadamy. – Nachyla się w moją stronę i dodaje ścisłym głosem: – Chcę, żebyś odebrała dla mnie pewną przesyłkę. I od razu ją tu przyniosła. Kapujesz?

Żołądek podjeżdża mi do gardła. Nie ma mowy. Nie jestem głupia. Pewnie chodzi o dragi. Z drugiej strony, jeśli się zgodzę, będę mogła się stąd wyrwać i poszukać bezpiecznej kryjówki. I nagle przypominam sobie, że to Boże Narodzenie. Wszystko jest pozamykane.

– Kiedy miałabym iść?

– Teraz.

Sięga do kieszeni i wyciąga skrawek papieru.

– Tu masz adres. Narysowałem ci mapkę. Zobacz. To niedaleko stąd. Obrócisz tam i z powrotem w dwadzieścia minut. Poszedłbym sam, ale powiedzmy, że gość, który tam mieszka, nie chce mnie widzieć.

Czuję, jak włoski na karku stają mi dęba.

– Jest agresywny? – pytam.

– Nie. Jeśli zrobisz, co ci każe. Dobra, zmykaj. Jak nie wrócisz, zadzwonię tu i tam. Chyba tego nie chcesz, co?

Zegar na wieży kościoła wskazuje dwadzieścia trzy po szóstej. Ulice są opustoszałe. Mijam starszego gościa, który śpi na rogu ulicy, otulony zniszczonym kocem, tak że wystają tylko kosmyki siwych włosów. Biedak. Wsuwam mu do kieszeni kurtki piątaką z pieniędzy, które chowam w staniku. Mam nadzieję, że w czasie, gdy śpi, nikt mu ich nie zabierze.

Idę w kierunku wskazanym na mapce. To kiosk. Tabliczka na drzwiach informuje: „Zamknięte”, ale z boku jest dzwonek. Wciskam guzik, lecz nikt się nie zjawia. Czuję, że zamarzają mi palce, więc szybko znów dzwonię.

– Zaraz, zaraz – odzywa się pretensjonalnym tonem. – Słyszałem.

Drzwi się otwierają i widzę potężnego gościa z wielkim brzuszyskiem i białą brodą. Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Jesteś nowa. Kto cię przysłał?

– Nick.



Facet spluwa na ziemię.

– Nie wymawiaj przy mnie tego imienia. – Wciska mi w rękę torbę. – Masz.

Zaglądam do środka. To zwinięty w rulon numer „Daily Mail”.

– Wszystko tam jest – warczy grubas. – I nie pytaj, co to takiego.

– Nie jestem głupia – oburzam się.

Rzuca okiem w jedną i w drugą stronę ulicy, jakby obawiał się, że ktoś może nas obserwować. A potem wbija we mnie wzrok.

– Czy ja cię już gdzieś nie widziałem?

– Podobno każdy ma swojego sobowtóra – odpowiadam i wzruszam ramionami, choć serce wali mi jak szalone.

Znów na mnie patrzy.

– No to zwijaj się, zanim ktoś cię zobaczy.

Idę szybko, co kilka minut oglądając się za siebie. Oddam przesyłkę i wyniosę się stamtąd. Byłam kretynką, myśląc, że facet z jarmarku mi pomoże. Na tym świecie każdy czegoś chce. Przypominam sobie Steve’a i pospiesznie odpycham od siebie to wspomnienie.

Mam skrócić w prawo czy w lewo? Nie pamiętam. Nagle widzę stojące na środku ronda ruiny. Już wiem, gdzie jestem, i w końcu odnajduję drogę, którą prowadził mnie wczoraj Nick. Jest i dom. Oddycham z ulgą. Drzwi są zamknięte. Wałę w nie. Ktoś wygląda przez okno.

– To ona – słyszę czyjś głos.

Drzwi się otwierają i Nick wrywa mi torbę.

Widzę Madge, stojącą z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Kto, do cholery, dał ci prawo!

Z początku myślę, że mówi do mnie, ale ona wrzeszczy na Nicka.

– Musiałem tak zrobić. Kogo innego mielibyśmy posłać? Ty zasnąłaś jak dziecko.

– Przecież jej, kurwa, nie znamy...

– W porządku – wtrącam się. – Nic nie powiem. Możecie mi ufać.

Madge gapi się na mnie, jakby to rozważała. Nagle zerka ponad moim ramieniem na ulicę.

– Co jest, kurwa... – zaczyna.

Mam wrażenie, że zaraz się na mnie rzuci, ale chwilę później słyszę dźwięk, który ścina mi krew w żyłach. Policyjne syreny. Tupot nóg.

– Jebana dziwko! – wrzeszczy Madge.

Z przerażenia nie mogę się ruszyć.

Madge wypada przez drzwi i rzuca się biegiem w górę ulicy. Widzę, jak jeden z policjantów ją łapie. Stoję jak wryta, gdy inny skuwa mi rękę na plecach.

– To ona, sierżancie! – woła. – Nie tamta!

W samochodzie widzę brzuchatego faceta z brodą, który dał mi gazetę.

Jasne włosy migają mi przed oczami. Sznur w moich rękach.

Słyszę, jak ktoś mówi:

– Elinor Halls, aresztuję cię za zabójstwo męża, Rogera Hallsa.

# CZĘŚĆ TRZECIA

Proces



*Wiązówka błotna (Filipendula ulmaria)*

Zwana również królową łąk albo kropidłem

błotnym, bo rzucano ją pod nogi panny młodej,

która miała po niej przejść. Kojarzona ze śmiercią,

ponieważ zapach jej kwiatów mógł podobno

wprowadzić człowieka w głęboki śmiertelny sen.

Stoję przed sędzią w gmachu sądu w Plymouth. Sala jest niemal pusta. Według mojej prawniczki jest to rozprawa mająca zdecydować o wysokości kaucji. Otwierają się drzwi i do sali wchodzi kobieta. Jest szczupła i ładna. Ma smutne oczy. Coś mi mówi, że powinnam ją znać. Ale nie znam.

– Jak mogłaś to zrobić, mamgo?! – krzyczy.

Mamo? O czym ona mówi?

Słyszę głos sekretarza sądowego.

– W sprawie zarzutów o zabójstwo – czy oskarżona przyznaje się do winy?

Sąd odmawia zwolnienia mnie za kaucją, więc do procesu będę siedziała w areszcie śledczym. Słyszałam, że może to trwać miesiącami, bo na procesy czeka wielu takich jak ja.

W mojej celi jest wąska prycza z półką, na której mogę trzymać swoje rzeczy. I druga, równie wąska, dla mojej współwięźniarki – chudej, podejrzanie wyglądającej dziewczyny. Mamy tu także toaletę, z której obie korzystamy.

Pracuję w kuchni przy płukaniu ziemniaków. Nie mogę przebywać w pobliżu noży.

Większość ludzi w kółko tylko marudzi. „Gówniana nora”, mówią. Ale przecież mamy dach nad głową, prawda? I ciepłą bieżącą wodę. Regularne posiłki. Łóżko. Telewizor w świetlicy. Może nie jest to hotel, ale nie brakuje tu niczego.

Hotel. Jak przez mgłę pamiętam pokój. I chłopca. Jednak wspomnienie szybko ulatuje.

Jestem skołowana. Czuję się zmęczona. Jakby gęsta mgła bez przerwy napierała mi na ramiona. Psycholożka, z którą rozmawiałam, powiedziała, że wróci, ale więcej się nie pojawiła.

Mówią mi, że mam gościa. Kto chciałby się ze mną widzieć? Imię brzmi znajomo, choć nie wiem dlaczego.

Serce mi wali, kiedy czekam razem z innymi. Musimy ustawić się w szeregu i dopiero wtedy prowadzą nas do pokoju widzeń. Patrzę na stoliki, przy których siedzą krewni i przyjaciele. I nagle go widzę.

Michael. Imię pojawia się w mojej głowie. Ależ wyrósł. To już prawdziwy mężczyzna. Biegnę do niego i próbuję zarzucić mu ręce na szyję, ale jest za wysoki.

– Żadnego dotykania – upomina mnie strażnik.

– Michael – mówię na głos.

Nie wiem, skąd go znam, ale wiem, że go kocham.

Uśmiech gaśnie mu na twarzy.

– Nie Michael, mamgo. Jestem Luke. Twój syn. Nie pamiętasz?

Waham się. Nie pamiętam tego imienia. Jednak coś mi świta.

– Australia – wyduszam z siebie.

– Tak. Byłem w Australii, ale wróciłem, żeby ci pomóc. – Głos mu się łamie. – Jesteś taka chuda i słaba.

Chce wziąć mnie za rękę, lecz strażnik mu nie pozwala.

– Amy nadal jest zła – mówi ten Luke. – Ale w końcu jej przejdzie.

Amy. Amy... To imię też brzmi znajomo.

– Pamiętasz Josha? – pyta szeptem.

Szukam w pamięci, ale nie jestem pewna.

– Nazywał cię „busią”.

Nagle przypominam sobie inne jasnowłose dziecko, które z otwartymi ramionami biegnie w moją stronę. Zaczynam płakać, choć nie wiem dlaczego.

Wysoki blondyn wsuwa mi coś w ręce. Patrzę zdumiona. To drewniane pudełeczko z wyrzeźbioną na wieczku szarotką alpejską. Instynktownie wiem, że pod spodem jest kluczyk. Przekręcam go i podnoszę wieczko. Powietrze wypełnia melodia. Opowiada o mojej mamie, która tańczyła ze mną po pokoju, kiedy byłam mała. O drobnym jasnowłosym chłopcu o imieniu Michael, którego imię niczym nóż wbija mi się w serce. I innym jasnowłosym dziecku, które umarło przeze mnie.

– Już dobrze, mam. Proszę, nie smuć się. To nie była twoja wina.

– Właśnie że była. – Płacę. Wszystko wraca do mnie jak przypadkowe kawałki układanki. Niektóre pasują do siebie, inne nie. – Nie ma już Josha.

– Jest – mówi mężczyzna, który twierdzi, że jest moim synem. Obejmuje mnie i kołysze w przód i w tył, jakbym była dzieckiem. – Jest.

Patrzę na niego.

– Jak to?

– Co dokładnie pamiętasz? – pyta łagodnie.

– Czerwoną koszulkę – mówię zduszonym głosem. – Unoszącą się na wodzie.

Strażnik nie patrzy w naszą stronę. Mężczyzna głaszcze mnie po rękach. Kreśli kółka na mojej skórze, jakby chciał mnie uspokoić.

– Tak, ale Josha w niej nie było. Był bezpieczny nad brzegiem stawu.

Strużki łez ściekają mi po twarzy. Jak? Dlaczego? Mam tyle pytań, lecz nie potrafię wypowiedzieć ich na głos.

– Dzięki Bogu – dyszę. – Moje dziecko. Mój skarb...

Nagle przestaje mnie głaskać. Puszczą moje ręce i patrzy na mnie ze strachem w oczach.

– Ale pamiętasz, co się stało z tatą?

Strażnik oznajmia, że mam kolejnego gościa. Najwyraźniej podpisałam jakąś zgodę, choć niczego takiego nie pamiętam. Wszystko wydaje się nierealne, w głowie mi się kręci. Wciąż jeszcze nie dociera do mnie to, co powiedział mi Luke. Jedna część mnie odczuwa taką ulgę, że mam ochotę skakać z radości. Druga jest kompletnie zszokowana. Prowadzą mnie do pokoju widzeń. Przypomina salę gimnastyczną w szkole, tyle że zamiast drabinek na ścianach są kraty w oknach. Czujni strażnicy krążą między stolikami. Jedna strona jest dla nas. Druga dla nich. Przy moim stoliku siedzi kobieta, którą widziałam na rozprawie. Czy to naprawdę córka, o której mi mówili?

Piękne ciemne loki Amy opadają jej miękko na ramiona. Ma na sobie kremowy żakiet. Jego widok przypomina mi wypad na zakupy. Czy kupiliśmy go razem? Zanim w naszym życiu pojawiła się Carole i wszystko zepsuła?

– Jak mogłaś, mammo? – zaczyna.

– Przepraszam – wyrzucam z siebie zduszonym głosem. – Wybacz mi.

Moja córka wybuchła płaczem. Jej smutek jest jak nóż wwiercający się w moją pierś. Nachylam się, żeby ją objąć, ale mnie odpycha. Każda matka chce pocieszać swoje dziecko, nieważne, ile ono ma lat. Ja jednak straciłam do tego prawo.

Rozglądałam się dookoła. W tym miejscu nie ma prywatności. Nie tylko nasze spotkanie jest pełne emocji.

– Tak bardzo brakuje mi taty. – Moja córka płacze.

– Mnie też...

– Nie waż się tak mówić! – Amy wali pięścią w stół. – Zabiłaś go. Josh też mógł zginąć przez twoje zaniedbania. To wszystko twoja wina.

Jakbym nie wiedziała. Czy nie to powtarzam sobie bez przerwy, w każdej sekundzie, każdej minucie, każdej godzinie, odkąd Luke powiedział mi prawdę? Odkąd moja stara pozytywka obudziła uśpione wspomnienia?

– Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy! – krzyczy Amy. – Jak mogłaś tak po prostu zabrać się i zniknąć na cztery i pół miesiąca?

– Nie płacz już. Teraz na twarzy mojej córki maluje się wściekłość.

– Nie wiedzieliśmy, czy żyjesz, i szczerze mówiąc, bywały chwile, gdy marzyłam o tym, żebyś zniknęła na dobre. Nie czujesz się nawet trochę winna?

– Tak. Oczywiście, że czuję się winna. – Kryję twarz w dłoniach.

– Musieliśmy powiedzieć Joshowi, że jego dziadek nie żyje.

Ogarnia mnie paniczny strach.

– Powiedziałaś mu, że...

– Nie mogę dokończyć zdania, ale ona wie, o co chcę zapytać.

Patrzy na mnie ze wstrętem.

– Nie. Nie powiedziałam mu, że jego babcia jest morderczynią.

– Dziękuję – mówię przez łzy.

– Nie dziękuj. Zrobiłam to dla niego. Nie dla ciebie. – Wstaje. – Popeliłam błąd, przychodząc tutaj. Od samego patrzenia na ciebie robi mi się niedobrze. Nie zasługujesz na to, żeby być matką. Wychodzę.

– Nie winię jej. Sama chciałabym uwolnić się od siebie. Tak jak podobno zrobiłam to wcześniej.

14.15, 17 sierpnia 1984

Głos Michaela rozbrzmiewa gdzieś niedaleko.

– Ellie? Gdzie jesteś? Poddaję się.

Peter odsuwa się ode mnie.

– Może lepiej go poszukaj.

– Nie – mówię gorączkowo i przyciągam go do siebie. – Nic mu nie będzie.

– Ellie! – Jak przez mgłę słyszę głos swojego brata. – Boję się.

Ale ja nie potrafię przestać.

Nie wiem, ile to trwa. Kiedy w końcu odsuwamy się od siebie, wargi mam cudownie obolałe i nabrzmiąte. Ze szczęścia kręci mi się w głowie.

– Kocham cię, Ellie – mówi Peter.

Serce wali mi jak szalone. Tego się nie spodziewałam! Ale chyba grzecznie byłoby odpowiedzieć tym samym.

– Ja ciebie też – dyszę.

Peter pochyla się i zrywa niezapominajkę, których pełno w zagajniku, i daje mi ją. Przyciskam ją do piersi, pamiętając, że był to jeden z ulubionych kwiatków mojej mamy.

– Zachowam ją na zawsze – szepczę. – Dziękuję.

I nagle sobie przypominam. Michael.

– Idę po ciebie! – wołam.

Cisza.

– Szukał nas wcześniej – mówię, czując, jak ogarnia mnie panika. – Tak długo nas nie było, że wyszedł z kryjówki.

– Może znowu się schował? – rzuca Peter. – Zajrzyjmy do szopy na drewno. Wcześniej powiedziałem, że to dobre miejsce, by się ukryć.

Ale Michaela tam nie ma.

Nie ma go także w warzywniaku. Ani w ogrodzie różanym. Ani za żadnym z drzew.

Czuję w piersi lodowaty ucisk.

– Michael! – wołam. – To nie jest śmieszne! Gdzie jesteś?

Zdumiewające, co potrafi ludzki mózg, jeśli doprowadzić go do ostateczności. Moja psycholożka twierdzi, że cierpię na „złożony zespół stresu pourazowego oraz na dysocjacyjne zaburzenia nerwicowe”. Jej zdaniem wywołał to widok czerwonej koszulki mojego wnuka w stawie. Ja jednak uważam, że mój mózg tak bardzo się przeraził, że musiał to ukryć sam przed sobą.

Mogę tylko powiedzieć, że nie potrafię wskazać dokładnego momentu, w którym przestałam być Ellie i stałam się Jo. Teraz w ogóle nie pamiętam, że byłam Jo. Ale na nagraniach z kamer przemysłowych widać, jak wsiadam do autobusu w Oksfordzie i jak wysiadam w Bristolu. Kamery z innych miejsc uchwyciły mnie w części miasta zwanej Stokes Croft. Mam ogoloną głowę i noszę brudne ubrania. Naprawdę wcieliłam się w zupełnie inną postać.

Mówią, że po aresztowaniu nie poznałam własnych dzieci. To straszne.

Dopiero spotkanie z Lukiem sprawiło, że sobie przypomniałam. Luke, tak bardzo podobny do Michaela. Luke, który zwrócił mi moją pozytywkę, tak wiele dla mnie znaczącą przez tyle lat. Podobno dźwięk to silny wyzwalacz wspomnień i podejrzewam, że mój mózg był w końcu gotowy zmierzyć się z tym, co zrobiłam.

– Jesteś jedną z tych schizofreniczek? – pyta w kółko dziewczyna, z którą siedzę w celi.

Próbuję jej wytłumaczyć, że to nie takie proste, lecz ona nie rozumie. Kiedy kobiety w więzieniu dowiedziały się, kim jestem, zaczęły nazywać mnie „elegancką morderczynią”. Nie lubię myśleć o sobie jako o morderczyni. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Ale według Barbary, adwokatkę, którą wynajął dla mnie Luke, badania DNA nie pozostawiają wątpliwości. Równie obciążające są dowody z kamer, które Roger zainstalował w domu po serii włamań w okolicy. Jak na ironię, sama go o to prosiłam. Na nagraniu widać wyraźnie, jak duszę męża kablem od telefonu. Nie chciałam w to uwierzyć, dopóki nie pokazali mi filmu. Siedziałam szokowana, zakrywając usta dłonią. Czy to naprawdę byłam ja? Jak mogłam zrobić coś tak potwornego?

Ale kamery nie kłamią. Termin procesu się przesuwa. Najwyraźniej są jakieś zaległości. Mówią mi, żebym uzbroidła się w cierpliwość.

– Najważniejsze, Ellie, jest to, żebyś powiedziała prawdę – oznajmia Barbara. – Ława przysięgłych zwykle wie, kiedy ktoś kłamie.

Tylko jaka jest prawda, skoro nawet jej nie pamiętam?

Porządek dnia w więzieniu pozwala mi przetrwać to wszystko. Przypomina pobyt w Highbridge. Rano mamy „zajęcia”, choć są one skierowane głównie do tych z nas, które z tego czy innego powodu nie ukończyły szkoły. Robię się popularna, kiedy jedna z kobiet z mojego skrzydła odkrywa, że mam wyższe wykształcenie. „Pomożesz mi z angielskim?”, pyta w czasie wolnym po południu.



Inna prosi mnie o radę w sprawie eseju na temat uniwersytetu otwartego. Chętnie służę pomocą. Dzięki temu czuję się potrzebna; to również oznacza, że niektóre kobiety są dla mnie miłsze. Inne trzymają się ode mnie z daleka, jakby bały się, że je również mogą skrzywdzić. Niektóre okazują mi jawną wrogość. „Nie gadam z morderczyniami”, rzuca jedna i spluwa, gdy mijamy się na korytarzu. Mam także cichych wrogów. Pewnego dnia, kiedy po cotygodniowych zajęciach na siłowni poszłam do szatni, odkryłam, że ktoś narobił mi do buta. Strażnik powiedział, że mam to posprzątać i włożyć but jak gdyby nigdy nic.

Nocami rzucam się na wąskiej pryczy, starając się ułożyć na twardej jak skała poduszce. Często słyszę, jak kobiety krzyczą i walą w drzwi, a strażnicy każą się im zamknąć. Czasami słyszę przez ściany, jak któraś szlocha. Raz włączył się alarm, bo jedna z więźniarek podcięła sobie żyły nożem, który ukradła z kuchni. Nie wiem, co się z nią stało. W więzieniu nikt nic nie mówi. Na zewnątrz jest lato. Później nastaje jesień.

W sumie jestem w więzieniu od dziewięciu miesięcy. W końcu nadchodzi pierwszy dzień procesu. Wiozą mnie do sądu furgonetką. Kajdanki obcierają mi nadgarstki i ciężą jak kamień u szyi. Dwóch strażników prowadzi mnie tylnym wejściem do celi, w której czeka Barbara.

– Pamiętaj o wszystkim, o czym rozmawialiśmy – mówi.

Wydaje się inna. To nie tylko kwestia ubrania i peruki. Głos ma nerwowy.

Prawdę mówiąc, nie wiem, czy obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Nawet jeśli zostanę uniewinniona, nie odzyskam rodziny. Brutalna rzeczywistość wygląda tak, że nie jestem już Jo. Jestem Ellie Halls, kobietą, która zamordowała męża.

Strażnicy prowadzą mnie stromymi schodami do sali rozpraw. Zjawiam się tam jak matador na arenie, tyle że ja jestem bykiem. To ja stoję w klatce. Dopiero po chwili zbieram się na odwagę i rozglądam dookoła.

Sala pęka w szwach. Nigdzie nie widzę swoich dzieci. I nagle przypominam sobie, co mówiła mi Barbara. Świadkowie nie mogą przysłuchiwać się procesowi, dopóki nie zostaną wezwani. Ale na galerii w górze widzę znajome twarze. Przyjaciółki z klubu tenisowego, z klubu książki i z komitetu na rzecz przeciwdziałania bezdomności, do którego należałam kiedyś w Oxfordshire.

Wbijam paznokcie w dłoń, szukając wzrokiem Carole z jej długimi lśniącymi włosami i markowymi okularami przeciwsłonecznymi. Chciałabym zrzucić na nią całą winę, lecz prawda jest taka, że była jedynie kroplą, która przelała czarę goryczy. Tak czy inaczej, nie ma jej tutaj. Przez ułamek sekundy jakbym widziała Jo, ale pewnie tylko mi się zdaje. Już od dawna jej nie ma.

Wchodzi sędzia. Zaczyna się proces. Na sali rozpraw słyszę szmery i poszeptywania.

Barbara uprzedziła mnie, że jako pierwszy zabierze głos prokuratorka.

Zamykam oczy i próbuję nie myśleć o wszystkich tych oskarżycielskich słowach, które rozbrzmiewają w sali rozpraw, wypowiedziane pompacyjnym głosem z akcentem wyższych sfer. „Elinor Halls – znana również jako Ellie – z zimną krwią zamordowała męża, o czym świadczą ślady DNA pobrane z kabla telefonicznego, a także nagrania z kamer zainstalowanych w jej własnym domu. Jej rodzina była zdruzgotana. Zamiast oddać się w ręce sprawiedliwości, oskarżona zbiegła i przez ponad cztery miesiące ukrywała się, udając bezdomną kobietą, aż do czasu, gdy została zatrzymana przez policję Devonu i Kornwalii...”.

Zamykam oczy i staram się nie słuchać dalej. Niczym przez mgłę pamiętam, jak kolejni świadkowie zostają wezwani, by zeznawać przeciwko mnie, i jak Barbara bierze ich w krzyżowy ogień pytań. Jest

wśród nich policjant, który zeznaje, że mimo prowadzonych w całym kraju poszukiwań bezdomnej kobiety, znanej jako Jo, która – jak utrzymywałam – miała potwierdzić moje zeznania, nikogo takiego nie znaleziono. Mówi to tak, jakbym wszystko zmyśliła. Jakby Jo w ogóle nie istniała.

I nagle słyszę słowa, które mrozą mi krew w żyłach: „Wzywam na świadka Carole Kent”.

Sztynnięję. To dlatego kochanki mojego męża nie było na galerii. Chce mi się wymiotować, gdy zuchwałym krokiem idzie do miejsca dla świadków. Jej długie, szczupłe nogi w idealnie skrojonych cytrynowych spodniach nie uchodzą niczyjej uwadze. Wszyscy na nią patrzą.

Po kilku wstępnych pytaniach oskarżycielka przystępuje do rzeczy.

– Czy miała pani romans z Rogerem Hallsem?

Napięcie na ławie przysięgłych i galerii jest niemal wyczuwalne. Kochanka mojego męża patrzy prosto na mnie. Serce wali mi tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz zemdleję.

– Nie nazwałabym tego tylko romansem – odpowiada Carole tym swoim irytującym głosem małej dziewczynki. – My się kochaliśmy.

Krzywię się.

– Co pan Halls mówił pani o swojej żonie?

Carole śmieje się lodowato.

– Od czego mam zacząć? Mówił, że kłamie i przekręca jego słowa, tak by wyglądało, że to ona ma zawsze rację.

Mam ochotę wrzasnąć: „To ty kłamiesz! To on tak robił, nie ja!”.

– Mówił też, że jest niestabilna emocjonalnie.

– To znaczy?

W jej oczach pojawiają się łzy.

– Powiedział, że kiedy była nastolatką, umarło dziecko, którym miała się opiekować.

W tłumie rozchodzi się jęk.

– To doprowadziło ją do załamania nerwowego. Roger mówił, że jej zachowanie bywało całkowicie nieprzewidywalne. – Zaczyna płakać. – I miał rację. Bo przecież zabiła go, prawda? Moim zdaniem powinna do końca życia siedzieć w zamknięciu. Inaczej znów kogoś zabije.

Sędzia prosi, by powstrzymała się od takich komentarzy, i przypomina, że liczą się tylko fakty. Żadnych domniemań czy okazywania emocji. Barbara uprzedzała mnie o tym, ale widzę po twarzach przysięgłych, że już za późno, stało się. Jest więcej świadków, lecz zeznania Carole z pewnością wystarczą, żeby mnie pogrążyć.

W końcu Barbara przedstawia moją historię. Głos obrończyni emanuje pełnym spokojem i autorytetem. I bardzo różni się od gniewnego wystąpienia oskarżycielki.

– Roger Halls nie żyje – mówi. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zamierzam jednak udowodnić, że w tamtej chwili poczatalność mojej klientki była ograniczona. Proszę o złożenie zeznań oskarżoną, Ellie Halls.

Krew dudni mi w głowie, kiedy prowadzą mnie na miejsce dla świadka. Przez chwilę niczego nie widzę ani nie słyszę. Dłonie mam mokre od potu. W ustach czuję suchość. Nie wiem, czy dam radę to zrobić.

Barbara i ja poznałyśmy się całkiem dobrze podczas jej wizyt w areszcie śledczym. Ale jak ktoś inny ma mnie zrozumieć, skoro ja sama siebie nie rozumiem?

– Ellie – mówi tym łagodnym głosem, który potrafi także być twardy i zdecydowany, o czym sama miałam okazję się przekonać. – Chciałabym, żebyśmy wróciły do dnia śmierci twojego męża, siedemnastego sierpnia dwa tysiące dziewiętnastego roku. Czy możesz opisać, co się wówczas wydarzyło?

– Opiekowałam się moim czteroletnim wnukiem, Joshem. – Głos znowu zaczyna mi drżeć. – Bawiliśmy się w ogrodzie. Wyglądało na to, że mój mąż rozmawiał z kimś przez telefon w swoim gabinecie. Wydawał się zdenerwowany. Ja... myślałam, że może to Carole, bo gdy rano wpadłam na nią w miasteczku, powiedziała mi, że nadal się spotykają. Wiedziała nawet o domku do zabawy, który mój mąż kupił dla naszego wnuka. Roger i ja pokłóciliśmy się. Nagle uświadomiłam sobie, że straciłam Josha z oczu. – Kolana zaczynają mi drżeć. – Wybiegłam do ogrodu, żeby go poszukać. I wtedy zobaczyłam, że część płotu oddzielającego nas od sąsiadów została wyłamana. Przecisnęłam się przez dziurę i zobaczyłam...

Zaciskam palce na barierce.

– ...zobaczyłam staw. Dopiero go zrobili. Na powierzchni wody unosiła się czerwona koszulka mojego wnuka. – Rozhisteryzowana, podnoszę głos. – Myślałam, że zginął... I przypomniałam sobie...

– Co, pani Halls?

– Proszę – jęczę. – Nie mogę.

– Dobrze. Rozumiem, że wciąż jest to dla pani trudny temat. Jeszcze do tego wrócimy. Czy może opowiedzieć pani, co wydarzyło się później?

Przerabiałam to już i z Barbarą, i z więzienną terapeutką. Jednak teraz wzdrygam się, świadoma, że wszyscy na mnie patrzą. Nie chcę mówić. Jeśli to zrobię, wszystko stanie się realne.

– Pani Halls. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Sąd musi poznać prawdę. – Barbara celowo mówi stanowczym głosem.

Uprzedzała mnie, że tak będzie. Chce zapobiec sceptycznej reakcji oskarżenia.

Próbuję wziąć się w garść.

– Ja... ja wróciłam biegiem do domu, żeby powiedzieć Rogerowi. I wtedy zobaczyłam, że nadal rozmawia przez telefon. Krążył po pokoju, klócił się z kimś. Prosił.

Nie mogę oddychać.

– Czulałam, że wciąż rozmawia z Carole, chociaż nie słyszałam, co mówił. Nawet nie wyszedł szukać Josha. On...

Biorę głęboki oddech. Barbara prawie niezauważalnie kiwa głową, żeby dodać mi sił.

– Otworzyłam drzwi i wrzasnęłam na niego, że zabił naszego wnuka, bo przez niego straciłam go z oczu.

Urywam. Gardło mam obolałe. Nie mogę oddychać.

– Co stało się później?

– Odepchnął mnie, jakby osoba, z którą rozmawiał, była ważniejsza. Wpadłam na stół i złamałam sobie ząb. Później zaczął mnie boleć i musiałam go wyrwać.

Na chwilę zawieszam głos i badam językiem dziurę po zębie.

– Dalej niewiele pamiętam. Ale pamiętam jego, Rogera, twarz, czerwoną i wściekłą.

Nie mówię, że tak naprawdę widziałam twarz mojego ojca po tamtym wypadku.

– Nie pamiętam, jak uciekałam. Ani jak rozmawiałam z Jo, co zeznali świadkowie. I jak dałam jej swoje ubrania.

– Jak zapłaciła pani za bilet autobusowy?

– Nie wiem. Nic nie pamiętam – mówię zbolalym głosem. – Chciałabym pamiętać.

Nagle osuwam się na podłogę. Czy popadam w obłąd? To nie byłby pierwszy raz...

Sędzia ogłasza przerwę, żebym mogła się uspokoić. Popijam wodę. Barbara mówi, że dobrze mi idzie. Oskarżycielka, która mnie przesłuchuje, najwyraźniej nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Proszę wybaczyć, ale ta skomplikowana diagnoza wydaje się dla pani dogodna.

Mówi to tak, jakby stwierdzała coś oczywistego.

– Kto z nas nie chciałby być kimś innym w chwili, gdy popełniamy jakiś błąd?

Ktoś na ławie przysięgłych parska rozbawiony.

– Zwłaszcza – ciągnie oskarżycielka – jeśli tym „błędem” jest zbrodnia. – Urywa. Twarz ma posępną. – Zabójstwo.

Kolejny członek ławy przysięgłych, mężczyzna z długimi bokobrodami, kiwa głową.

– Jak udowodni pani, że naprawdę wierzyła, że jest Jo, bezdomną sprzedawczynią „Big Issue”, poza tym, że próbuje nas pani przekonać, że cierpi na rozmaite zaburzenia psychiczne?

Dlaczego zadaje mi to pytanie, skoro już tłumaczyłam?

– Mówiłam już, że nawet nie pamiętam, że byłam Jo. – Nerwowo wykręcam palce. – Ale to prawda. Daję słowo.

– Słowo – powtarza oskarżycielka, po czym zwraca się do przysięgłych: – Pani Halls, która przyznała się do zabicia męża, chce, byśmy uwierzyli jej na słowo.

Rozlega się nerwowy chichot.

– Mamy też uwierzyć pani na słowo, że nie wiedziała pani, że Josh żyje.

– Oczywiście, że nie wiedziałam! – krzyczę. – Myślałam, że utonął.

Oskarżycielka zerka w notatki.

– Czy to prawda, że przebywała pani na ulicy od sierpnia do końca grudnia?

– Nie pamiętam.

– Rozumiem. Aresztowano panią w Plymouth. Jak dobrze zna pani to miasto?

– Nie znam. To znaczy niezupełnie. Pamiętam wakacje na południowym zachodzie z rodzicami, zanim umarła moja mama.

Na chwilę zamykam oczy. Na nagraniach z kamer na pewno widać, że przyjechałam autokarem. Czy to możliwe, że podświadomie kojarzyłam to miejsce z czymś dobrym?

– Pomimo tego, co powiedziała pani chwilę temu, przysięgli mogą mieć problem ze zrozumieniem, jak „stała się” pani Jo. Dlaczego właśnie nią? Dlaczego nie kimś sławnym, na przykład księżną Sussexu albo Marilyn Monroe?

Na ławie przysięgłych znowu rozlega się chichot. Ona ma jednak rację.

Od czego mam zacząć? To skomplikowane. Ale moja psycholożka pomogła mi to zrozumieć, dlatego muszę spróbować.

– Nie jestem pewna. Może dlatego, że nie znam nikogo sławnego. A Jo poznałam, zanim... zanim Roger umarł. Od chwili, gdy ją spotkałam, jakaś część mnie zazdrościła jej. Podobabo mi się, że może sobie chodzić, dokąd chce. Wtedy błędnie myślałam, że nie ma żadnych obowiązków. Teraz wiem, że moje podejście było żenująco protekcyjne. Jak ktokolwiek może zrozumieć życie innej osoby, nie żyjąc nim?

Celowo nie mówię, że myślałam, że Jo nie ma czasu na takie bzdury jak omijanie linii na chodnikach, i że podziwiałam ją za to, że kłęła jak szewc. Dochodzę do wniosku, że pewnych rzeczy lepiej w sądzie nie mówić.

Przysięgli słuchają mnie jak urzeczeni. Czuję się, jakbym odbywała z nimi prywatną rozmowę.

– Wiedziałałam dużo o jej życiu. Powiedziała mi, że kilka razy była w więzieniu, i opowiadała, jak tam jest. Mówiła o tym, jak wyglądało jej życie w domach dziecka, gdzie nie mogła się odnaleźć, i o tym, że często uciekała ze szkoły. Odebrano jej dzieci i straciła z nimi kontakt. Miałam koszmary, kiedy opowiedziała mi o przyjacielu, któremu jakiś bezdomny na metamfetaminie poderżnął gardło. Przerazał mnie jej lęk, że na ulicy nigdy nie jest się bezpiecznym. Myślę, że to wszystko zostało mi w głowie.

– A jak wytłumaczy pani swoje podejrzone zachowanie? Zmieniła pani wygląd, żeby upodobnić się do niej.

– Nie pamiętam, jak ogoliłam głowę... może zrobiłam to, bo złapałam wszy.

Barbara siada. Zapada krótka cisza, którą przerywa oskarżycielka.

– Ładnie powiedziane, pani Halls. A czy to prawda, że kiedyś próbowała pani znaleźć dla Jo lokum tutaj w miasteczku?

Barbara wygląda na zmartwioną. „Oskarżycielka może udawać miłą – uprzedzała mnie. – A następnie wykorzysta to, co powiesz, żeby uderzyć w czuły punkt”. Ale ja mogę mówić tylko prawdę.

Głos mam drżący i schrypnięty.

– W komitecie na rzecz przeciwdziałania bezdomności, gdzie pracowałam, rozmawialiśmy z radą miasta. Chciałam, żeby zamieszkała w naszej altanie, ale mój mąż się nie zgodził. Twierdził, że to „niebezpieczne” i że mogłaby zamordować nas we śnie.

Zapada cisza. Ironia moich słów nie umyka nikomu.

– Wiedziała pani, że policja przesłuchiwała ją w sprawie serti włamań w okolicy?

– Nie. – Zaczynam się denerwować. – Gdybym wiedziała, nie zapraszałabym jej do naszego domu.

– Ale ją pani zaprosiła, prawda? – pyta oskarżycielka nieco ostrzejszym głosem.

– No cóż... tak. Łało jak z cebra, a ona była kompletnie przemoczona. Dałam jej suche ubrania.

– A jak zareagował na to pani mąż?

– Nie było go.

– Powiedziała mu pani później?

– Nie.

– Czy we własnej ocenie była pani naiwna? Może łatwowierna?

– Nie. Staralam się być dobrym człowiekiem.

– Czy we własnej ocenie była pani kłamcą?

– NIE.

– Czy jej trudna sytuacja poruszyła panią?

– Tak. Ale nie dlatego...

– Czy dlatego, że jako młoda dziewczyna straciła pani własny dom i została umieszczona w szpitalu dla obłąkanych?

Zastanawiałam się, kiedy wypłynie ten temat.

– To przestarzała nazwa – odparowuję. – To była prywatna placówka.

– Jak pani chce. Z tego, co wiem, trafiła tam pani z powodu załamania nerwowego.

– Tak.

– Rozumiem. Później zaangażowała się pani w pracę dla więźniów. Może pani opowiedzieć nam o tym nieco więcej?

Co ona chce wiedzieć?

– Koleżanka z klubu książki zapytała, czy byłabym zainteresowana. Zachęcała mnie, żebym ubiegała się o stanowisko w niezależnej radzie do spraw nadzoru... To grupa ochotników, którzy odwiedzają więzienia i sprawdzają, czy wszystko jest w nich jak należy.

Nie miałam pojęcia, że już niedługo sama znajdę się w takiej sytuacji.

– Niektórzy z nas, ja również, uczyli czytać więźniów, którzy mieli z tym problemy. Zrezygnowałam, kiedy urodził się Josh, żeby spędzać z nim więcej czasu.

– Dlaczego w ogóle zdecydowała się pani na wolontariat w więzieniu?

– Myślałam, że moim obowiązkiem jest zrobić coś dla społeczności. I dlatego, że sama miałam dom i dzieci.

– Czyli nie jest prawdą, że wszystkie te doświadczenia pomogły pani stworzyć fałszywą tożsamość? I że traktowała pani tych ludzi jak obiekty badań?

A więc o to jej chodzi.

– Nie. – Jak mogę ją przekonać? – Może mieli wpływ na moją psychikę, ale nie byłam tego świadoma.

– Psychikę. – Oskarżycielka powtarza to słowo, jakby nie dawała mu wiary. – Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, Ellie, jak ważna jest dla pani rodzina?

Gula w gardle jest tak duża, że prawie nie mogę mówić.

– Bardzo – wyduszam z siebie.

Przed oczami staje mi moja mama. Jej delikatna skóra pachnie różami. Wciąż widzę, jak razem zrywamy kwiaty, i pamiętam, jak opowiada mi historię o niezapominajce.

14.20, 17 sierpnia 1984

– Michael! – wołam znowu, tym razem jeszcze głośniejsz.

Peter jest za mną.

– Nie martw się – uspokaja mnie. – Pewnie wrócił do domu.

Oczywiście. Rzucam się biegiem.

– Zaczekaj. – Peter mnie dogania. – Musimy ustalić, co im powiemy.

To bez znaczenia. Muszę tylko znaleźć mojego braciszka.

Przyspieszam.

– Michael! – krzyczę i biegnę przez trawnik, a potem przecinam patio, na którym tłum dorosłych popija drinki i spogląda na nas z dezaprobatą.

Mija chwila, zanim znajduję ojca i macochę. W końcu dostrzegam ich w jednym z przestronnych pokoi. Sheila żywo rozmawia z jakąś kobietą o tym, że zamierza dołączyć do miejscowego klubu golfa, bo „odrobina życia towarzyskiego nikomu nie zaszkodzi”. Tata stoi obok niej, trzyma kieliszek wina i patrzy przed siebie.

– Jest z wami Michael? – dyszę.

– Ellie, przecież ci mówiłam. Nie przeszkadzaj... – Nagle zmienia się na twarzy, gdy dociera do niej znaczenie moich słów. – Jak to? Myślałam, że jest z tobą.

– Bawiliśmy się w chowanego i Michael uciekł – słyszę za plecami głos Petera.

Widzę, że Sheila mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Wiem aż za dobrze, że sukienkę mam pomiętą, tu i ówdzie zieloną od mchu porastającego pień drzewa, do którego przyparł mnie Peter.

Macocha chwyta mnie za ramię, jej długie czerwone paznokcie wbijają mi się w skórę.

– Pokaż, gdzie widziałaś go po raz ostatni – mówi ostrym, podniesionym głosem. – Gdzie? Ellie! GDZIE?!

To czwarty dzień procesu. Na zmianę to skupiam się, to odpływam myślami, ale od czasu do czasu moją uwagę przyciągają niektóre postaci, jak ta ładna kobieta w kwiecistej sukience. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to Hilary, moja więzienna psycholożka.

– Zespół stresu pourazowego charakteryzuje się trzema głównymi cechami – zaczyna. Mówi spokojnym, czystym głosem człowieka, który zna się na rzeczy, i wyczuwam, że przysięgli słuchają jej z uwagą. – To unikanie, natarczywe myśli i nadmierna czujność. Człowiek nie ma na nie wpływu, tak więc nie można uznać tego za wygodne „usprawiedliwienie” przestępstwa. Dysocjację może wywołać niepokojące lub przygnębiające wydarzenie związane z traumą z przeszłości. Należy zrozumieć, że istnieje szerokie spektrum dysocjacji i stanów dysocjacyjnych. Zaczynają się od najbardziej powszechnych, na przykład gdy podczas rozmowy myślimy o czymś zupełnie innym albo nie pamiętamy, w jaki sposób dotarliśmy na miejsce, nawet jeśli sami przyjechaliśmy samochodem.

Kilkoro przysięgłych kiwa głowami.

– Sytuacja staje się poważniejsza – ciągnie Hilary – gdy dana osoba przez dłuższy czas sprawia wrażenie nieobecnej. Istnieje również tak zwana fuga dysocjacyjna, na którą, jak sądzę, cierpiała Ellie. Przejawia się ona poczuciem dezorientacji, utratą pamięci o własnej przeszłości i przypuszczeniem, że nowa tożsamość coś nam wynagrodzi. Osoba cierpiąca na fugę dysocjacyjną porzuca znajome środowisko i wydaje się podróżować celowo. Moim zdaniem widok koszulki wnuka, unoszącej się na wzdwie, obudził w Ellie te same uczucia, których doświadczyła, gdy zginął jej brat, Michael.

Facet z bokobrodami wydyma wargi, jakby nie wierzył w ani jedno jej słowo.

– Co więcej, Josh, wnuk Ellie, był w tym samym wieku co jej brat, Michael. To normalne, że osoba, która w dzieciństwie przeżyła traumę, reaguje w niezrównoważony sposób i zbyt emocjonalnie, gdy jej własne dziecko... lub jak w tym przypadku, wnuk... osiąga ten sam wiek.

Jedna z przysięgłych przewraca oczami, jakby nie kupowała tego, co mówi Hilary. Nie jest dobrze. Gdybym była jedną z nich, być może reagowałabym podobnie. Tymczasem Hilary, niezrażona, ciągnie:

– Wiemy z dokumentacji medycznych, na przykład żołnierzy wracających z Afganistanu, że niektóre zapachy, kolory, dźwięki i inne czynniki sensoryczne mogą sprawić, że osoba cierpiąca na zespół stresu pourazowego, czyli PTSD, wróci pamięcią do dramatycznego wydarzenia, z którym się one kojarzą.

Mężczyzna z bokobrodami pochylił się teraz do przodu i słucha z uwagą.

– W przypadku Ellie prawdopodobnie chodziło o wodę, jasne włosy i kolor czerwony. Ale było też coś jeszcze: utrata matki lata temu i nieszczęśliwe życie z macochą. Rankiem siedemnastego sierpnia ubiegłego roku Ellie spotkała na ulicy kochankę swojego męża, Carole Kent. To obudziło w niej strach, że może ona zniszczyć jej rodzinę, tak jak przed laty zrobiła to inna kobieta.

Psycholożka patrzy prosto na ławę przysięgłych.



– Każdy, kto doświadczył rozvodu lub śmierci, z pewnością to zrozumie.

W tłumie robi się lekkie poruszenie, niektórzy wyglądają na zakłopotanych.

Barbara zerka do swoich notatek.

– Czy mogłaby pani opowiedzieć nam nieco więcej o tym, jak PTSD łączy się z zaburzeniami osobowości?

– Oczywiście. Wątpię, by w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym zdiagnozowano u Ellie zespół stresu pourazowego. Ten termin został dodany do *Diagnostycznego i statystycznego podręcznika zaburzeń psychicznych* w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku i dla wielu lekarzy wciąż był jeszcze czymś względnie nowym. Uznano więc, że Ellie cierpi na depresję, i zalecono jej ECT, terapię elektrowstrząsami. Gdybyśmy mieli zdiagnozować ją dzisiaj, prawdopodobnie stwierdzilibyśmy, że cierpi na PTSD i skomplikowaną reakcją na śmierć bliskiej osoby. Do częstych objawów należą strategie unikowe i przybieranie nowej tożsamości. Może to być własna tożsamość z przeszłości, ktoś kompletnie zmyślony lub ktoś sławny. Jedna z moich pacjentek żyje w przekonaniu, że jest Michelle Obama.

W sali rozlega się chichot.

– Czasami – ciągnie Hilary – jest to osoba znana pacjentowi. Sądzę, że właśnie dlatego Ellie myślała, że jest Jo. Pragnę jednak zauważyć, że etykiety te mogą być mylące, ponieważ każdy człowiek reaguje inaczej. Niektórzy krytycy mogliby uważać, że Ellie cierpi na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Zwykle tak się dzieje, gdy pacjent przybiera dwie lub więcej tożsamości. Chcę jednak, by zrozumieli państwo, że bez względu na to, jak nazwiemy jej zaburzenie, Ellie naprawdę wierzyła, że jest Jo, chociaż teraz sobie tego nie przypomina.

– Oskarżenie i nas wszystkich interesuje jednak to, dlaczego Ellie wybrała właśnie tę kobietę – wtrąca Barbara. – Dlaczego nie, na przykład, kogoś w lepszym położeniu?

Hilary odpowiada pewnym siebie głosem.

– Przede wszystkim nie jest to kwestia celowego wyboru. Wyjaśnienia Ellie są dla mnie jak najbardziej wiarygodne. Jo reprezentowała wolność. Żyła na ulicy, blisko natury, nie odpowiadając przed nikim, jakkolwiek niedoskonałe może się to wydawać. A może dlatego, że Jo tak bardzo różniła się od Ellie. Była dla niej sposobem na to, by całkowicie odciąć się od swojej traumy.

Gdy jej słucham, mam wrażenie, że Hilary opisuje kogoś zupełnie innego. Czy to wszystko rzeczywiście dotyczy mnie? To prawda, że czułam dziwną sympatię do tej bezdomnej kobiety, z którą się zaprzyjaźniłam. Czasami nachodziły mnie myśli, że wielu z nas mogłoby się znaleźć w podobnej sytuacji.

– Czyżby? – pyta oskarżycielka. Stoi z ręką na biodrze, manifestując swój sceptycyzm. – Czy dopuszczalna jest inna diagnoza?

– Możliwe, że chodzi o zaburzenia osobowości albo zaburzenia adaptacyjne, ale to by nie tłumaczyło wszystkich symptomów. Jedyna diagnoza, jaka przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o objawach pani Halls, to złożone PTSD i dysocjacja.

– Czy jest coś jeszcze, co mogłaby nam pani powiedzieć o stanie Ellie?

– Mnóstwo. – Hilary zaciska usta. Wyczuwam, że już wcześniej kwestionowano jej diagnozę. – Często się zdarza, że pacjenci winią siebie za traumę, tak jak Ellie obwiniano o śmierć Michaela. To ona była w znacznej mierze odpowiedzialna za opiekowanie się bratem. Poczucie winy przyczyniło się do tego, że szukała dominującego partnera, który miał być dla niej rodzajem kary. PTSD sprawia również,

że człowiek staje się nadmiernie czujny. W przypadku Ellie był to ciągły strach, że coś straszego przydarzy się jej bliskim. Na przykład wnukowi.

Na miejsce dla świadka zostaje wezwana kolejna psycholożka. To jedna z tych, które leczyły mnie razem z Corneliussem. Nie podoba mi się to, co słyszę, więc się wyłączam.

Zaczynam nasłuchiwać, dopiero gdy słyszę stwierdzenia typu „utrata pamięci” i „wypieranie prawdy”.

– Właśnie to robiła Ellie w Highbridge – mówi psycholożka. – To był jej sposób na radzenie sobie z problemami. Tak samo było po śmierci Rogera. To kolejny dowód na to, że wszystko działo się w jej głowie i nie była to celowa próba oszustwa.

Kolejni ludzie zabierają głos. A ja znowu się gubię.

I nagle widzę Amy stojącą na miejscu dla świadka. Moją córkę. Wyciągam do niej rękę – chociaż jest za daleko, bym mogła jej dotknąć – lecz ona patrzy na mnie lodowatym wzrokiem. Ogarnia mnie strach.

– Tata nie był idealny, ale go kochałam.

Oczy jej błyszczą. Wygląda jak wtedy, gdy była nastolatką i podsłuchiwała, jak Roger i ja kłócimy się o jedną z jego studentek. Niedługo potem nakrzyczałam na nią, że nie odrobiła pracy domowej. „Przestań zrzędzić – warknęła wtedy. – Nic dziwnego, że tata cię już nie chce”. Zabolalo mnie to, chociaż wiedziałam, że wyżywa się na mnie, ale tak naprawdę jest zła na niego. Teraz robiła to samo.

– Musieliśmy powiedzieć naszemu synkowi, że jego dziadek nie żyje.

Chociaż już to słyszałam, robi mi się niedobrze. Gniewny głos mojej córki rozbrzmiewa na sali.

– Pytał o babcię, więc powiedzieliśmy mu, że wyjechała na wakacje. Codziennie rano po przebudzeniu pyta, czy busia już wróciła.

Szloch wrywa mi się z ust.

Cały ten ból, który próbowałam zepchnąć na samo dno, znów wypływa na powierzchnię. Chcę wiedzieć, jak Josh radzi sobie w nowej szkole. Kto go odprowadza, kiedy mnie nie ma? Kim są jego najlepsi przyjaciele? Czy nadal uwielbia krykieta? Tęsknię za jego ciepłymi, drobnymi ramionkami. Miękkimi włosami na moim policzku.

Chciałam, żeby Amy odwiedziła mnie z nim w więzieniu. Było tam mnóstwo „udogodnień dla rodzin”, w tym specjalny pokój dla dzieci, gdzie mogły się bawić z bliskimi. Ale kiedy to zaproponowałam, odparła, że chyba „zglupiałam” i że „zdenerwowałby się jeszcze bardziej, gdyby musiał potem wyjść”. Oczywiście miała rację.

– Czułam nienawiść do mamy, kiedy policja zaczęła podejrzewać, że to ona zamordowała tatę – ciągnie moja córka. – I byłam na nią wściekła, że nie pilnowała Josha jak należy. Mógł przecież utonąć. Odchodziliśmy od zmysłów, kiedy zniknęła. Ale wiele myślałam, odkąd ją aresztowano. Mój brat Luke i ja dowiedzieliśmy się o niej rzeczy, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia.

Urywa na chwilę. Oddech więźnie mi w gardle.

Amy mówi dalej:

– Nigdy nie opowiadała nam o swoim dzieciństwie. Ale to nie tłumaczy tego, że zabiła tatę. Była dobrą mamą. I cudowną babcią. Mój syn Josh... tęskni za nią. Ciągłe o niej mówię.

– Ja też za nim tęsknię! – wołam.

– Proszę się nie odzywać – kolejny raz upomina mnie sędzia. – Już panią ostrzegąłem. To pani nie pomaga.

Córka i ja patrzmy sobie w oczy. Wydaje mi się – mam nadzieję – że za fasadą chłodu widzę błysk przebaczenia. Chwilę później wychodzi.

Na miejscu dla świadka staje teraz mój syn. Luke mówi, że jego ojciec był „despotą i manipulatorem”.

– Tata tłumaczył, że mama wymyśla sobie jego romanse – dodaje. – I że każdy by się wściekł. Twierdził też, że robi pewne rzeczy, których wcale nie robiła. Raz, kiedy wpadłem do domu z wizytą, zobaczyłem, jak wysypuje do kosza cukier, a później, kiedy mama powiedziała, że przecież właśnie kupiła cukier, oskarżył ją, że kłamie. To z pozoru nieistotne sprawy, ale jeśli się powtarzają... Zamierzałem powiedzieć mamie o tym cukrze, jednak ojciec zagroził, że jeśli to zrobię, powie jej, że biorę narkotyki. Przechodziłem wtedy ciężki okres, ale teraz jestem już czysty. – Zakrywa twarz rękami. – Nie powinienem był pozwolić, żeby mu się upiekło.

Narkotyki? Do tego doprowadziliśmy naszego syna? Chcę go objąć. Przytulić. Mój synek. Dziecko, na które nie zasługuję. Nie po tym, co zrobiłam.

14.25, 17 sierpnia 1984

Kiedy wszyscy czworo biegnemy do ogrodu, Peter bełkocze coś, próbując wytłumaczyć, co się stało. Mam ochotę wrzasnąć na niego, żeby się zamknął. Liczy się tylko to, żebyśmy znaleźli mojego braciszka. Nieważne, jaka czeka mnie kara, byle nic mu się nie stało.

– Michael świetnie się z nami bawił – oznajmia Peter. – Graliśmy w chowanego. Pewnie wciąż się ukrywa i czeka, aż go znajdziemy. To nie nasza wina, że go nie ma.

Ale to BYŁA nasza wina. Specjalnie ukryliśmy się przed nim w zagajniku, do którego zabroniliśmy mu wchodzić. A ja nie zwracałam uwagi, kiedy mnie wołał. Kiedy mówił, że się boi, bo nie może nas znaleźć. Jest mi niedobrze. Wszystko to wydaje się takie nierzeczywiste.

Sheila biega jak oszalała po całym ogrodzie, wykrzykując jego imię.

– Michael! MICHAEL!

– Pokaż nam, gdzie dokładnie widziałas go po raz ostatni – mówi tata i chwyta mnie za łokieć.

Trzęsę się i próbuję coś wykrztusić, ale ze strachu słowa więzną mi w gardle.

– Mówiłam już, że bawiliśmy się w chowanego. Liczyliśmy do pięćdziesięciu i...

– Pytałem GDZIE? – przerywa mi tata.

Mam sucho w ustach.

– Tam – mówię cicho i wskazuję palcem.

– W zagajniku? – wrzeszczy Sheila. – To stąd te zielone ślady na sukience. Migdaliliście się, podczas gdy mój syn poszedł gdzieś, zostawiony bez opieki.

– To nie tak – rzuca rozpaczliwie Peter.

– Właśnie że tak – słyszę swój własny głos. – Przepraszam. Nie myślałam...

– Kto wpadł na pomysł, żeby bawić się w chowanego w tak wielkim ogrodzie? – krzyczy moja macocha.

– Ja – mówię płaczliwie.

Sheila chwyta mnie za kołnierz sukienki. Boli mnie gardło.

– Ty mała zdiro! Jeśli cokolwiek stanie się mojemu synowi, przysięgam na Boga, że osobiście dopilnuję, żebyś do końca życia płaciła za swój błąd!

– Sheila. – Głos taty jest ostry. – Skupmy się na tym, żeby odnaleźć Michaela, dobrze? Przecież musi gdzieś tu być.

Trwa drugi tydzień procesu. A może trzeci. Kto wie? Na miejsce dla świadka wzywają kobietę. Nazywa się White. Moja adwokatka powiedziała mi, że zgłosiła się, bo podobno pomogłam jej synowi, ale niczego takiego nie pamiętam.

– Mój syn, Alastair, uciekł z domu w wieku jedenastu lat. – mówi. – Wtedy tego nie wiedziałam, ale okazało się, że mój były już teraz partner wykorzystywał go. – Zaczyna szlochać, głos jej się łamie. – Nie widziałam synka przez trzy długie lata. Zmienił imię na Tim. Pewnego dnia na policję zadzwoniła anonimowa kobieta, która powiedziała, że Tim jest w pokoju hotelowym w Kornwalii. Odszukali go i przywieźli do domu. Poradziliśmy sobie z problemami. Zawsze będę jej wdzięczna. – Wyciera twarz chusteczką. – Kiedy przeczytaliśmy w gazetach o procesie i mój syn zobaczył jej zdjęcie, rozpoznał ją. Zgłosiłam to policji i dlatego tu jestem.

Albo ona kłamie, albo ja postradałam zmysły. Nie pamiętam, żebym podróżowała z jakimkolwiek chłopcem czy dzwoniła w jego sprawie na policję.

Kobieta patrzy prosto na mnie.

– Chcę, żeby wiedziała, że Szczęściarz ma się dobrze, a mój Alastair wciąż pisze swoje wiersze.

Wiersze. Czemu mam wrażenie, że coś mi się kojarzy? Przełykam wielką grudę, która utknęła mi w gardle.

Następnie Barbara otrzymuje pozwolenie na to, by wezwać na świadka Carole. Od samego patrzenia na nią robi mi się niedobrze.

– Czy Roger rozmawiał z panią, kiedy jego żona, jak sama przyznaje, zaatakowała go?

– Tak.

– Czy może zdradzić nam pani szczegóły tej rozmowy?

– Kilka miesięcy wcześniej Roger ze mną zerwał. Powiedział, że jego żona zraniła się, bo nie mogła znieść myśli, że chce ją zostawić. Postanowił więc „ratować małżeństwo”. – Ostatnie słowa wypowiada z ironicznym uśmieszkiem. – Odparłam, że trochę na to za późno.

Widzę, że niektórzy przysięgli marszczą brwi.

– Ale tamtego ranka wpadłam w miasteczku na jego żonę. Wyglądała na szczęśliwą i... poczułam się zazdrosna. Nie zasługiwała na Rogera. To mnie naprawdę kochał. Nie ją. Trwał przy niej z obowiązku.

– Rozmawiała pani z panią Halls?

Carole wzrusza ramionami.

– Być może.

– Czy zechce pani powtórzyć, co „być może” jej pani wtedy powiedziała?

Carole nie patrzy teraz na mnie.

– Powiedziała, że Roger i ja nadal się widzimy.

– Czy to była prawda?

Carole wbija wzrok w podłogę.

– Nie. Zamierzałam wrócić do Londynu. Powinnam była wyjechać wcześniej, ale kupno mieszkania się opóźniało.

– Okłamała ją pani w czymś jeszcze?

Wygląda teraz na zawstydzoną.

– Zasugerowałam, że pomogłam Rogerowi wybrać domek do zabawy dla ich wnuka. Tak naprawdę poszłam sama do centrum ogrodniczego i przypadkiem zobaczyłam, jak Roger go kupuje. Był z małym chłopcem, więc udał, że mnie nie widzi. Wiedziałam jednak, że mnie zauważył.

Przypominam sobie słowa Rogera, kiedy oskarżyłam go o to, że razem z Carole kupował ten domek. „To nie było tak...”, powiedział.

– Jak pani Halls zareagowała na pani słowa?

– Powiedziała, że kłamię. – Twarz ma ponurą. – Wszystko to wydarzyło się na głównej ulicy. Każdy mógł nas usłyszeć. Byłam wściekła. Kiedy wróciłam do domu, zadzwoniłam do Rogera.

– Co powiedział?

– Że chce zostać z żoną. Później usłyszałam jej głos. Było jasne, że przyłapała go, jak ze mną rozmawia.

– O której to było godzinie?

Carole wzrusza ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Trochę po lunchu.

– Co stało się później?

Krzywi się.

– Roger oznajmił, że nie chce więcej ze mną rozmawiać, i się rozłączył. Powiedział, że między nami koniec i żebym nigdy więcej do niego nie dzwoniła. Wtedy ja...

Urywa.

– Proszę kontynuować, pani Kent.

– Zagroziłam, że zabiję się, jeśli mnie zostawi. Nie mówiłam poważnie. Chciałam tylko, żeby odszedł od tej głupiej kobiety i był ze mną...

Głos jej się łamie i Carole wybucha płaczem. Pamiętam błagalny głos Rogera, kiedy rozmawiał przez telefon. Próbował ją od tego odwieść...

Reszta przesłuchania jest rozmazaną plamą, wiem jednak, że kolejni świadkowie zaświadcniają o moim „dobrym zachowaniu”. Są wśród nich przyjaciółki z komitetu na rzecz przeciwdziałania bezdomności, z niezależnej rady do spraw nadzoru i z banku żywności. Zaniedbany mężczyzna, który twierdzi, że spał razem ze mną w pustostanie w Plymouth, mówi, że inny mężczyzna, Nick, często wybierał bezdomne kobiety, które wykorzystywał jako kurierki narkotykowe. Tego też nie pamiętam. Wszystko to sprawia, że czuję się dziwnie i niepewnie. I mam wyrzuty sumienia. Jak to możliwe, że prowadziłam inne życie i nic o tym nie wiem?

Pojawia się też nasza sąsiadka, która potwierdza moje słowa.

– Chłopiec przeszedł przez dziurę w płocie... nie zauważyłam, że robotnicy pracujący przy stawie uszkodzili panel... i pobiegł prosto do wody. Pracowałam akurat w ogrodzie i pobiegłam za nim. Chwasty zaplątały mu się w kołnierzyk koszulki i prawie ściągnęły biedaka w dół, dlatego zanim pomogłam mu wyjść, musiałam zdjąć mu koszulkę. Wycierałam go ręcznikiem, kiedy przez dziurę

w płocie przecisnęła się jego babcia. Wołałam ją, jednak ona była jak sparaliżowana. Po prostu stała i patrzyła na staw. Zaczęłam biec w jej stronę, ale ona zniknęła za plotem. Pomyślałam, że może wszędzie frontowymi drzwiami, zaprowadziłam więc Josha do domu i tam na nią czekałam. Gdy w końcu poszliśmy do domu państwa Hallsów, nikt nie otwierał.

Na miejsce dla świadka zostaje wezwany pastor z Kornwalii. Jest tyczkowaty i wygląda jak chłopiec. Barbara uprzedzała mnie, że on również będzie zeznawał. Jego też nie pamiętam, chociaż pomarańczowe adidasy wydają się jakby znajome.

– Zgłosiłem się, gdy przeczytałem o całej sprawie w gazetach – mówi. – Na zdjęciu rozpoznałem kobietę, której próbowałem pomóc, gdy zastałem ją w swoim kościele. Myślę, że uciekła, bo bała się, że oskarżę ją o kradzież pieniędzy ze skrzynki na datki. Od razu podejrzewałem, że to sprawka gangu z Falmouth, który już wcześniej sprawiał nam problemy. – Wygląda na zasmuconego. – Zniknęła, zanim zdążyłem jej o tym powiedzieć.

Naprawdę tak było?

– Zauważyłem, że zawiesiła coś na drzewku z intencjami – dodaje.

Moja adwokatką kiwa głową.

– Członkowie ławy przysięgłych otrzymali zdjęcia tego dowodu, ale czy mógłby pastor powiedzieć nam o nim nieco więcej?

– Z chęcią. Na tyłach kościoła stoi niewielkie sztuczne drzewko. Obok niego leżą kartki, na których wierni mogą pisać wiadomości do Pana Boga i wieszac je na gałęziach. – Pastor sięga do kieszeni. – Mam ją przy sobie.

– Zechce pan przeczytać na głos?

– Oczywiście. To słowa *Kołysanki* Brahmsa. „Zaśnij już, zaśnij już...”.

Piosenka, którą śpiewałam Michaelowi, kiedy wieczorem kładłam go do łóżka! Ta sama, którą śpiewała mi moja mama, choć nie miałam pojęcia, że ma jakiś tytuł. Łzy spływają mi po policzkach.

– Wzywam na świadka Petera Gordona.

Petera? Sztynuję. Z pewnością nie chodzi o „mojego” Petera.

Patrzę na nieco apatycznego siwego mężczyznę, który podchodzi do miejsca dla świadków. Jak to możliwe, że to tamten chłopiec, którego kiedyś znałam i który tak dawno temu odmienił moje życie? Który zniechęcił mnie do seksu, bo czułam się winna po naszych pieszczotach w ogrodzie państwa Danielsów, które doprowadziły do śmierci Michaela. Nie rozpoznałabym go na ulicy. Peter zerka na mnie i natychmiast ucieka spojrzeniem.

– Czy to prawda, że był pan z panią Halls tamtego tragicznego dnia, gdy zginął jej brat Michael?

– Tak.

Mówi cicho, ledwie słyszalnie.

– Proszę mówić głośniejsze, panie Gordon.

– Tak – powtarza i wodzi dookoła zbolowanym wzrokiem. Nagle odwraca się w stronę przysięgłych, jakby to jego sądzono. – Już zawsze będę żył z wyrzutami sumienia. Obwiniam siebie... to była nie tylko wina Ellie. Chcieliśmy uwolnić się od Michaela, żeby побыć trochę sami. – Chowa twarz w dłoniach.

Coś każe mi spojrzeć w górę, na galerię. Jedna z siedzących tam kobiet patrzy na niego ze współczuciem. Intuicją podpowiada mi, że to jego żona.

Na twarzach przysięgłych litość miesza się z odrazą.

– Jak opisałby pan życie domowe Ellie? – pyta pospiesznie Barbara.

– Była nieszczęśliwa. Moja mama mówiła, że jej macocha źle ją traktuje, a ojciec Ellie jest zbyt słaby, żeby się jej przeciwstawić. Często wykluczali ją z rodzinnych wyjazdów i wykorzystywali jako opiekunkę do dziecka... właściwie nie miała własnego życia. Moja mama знаła panią Greenway, niezłą matkę Sheili.

Czuję ukłucie w sercu. Chociaż rozsądek podpowiadał mi, że moja sojuszniczka z pewnością już nie żyje, wieść o jej śmierci mnie zasmuca.

– Po wypadku – ciągnie Peter – pani Greenway poprosiła moją mamę, żeby odwiedziła ją w domu opieki, gdzie umieściła ją Sheila. Staruszka była bardzo roztrzęsiona. Powiedziała mojej mamie, że ani Ellie, ani ja nie powinniśmy czuć się odpowiedzialni za to, co się stało, i że Sheila sama powinna była lepiej opiekować się własnym dzieckiem. Powiedziała też, że jej córka miała dwie twarze. Gdy chciała, potrafiła być czarująca, ale była również doskonałą manipulatką. Tabletki, które łykała na depresję, najwyraźniej wpłynęły na jej zachowanie. Jej ojciec zniknął, zanim przyszła na świat, i Sheila zawsze miała mieszane uczucia wobec swoich dzieci, zarówno wobec Ellie, jak i Michaela. Według starszej pani bywała samolubna, co czasami prowadziło do rozmaitych zaniedbań.

– Może powie pan coś więcej na ten temat?

Dłonie mam spoczone, kiedy czekam, co zezna Peter.

– Tylko tyle, że Ellie miała bardzo trudne dzieciństwo. – Spogląda błagalnie na ławę przysięgłych. – I zasługuje na nasze współczucie.

Nie ma dalszych pytań. Peter opuszcza miejsce dla świadka, nawet na mnie nie patrząc. Nie ma potrzeby. Jesteśmy nierozwiązalnie połączeni wydarzeniami z przeszłości.

– Dziękuję – mówię do niego bezgłośnie.

Ale czy to wystarczy?

Staję przed ławą przysięgłych, by wyjaśnić „pewne kwestie, które wypłynęły”. Zaciskam pięści tak mocno, że paznokcie wbijają się w skórę, i przygotowuję się na to nieuchronne pytanie.

– Ellie, czy możesz nam powiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego dnia w ogrodzie?

Nie ucieknę przed tym. Muszę to z siebie wyrzucić. Tak powiedziała Barbara. Mówi, że jestem to winna Michaelowi. Jest mi lżej, kiedy ujmuje to w ten sposób.

Sędzia zezwolił, by Barbara przeczytała przysięgłym skrót moich spotkań – tych, o których mówiłam jej podczas naszych spotkań. Ale kiedy kończy, muszę dopowiedzieć resztę. Zamykam oczy. Dzięki temu mogę udawać, że mówię głośno do siebie. W ten sposób łatwiej mi wyrażać prawdziwe uczucia. W sali zapada cisza.



14.32, 17 sierpnia 1984

Lodowaty chłód ściska mnie w piersi. Prawie nie mogę oddychać. Ogród jest pusty, nie licząc czterech osób grających w krokieta. Dlaczego nie robią nic, żeby nam pomóc?

Zachowanie taty zmienia się w coś, co mama nazywała „stylem oficjalnym”.

– Wy przeszukajcie tę część ogrodu, a my przeszukamy tamtą. Musimy powiedzieć innym. – Przykłada ręce do ust i woła: – Zaginął mój syn! Czy mogliby państwo pomóc nam go szukać?

Ludzie, którzy jeszcze chwilę temu grali w krokieta, dołączają do nas. Tak samo jak Christine i jej rodzice.

– Nie martw się, moja droga – szepcze do mnie jej matka. – Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Pamiętam, jak ty i Christine zgubiłyście się w parku, kiedy byłyście małe. Twoja mama i ja odchodziłyśmy od zmysłów z niepokoju, ale znalazłyśmy was na huśtawkach, całe i zdrowe.

Tylko że one nie zaniedbały nas, tak jak ja Michaela...

Zerkam na Petera. To nie dzieje się naprawdę. To niemożliwe. Nie powinnam była proponować zabawy w chowanego. Nie powinnam była ukrywać się w zagajniku. Nie powinnam była ignorować swojego braciszka, kiedy wołał mnie, taki wystraszony...

– Musi gdzieś tu być – mówi z przekonaniem Peter, gdy idąca obok Christine próbuje dotrzymać mu kroku. – Założę się, że jest w szopie na drewno.

Ale Michaela tam nie ma.

Macocho nie przestaje go wołać, chociaż teraz brzmi to jak głośny szloch.

– MICHAEL! MICHAEL!

Dołącz do niej mój tata. W jego głosie pobrzmiewa desperacja.

– MICHAEL? GDZIE JESTEŚ?!

Coś, co zaczęło się jak zabawa, przerodziło się w koszmar zbyt straszny, by można go było ogarnąć umysłem.

Dotarliśmy na skraj ogrodu. Przecież nie mógł pójść dalej, prawda?

I nagle widzę małą żelazną furtkę, której nie zauważyłam wcześniej. Dokąd prowadzi?

W tej samej chwili duży ptak wzbija się w powietrze. Patrzy w dół, jakby mnie rozpoznał. Chociaż nie wiem, co się stało, przychodzi mi do głowy szalona myśl, że ten ptak to dusza mojego braciszka.

Wyrwam się w stronę furtki. Jest otwarta.

A potem słyszę straszny dźwięk. Gorszy niż krzyk. Nieludzki. Wyrwa się z mojej piersi.

– NIE! NIEEEEE!

Widzę basen i unoszące się na wodzie drobne ciało w czerwonej koszulce. Twarzą w dół. Obok niego na powierzchni podskakuje piłeczka tenisowa.

– Pani brat utonął – mówi moja adwokatka, kiedy w końcu milknę.

To nie pytanie, lecz stwierdzenie.

– Tak – szepczę.

Kolejny raz słyszę w głowie głos macochy po tym, jak zabrali ciało. „Umarło nie to dziecko – wyszłochała. – Przysięgam na Boga, że wolałabym, żeby to była twoja córka”.

– O sprawie pisano w gazetach – ciągnie Barbara, biorąc do ręki egzemplarz „Daily Telegraph”. – To numer z osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, a w nim nagłówek: DZIECKO GINIE W „TRAGICZNYM WYPADKU”.

Nawet teraz brzmi to nierealnie. Zbyt strasznie, żeby to pojąć. Grymas bólu na twarzy taty będzie prześladował mnie do końca życia. Podobnie jak rozpacz macochy. „Utopiłaś go!”, wrzeszczała. Rzuciła się na mnie i paznokciami rozorała mi twarz. „Zawsze byłaś o niego zazdrosna!”.

To prawda. Byłam zazdrosna. Był jej ukochanym dzieckiem. Gdyby nie Sheila, byłibyśmy tylko tata i ja. Ale kochałam braciszka. Nigdy w życiu nie zrobiłabym mu krzywdy.

Przekonałam się jednak, że równie łatwo jest zgrzeszyć, nie robiąc czegoś, jak i coś robiąc. Mój błąd polegał na tym, że spuściłam Michaela z oczu. A trzydzieści pięć lat później popełniłam ten sam błąd, opiekując się wnukiem.

– Po pogrzebie – podejmuje Barbara – próbowała się pani zabić, podcinając sobie żyły brzytwą ojca.

Co innego mi pozostawało? Nie potrafiłam dłużej żyć. „Nawet tego nie umiesz zrobić jak należy! – krzyknęła na mnie macocha, gdy okazało się, że ostrze minęło tętnicę. – Nie zasługujesz na to, żeby żyć!”.

Nie mogłam patrzeć na ojca. Jego smutek – i to, że się do niego przyczyniłam – prześladował mnie dniami i nocami. Żadne z nas nie dawało sobie rady z tą sytuacją. Pogrążona w bólu i złości, zamknęłam się w swoim pokoju i waliłam głową w ścianę. Kiedy tata wyważył drzwi, próbowałam wyskoczyć przez okno. A gdy wciągnął mnie do środka, zaczęłam okładać go pięściami, bo powstrzymał mnie przed zabiciem się.

– Przeżyła pani załamanie i trafiła do prywatnego ośrodka o nazwie Highbridge.

– Tak.

Myślę o Corneliusie i elektrowstrząsach, które uśmierzały ból, lecz nie zagłuszały niepokoju, jaki dźwigałam na plecach niczym worek kamieni. Przeszłam miesiączkować – to częsty efekt uboczny u kobiet, które przeżyły traumę. Złe wiadomości – zwłaszcza o śmierci dzieci – sprawiały, że zanosilałam się niekontrolowanym szlochem.

Gdybym nie wypila wtedy szampana, miałabym trzeźwy umysł i może lepiej opiekowałabym się braciszkiem. Po śmierci Michaela przysięgam sobie, że nigdy więcej nie wezmę do ust alkoholu.

– Jaki był stosunek pani ojca i macochy do pani, kiedy była w Highbridge? – pyta Barbara, wrywając mnie z zamyślenia.

– Obwiniali mnie o śmierć Michaela.

– Czy kiedykolwiek tam panią odwiedzili?

– Nie – odpowiadam cicho.

– Jest pani pewna?

Waham się.

– Tata chyba kilka razy próbował się ze mną zobaczyć, ale nie chciałam go widzieć. Nie pamiętam tego... elektrowstrząsy wpłynęły na moją pamięć. Cornelius powiedział mi o tym później. Potem, kiedy na świat przyszły moje dzieci, poczułam nagle pragnienie, żeby pokazać tacie jego wnuki. Napisałam do niego, informując go o ich narodzinach. Miałam nadzieję, że może to znów nas do siebie zbliży. Pewnego dnia, kiedy nie było mnie w domu, przyszedł do nas. Nie zczekał na mnie, ale zostawił list mojej sąsiadce, Jean. Napisał w nim, że głęboko poruszyło go podobieństwo Luke'a do Michaela. To był nasz ostatni kontakt.

Urywam i krzywię się z bólu, jaki sprawiły mi te słowa.

– A więc nie wybaczył pani.

– Lubię myśleć, że w głębi duszy to zrobił – mówię, mając w pamięci pozytywkę mamy, którą dla mnie zostawił. – Kiedy umarł, macocha przyjechała poinformować mnie o tym. Mój mąż był w szoku, gdy dowiedział się, że byłam w „wariatkowie”, jak to określił. Groził mi, że powie o wszystkim dzieciom. Czulałam, że cieszy się, mając coś, co może wykorzystać przeciwko mnie.

– Jak, pani zdaniem, odbiła się na pani ta tragedia?

– Prześladował mnie strach, że przez przypadek albo przez zaniedbanie mogę skrzywdzić własne dzieci, tak jak było z Michaeliem. Bałam się, że stracę rodzinę, zwłaszcza gdy Roger romansował z innymi kobietami.

Urywam, żeby nabrać tchu. Wszystko ze mnie wychodzi. Prawda. Ból, który trawił mnie od środka.

– Kiedy zostałam babcią, moja determinacja, żeby utrzymać razem rodzinę, stała się jeszcze silniejsza.

Pomimo powagi sytuacji czuję w sercu eksplozję ciepła.

– Kiedy dowiedziałam się, że córka jest w ciąży, z początku bałam się, że coś złego mogłoby przydarzyć się jej dziecku. Miałam wrażenie, że naszą rodzinę prześladowuje pech. Ale z chwilą gdy wzięłam Josha na ręce, przepełniła mnie najcudowniejsza miłość, jaką czulałam w całym swoim życiu. Zupełnie jakbym to ja była jego matką. Obiecałam sobie wówczas, że będę silna dla niego.

Widzę, że niektóre kobiety na ławie przysięgłych kiwają głowami.

– Ale po wizycie macochy znowu stałam się niespokojna. Bez przerwy czulałam strach. A jeśli zrobiłam coś złego? Raz Josh omal się nie udławił kawałkiem marchewki, którą mu dałam. Po kilku sekundach wypluł go, ale ja długo jeszcze nie mogłam się uspokoić. Nie spuszczałam go z oka, kiedy był ze mną. – Łzy napływają mi do oczu. – Tamtego dnia... to był jeden, jedyny raz, kiedy na chwilę straciłam czujność. Na kilka minut, ale... – Przeriwam, powstrzymując szloch. – Byłam taka wściekła na Rogera. I na siebie. Nie chciałam... – Nagły płacz wstrząsa całym moim ciałem.

Sędzia zarządza krótką przerwę, żebym mogła się uspokoić. Mam w głowie tyle sprzecznych emocji, że nie potrafię myśleć trzeźwo. Czasami gubię się w tym, kto, co i kiedy mówi.

Po przerwie kontynuujemy.

Barbara zaczyna od momentu, w którym się zatrzymałyśmy.

– Później tego dnia wyszła pani na ulicę?

– Tak – bąkam.

Nagle przypominam sobie coś, co powiedziała Carole na kolacji w klubie tenisowym, tuż po tym, jak przeprowadziła się z Londynu. Zbieraliśmy pieniądze na rzecz przeciwdziałania bezdomności, jednak ona odmówiła datku. „Ludzie, którzy żyją na ulicy, są tam, bo tak im się podoba”, stwierdziła lekceważąco, zarzucając włosami.

„Cóż za niedorzeczne uogólnienie”, zaprotestowałam.

Spiorunowała mnie wzrokiem i odwróciła się. Czy to było przed tym, czy po tym, jak zaczął się jej romans z Rogerem?

Kto wie? W tamtej chwili pomyślałam tylko, że ma serce z kamienia.

Ale przynajmniej nie jest winna zabójstwa.

Po lunchu czekają mnie kolejne niespodzianki. Mężczyzna na miejscu dla świadka wygląda znajomo, choć nie pamiętam, gdzie go widziałam.

– Czy zechce pan powiedzieć, skąd zna oskarżoną?

– Byłem tajnym agentem policji i śledziłem sytuację bezdomnych w Bristolu.

O nim również mówiła mi Barbara. Ale go nie pamiętam. Najwyraźniej przez kilka dni mieszkalam w Bristolu, po czym znów wyjechałam. Nie wyobrażam sobie, że mogłam zrobić coś takiego.

– Rozpracowywaliśmy siatkę handlarzy narkotyków. Widziałem oskarżoną przelotnie. Była starsza od pozostałych i było mi jej żal. Miała koszmary. Raz słyszałem, jak krzyczy przez sen: „Nie!”. Krzyczała też „Roger”.

Jest mi na przemian zimno i gorąco. Jeśli wierzyć mojej współwięźniarce, nadal krzyczę.

– Sprawiała wrażenie bardzo nerwowej i bez przerwy oglądała się za siebie jakby w strachu, że ktoś ją śledzi.

Jo tak robiła. Powiedziała mi, że ma taki nawyk. Czy to możliwe, że podświadomie przejęłam też jej zachowania? A może jakaś część mnie wiedziała, że jestem winna?

Zastanawiam się nad tym, gdy na miejscu dla świadka pojawia się dawny profesor Rogera.

– Czy to prawda, że Roger Halls został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę z powodu domniemanego napastowania studentek?

Co takiego? Nie miałam o niczym pojęcia.

– Tak. – Profesor patrzy na mnie przepraszająco. – Wszyscy współczuliśmy jego żonie, choć niektórzy przypuszczali, że postanowiła przymknąć na to oko.

Czy to zadziała na moją korzyść, czy niekorzyść? Trudno powiedzieć.

Następnie na salę wchodzi ktoś, kogo znałam kiedyś aż za dobrze. Cornelius.

– Czy będąc pod pana opieką, oskarżona wykazywała jakiegokolwiek mordercze skłonności? – pyta oskarżycielka.

Cornelius spogląda na mnie. Na jego twarzy maluje się smutek.

– W trakcie leczenia Ellie przejawiała skrajne emocje. Czasami mówiła, że chciałaby, aby jej macocha umarła.

Naprawdę tak mówiłam? No cóż, jest wiele rzeczy z Highbridge, których nie pamiętam, może z powodu terapii, a może dlatego, że mój mózg postanowił zablokować złe wspomnienia.

– Czy pana zdaniem byłaby w stanie ulec emocjom i rzeczywiście kogoś zabić?

Cornelius spuszcza wzrok, jakby nie chciał patrzeć mi w oczy.

– Możliwe – mówi cicho.

– A śmierć jej brata? Czy jako specjalista uważa pan, że celowo go zaniedbała w nadziei, że coś mu się stanie?

Teraz Cornelius podnosi wzrok i mówi nieco głośniej.

– Nie. Uważam, że była zwyczajną młodą kobietą, która potrzebowała uczucia. Była rozkojarzona z powodu swojej pierwszej miłości.

– Rozkojarzenie, które kosztowało życie dziecka.

– Tak – mruczy Cornelius.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – wtrąca moja adwokatka. – To opinia oskarżenia, a nie pytanie, i szkodzi interesom mojej klientki.

Sędzia podtrzymuje sprzeciw, ale nie da się cofnąć tego, co zostało już powiedziane.

– Czy mogę dodać coś jeszcze?

Co ten Cornelius kombinuje? Nie dość mi już zaszkodził?

– Jeśli to coś istotnego.

– Myślę, że tak. – Cornelius patrzy prosto na mnie. – Kiedy Ellie poszła na uniwersytet, tylko garstka pracowników wiedziała o jej przeszłości. Dano mi do zrozumienia, że to osoby z administracji, ale najwyraźniej byłem w błędzie. Wcześniej spotkaliśmy się z nimi, aby dokładnie przedstawić jej sprawę. Roger wydawał się szczególnie zainteresowany, kiedy wspomniano, że studia Ellie zostaną opłacone z jej funduszu powierniczego. Nie wiedziałem, że jest wykładowcą i że będzie ją uczył.

Robi mi się niedobrze. Czyli Roger wiedział o Michaelu, jeszcze zanim się pobraliśmy – a mimo to wydawał się taki zszokowany tym, co usłyszał od mojej macochy.

– Miałem powody przypuszczać – ciągnie Cornelius – że Roger Halls upatrzył sobie Ellie, bo wiedział, że jest młodą zamożną kobietą. I że łatwo ją będzie zmanipulować.

Przypominam sobie słowa, które mój teść powiedział na naszym weselu. „Małżeństwo z musu może się udać, pod warunkiem że młodzi mają dość pieniędzy”.

– Było dla mnie oczywiste, że Rogerowi Hallsowi odpowiada żona, która będzie wdzięczna za „normalne życie” i którą będzie mógł traktować, jak tylko zechce.

– Nie ostrzegł pan Ellie, zanim wyszła za męża? – pyta adwokatka.

– Nie wiedziałem o tym, dopóki nie napisała do mnie po ślubie. Ale wtedy było już za późno, a ja nie chciałem się mieszać. Jednak odpisałem jej, pytając, czy powiedziała mężowi o swojej przeszłości. Miałem nadzieję, że uświadomi sobie, że o wszystkim wiedział, i albo go zostawi, albo będą zmuszeni odbyć poważną rozmowę. – Cornelius wciąż na mnie patrzy. – Ale Ellie nie odpisała, więc podejrzewałem, że postanowiła wszystko zataić.

Miał rację. Panicznie bałam się, że wystraszę Rogera. W małżeństwie nie powinno być tajemnic. Czy nie tak napisał w swoim liście Cornelius? Ale teraz wygląda na to, że pieniądze były jednym z moich atutów.

Tymczasem Cornelius mówi dalej:

– Według mnie Roger Halls był despotą. Czekał, żeby wykorzystać swoje „odkrycie” na temat przeszłości Ellie i móc trzymać ją w szachu.

Chcę wszystkiemu zaprzeczyć, ale nagle przypominam sobie, w jaką wpadłam panikę, gdy mąż „dowiedział” się od Sheili o Michaelu.

– Pani Halls, czy mąż kiedykolwiek znęcał się nad panią fizycznie? – pyta moja obrończyni.

– Nie – odpowiadam.

– A psychicznie?

– Myślę, że tak. Ale pozwalałam mu na to. Miałam niską samoocenę.

Następna jest Jean, moja dawna sąsiadka. Pod jej ciepłym, dobrotliwym spojrzeniem mam ochotę się rozpląkać. Nie zasługuję na nie. Zamykam oczy i wsłuchuję się w jej zeznania.

– Od razu, jak tylko się wprowadzili, wyczułam, że Ellie jest pełną niepokoju matką, ale gdy poznałam ją lepiej, zrozumiałam dlaczego. Jej mąż kontrolował ją i był despotą. – Zaciska usta. – A także był niewierny. Raz widziałam, jak całował się na parkingu z jakąś kobietą, i biłam się z myślami, czy powiedzieć o tym Ellie. Ostatecznie to zrobiłam. On oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Tacy mężczyźni są przebiegli – dodaje ostrzejszym tonem.

Kilkoro przysięgłych kiwa głowami.

– Pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, pojawił się jej ojciec. Ze sposobu, w jaki o niej mówił, widać było, że kiedyś bardzo ją kochał. Nie mógł oderwać wzroku od jej dzieci. Kilka razy nazwał Luke’a Michaeliem.

Zakrywam uszy dłońmi. Nie chcę dłużej tego słuchać.

Przychodzi czas na przemowę. Oskarżenie przedstawiło mnie jako godną politowania, neurotyczną rozpieszczoną kobietę, której podle czyny odebrały życie jej bratu i mężowi.

– To kobieta, która nie zawaha się zabić, byle tylko dostać to, czego chce.

Teraz moja adwokatka, Barbara, wygłasza mowę końcową.

– Pytam was wszystkich, czy dziwicie się, że Ellie Halls straciła rozum po tym, jak uznała, że właśnie widzi utopione ciało wnuka? Gdy powróciła do niej trauma sprzed trzydziestu pięciu lat, kiedy to jej mały braciszek zginął tragiczną śmiercią? Z pewnością błędem byłoby skazywać tę kobietę za zabójstwo. Pragnę również przypomnieć, że w dwa tysiące piętnastym roku represyjna kontrola, taka, jaką sprawował nad nią Roger Halls, została uznana za przestępstwo. Ellie padła jej ofiarą, najpierw ze strony macochy, a następnie męża. Proszę, byście o tym pamiętali, kiedy będziecie podejmować decyzję.

Przysięgli patrzą na mnie z kamiennymi twarzami. Nie mam pojęcia, co myślą.

Zostaję odprowadzona do celi, podczas gdy ława przysięgłych udaje się na obrady. Rozmaite myśli kłębią mi się w głowie. Barbara ostrzegała mnie, że równie dobrze mogę dostać dożywocie. Zasługuję na nie. Nie powinnam była zabijać Rogera. Ale teraz za to zapłacę. Kiedy stąd wyjdę, mały Josh będzie już młodym mężczyzną. Ominie mnie całe jego dzieciństwo. A on nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Rozbiłam rodzinę, o którą walczyłam jak lwica.

Prowadzą mnie z powrotem do sali rozpraw.

– Proszę wstać, sąd idzie.

W ustach mam sucho. Nogi mi drżą. Nagle staje mi przed oczami obraz małego chłopca o jasnych włosach i figlarnym uśmiechu. To Michael, mój braciszek, tak bardzo podobny do moich dzieci i wnuka. Dziwne, ale czuję, że w tej chwili stoi tuż obok.

– Proszę wstać – zwraca się do mnie urzędniczka sądowa.

Potem patrzy na ławę przysięgłych.

– Proszę o powstanie przewodniczącego ławy przysięgłych. Czy ława przysięgłych podjęła decyzję?

– Tak.

Czekam, żeby poznać swój los.

– Bardzo dobrze – mówię do Josha, kiedy ostrożnie wkłada puszkę pomidorowej do pudełka z napisem „Bank żywności”. – Świetna robota. Już prawie skończyliśmy.

Jego mała buźka krzywi się. Podobnie jak jego matka, ma nos Michaela.

– Dlaczego ludzie nie mogą zamiast tego kupować jedzenia w sklepie?

– Bo niektórzy nie mają pieniędzy.

Przyklekam przed nim i otaczam go ramionami. Wdycham jego zapach. Była taka chwila w moim dawnym życiu, gdy myślałam, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

– Ale dlaczego nie mają pieniędzy wszyscy?

– Jest wiele powodów.

Jak mam mu to wytłumaczyć? Ja mieszkałam na ulicy tylko przez cztery miesiące, to jednak wystarczyło. Inni są bezdomni od lat i już tak zostanie.

Niektórzy kończą w więzieniu z długoletnim wyrokiem. Mnie również mogło to spotkać. Barbara ostrzegала mnie, że może tak się zdarzyć. Dlatego – podobnie jak inni, którzy tamtego dnia przyszli na salę rozpraw – byłam zdziwiona, gdy przewodniczący ławy przysięgłych odczytał wyrok. Na chwilę wracam wspomnieniami do tamtego dnia.

– Czy ława przysięgłych uznaje oskarżoną za winną, czy niewinną zarzucanego jej czynu zabójstwa?

– Uznajemy oskarżoną za niewinną, Wysoki Sądzie.

Tu i ówdzie w tłumie rozległy się stłumione okrzyki.

– W sprawie zarzutu o nieumyślne spowodowanie śmierci, czy ława przysięgłych uznaje oskarżoną za winną, czy niewinną?

– Winną, Wysoki Sądzie.

Na twarzy Barbary malowało się napięcie. Na to właśnie liczyła. Nie wiedziała jednak, ile lat dostanie.

– Wyrok zostanie ogłoszony w ciągu dwudziestu ośmiu dni. Do tego czasu oskarżona pozostanie w więzieniu.

Było to nerwowe oczekiwanie. Jednak później, „zważywszy na wyjątkowe okoliczności”, jak to ujął sędzia, skazano mnie na dwa lata więzienia. Sędzia wziął pod uwagę, że przed procesem spędziłam dziewięć miesięcy w więzieniu, co było odpowiednikiem osiemnastomiesięcznego wyroku. Przy takich wyrokach stosuje się zwykle zwolnienie warunkowe i skraca się wymiar kary o połowę. Do głowy by mi nie przyszło, że coś takiego jest możliwe. Ale Barbara wyjaśniła mi, że prawo się zmieniło. „Przemoc emocjonalna jest teraz traktowana równie poważnie jak przemoc fizyczna. Poza tym wywarłaś wrażenie na sędzi”.



Według Barbary pomogło to, że sędzia sam był dziadkiem, i jego decyzja z pewnością podyktowana była zrozumieniem dla mojej sytuacji.

„Nigdy nie doszła pani do siebie po traumatycznym wypadku z dzieciństwa, za który się pani obwiniała. Następnie poślubiła pani manipulanta, który prowadził z panią gierki i notorycznie panią zdradzał. Kiedy podczas kłótni uświadomiła sobie pani, że wasz wnuk zaginął w rocznicę śmierci pani brata, a potem doszła myśl, że umarł w niemal identycznych okolicznościach, coś w pani pękło. Nie tylko miała pani wrażenie, że historia się powtarza, ale myślała też, że straciła ukochanego wnuka, co spowodowało reakcję zupełnie obcą pani naturze. I choć w żaden sposób nie tłumaczy to zabójstwa, uważam, że znacznie umniejsza pani odpowiedzialność za popełnione przestępstwo. Sprawiedliwość nakazuje, aby dać pani drugą szansę”.

Jeśli złamię warunki zwolnienia, natychmiast znajdę się z powrotem w więzieniu. Ale ich nie złamię. Nie muszę.

– Nie możemy wyczarować pieniędzy dla biednych?

Czuję w sercu bolesne ukłucie.

– Czasami, Josh, magia nie działa.

Rozczarowany, marszczy brwi.

– Ale przecież musi. Bo pozytywka jest magiczna, prawda?

Mój wnuk ma już siedem lat, ale ciągle wierzy w takie rzeczy. Oby jak najdłużej.

– Tak – mówię łagodnie. – Tak.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiliśmy razem, gdy wyszłam z więzienia, było uruchomienie mojej starej pozytywki. Bałam się, że wnuk nie będzie mnie pamiętał – dzieci łatwo zapominają, a z ogoloną głową wyglądałam inaczej, chociaż włosy zaczęły już odrastać – ale on wpadł prosto w moje ramiona. „Busia!”, zawołał, tuląc się do mnie, kiedy pochyliłam się, żeby go uściskać.

Poczułam jego zapach, jego miękki policzek przy moim, nieco szorstkim. Kiedy zarzucił mi ręce na szyję, poczułam, że coś we mnie topnieje.

Zgodnie z postanowieniem sądu musiałam mieć stałe miejsce zamieszkania i regularnie zgłaszać się do kuratora sądowego. Najchętniej zamieszkałabym z córką i zięciem, którzy chcąc zacząć wszystko od nowa, przeprowadzili się do nadmorskiego miasteczka niedaleko Exeter, oni jednak – co zrozumiałe – martwili się moim stanem psychicznym. A jeśli znów zachoruję? Jeśli skrzywdzę Josha? Albo ich? Dotknęło mnie to do żywego, ale musiałam ich zrozumieć. Zrobiłam coś, co zupełnie nie leżało w mojej naturze. Potrzebowałam długotrwałej terapii. I przeraźliwie bałam się, że znowu stanę się „tamtą sobą”.

Alle Luke – niech Bóg go błogosławi – oznajmił, że wróci z Australii „na tak długo, jak będzie trzeba”, żeby się mną opiekować. Wynajął domek nieopodal domu siostry, więc pod nadzorem mogłam widywać ukochanego wnuka.

Z początku bałam się mieszkać tak blisko wody. Mimo usilnych starań nie potrafię wyrzucić z głowy widoku basenu, w którym utonął Michael, i stawu, który – jak sądziłam – zabrał mi Josha.

Jednak według mojej psycholożki to doskonała okazja, żeby stawić czoło swoim lękom i na nowo zbliżyć się do rodziny. Nie będę udawała, że było to proste. Kiedy odwiedziłam ich pierwszy raz, zdumiał mnie widok mojej starej pozytywki w pokoju Josha.

– Słuchaliśmy jej razem, kiedy cię nie było – powiedziała moja córka. – Myślałam, że to go pocieszy, bo wciąż o ciebie pytał.

– Wiedziałem, że wrócisz, busiu – zaszczębiotał. – Puszczam ją, żeby magia przyprowadziła cię z powrotem.

Wszyscy troje zaczęliśmy płakać.

– Musimy wziąć cię na zakupy – odezwała się Amy głosem, który sugerował, że chce zmienić temat. – Wszystko na tobie wisi, mam.

Miała rację. W więzieniu jeszcze bardziej straciłam na wadze. Ale najważniejsze było to, że znów mam rodzinę i że jestem wolna.

Jeśli chodzi o Rogera, staram się o nim nie myśleć; tylko w ten sposób jakoś sobie z tym radzę. Nawet córka rzadko o nim wspomina. Wyczuwam, że nie jest w stanie całkowicie mi wybaczyć. Tymczasem mój ukochany wnuc uczy się w miejscowej szkole. Razem z klasą chodzi na wycieczki krajoznawcze na plażę. Z początku morze przerażało mnie śmiertelnie swoją zmiennością. W jednej chwili było spokojne, a zaraz potem wzburzone. Trochę jak w życiu.

Najlepsze jednak jest to, że codziennie widuję Josha. Odprowadzam go teraz do szkoły, żeby córka mogła spokojnie wrócić do pracy (choć wkrótce to się zmieni, bo znów pójdzie na urlop macierzyński). Razem czytamy książki. Gramy w gry. Szukamy muszli. Bierzymy siatki do łowienia ryb i idziemy do sadzawek między skałami. Wynajęliśmy nawet kabinę plażową na lato. Zbieramy kwiaty i suszymy je między stronicami książki, tak jak robiłam to w dzieciństwie. I razem robimy dżem jeżynowy, używając odwróconego stołka z przywiązany do nóg kawałkiem muszliny, przez który przecedzamy sok.

– To przepis twojej prababci – mówię do Josha.

A on spogląda z przejęciem na jej wyblakłe już pismo, pełne pętelek i zawijasów (tak jak moje).

– Gdzie ona teraz jest? – pyta.

Mam ochotę powiedzieć mu, że patrzy na nas z góry, ale nie chcę go wystraszyć.

– Już jej tu nie ma – tłumaczę. – Gdyby żyła, byłaby bardzo stara.

Josh patrzy na mnie zmartwionym wzrokiem.

– Mamusia mówi, że się starzejesz. Ty nie umrzesz, prawda?

– Jeszcze długo nie – odpowiadam pospiesznie i mocno tulę go do siebie. – A teraz zobaczmy, co z tym dżemem.

Śmierć to temat, który często poruszam podczas sesji z moją psycholożką. Jest mniej wciągaj w moim wieku i sama też jest babcią.

– Wnuki są jak nasze własne dzieci, choć mają w naszych sercach specjalne miejsce – mówi. – To więź, której nie sposób opisać, dopóki sama nie zostaniesz babcią.

Jakież to prawdziwe.

– Dziadkowie często mówią, że najcudowniejsze we wnukach jest to, że można się nimi nacieszyć, a pod koniec dnia oddać je rodzicom.

Kiedyś powtarzałam sobie to samo.

– Ale ja go nie oddałam – wybucha, myśląc o Joshu stojącym nad stawem.

Mógł się utopić, tak jak mój braciszek.

– Zapracowałaś na to – mówi łagodnie psycholożka. – To kolejna fajna rzecz, jeśli chodzi o wnuki. Akceptują nas takimi, jacy jesteśmy.

Mam nadzieję, że się nie myli. Nie wiem, czy córka kiedykolwiek wybaczy mi, że odebrałam jej ojca. Zresztą dlaczego miałaby to robić? To była ohydna zbrodnia.

Na razie Josh, ze swoją gładką skórą i wiecznym radosnym podnieceniem („Jejku, busiu. Patrz na tę wiewiórkę!”), nie wie, co zrobiłam. Na razie.

Razem z moimi dziećmi ustaliliśmy, że powiemy mu, kiedy będzie starszy. Nie chcę, żeby dowiedział się, gdy nie będzie na to gotowy. Odkryte sekrety bywają najbardziej bolesne. Jeśli mam być szczerą, boję się jego reakcji. A jeśli mi nie wybaczy? Boję się też, że mój umysł znowu obróci się przeciwko mnie. Że stanę się kimś innym, nawet o tym nie wiedząc. Ale staram się żyć z dnia na dzień. Psycholożka mówi, że tak jest najlepiej. „Nic w życiu nie jest pewne – tłumaczy mi. – Ale to nie szkodzi”, dodaje z naciskiem, tak że ostatnie słowa brzmią jak mantra. Powtarzam ją sobie w głowie raz za razem. Dzięki niej wierzę, że w dzieciństwie wszystko było ze mną w porządku. Chore było to, jak traktowała mnie Sheila, i to, że obwiniała mnie o śmierć Michaela, bo to doprowadziło do tego, co stało się ze mną później. Tylko tak potrafię sobie z tym poradzić.

– Idziemy? – pyta Josh, wrywając mnie z zamyślenia.

– Jasna sprawa. – Nauczyłam się tego dziwnego powiedzonka, oglądając z nim kreskówki.

Pod pachą niosę pudełko z jedzeniem, a drugą ręką ściskam rączkę Josha.

– Jestem już duży i mogę iść sam, busiu.

– Wiem – kłamię. – Ale byłoby mi miło, gdybyś trzymał mnie za rękę, tak żeby nic mi się nie stało.

Mówię to, żeby się nie wyrwał. Przechodzi fazę niezależności i próbuje robić wszystko sam. Tym razem chętnie się zgadza i trzymając się za ręce, idziemy zanieść jedzenie do sali parafialnej.

Wciąż zdumiewa mnie, jak różni ludzie tu przychodzą. Niektórzy – widać to po ich ubraniach – mieszkają na ulicy. Staramy się znaleźć dla nich jakiś kąt, ale większości z nich wcale na tym nie zależy. Wiem, że często boją się wypełniać formularze, które mogłyby odkryć ich przeszłość.

Przychodzą tu również wyraźnie zakłopotani rodzice z dziećmi w wózkach albo na rękach, którzy z pozoru mogliby iść do sklepu i kupić sobie jedzenie. Ale jak mówi koordynatorka, „w dzisiejszych czasach bieda ma różne oblicza”.

Kiedy zaferowałam się z pomocą, nie kryłam swojej przeszłości. Nie chciałam, by szeptano o mnie za moimi plecami. Wolontariat przypomina mi o innej stronie życia, tej, którą poznałam, mieszkając przez chwilę na ulicy. Od czasu do czasu dostrzegam coś, na przykład kobietę przetrząsającą śmietnik w poszukiwaniu wyrzuconych kanapek albo resztek pizzy, co budzi we mnie mgliste wspomnienia. Wszystko jest jednak niejasne. Może nigdy nie dowiem się, ile z tego było prawdą, a ile wymyśliłam, słuchając tych wszystkich ludzi, którzy zeznawali na moim procesie. Czasami, gdy wieczorem zagrzebuję się w ciepłej pościeli, mam wrażenie, że ściany i sufit napierają na mnie, i czuję dziwne pragnienie, żeby znowu ruszyć w drogę.

„Przeszłam to samo co wy”, mówię im. Nie wierzą mi, dopóki nie zagłębię się w szczegóły. Wówczas widzę w ich oczach błysk. Wierzą, że kiedyś byłam jedną z nich, i pozwalają, żebyśmy udzieliли im niezbędnej pomocy. Może to być kąt do spania albo coś ciepłego do jedzenia i picia, zanim wyruszą w dalszą drogę, wyposażeni w niezbędne rzeczy, takie jak koc termiczny.

Zawsze wypatruję Jo, mojej alter ego. Czasami wydaje mi się, że widzę ją, stojącą w kolejce po jedzenie, ale byłby to zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Mam nadzieję, że nic jej nie jest. Niekiedy miewam koszmary, że ktoś robi jej krzywdę. Wolę myśleć, że dostała ciepłe, suche mieszkanie. A może wcale tego nie chce. Przenoszenie własnych nadziei i oczekiwań na innych ludzi bywa niebezpieczne. Wiem coś o tym.

– Czy jak wrócimy z banku żywności, pójdziemy popływać? – pyta Josh, biegnąc obok mnie.

To kolejna rzecz, na którą muszę się przygotować. Kiedy mieszkasz nad morzem, tym bardziej musisz nauczyć się pływać.

– Zgoda – mówię. – Ale całkiem możliwe, że będziesz chciał zostać dłużej w sali parafialnej. Odbywa się tam dziś kiermasz rzeczy używanych i może będą jakieś pociągi.

Josh ma bzik na punkcie parowozów. Mój mały dom pełen jest jego zabawek, łącznie z kolejką.

– Będziesz sprzedawała stoliki? – pyta Josh.

– Jasna sprawa!

Nadal ozdabiam stoły mozaiką, tyle że teraz zamiast tłuczonego szkła i ceramiki używam muszli. Josh uwielbia mi pomagać. Dochody przekazuję do banku żywności. To dla mnie coś w rodzaju terapii. Tymczasem matka Alastaira, z którą utrzymuję kontakt, informuje mnie, że jej syn zamierza własnym sumptem wydać swoje wiersze i sprzedawać je w internecie pod pseudonimem Tim White. Obiecałam, że kupię egzemplarz, kiedy się ukaza.

Sala parafialna pęka w szwach. Josh i ja stawiamy nasze pudełko w kącie z jedzeniem i idziemy oglądać stoiska.

– Trzymaj mnie za rękę – przypominam mu, a on ciągnie mnie w stronę jednego z nich.

– Patrz, busiu!

To nie tyle stragan, ile raczej duża tablica, leżąca na ziemi. Przed nami rozciąga się oddana w najdrobniejszych szczegółach mapa Exeter, z uroczą stacją kolejową i szynami przecinającymi krajobraz aż do morza.

– Nie dotykaj – ostrzegam wnuka. – To rysunek kredą. Mógłbyś go zetrzeć.

– To nic – mówi ktoś. – Narysuję jeszcze raz. Poza tym lubię, kiedy dzieci mi pomagają. Chcesz spróbować, synku?

Znam ten głęboki głos. Zdumiona, podnoszę wzrok i widzę niebieskie oczy i opaloną, ogorzałą od słońca twarz.

Coś się we mnie porusza.

– Jo? – Mężczyzna wygląda na zszokowanego.

– Przepraszam, czy my się znamy? – pytam.

– Oczywiście – mruczy. – Pisali w gazetach, że zapomniałaś, kim byłaś.

Ogarnia mnie niepokój.

– Nie rozumiem.

– To ja, Steve. Kiedyś byliśmy... przyjaciółmi – mówi. – Znałem cię jako Jo – dodaje.

Na szczęście Josh sięga po żółtą kredę, żeby dorysować drugie słońce.

– Nie pamiętam tamtego okresu – mówię szeptem i odciągam go na bok, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

Moja koleżanka z komitetu, widząc, że rozmawiamy, nachyla się nad Joshem i podaje mu kredę.

Nieznamy patrzy na mnie, jakby chciał się upewnić, że mówię prawdę.

– Nie pamiętasz, jak się wtedy rozstaliśmy?

– Nie. – Czuję coraz większe zakłopotanie.

– Nieważne – rzuca i odwraca się.

– Właśnie że ważne – wybucham.

Nie wiem nawet, dlaczego to mówię. O ile pamiętam, nigdy wcześniej nie widziałam tego człowieka na oczy. Ale jest w nim coś, co przyciąga mnie do niego. I nie mogę oprzeć się wrażeniu, że on czuje to samo wobec mnie.

– Musisz mi powiedzieć... – dodaje błagalnie. – Jak się poznaliśmy. Opowiedz mi o sobie i o tym, co... zrobiliśmy.

– Jesteś pewna? – pyta.

Tak. Nie.

– Zaczekaj sekundę, dobrze? – mówię.

Proszę koleżankę, żeby jeszcze przez chwilę zaopiekowała się Joshem, a sama idę ze Steve'em w kąat pokoju, co rusz spoglądając na wnuka.

– Opowiedz mi wszystko – szepczę cicho.

Słucham i chwilami nie wiem, gdzie podziąć wzrok, zwłaszcza gdy dociera do momentu, w którym „zbliżyliśmy się do siebie”, jak to ujmuję. On też się czerwieni.

– Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem typem faceta, który lubi przygodny seks – tłumaczy. – Naprawdę cię kochałem, Jo.

– Ellie – poprawiam go łagodnie. – Ja też coś do ciebie czuję. O tu. – Kładę rękę na piersi. – Ale tutaj – dotykam głowy – po prostu cię nie pamiętam.

– Rozumiem. Kto wie, jacy naprawdę jesteśmy tam, głęboko? Kiedy przeczytałem w gazecie, że zabiłaś męża, wiedziałem, że coś musiało pójść bardzo, bardzo źle. Nie wyglądałaś na kobietę zdolną do czegoś takiego.

– Sama nie sądziłam, że mogę coś takiego zrobić – odpowiadam powoli.

– Jest coś jeszcze – dodaje.

Serce bije mi szybciej. Takie słowa nie wróżą nic dobrego.

– Zostawiłaś mnie, bo jak stwierdziłaś, jestem nudny.

– Tak?

Nie znam Steve'a, ale po tym, jak opowiedział mi, że rzucił pracę księgowego, żeby żyć z ulicznej sztuki, nie wydaje mi się, żeby był nudziarzem.

– Myślę – mówi powoli – że powiedziałaś tak, żeby się mnie pozbyć.

– Z jakiego powodu?

– Niedługo po tym, jak odeszłaś, zobaczyłem w gazecie obszerny artykuł na twój temat. Było w nim twoje zdjęcie z Rogerem, twoim mężem. Szukali cię. Pewnie bałaś się, że mógłbym na ciebie donieść.

– A doniośłbyś?

– Tak, myślę, że musiałbym to zrobić.

– Dobrze – rzucam. – To właściwa odpowiedź.

Oddycha z ulgą.

– Wiele przeszłaś, prawda? Ale możesz być z siebie dumna, że wychodzisz na prostą. – Patrzy na mnie nieśmiało. – No i wyglądasz świetnie. Kiedy widziałem cię ostatnio, byłaś łysa. Chociaż masz cudowne kości policzkowe, więc człowiek nie zwracał na to uwagi.

Nie jestem przyzwyczajona do takich komplementów. Nie wiem, co z nimi zrobić. Moje proste myśie włosy są teraz krótko przycięte. Amy mówi, że do twarzy mi w takiej fryzurze. Fryzjerka zaproponowała, żeby ufarbowała je na kasztanowo. Zastanawiam się nad tym.

– A tak nawiasem mówiąc – dodaje Steve – nie mieszkam już na ulicy. Znalazłem pracę w organizacji charytatywnej promującej sztukę w zakładach karnych.

Brzmi ciekawie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, ale podchodzą do nas moja koleżanka i Josh.

– Busiu, jestem głodny – mówi Josh i ciągnie mnie za rękę.

– Przepraszam – zwracam się do Steve’a. – Musimy iść.

– Zaczekaj. – Łapie mnie za rękaw.

Myślę o Peterze i czuję narastającą panikę. Drugi raz nie popełnię tego samego błędu. Josh jest najważniejszy. Nigdy nie zaniedbam go tak, jak zaniedbałam Michaela.

– Zastanawiałem się, czy ty i twój wnuk nie wzięlibyście udziału w czymś, co pomagam zorganizować. Projekt nazywa się „Wielkie rysowanie” i ma zachęcić ludzi w każdym wieku do odkrywania swojej artystycznej natury.

Waham się. Ale Josh podskakuje.

– Lubię rysować – mówi. – Busia też ładnie rysuje.

– Tak, wiem. – Steve zerka na mnie z uśmiechem. – Wszystko odbędzie się w przyszły wtorek. Tutaj, w sali parafialnej. Mam nadzieję, że się spotkamy.

– Super! – piszczy Josh, podskakując u mego boku. – Busiu, a jak będziemy wracać, możemy pójść na plażę?

Wychodząc, oglądam się za siebie. Steve wciąż się uśmiecha. Czuję przyjemne ciepło. Ja też się uśmiecham, a zaraz potem skupiam się na Joshu, na jego drobnej, cieplej rączce, która ufnie wciska się w moją dłoń.

Świetnie się bawimy, biegamy po plaży, budujemy zamki z piasku i wskakujemy na bosaka w płytkie fale liżące brzeg. Jednak w drodze powrotnej do domu dostrzegam na chodnikach więcej linii niż dotychczas.

– Czemu tak śmiesznie idziesz? – pyta Josh.

Zatrzymuję się i przypominam sobie dziewczynkę, która miała chorą mamę i która w drodze ze szkoły kurczowo ścisnęła rękę Sheili Greenway. To wtedy sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli.

– Niektórzy ludzie myślą, że stanie się coś złego, jeśli nadepną na linię między płytami chodnikowymi – mówię powoli.

Mój wnuczek wygląda na przestraszonego.

– Ale to nie znaczy, że znowu sobie pójdziesz, prawda? – Łzy napływają mu do oczu. – Bardzo się tobą tęskniłem. A mamusia dużo płakała.

– Oczywiście, że nie. – Czuję, jak w gardle rośnie mi gula.

– Ja też muszę tak śmiesznie chodzić?

Nie chcę, żeby przejął moje lęki.

– Nie – mówię stanowczo. – To tylko głupi przesąd. Nic się nie stanie, jeśli na nie nastąpisz.

W chwili gdy to mówię, Josh wskakuje na linię między płytami.

– Teraz ty, busiu!

Czy jestem na to gotowa?

– No! – ponagli mnie, a jego buzia się rozpromienia.

Jak mogę mu odmówić? Stawiam stopę na samym środku linii.

Chciałabym powiedzieć, że nic mi nie jest. Ale takie rzeczy nie zmieniają się z dnia na dzień. Potrzebują czasu. Dawna Ellie drży ze strachu, że teraz wydarzy się coś złego. Jednak wyczuwam, że jest przy mnie Jo, która mówi mi, żebym przestała być taka „cholernie durna”.

Między nami dwiema, mówię sobie, muszę stać się kimś jeszcze innym. Nową mną. Ellie, która będzie silniejsza, jak jej przyjaciółka sprzedająca na ulicy „Big Issue”. Mądrzejsza. Bardziej

wyrozumiła – nie tylko dla innych, ale też dla siebie samej. To jedyny sposób, żeby przerwać ten łańcuch poczucia winy, wzajemnych oskarżeń i nieszczęść, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Właśnie ja muszę to zakończyć. Tu i teraz. Mój wnuk i dzieci jego dzieci zasługują na nowy początek.

– Jestem zmęczony, busiu – mówi Josh.

Biorę go na ręce, chociaż robi się coraz cięższy. Ufnie opiera głowę na moim ramieniu.

Razem wracamy do domu. Starając się z całych sił iść naprzód.

Założę się, że nie macie ochoty dalej słuchać mojej cłkliwej historii. Jak już słyszeliście, niczym nie różni się od innych – ojciec, który mnie bił, kolejne domy dziecka, a w końcu mąż, damski bokser. Więzienie. Chociaż sukinsyn zasługiwał na to, żeby umrzeć. Straciłam dzieci. Dom. Wszystko. W końcu wysłałam na wolność. Poznawałam kolejnych beznadziejnych facetów. Pakowałam się w kolejne kłopoty z policją. Wiecie, jak to się kończy.

Ale zrobiłam jeden dobry uczynek. Jedną rzecz, z której jestem dumna.

Pewnego sierpniowego poranka 2019 roku – straszny był wtedy upał – wpadłam na tę kobietę, która mi pomagała. Miała na imię Ellie. Jak zawsze dała mi trochę pieniędzy, ale wtedy pojawiła się ta druga. Wyglądała jak dziwka. Zaczęła gadać o tym, że ona i mąż Ellie spiją ze sobą. Było mi żal Ellie. Mnie też faceci dali nieźle popalić...

Kilka godzin później znowu ją zobaczyłam. Ledwie ją rozpoznałam. Miała potargane włosy, wzrok rozbiegany. W kółko powtarzała tylko: „Zabiłam go”.

– Kogo? – spytałam. – Kogo zabiłaś?

Spojrzała na mnie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy.

– Mojego męża – odparła.

Z początku myślałam, że żartuje. Dopiero później rozpoznałam ten sam lęk, który czułam po tym, jak zabiłam Barry’ego, mojego chłopa. Nie zastanawiałam się ani chwili. Musiałyśmy działać szybko, zanim zjawi się policja. Ktoś już mógł ją zauważyć. Dlatego chwyciłam ją za ramię i pociągnęłam w boczną uliczkę. Dałam jej swoje ubrania, stertę magazynów, żeby ludzie myśleli, że sprzedaje „Big Issue”, i drobne na bilet.

– Biegnij na dworzec – powiedziałam jej. – I wyjedź stąd jak najszybciej. Złap autobus do Oksfordu, a stamtąd gdzieś indziej.

Żał mi było tych pieniędzy i magazynów, ale po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła, zasługiwała na pomoc. Od razu poczułam się lepiej.

Następnego dnia w okolicy zariło się od dziennikarzy. Podobno jakiś gość został zamordowany z zimną krwią przez żonę. Wiedziałam, że chodzi o Ellie. Zawsze wydawała się taka miła i łagodna, więc pomyślałam, że drań musiał sobie zasłużyć na to, co go spotkało. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zniknę na jakiś czas. Pojechałam do Londynu, ale źle się czułam w takim wielkim mieście, dlatego przeniósłam się do Bristolu, gdzie jestem do dziś. Podoba mi się tutaj. Jest tu wielu takich pechowców jak ja. Pomagamy sobie nawzajem.

Przez kilka miesięcy widywałam w gazetach jej zdjęcia. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Zaczęłam się martwić. Miłe kobiety, takie jak Ellie, nie są bezpieczne na ulicach. Wiem o tym aż za



dobrze. Sama musiałam się nauczyć, jak o siebie zadbać. W pierwszym tygodniu po wyjściu z więzienia jakiś typ próbował mnie zgwałcić. Rozwaliłam mu głowę o ścianę.

Ale wróćmy do Ellie. Później tego samego roku – gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia – usłyszałam, że ją złapali. Podobno używała imienia „Jo”. Ucieszyło mnie to. Potem przeczytałam o tym, że naprawdę była przekonana, że jest mną. Może trochę jej odbiło. Życie na ulicy może sprawić, że oszalejesz. Tak jak mogą to sprawić faceci. Zastanawiałam się, czy nie pojechać na jej proces, by zeznać, że to uczciwa kobieta. Ale gdybym to zrobiła, mogliby uznać mnie za współwinną, bo dałam jej swoje ubrania, magazyny i pieniądze.

O jej sprawie pisały wszystkie gazety. Kiedy ją wypuścili, odtańczyłam na ulicy krótki taniec radości. Jednak kiedy wieczorem wróciłam do hostelu – rada miasta w końcu znalazła dla mnie kąć – zaczęłam rozmyślać o swoim życiu. Wiedziałam, że Ellie będzie musiała zacząć wszystko od nowa. Udowodnić, że się zmieniła. Może ja też powinnam zacząć od nowa. Zgłosiłam się więc po pomoc, żeby rzucić narkotyki i alkohol. Ellie, zanim uciekła, wielokrotnie mówiła mi, że powinnam tak zrobić. Następnie pracownica opieki społecznej pomogła mi odnaleźć moich synów. Byli już dorośli. Liam chciał się ze mną spotkać, ale Kieran nie. Nie potrafił mi wybaczyć tego, co zrobiłam jego ojcu, chociaż próbowałam się wytłumaczyć. Kieran ma teraz własne dzieci. Szkoda, że nie mogę widywać wnuków. Może kiedy będą starsze, zrozumieją, że jednak nie jestem taka zła.

Często myślę o Ellie Halls. Pamiętam wyraz jej twarzy, kiedy powiedziała mi, że zabiła swojego starego. Była przerażona. Dobrze wiedziałam, co czuje. Znałam tę panikę. Jednak w jej oczach było coś jeszcze. Ulga, jeśli się nie mylę. Cokolwiek ten człowiek jej zrobił, cieszyła się, że już go nie ma.

Nigdy bym nie pomyślała, że jest zdolna kogoś zabić.

Ale kto wie, co siedzi ludziom w głowach...

A więc miło jest obejrzeć się za siebie  
I zastanowić, czy zostałem zainspirowany.  
Bo teraz to ja recytuję i śpiewam pieśni  
O pokoju – i dzięki za zupełę, kiedy byłem zmęczony.

Fragment z *Poems from a Runaway*

Bena Westwooda

# Kilka słów od Jane

Drogi Czytelniku!

Dorastałam nieopodal Londynu i zawsze niepokoił mnie problem bezdomności w naszych miastach. Kiedy niemal dziesięć lat temu przeprowadziłam się do Devonu, początkowo miałam wrażenie, że nie dotyczy on naszego nadmorskiego miasteczka. Ale kilka miesięcy później zobaczyłam mężczyznę w średnim wieku, śpiącego pod drzwiami kościoła. Podobnie jak wiele innych osób czasami kładłam obok niego pasztecik i stawiałam kubek ciepłej kawy, lecz nigdy – czego bardzo się wstydzę – nie zatrzymałam się, żeby z nim porozmawiać i zapytać, czy może czegoś potrzebuje. W pewien zimny styczniowy poranek, kiedy około siódmej szłam z psem na spacer, dostrzegłam czyjeś nogi wystające zza osłony na promenadzie. Chwilę później cicho podjechała karetka pogotowia. To był mężczyzna, który spał pod drzwiami kościoła.

Mieszkańcy miasteczka byli zszokowani. To nie Londyn, myśleliśmy. Tutaj takie rzeczy się nie zdarzają. A jednak się zdarzały. Zdeterminowani, żeby coś z tym zrobić, stworzyliśmy lokalny komitet pomocy bezdomnym. Zapewniamy im jedzenie, picie i rozmaite porady. Działamy już od prawie czterech lat. Wolontariusze – którzy służą profesjonalnym doradztwem z przeróżnych dziedzin, od przesiedleń po zbiórki pieniędzy – nie tylko pomogli ludziom znaleźć stałe zakwaterowanie, ale też udzielili wsparcia wielu osobom na granicy bezdomności.

Przerażające jest to, jak łatwo zostać bezdomnym. Wielu z tych, którzy kończą na ulicy, boryka się z problemami psychicznymi. Kiedy zgłębiałam ten problem, natknęłam się na raport organizacji charytatywnej Mental Health Foundation ([www.mentalhealth.org.uk](http://www.mentalhealth.org.uk)), według którego aż osiemdziesiąt procent bezdomnych w Anglii przyznało, że mają problemy psychiczne – to znacznie więcej niż dwadzieścia pięć procent całej populacji, bo taka jej część w pewnym momencie życia będzie borykała się z tym problemem. Wielu z nich cierpi na rozmaite formy zespołu stresu pourazowego.

Wszystko to sprawiło, że poczułam nieodpartą potrzebę, żeby napisać o kimś, kto z powodu przeżytej traumy zaczął żyć poza nawiasem społeczeństwa.

Stres związany z przeżytą traumą interesował mnie również z przyczyn osobistych. Kiedy miałam pięć lat, moja mama uległa strasznemu wypadkowi podczas naszych wspólnych wakacji. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj: ojca pędzącego samochodem po odległej, obcej części Kornwalii, żeby zawieźć ją do szpitala, i prośbę mamy, kiedy leżała na szpitalnym łóżku, żebym pocałowała ją na pożegnanie. Odmówiłam, bo jej poparzona skóra miała dziwny „śmieszny” zapach. Mama spędziła w szpitalu kilka miesięcy i nigdy nie zapomnę swojego bólu, że tak długo jej nie ma, i wstydu, że jej nie przytuliłam.

Gdy dorosłam i sama zostałam mamą, zadreślałam się poczuciem winy związanym z tamtym wypadkiem. Nie rozmawiałam o tym z mamą, bo nie chciałam robić jej przykrości. Zanim w końcu zdobyłam się na odwagę, umarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat na raka. Podobnie nie chciałam

zasmucać taty, więc starałam się zepchnąć wspomnienia na dno umysłu. W końcu, dziesięć lat temu, postanowiłam chwycić byka za rogi i porozmawiać z profesjonalistą. Było mi trochę głupio, bo wszystko to wydarzyło się tak dawno temu. Teraz czuję się, jakby zdjęto mi z ramion ogromny ciężar. Doświadczenia Ellie znacznie różnią się od moich, ale nie mogłam pisać o PTSD, nie konfrontując się z własną traumą.

Gromadząc materiały do tej książki, poznałam młodego człowieka o nazwisku Ben Westwood. W latach dziewięćdziesiątych, mając zaledwie jedenaście lat, opuścił dom i całe nastoletnie życie spędził na ulicy. Na szczęście stanął na nogi i od tego czasu napisał tomik wierszy o życiu na ulicy, zatytułowany *Poems from a Runaway* (Wiersze uciekiniera). Chcę, aby było jasne, że Tim, młodociany uciekinier w mojej powieści, nie jest w żaden sposób wzorowany na Benie. Ben był na tyle miły, że specjalnie do tej książki napisał dla mnie wiersz. Jeśli zechcecie kupić tomik jego wierszy, będzie przeszczęśliwy. Jest dostępny na Amazonie albo na stronie [www.benwestwooduk.blogspot.co.uk](http://www.benwestwooduk.blogspot.co.uk).

Chętnie poznam wasze historie związane z bezdomnością i zespołem stresu pourazowego albo z jednym i drugim. Nawet jeśli niczego takiego nie doświadczyliście, mam nadzieję, że mimo wszystko spodoba wam się ta powieść. Nie tylko porusza problemy współczesnego świata, ale też pokazuje radość życia w rodzinie – coś, co sama odkryłam, zwłaszcza gdy zostałam (dość młodą) babcią. Miłego czytania!

Pozdrawiam, Jane x

# Podziękowania

Gromadzenie materiałów do tej książki wymagało wielkiego nakładu pracy. W szczególności pragnę, by moje podziękowania przyjęli:

Claire Pooley, psychotraumatolożka, psychoterapeutka stosująca metodę EMDR i pielęgniarka psychiatryczna.

Anne Waddington, adwokatka i psychoterapeutka.

Doktor Nuria Gene-Cos, psychiatra pracująca w Traumatic Stress Service.

Londyński szpital Maudsley.

UKCP: the UK Council for Psychotherapy.

Organizacja charytatywna MIND ([www.mind.org.uk](http://www.mind.org.uk)). „Jesteśmy po to, by nikt nie musiał zmagać się sam z problemami psychicznymi”. Stanowicie ogromne wsparcie dla rodzin osób chorych.

Open Door w Exmouth ([www.opendoorexmouth.org.uk](http://www.opendoorexmouth.org.uk)), cudowna, pełna ciepła organizacja charytatywna. Dostarcza ona jedzenie i zapewnia wiele rozmaitych aktywności, prowadzi kafejkę, daje możliwość nabywania nowych umiejętności, udostępnia przestrzeń dla rodziców, by mogli spędzać czas z dziećmi, z którymi już nie mieszkają, a także organizuje nocne zmiany wolontariuszy oferujących pomoc i zawsze gotowych każdego wysłuchać. Open Door istnieje dzięki darczyńcom. Jeśli czujesz, że możesz pomóc, proszę, skontaktuj się z nimi przez stronę internetową.

Ben Westwood. Ben mieszkał kiedyś na ulicy i był tak miły, że pomógł mi gromadzić materiały do książki. Odmienił swoje życie i jest teraz poetą, a jego wiersze doczekały się publikacji. Byłby zachwycony, gdybyście kupili jego książkę *Poems from a Runaway: A True Story*, zbiór wierszy opowiadających historię jego życia. Jest ona dostępna na Amazonie.

Richard Gibbs, były sędzia, który doradzał mi w kwestiach prawnych. Wszelkie błędy wynikają wyłącznie z mojej winy.

Katy Loftus, moja superutalentowana redaktorka o wyjątkowo bystrym oku.

Rosanna Forte, jej asystentka i wschodząca gwiazda edytorstwa.

Jane Gentle, moja superwydajna i przedsiębiorcza wydawczyni.

Georgia Taylor, która czuje się w mediach społecznościowych jak ryba w wodzie.

Cudowny zespół praw autorskich z Penguin.

Kate Hordern, moja fantastyczna agentka, która zabrała mnie na wycieczkę po Bristolu.

Trevor Horwood, mój adiustator z sokolim wzrokiem (i poczuciem humoru).

Natalie Wall, redaktor naczelna – za jej umiejętności organizatorskie.

Prime Writers, wyjątkowa siatka wspierających się wzajemnie autorów.

Moja rodzina i przyjaciele – za ich zrozumienie, kiedy idę do gabinetu na „pół godziny”, a wychodzę po pięciu godzinach.

Pragnę z całego serca podziękować fantastycznej organizacji charytatywnej CLIC Sargent, która zapytała, czy mogłaby sprzedać na licytacji nazwisko do mojej nowej książki. Zwyciężyła Barbara Enticknap. Jej imię otrzymała jedna z adwokatek (choć z tego, co wiem, to jedyne, co łączy obie panie!). Więcej na temat tej organizacji dowiedzieć się pod adresem [www.clicsargent.org.uk](http://www.clicsargent.org.uk).

Na końcu – choć absolutnie nie znaczy to, że są najmniej ważni – pragnę podziękować moim czytelnikom. Wasze wsparcie wiele dla mnie znaczy. Obserwujcie mnie na Twitterze @janecorryauthor.

## ***Ta, która zawiniła: nauka kryjąca się za opowieścią***

Jako autorka często pisząca o zdrowiu psychicznym i ukazująca bohaterów, których doświadczenia mogą różnić się od moich własnych, zawsze rozmawiam z kilkoma ekspertami, żeby mieć pewność, że to, o czym piszę, jest zgodne z faktami. Zbierając materiały do tej książki, konsultowałam się z kilkoma specjalistami w dziedzinie złożonego zespołu stresu pourazowego, na który cierpi Ellie po śmierci Michaela i po zamordowaniu Rogera. Zwróciłam się do British Association of Counselling and Psychotherapy (BACP), które skontaktowało mnie z Claire Pooley, psychotraumatologką, psychoterapeutką, stosującą metodę EMDR, i pielęgniarzką psychiatryczną.

*J.C.: Claire, czy możesz opowiedzieć nam coś o złożonym zespole stresu pourazowego i wyjaśnić, co go powoduje?*

C.P.: Złożony zespół stresu pourazowego (który różni się od zwykłego PTSD) powstaje na skutek poważnej, długotrwałej, niezaprzeczalnej traumy, która ma zwykle naturę interpersonalną i często pojawia się w dzieciństwie. Przyczyną jest z reguły wykorzystywanie dzieci i przemoc w rodzinie, natomiast działania wojenne są zwykle źródłem złożonego PTSD w późniejszym życiu. Traumatyczne wydarzenia mają poważne konsekwencje. Jeśli dręczycielem był ktoś bliski, na przykład członek rodziny, przyjaciel, przywódca religijny czy duchowy albo nauczyciel, może to wpłynąć na późniejsze relacje i umiejętność tworzenia więzi. Złożone PTSD może powodować zaburzenia tożsamości i świadomości granic, prowadząc do potencjalnie trudnych i przemocowych relacji, braku samoobrony oraz nieumiejętności kontrolowania swoich emocji. To z kolei może być przyczyną innych problemów, takich jak nawiązywanie przygodnych znajomości, bulimia, samookaleczanie, agresja, myśli samobójcze, uprawianie hazardu, nadużywanie alkoholu lub narkotyków – z których każdy zwiększa ryzyko innych niekorzystnych zdarzeń.

*J.C.: Czy mogłabyś wytłumaczyć, na czym polega związek między dysocjacją a złożonym zespołem stresu pourazowego, które zdiagnozowano u mojej bohaterki, Ellie?*

C.P.: Są dwa przydatne sposoby jego opisywania. Briere i Scott (2006) opisują dysocjację jako „zakłócenie powiązań między subiektywną świadomością, uczuciami, myślami, zachowaniami i wspomnieniami, wywołwane świadomie lub nieświadomie w celu zredukowania bólu psychicznego”. Klufft (1992) opisuje ją jako „ucieczkę mentalną, gdy ucieczka fizyczna jest niemożliwa”. Ktoś może powiedzieć, że dysocjacja uśmierza ból fizyczny i psychiczny, przenosząc umysł w inne miejsce.

Jednak dysocjacja nie zawsze wygląda tak jak w przypadku Ellie – często jest opisywana jako bycie w kontinuum. Czasami wszyscy ulegamy dysocjacji. Większość ludzi potrafi podać przykład, kiedy podróżowali dokądś, a gdy dotarli na miejsce, nie pamiętali całej podróży, albo kiedy oglądając program

w telewizji, uświadomili sobie, że nie pamiętają, o czym była mowa. Ten rodzaj dysocjacji zdarza się bardzo często i jest czymś zupełnie normalnym.

W poważniejszych przypadkach ludzie mogą cierpieć z powodu utraty pamięci, czasami nie są w stanie przypomnieć sobie ważnych informacji o sobie samych, odkrywają, że brali udział w wydarzeniach, których nie pamiętają, albo mają znaczne luki w pamięci. Znajome osoby lub miejsca mogą wydawać się nierealne i człowiek może czuć się oderwany od własnego ciała. W ekstremalnych przypadkach dysocjacji ludzie mogą oddzielać pewne aspekty swojej osobowości i doświadczeń i przyjmować dwie lub więcej odmiennych, niezależnych osobowości. Osobowości te mogą być postaciami fikcyjnymi lub kimś, kogo znają. Zdarza się też, że osoby, które cierpią na złożony zespół stresu pourazowego i dysocjację, przypominają sobie wydarzenia z przeszłości, jakie opisywał im ktoś inny, i interpretują je jako własne wspomnienia.

*J.C.: Ellie wykazuje szczególne zaburzenie – fugę dysocjacyjną. Czy możesz powiedzieć nam coś więcej na ten temat?*

C.P.: O fudze dysocjacyjnej mówimy, gdy człowiek całkowicie odcina się od swojej prawdziwej osobowości i przybiera zupełnie nową. Organizacja charytatywna MIND opisuje to jako „podróżowanie do innego miejsca i przyjmowanie na krótki okres nowej tożsamości (przy czym dana osoba nie pamięta, kim jest się naprawdę)”.

*J.C.: Powiedz nam, proszę, co to są „wyzwalacze” i jaką rolę odgrywają.*

C.P.: Wiemy, że przeżyta trauma jest poniekąd przechowywana w ciele i może być ponownie wyzwolona przez doświadczenia związane z którymś z pięciu zmysłów. Na przykład jeśli trauma związana była z ogniem, może to być woń spalenizny albo uczucie gorąca na skórze, dźwięk skwierczenia, coś, co dana osoba widziała, jakiś kolor, wyraz twarzy lub posmak w ustach. To może ponownie obudzić uczucia, które ten człowiek przeżywała w chwili traumy.

*J.C.: W jaki sposób pomaga się takiej osobie wrócić do pierwotnego stanu umysłu?*

C.P.: Możemy wykorzystywać ćwiczenia oddechowe czy techniki rozpoznawania doznań cielesnych, a także badać rozmaite sposoby zmiany zmysłów, jak na przykład trzymanie czegoś chropowatego lub pachnącego cytryną etc. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), National Institute for Health and Care Excellence (NICE), a także Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne (APA) zalecają terapię odwracania i przetwarzania za pomocą ruchu gałek ocznych (EMDR) oraz terapię poznawczo-behawioralną skupioną na przeżytej traumie (TF-CBT) jako uznane, skuteczne sposoby leczenia PTSD.

Więcej informacji znajdziecie na [www.emdrassociation.org.uk](http://www.emdrassociation.org.uk) i na [www.tfcbt.org](http://www.tfcbt.org).



# Literatura

Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne, *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders, Fifth Edition (DSM-5)*, American Psychiatric Publishing, 2013.

Briere John N., Scott Catherine, *Podstawy terapii traumy. Diagnoza i metody terapeutyczne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2020.

Kluft R.P., *Discussion: A Specialist's Perspective on Multiple Personality Disorder*, „Psychoanalytic Inquiry”, 12 (1992), s. 139–171.

[mind.org.uk](http://mind.org.uk)

Sanderson Christiane, *Counselling Skills for Working with Trauma*, Jessica Kingsley Publishers, 2013.